

PETER HIGGINS  
CZERWONY  
GOLEM



Trzymający w napięciu

PETER HIGGINS

CZERWONY  
GOLEM

Tytuł oryginału: **Wolfhound Century**

Projekt okładki: *Lauren Panepinto*

Redakcja: *Marzena Cieśla*

Redakcja techniczna: *Zbigniew Katafiasz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Elżbieta Jaroszuk, Anna Rogowska*

Copyright © Peter Higgins 2013

All rights reserved.

First published by Gollancz, London.

Cover © 2013 Hachette Book Group, Inc.

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2013

© for the Polish translation by Marcin Wawrzyńczak

ISBN 978-83-7758-498-9

Wydawnictwo Akurat

Warszawa 2013

Wydanie I

*Wiek, jak brytan wilkowi, do gardła mi skacze,  
Lecz ja wilkiem nie jestem, nie jestem.*

OSIP MANDELSZTAM (1891–1938)

# Część pierwsza

# 1

Sledczy Wissarion Hipolitowicz Łom siedział przy oknie w kawiarni Richel. Trotuar prospektu Ańskiego służył potokami deszczu, lecz tu, w środku, w popołudniowym ścisku, powietrze było gęste od zapachu kawy, cynamonowego chleba i parujących płaszczy.

– Dlaczego nie pójdziesz do domu? – zapytał Ziller. – Idę o zakład, że nikt się nie pokaże. Gdyby coś się działo, dam ci znać. Zdażysz z powrotem w pół godziny.

– To nie tak – odparł Łom. – On nie siedzi tu bez powodu.

Po przeciwnej stronie ulicy na ławce pod daszkiem z ocynkowanej blachy czekał, kryjąc się przed strugami deszczu, szczupły młody człowiek. Siedział tak przed budynkiem Biblioteki Przemysłu Drzewnego już od trzech godzin.

– Może nas zauważył – zasugerował Ziller. – Może spotkanie jest odwołane.

– Mógł nas zgubić od razu po zejściu z promu – odparł Łom. – Nawet się nie obejrzał. Nie przypuszcza, że może być pod obserwacją. Myśli, że jest czysty.

Podjęli go z porannego promu z Jisłowska. Walizka – taki kryptonim mu nadali, nie wiedząc, jak się nazywa – pokręcił się chwilę po porcie, kupił sok morelowy w kiosku, przeszedł spacerem na ulicę Durnowo-Burluka i usiadł na ławce. To wszystko. Z wyjątkiem skórzanego neserera, z powodu którego wymyślili mu przewisko, nie miał żadnego bagażu. Po godzinie wyjął z neserera kanapkę i ją zjadł. Nie licząc tego, tylko siedział.

Ziller sięgnął po szklankę z herbatą, zerknął krytycznie na zawartość i odstawił z powrotem.

– To płotka. Nikt więcej.

– Być może – odparł Łom. – Ale na kogoś czeka.

Prawda była taka, że Łomowi podobał się Walizka. Było w nim coś – jego chód, fryzura... Walizka był młody. Wyglądał... bezbronię. I to coś – nienawiść, idealizm, miłość – kazało mu, samotnemu i wyraźnie przestraszonemu, przejechać cały kontynent, by z uszami zaczerwienionymi od deszczu dotrzeć do Podczornoku i podjąć tę idiotyczną próbę kontaktu. Informacja z Magadłowska mówiła tylko, że jest studentem, członkiem jakiejś amatorskiej rozłamowej frakcji separatystów z ruchu Łazarów. Młodej Opozycji. Wyzwolicielskiej Woli Ludu. Przybył, by się z kimś spotkać. By coś odebrać. Ci z Magadłowska wydawali się podekscytowani – w nietypowy dla nich sposób – ale też niewiele mu powiedzieli: „Łącznik, Łom, to o niego nam chodzi, to on jest celem. Łącznik – i to, co będzie miał albo miała – ze sobą”.

– Naprawdę powinien iść do domu – nie ustępował Ziller. – O której poszedłeś spać?

– Czuję się świetnie – rzekł Łom.

– Świetnie? Jesteś po trzydziestce, pracujesz za dwóch, nie awansujesz, kiepsko zarabiasz i przydałoby ci się golenie. Kiedy ostatnio jadłeś coś porządnego?

Łom pomyślał o swym pustym mieszkaniu. Pożółkłych meblach. Niepozmywanych naczyaniach i pustych butelkach. Dom.

– Dlaczego nie wpadniesz do nas? – ciągnął Ziller. – Choćby dzisiaj. Lena ma przyjaciółkę. Jej mąż utonął na Wołkowej. Ma dzieciaka, ale... mogliśmy ją zaprosić i...

– Posłuchaj – przerwał mu Łom. – Miałem wczoraj trochę papierkowej roboty, to wszystko.

Ziller wzruszył ramionami. Zapalił papierosa i wypuścił dym nosem.

– Pomyślałem sobie tylko... – zaczął – że może przydałby ci się przyjaciel. Po tej aferze z Lauritsem nie masz ich zbyt wielu.

– Tak. Cóż. Dzięki.

Siedzieli w milczeniu, wyglądając zakłopotani przez okno. Obserwowali Walizkę gapiącego się w przestrzeń.

– O cholera – powiedział nagle Ziller, unosząc się w krzesło i wyciągając szyję. – Cholera.

Rząd golemów, każdy prowadzący czterokonną platformę i podwójny wóz wyładowany beczkami z żywicą, wspiął się powoli ulicą od strony rzeki. Byli już niemal na wysokości kawiarni, której podłoga drgała lekko od dudnienia żelaznych kół wozów. Gdy się z nią zrównają, Walizka znajdzie się poza zasięgiem ich wzroku. Pochód podążał statecznym tempem; mieli co najmniej dziesięć minut.

– Musisz wyjść na zewnątrz – rzekł Łom. – Obserwuj go z ulicy, dopóki nie przejdą.

Ziller westchnął i podniósł się ciężko, wypychając koszulę w spodnie i dopinając guziki munduru. W ramach pocieszenia zaciągnął się głęboko papierosem, po czym zduśił go w popielniczkę, wy dostał się zza stolika i wyszedł w deszcz z ostentacyjną, teatralną powolnością.

Wissarion obserwował golemę przez zapocone okno. Szli cierpliwie w deszczu: koszule w kolorze ziemi, skórzane kamizele, ciężkie drewniane chodaki. Deszcz przybrał na sile, tłukąc o witrnę kawiarni. Na całej ulicy był tylko jeden człowiek. Żołnierz, z gołą głową i bez pasa, w przemoczonym niemal do cna szarym szynelu, z jednym rękawem pustym i uwiązany do boku. Głowę odrzucił do tyłu, by patrzeć w deszcz, usta miał szeroko otwarte. Jakby próbował pić. Był bez butów. Stał w kałuży w podartych skarpetkach, przestępując z nogi na nogę w rytm wymagowanego, powolnego tańca.

W Podczornoku mogły padać dwa rodzaje deszczu. Stepowy deszcz z zachodu, przenikliwy i zimny, smagający gwałtownymi podmuchami rozciągającą się na tysiące wiorst kontynentalną równinę. I deszcz leśny. Ten nadciągał ze wschodu wraz z powolnymi, ciężkimi nimbostratusami, które zawisały nad miastem na długie dni i zrzucały swój ładunek ciepłymi, tłustymi taflami. Deszcz padał wtedy i padał z głupim uporem, przepełniając rynsztoki i odpływy i sprawiając, że rzeka Janis wzbierała i stawała się żółta i ciężka od mułu. Wiosną leśny deszcz był gęsty od żółtego pyłku, który osiadał na włosach i twarzach i miał dziwny smak. Jesienią pachniał żywicą i ziemią. Dzisiaj padał właśnie leśny deszcz.

Ziller nie spieszył się. Pochód golemów przeszedł, a Walizka wciąż siedział na ławce.

Jednoręki żołnierz podszedł do niego i zaczął wymachiwać ręką, krzycząc przy tym. Trzymał coś w dłoni i próbował pokazać to Walizce. Wręczyć mu to. Walizka wyglądała na zdezorientowanego.

Do diaska. To było to. Łącznik!

Łom wybiegł na deszcz i popędził przez ulicę.

– Hej! Wy tam! Stać! Policja!

Gdzie, do diabła, był Ziller?

Walizka spostrzegł Łoma. Jego oczy rozszerzyły się ze zdziwienia i przerażenia. Powinien był poczekać. Pokazać papiery. Powiedzieć, że nie ma pojęcia, kim jest żołnierz, że siedział sobie tylko, jedząc chleb i obserwując padający deszcz. Zamiast tego zerwał się do ucieczki. Udało mu się przebiec jakieś dziesięć kroków, kiedy zza rogu ulicy Kryszkina wyłonił się Ziller i obalił go na ziemię.

Żołnierz ani drgnął. Patrzył na Łoma. Jego oczy były nieruchome i pozbawione wyrazu. Były całkowicie brązowe: sama tęcza, bez białka. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć – Łom poczuł kwaśny, ziemny aromat jego oddechu – ale nie odezwał się. Ręką ugniatał trzymany w dłoni woreczek, jakby chciał coś zeń wycisnąć. Łom wyrwał mu zawiniątko.

– Daj mi to!

Palce mężczyzny były zimne. Twarde. Szorstkie.

Łom otworzył zawiniątko i zajrzał do środka. Nie było tam nic poza masą połamanych gałązek, pokruszonych jagód i kawałków lepkiej, żółtawej substancji, która mogłaby być woskiem. Pachniała słodko, ciężko, żywicznie.

– Co to jest? – warknął Łom. – Co to, do cholery, jest?

Żołnierz patrzył na niego nieprzeniknionymi brązowymi oczami i milczał.



Tymczasem pięć stref czasowych na zachód od Podczornoku, na dachu Grand Hotelu Świątopełk w Mirgorodzie, Józef Kantor czekał. Mimo wiatru drapiącego mu twarz ostrymi pazurami był nieporuszony; cierpliwy niby skała w swym ciemnym, wilgotnym od mgły płaszczu. Mgła przyszła i poszła. Nadciągnęła znad rzeki przed świtem, otulając go białym welonem, a potem, pokrywszy go warstwą szarych kropel, odpłynęła z zimnym wschodem słońca. Kantor się nie poruszył. Czekał.

Językiem dotknął dziury w zębie. Ból, jaki to powodowało, był użyteczny. Pozwalał mu trwać w terażniejszości, w jedynym teraz, które powoływał właśnie do życia. Musiał tylko poczekać na tym zimnie, a stanie się, co się ma stać. Nie wolno mu się tylko rozproszyć. Ani poruszyć. I stanie się to, co ma się stać.

W dole tępy, biały świt przeobraził pokryty wczorajszym śniegiem, poprzecinany torami tramwajowymi plac Ławrowskiego w monochromatyczny obraz. Z tego prostokąta niewielki trapezoidalny kęs odgryzał daszek zawieszony nad głównym wejściem, dwanaście piętér niżej. W dwóch równych rzędach, otoczone ogrodzeniem z roślin w donicach, stały puste stoliki ogrodowe. Obok przystanku tramwajowego rozkładali się przekupnie: kobieta z odzieżą z drugiej ręki, pościelą i szlafrokami, ubrana w baranicę, rozpalająca pod kociołkiem z kartoflami i starszy mężczyzna ustawiający na straganie tace placzków, misy rzadkiego purée i butelki kwasu chlebowego. Kantor po raz pierwszy spojrzął na zegarek. Dokładnie dziewięć rano. Już.

Zza rogu z terkotem kół wjechał na plac opancerzony wóz ciągnięty przez parę koni stąpających ostrożnie, wyteżających siły, kierujących się ku Bankowi Handlu Zagranicznego. Jego ludzie powinni już działać. Rozejrzał się najpierw za kobietami. Były tam. Lidia i Stefania. Szły ku budce żandarma na rogu. Brzegi ich spódnic mokre były od topniejącego śniegu. Śmiały się i wkrótce młody żandarm śmiał się również. Czuł teraz ciężki, obiecujący zapach ich perfum. Kantor użył obu kobiet, by przemyścić materiał wybuchowy, a one zlały się pachnidłem, by zatuszować woń wydzielaną przez dynamit przylegający ciasno do ich spoconej skóry.

Lidia wyciągnęła spomiędzy fałd spódnicy rewolwer i dwukrotnie strzeliła do żandarma. Nogi ugięły się pod nim i opadł do pozycji siedzącej, zwieszony nad swym rozerwanym brzuchem: krew w brej; szkarłat w bladej szarości. Zył jeszcze, poruszając się z największym trudem, dłońmi dotykał twarzy. Lidia podeszła bliżej i strzeliła mu w głowę.

Na placu Ławrowskiego nikt nic nie zauważył.

Nie, to nieprawda. Starszy mężczyzna w pocztowym mundurze stojący po przeciwnej stronie placu zdjął torbę z ramienia i gapił się na zabitego. To nie miało znaczenia. Opancerzony wóz był już w połowie placu. Gdzie jest Wit? Powinien się już wyłonić z Ogrodu Herbacianego.

I rzeczywiście był tam. Biegł z granatem w dłoni. Pospiesznie cisnął go koniom pod kopyta, ale granat nie wybuchł. Leżał, nieruchomy, w śniegu, niczym okrągły czarny owoc. Niczym bobek ogromnego królika.

Woźnica szarpnął gwałtownie za lejce, wrzeszcząc. Kantor patrzył, jak Wit stoi, bez sensu, z pustym wzrokiem i lekko rozwartymi ustami, gapiąc się tępo na dowód swej porażki. Potem Wit odwrócił się i zniknął w zaułku między Ogrodem Herbacianym a ulicą Rosenfelda.

Woźnica wciąż wrzeszczał na konie. Te stały zdezorientowane, przestraszone, nie wiedząc, co robić. Tylna kłapa wozu otwarła się i ze środka wyskoczyli żołnierze, rozglądając się w poszukiwaniu celu, do którego mogliby otworzyć ogień. Kantor ujrzał Akakija Sierowa, który wolnym krokiem zbliżył się do żołnierzy, śmiechając się, mówił coś zabawnego. Gdy znalazł się wystarczająco blisko, cisnął bombę niedbałym gestem, celując w konie, i drugą, która wtoczyła się pod opancerzony wóz. Nastąpił podwójny błysk, pojawiły się kłęby dymu, a potem dopiero rozległ się odgłos eksplozji. Siła wybuchu wypatroszyła konie i porozrywała żołnierzy na kawałki. Akaki Sierow, który stał zbyt blisko, również został rozerwany.

W ciszy, jeszcze zanim zaczął się krzyk, ruszyła reszta ludzi Kantora, pośród nich, niczym dorosły wśród dzieci, golem Waso. Jakow Pietrow, zwany Pietrowem Malarzem, gnał obok, sadząc trzy susy na każdy jeden tamtego. Z gołą głową i zaróżowioną twarzą walił seriami z trzymanego przy biodrze peemu. Popędzili ku stojącemu otworem opancerzonemu wozowi, wyprzedzając pozostałych. Pietrow zastrzelił żołnierza, który dźwigał się na kolana, a golem szarpnął za drzwi wozu, wyrwijając je z zawiasów, i wcisnął się do wnętrza. Wydawało się niemożliwe, by zmieścił się w tak ciasnej przestrzeni, ale dał nura do środka, jakby chował się w szafce.

Pozostali rozbiegli się po placu, strzelając i ciskając granaty. Fragmenty ciał, ludzkich i końskich, padały na bruk. Pojawiły się kałuże krwi, stopionego śniegu i płynów organicznych. Jęki rannych brzmiały w uszach Kantora równie odległe jak krzyki mew w zatoce.

Rewolucjonista jest przeklęty, wyszeptał bezgłośnie. Rewolucjonista nie zna pobudek osobistych. Żadnych uczuć. Żadnych zobowiązań. Rewolucjonista nic nie posiada i nie ma imienia. Jest bezlitosnym i nieprzejednanym wrogiem wszelkich praw, zasad moralnych, zwyczajów i konwencji. Dla niego istnieje tylko rewolucja. Wszystkie pozostałe więzi zostają zerwane.

Na placu zapanowało coś w rodzaju spokoju, gdy nagle wysokie spiżowe drzwi banku rozwarły się z trzaskiem i ze środka wytoczył się wysoki, trzyipółmetrowy muzyk koloru rdzy i zaschniętej krwi. Jakiegokolwiek zwierzę użyczyło mu swego mózgu, musiało być zdeklarowanym drapieżnikiem. Muzyk był praktycznie poza kontrolą. Wymachiwał ciężkimi łapskami, roztrzaskując głowy tych, którzy nie zdążyli uciec. Za nim z budynku wybiegli gwardziści, strzelając.

Czy to z powodu muzyka, czy wiedziony instynktem samozachowawczym, jeden z koni zaprzężonych do opancerzonego wozu zadrżał, szarpnął się i wstał, rżąc z bólu. Mając z boku martwego towarzysza, koń, którego wnętrzości wylewały się na ziemię z otwartego brzucha, opuścił łeb i ruszył ku otwartemu wylotowi prospektu Wschodniego. Z powolną determinacją oddalał się coraz bardziej od rumoru i smrodu toczącej się bitwy, ciągnąc za sobą trzydzieści milionów rubli i golema Wasa, który wciąż był w środku.

Kantor wciągnął w płuca haust czystego, zimnego powietrza. Zimno sprawiło, że jego pusty, poczerniały ząb zapłonął bólem. Czas zejść z dachu.

Gdy Łom skończył uspokajać Magadłowski przez telefon i wrócił do biura, Ziller już tam był i pisał raport. Pisał starannie, dokładnie, słowo po słowie, trzymając znaczony śladami zębów ołówek niczym zegarmistrz narzędzie.

– Gdzie oni są? – zapytał Łom.

– Kto?

– Walizka. Żołnierz.

Ziller odłożył ołówek.

– Och. Oni. Laskier zabrał ich do koszar. Tam gwardziści dadzą im wycisk, a potem odesła do Wigu.

– Co takiego? – rzekł Łom. – Miałbym to, na czym mi zależy, w godzinę. W Wigu nie przetrwają tygodnia. Widziałeś ich...

Ziller miał niewyraźną minę.

– Laskier nie chciał trzymać ich tutaj. Powiedział, że spowodowałyby to niepotrzebne zamieszanie.

– Ale to był łącznik – rzekł Łom.

– Tak – odparł Ziller. – Cóż. Laskier sądzi, że spieprzyłeś sprawę. W gruncie rzeczy zwyczajnie cię nie lubi. Ale nieważne, to i tak nie ma znaczenia. Czeka cię podróż. Na twoim biurku leży depesza. Była bez koperty, więc ją przeczytałem. Laskier też.

Łom rozpostarł zgnieciony telegram, próbując wyprostować zagięcia brzegiem dłoni. Świstek papieru z przyklejonymi paskami niebieskiego tekstu.

**ŚLEDZCY WISSARION HIPOLITOWICZ ŁOM NIEZWŁOCZNIE WYRUSZYĆ DO  
MIRGORODU STOP BIURO PODSEKRETARZA KROCHA STOP BUDYNEK  
ŁÓDKA STOP CZYNNE DO GODZINY 18.00 STOP ROZKAZ POWTARZAM  
ROZKAZ KONIEC**

Łom przeczytał depeszę ponownie, a potem jeszcze raz. Coś takiego się nie zdarzało. Prowincjonalny śledczy wezwany do stolicy przez pół kontynentu. Nigdy czegoś takiego nie robili. Nigdy.

– Może chcą cię udekorować medalem, Wissarionie Hipolitowiczu – zasugerował Ziller.

– Albo strzelić mi w potylicę i wrzucić do Miru.

– Po to nie muszą cię ściągać aż do Mirgorodu. Wielu chętnie zrobi to tutaj, nie tylko Laskier, po tym, co zrobiłeś Lauritsowi.

– Laurits był zwyrodnialcem – odparł Łom. – Widziałem pokój, w którym ją znaleźiono. Widziałem, co jej zrobił.

– Jasne. Tylko że ona była cudzoziemką i do tego dziwką, a Laurits był zwyrodnialcem, ale naszym zwyrodnialcem. Miał żonę i dzieci. To sprawia, że ludzie źle myślą o tym, co się

stało. Nie jesteś już popularny.

– Nie chodziło mi o karierę.

– A szkoda. To przynajmniej by zrozumieli.

– Zabiłem go, bo był chorym na umyśle mordercą. Tym właśnie zajmują się policjanci.

– To nie jest temat do żartów, Wissarionie Hipolitowiczu. Sprawy mogą przybrać poważny obrót. Pytali o ciebie. Przeglądali akta. Szukali haków. Powinieneś uważać.

– Kto pytał?

Ziller skrzywił się.

– Wiesz, kto. Oni. – Zawahał się. – Posłuchaj, Wissarionie Hipolitowiczu. Lubię cię. Jesteś moim przyjacielem. Ale jeżeli przyjdą do mnie, nie stanę w twojej obronie. Nie potrafię. Nie posiadam tego rodzaju odwagi. Nie ryzykuję życia Leny i dzieci, nie w takiej sprawie. Dobrze by było, gdybyś zniknęła na tydzień czy dwa. Pozwolił, by sprawa przyszła.

Lom złożył telegram i schował do kieszeni. Podróż to dobry pomysł. Zmiana scenerii. Nie było tu nic, za czym by tęsknił. Być może – bardzo możliwe – mieli dla niego w Mirgorodzie robotę. Prawdziwą pracę. Miał dość nękania studentów i sprawdzania, czy posiadają meldunek, podczas gdy prawdziwe zło działo się w budynku, w którym się teraz znajdował, a jeżeli ktokolwiek coś z tym zrobił, to miał przechłapanie. Spojrzał na zegarek. Zostało jeszcze trochę czasu: spakuje się w godzinę i zdąży na nocny prom do Jisłowska.

– Możesz przejąć sprawę Szamy Bieżina – rzekł do Zillera. – Potraktuj to jako tymczasowy awans.

Ziller wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– A ja myślałem, że mnie nie doceniasz – rzekł. – Nie spiesz się z powrotem.

Przy tylnym wyjściu hotelu Światopełk stał rowerowy kurier z pobielaną twarzą. Kantor wyrwał mu wehikuł z rąk i ruszył w pościg za umierającym koniem, fortuną i golemem. Znalazł ich w jednej z przecznic prospektu Pękniętego Księżycy. Waso zaczął wypakowywać worki z rublami, układając je w równym rzędzie przy krawężniku. Koń był martwy. Waso znajdował się we wnętrzu opancerzonego wozu, wypełniając je niemal całkowicie. Kantor oparł rower o ścianę i zajrzał do środka.

Waso zerknął na niego przez ramię.

– Czekali na nas – powiedział. Jego wielkie niebieskie oczy wpatrywały się w Kantora jakby z podwodnej otchłani. – W banku. Spodziewali się nas.

– Tak.

Kantor odwrócił wzrok o ułamek sekundy za późno. W jakimś dziwnym momencie porozumienia, chwilowej szczerości, pomiędzy golemem i człowiekiem nastąpiła komunikacja, jakiej żaden z nich nie planował. Kantor poznał to po oczach golema i tym, jak drgnęły jego masywne barki.

– Ty – powiedział Waso. – Ty im to powiedziałaś. – I zaczął wygrzebywać się z wnętrza opancerzonego wozu.

Jednak Kantor zdążył już wyciągnąć granat z kieszeni i teraz cisnął go do środka przez szczelinę między potężnymi udami golema.

Trzy funty dynamitu w skorupie z karbowanego żelaza.

Zapalnik standardowego granatu zabezpieczony jest zawleczką. Gdy wyciągnie się zawleczkę, tylko nacisk dłoni rzucającego powstrzymuje iglicę zapłonu od uderzenia w słonkę i odpalenia ścieżki prochowej, która po dziesięciu sekundach spowoduje detonację. Lecz gdy Kantor cisnął granat między nogi Wasa, pocisk uwiązał tam i zapalnik nie mógł zadziałać.

Zaniepokojony, lecz nie wiedząc do końca, co się dzieje, Waso próbował pospiesznie opuścić pojazd. Kantor cofając się, aż dotknął ściany budynku, patrzył, jak golem wygrzebuje się z wnętrza wozu. W ostatnim momencie granat upadł na podłogę, potoczył się na tył pojazdu i eksplodował. Fala uderzeniowa trafiła Kantora, tak jak niegdyś czyniła to pięść jego ojca. Tyłem głowy uderzył o mur i świat nagle się przekrzywił. Gdy wrócił do normy, to, co zostało z Wasa, leżało na ziemi przed nim. Głowa golema, wielka jak wiadro na węgiel, dymiła. Twarz pozbawiona była skóry, lecz w oczach bez powiek wciąż migotała isierka życia. Wpatrywał się w Kantora niemo, a jego wielkie, rozwarłe usta poruszały się lekko.

Kantor sięgnął po zatknięty za pasem rewolwer. Wyciągnął go, pokazał golemowi, po czym strzelił mu dwa razy prosto w głowę.

Blask połówek pękniętego księżyca, krążących wokół siebie w powolnym, rozkołysanym tańcu, zalewa las. Archaniół, wysoki na trzysta metrów, góruje nad pustym krajobrazem niczym samotne wzgórze. Na rozległych płaszczyznach jego ciała narósł gruby kożuch śniegu. Kiedy próbuje się poruszyć, uwalnia śnieżne i lodowe lawiny, ale nie jest w stanie zmienić pozycji. Jego ciało jest nieodwołalnie unieruchomione, jego dolna część wrosnięta na setki stóp w macierzystą skałę, stopiona z nią przez gorąco upadku. Impet uderzenia spalił drzewa w promieniu wielu kilometrów, lecz na popiołach rosną nowe drzewa. Świeży śnieg pokrywa dno płytkiego, szerokiego na piętnaście kilometrów krateru, którego centrum stanowi on.

Nazwijcie go Archaniółem, chociaż nie jest to jego imię, nie posiada bowiem żadnego. Jest tym, kim jest. Lecz nazwijcie go Archaniółem. To... odpowiednie. Czas trwania jego życia rozciąga się od wieczności po wieczność, mierzony wiekiem wszystkich gwiazd.

Tak przynajmniej się zdawało, aż w jednej niemożliwej chwili padł nań cień. Teraz jest wystawiony na widok, uwięziony, pozbawiony możliwości ucieczki, wbity w planetarny płaszcz, na samym dnie studni niepewności. Nie może zmienić swej gęstości. Nie może wysunąć żadnej części siebie, choćby na kilka centymetrów. W ogóle nie może się poruszyć. Tylko jego wrażenia mogą przenierzać przestrzeń, a i to tylko w ramach tej jednej trywialnej, ciasnej, zatrutej i zacienionej planety. Jest uwięziony w ciasnej celi, niewiele większej niż on sam.

*I boi się, że umrze.*

Skrupulatnie analizuje swój lęk. Ból i szok są jego przybocznymi, ale to lęk go intryguje. A więc to tak działa strach. To mogłoby być użyteczne. Jeżeli będzie żył.

Jego uważny wzrok, szeroki, chłodny i nieludzki, przesuwa się niespokojnie po powierzchni planety, przeszukując zaludniające ją tętniące mrowie umysłów. Tak wiele umysłów. Otwiera je, jeden po drugim, szukając tego, czego potrzebuje. I kreśli swe plany.

Łom wsiadł na nocny prom kursujący rzeką Janis i nazajutrz wczesnym rankiem znalazł się na przystani w Jisłowsku. Miał godzinę do pociągu do Mirgorodu. Poczekalnia pełna była świeżych rekrutów na południowy front, krótko przystrzyżonych i pełnych chełpliwości, kupił więc torebkę pierogów i usadowił się na ławce na zewnątrz, chroniony przed zacinającym deszczem ze śniegiem. Drżał pod ciężkim, czarnym wełnianym płaszczem, ze zdrewniałymi stopami, grzejąc dłonie ciepłem pierogów. Dokerzy, z brezentem uwiązanym wokół ramion dla osłony przed ulewą, rozładowywali barki, podczas gdy pasażerowie przechadzali się po szarym, wilgotnym nabrzeżu pośród gęstwiny relingów i pachółków, lawirując między narożnikami porzuconych ciężarówek. Niebo omiatał wielki żuraw, zagłuszając terkotem wyciągarki odgłos deszczu i szum fal uderzających o nabrzeże. Rozległ się pierwszy sygnał ostrzegawczy. Kwadrans do odjazdu. Wiedziony impulsem Łom podszedł do okienka pocztowego i nadał depezę do Raku Wiśnika w nadziei oszczędzenia na kosztach noclegu w Mirgorodzie.

Pociąg był gigantem o trzystuszęćdziesięciocentymetrowym rozstawie osi, z lokomotywą wielką jak dom. „Admirał Grebienko”. Wykończony jasnioletowymi liniami. Trzy cylindry, podwójna dymnica systemu Czapykyl, aerodynamiczny, zaokrąglony, ostro ścięty przód, do tego trzydzieści wagonów. Na prostej „Admirał” był w stanie rozpedzić się do stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, ale podróżowali z drobiazgową powolnością, zatrzymując się na każdym przystanku i przejeździe, sunąc przez rozległy, płaski kraj.

Krasnojarsk. Noworosyjsk. Woljanowsk. Elgen. Magadan.

Łom wydał równowartość tygodniowych poborów na pierwszą klasę. Podróżował samotnie, w powolnym, rozmażanym ciągu nocy i dni. Jego jedynym towarzyszem były oprawione w ramę zdjęcie Przywódcy i dwa plakaty: „Obywatelu! Po której stronie jesteś?” i „Odwiedź jezioro Syrka! Woda jest ciepła!”.

Niekończący się krajobraz brzezinowego lasu sprawiał, że wszelki ruch wydawał się iluzją. Czas gęstniał i leniwał, mierzony szklankami herbaty nalewanymi z samowara przez przewodnika na końcu wagonu. Łom patrzył na drzewa albo spał, wyciągając się na zielonej skórzanej kanapie. Pięć dni przymusowej beczynności... stukot żelaznych kół i powolne przesuwanie się drzew, ziemi i nieba... spokój w ruchu...

Brzozy nudziły go. Były nijakimi, rzadko rozsianymi w przestrzeni maźnięciami kredy. Nie tak jak las na wschód od Podczornoku. To był prawdziwy las. Ciemny. Mszysty. Gęsty. Całe życie przeżył w jego cieniu. Za Podczornokiem był już tylko las: z ulicy Durnowo-Burluka widać było niskie wzgórza, gdzie się zaczynał. Niezmierzona puszcza. Nikt nie wiedział, jak jest rozległa, ani co – jeżeli cokolwiek – leży za nią. Zwykle Łom starał się nie myśleć za wiele o lesie – wchodziło to w krew, pożerało czas – ale teraz, nie mając nic innego do roboty, wyobrażał sobie, jak by to było chodzić tam, wachać wilgotną ziemię, zanurzać dłonie w warstwy rozkładających się liści i murszejącego drewna... Pływać w białych jeziorach. Widzieć potężne wilki i gigantyczne łosie w słonecznych prześwitach.

Raz na jakiś czas Właśc organizowała wyprawy w puszcze. Artel za artelem wtaczał się w las tylko po to, by otoczyła go nieprzebyta gęstwina, a konie ugrzęzły po brzuchy w błocie. Ekspedycje rzeczne sunęły przez płataninę cieni, czując, że się kurczą, maleją, tracą znaczenie w miarę, jak świat stawał się milczący i obcy. Samoloty latały nad nieskończonym dywanem zieleni usianym cętkami jezior i lśniącymi wstęgami rzek. Milczenie lasu pozostawało niezakłócone.

Karka. Lapotew. Narymsk. Kaunats. Workutagorsk.

Łom, którego nie stać było na wagon restauracyjny, wziął ze sobą zapas chleba i podsuszzonego białego sera. Znudziwszy się tą dietą, wysiadł w Czelagorsku, gdzie mieli dwugodzinny postój, i wydał kilka kopiejek na porcję grzybów, suszoną rybę i gazetę. Na końcu peronu stała drewniana buda. Napis głosił: „Wystawa okazów zoomorficznych – wstęp pięć kopiejek”. Przed wejściem, na chwiejnym krześle, siedziała dziewczyna o bladej twarzy. Drżała. Jej oczy były zażawione od zimna.

– Wystawa ciekawa? – zapytał. – Warto zobaczyć?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– No chyba. Pięć kopiejek.

– Wielu oglądających macie?

– Nie. Chce pan wejść? Pięć kopiejek.

Wręczył jej miedziaka. Schowała go starannie do kieszeni.

Wnętrze budy było ciemne, zimne i wypełnione zakurzonymi okazami wypchanych zwierząt: ptak drapieżny, para chudych wilków, kulący się niedźwiedź. Wątle sztuki w porównaniu z leśnymi bestiami zamieszkującymi jego wyobraźnię. Była też mamucica wydobyta z wiecznej zmarzliny na północy, pokazana w tej samej pozycji, w jakiej ją znaleziono: przykucnięta, z jedną nogą wysuniętą do przodu, jakby wpadła w grzęzawisko i próbowała się wydobyć. Jej sierść była rudawa, szorstka, miejscami poprzecierana, a oczy, małe, czarne i lśniąco jak owoc tarniny, wpatrywały się w Łoma z urazą. Pożółkłe kły zanosły prośby do smolistego sufitu. Przez resztę drogi wracała do niego w snach.

Jeden incydent zakłócił monotonię długiej, powolnej podróży. W sąsiednim przedziale z żoną i ciemnowłosą dziewczynką w wieku około sześciu lat jechał starszy mężczyzna – przygnębiony wzrok, gęsta broda zaczesana z przedziałkiem pośrodku. Przez ściankę przedziału Łom słyszał jego pokasywania, narzekania, przekleństwa ciskane na żonę za to, że spowodowała przeciąg.

Gdy dojeżdżali do Tugi nagle wybuchło zamieszanie. Łom znalazł kobietę na korytarzu, łkającą bezgłośnie, otoczoną przez strażników i gapiów. Przestraszona dziewczynka stała z tyłu w milczeniu. Okazało się, że mężczyzna wybiegł z przedziału w bieliznie, popędził na koniec wagonu i otworzył znajdujące się tam drzwi, akurat gdy pociąg zaczął hamować. Wpadł między wagony i poniósł śmierć na miejscu.

Łom patrzył, jak kładą jego skurczone starcze ciało na nosze. Krew wypływała mu z kącika ust. Za noszami ruszyła kobieta z dziewczynką i wszystkimi bagażami.

Gdy Łom odwrócił się, by wejść z powrotem do przedziału, za ramię złapał go żandarm.

– Ej, ty – powiedział. – Ty.



- Czego?
- Co wiesz o zmarłym?
- Nic. A bo co?
- Obserwowałeś go.
- Tak jak wszyscy.
- Ale nie w ten sam sposób. Skąd jesteś?
- Z Podczornoku. Wsiadłem w Jisłowski. Ale...

Żandarm stał zbyt blisko, przyglądając się Łomowi badawczo. Wyciągnął dłoń, niemalże dźgając Łoma w mostek.

- Papiery. Twoje papiery.
- Jakie papiery?
- No, papiery. Paszport. Zezwolenie na podróż. Kwit na pieniądze. Zaświadczenie o dobrym stanie zdrowia i braku chorób zakaźnych. Papiery.
- Nie było czasu – odparł Łom. – Poza tym ja nie potrzebuję papierów.
- Każdy potrzebuje. A jeżeli ich nie masz, to idziesz ze mną. Chyba że... – tu żandarm nachylił się ku Łomowi – ...masz przy sobie tłustą sakiewkę.
- Odpieprz się – rzekł Łom spokojnie i odwrócił się, by odejść.

Żandarm chwycił go za ramię i zawrócił w miejscu.

- Idziesz ze mną, sukinsynu. I to już.
- Rozmawiacie ze starszym śledczym trzeciego wydziału policji politycznej. Nie nazywajcie mnie sukinsynem. Macie się do mnie zwracać jak do starszego stopniem.

Żandarm zawahał się przez chwilę, ale tylko przez chwilę.

- Nie obchodzi mnie, czy jesteś samym Przywódcą. Jeżeli nie masz papierów, jesteś mój.
- Tak jak powiedziałem, nie potrzebuję papierów. – Łom zdjął czapkę, by pokazać żandarmowi nieusuwalne znamie, mały ciemny platek anielskiego ciała wrosnięty w jego czoło niczym ślepe trzecie oko. – Mam to. To jest lepsze.

Piątego dnia brzozy las przerzedził się, rozdzielany teraz szerokimi pasmami płaskich, nagich ugorów, czarnego błota pod brudnym topniejącym śniegiem, a rankiem szóstego wjechali nagle w krajobraz płaski i wodnisty. Jeziora. Rzeki. Bagna. Niskie, mgliste chmury. I czasem błysk ciemniejszej szarości na horyzoncie – to było morze. Przystanki stały się częstsze, chociaż miasta wciąż były niewielkie. Drobną kroplę deszczu ściekały po szybie. Na horyzoncie zamajaczyła wielka, krępa masa ciemnej czerwieni. Przypominała gigantyczną skałę. Tors Uspieńskiego.

Potem nagle, bez ostrzeżenia, znaleźli się wysoko w powietrzu i Łom spoglądał z góry na budynki: drewniane chaty i lepianki z wybiegami dla świń i rzędami zagonów; żółte kamienice; ulice i ruch uliczny; ołowiana szarość kanałów i zbiorników retencyjnych. Jechali Wiaduktem Biworskim, przeskakując z wyspy na wyspę, zbliżając się do Lityńskiej. Deszcz nadawał wszystkiemu żywy, gładki połysk wilgoci. Łom poczuł dreszcz ekscytacji. Dojeżdżali. Czekają go przygody. Stolica. Mirgorod.

## 7

Józef Kantor miał niewielkie biuro przy Nabrzeżu Obwodnym, nieoznakowane drzwi na szczycie żelaznych schodów w labiryncie zaułków i hurtowni, skryte za belami, kadziami, skrzyniami, beczkami i gąsiorami. Unosił się tu zapach węgla i smoły, a także aromat cytrusów i importowanych przypraw. Było tu miejsce na biurko i półka na książki, i palenisko. Pod pierzyną Kantor miał ukryty powielacz i to tutaj drukował ulotki, które rozprowadzał potem w porcie.

Każdego dnia szedł pośród napędzanych parą dźwigów i kolejowych torów, pośród huku młotów, fal gorąca i snopów iskiei, mijając brygadzystów z notatnikami w skórzaney oprawie i gromady robotników. Patrzył, jak remontują nagie, podparte kadłuby w suchym doku i budują nowe statki od podstaw. Codziennie kształtów nabierały ogromne stalowe jednostki, większe, potężniejsze i liczniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. Szybkość. Siła. Kontrola. To coś nowego, myślał Kantor i pisał o tym w swych ulotkach. Oto jest przyszłość. Wymaga nowego sposobu myślenia: nowej filozofii, nowej moralności, nowego człowieka. Wszystko, co stare i bezużyteczne, musi ulec zniszczeniu, by mogło nadejść nowe.

Kantor spał przy biurku, a w zimne noce obstawiał się książkami dla ochrony przed przeciągiem. Nauczył się tej sztuczki w Wigiu, w uszczelnionej mchem chacie, którą dzielił z trzema rodzinami i psychopatą Wereszczakiem. W Wigiu w zimowe noce oddech zamarał człowiekowi na brodzie. Pobyt w Wigiu nauczył Kantora luksusu samotności. Nauczył go wycofywać się w głąb siebie i wchodzić w prywatną, wewnętrzną przestrzeń, której oprawcy nie byli w stanie dosięgnąć.

Życie Kantora ukształtowała dialektyka strachu i zabijania: jeżeli coś przepeśniało cię lękiem, przyglądałeś się temu, uczyłeś się od tego wszystkiego, co możliwe, a potem to zabijałeś. Jeżeli napotkałeś coś jeszcze bardziej przerażającego, robiłeś to ponownie. I znowu. I tak rosłeś w siłę, aż strach, który wzbudzałeś, stawał się silniejszy od tego, który czułeś. Odczuwał w głębi ducha zadowolenie, że zaczął poznawać tę wielką lekcję jeszcze przed narodzeniem. Zaraz po nim z łona matki na szpitalne prześcieradło wypłynęło wraz z pępowiną pomarszczone, martwe ciało jego brata bliźniaka. Jeszcze zanim ujrzał światło dnia, zdążył zabić i skonsumentować rywała.

Jego ojciec, wielki Awrł, bohater Rebelii Birzełskiej, zarabiał na życie jako pakowacz śledzi. Awrł Kantor nienawidził swej pracy i siebie samego z tego powodu. Wracał do domu, cuchnąc brandy i śledziem. Józef słyszał jego szorstki głos i widział, jak poniewiera matkę. Czuł jego twardą od lodu pięść na twarzy. Nie czuł nienawiści do ojca. Podziwiał jego moc zadawania bólu i lęk, jaki to powodowało. Dopiero później, gdy zrozumiał więcej, zaczął pogardzać nim za to, że ranił tylko słabych, a swoje życie poświęcił w jałowym geście buntu.

Dzięki rodzinnej protekcji młody Józef dostał się do Akademii Berga. Nie groziły mu zatem portowe hale śledziowe, które zniszczyły jego ojca, lecz Berg był miejscem śmiertelnie nudnym i pełnym przemocy. Nauczyciele szpiegowali uczniów, przeszukiwali ich rzeczy, zachęcali do donoszenia na kolegów. Bili go za czytanie zakazanych książek i pożyczanie ich innym chłopcom. Józef studiował metody profesorów akademii, nienawidząc pozbawionych polotu, bezproduktywnych celów, jakie próbowali osiągać poprzez swą dominację. W dniu, gdy poczuł się wystarczająco silny, znalazł swego nauczyciela matematyki, gdy był sam, chwycił go za włosy i z całą siłą uderzył jego twarzą o biurko.

– Jeżeli ktoś mnie tknie, wróć i zabiję cię – zapowiedział mu.

Nauczyciel miał twarz w strupach przez tydzień. Po tym wydarzeniu w Bergu był spokój. Kantor wyrósł, zmęźniał i nabrał energii. Pierwszym zadaniem, jakie otrzymał od Komitetu Łazarskiego, było rozprowadzanie ulotek wśród kolejarzy. Został schwytany i wychłostany, podczas gdy sam dyrektor kolei Anastas Bragin, stał i patrzył z zaciekawioną twarzą. Trzy dni później Józef zakradł się do jego mieszkania z rewolwerem w dłoni. Była późna wiosna i słońce stało jeszcze na niebie, mimo że minęła dwudziesta trzecia. Powietrze w ogrodzie było rozgrzane, przepełnione zapachem kwitnących lip, w koronach których uwijały się pszczoły. Bragin pracował przy biurku na dole, przy otwartym oknie. Kantor przeszedł przez świeżo urządzony klomb i wetknął głowę do środka.

– Pamiętasz mnie?

Począł chwilę i strzelił Braginowi prosto w głowę. Miał wtedy siedemnaście lat.

Złapali go po Rebelii Birzeńskiej. Chcieli wiedzieć, gdzie ukrywa się jego ojciec. Połamali mu ręce, opalili stopy i kopali w jądra, aż napuchły jak cytryny, ale milczał. W końcu dali spokój i zostawili go, a wtedy powiedział im, gdzie jest ojciec. Zmusili go, żeby obserwował jego egzekucję. Sprawiała mu przyjemność. Wisienka na torcie. Był silniejszy od nich wszystkich.

Rozległo się pukanie do drzwi. Kantor zaklął pod nosem. To mógł być Wit. On i pozostali. Powiedział, że przyjdą, chociaż Kantor tego zabronił. Narazało to jego bezpieczeństwo i naruszało osobistą przestrzeń. Ale nalegali. Wit nalegał.

Pukanie rozległo się ponownie, głośniejsze. Pełne determinacji. Byli za wcześnie.

– No dobrze, Wit, wejdźcie – zawołał. – Wejdźcie, jeżeli musicie. Lepiej, żeby to było coś dobrego.

Wcisnęli się do środka. Przyjrzał się ich twarzom. Tyle bezużytecznych, banalnych, cielecych twarzy. Mówił im, żeby nie rzucali się w oczy, że tak trzeba, ale po kilku dniach stali się niespokojni i pełni podejrzeń. Za bardzo bali się policji, a za mało jego. Wit ich tu przyprowadził.

– Banknoty były znaczone – mówił Wit. – Opublikowali numery seryjne w „Gazecie Rządowej”.

– Wszystko idzie bezpośrednio do Rządu na Emigracji Wewnętrznej – odparł Kantor. – Wiesz o tym. To ich problem, nie nasz.

– Czekali na nas – powiedziała Lidia. – Wiedzieli, że się zjawimy. Wiedzieli gdzie i kiedy.

– I straciliśmy Akakija – dodał Wit. – Akakij był dobrym towarzyszem.

– Ofiary są nieuniknione – rzekł Kantor. – Niczego, co naprawdę wartościowe, nie da się osiągnąć za darmo. Nie łudźcie się, będzie jeszcze gorzej. Walkę przeciw opresji znaczyć będą potoki i rzeki krwi. Czy jesteście na to gotowi?

Gapili się na niego kwaśnym wzrokiem.

– Ale...

– Rzucasz mi wyzwanie, Wit?

Wit zamarł z otwartymi ustami, nagle pobladły.

– Nie, Nie, Józefie. Próbuje tylko...

Kantor powiódł twardym wzrokiem po ich twarzach, zaglądnąwszy w oczy każdemu po kolei. Już czas.

– Tak – powiedział. – Czekali na nas i wiecie, co to oznacza, tylko nikt nie ma odwagi powiedzieć tego na głos. Jeden z nas jest kapusiem.

– Może to był... – zaczęła Stefania.

– Przyjrzyjmy się – przerwał jej Kantor. – Ty, Wit, rzuciłeś bombę, która nie wybuchła, a potem zwałeś z podkulonym ogonem.

– Ja...

– Wyczuwam cię, Wit. Wyczuwam zdradę i kłamstwa. Wyczuwam judaszowe srebrniki w twojej kieszeni.

– Nie, Józefie! Może to był Pietrow? Gdzie on jest dzisiaj? Czy ktoś go widział? To był Pietrow!

– Wyczuwam cię, Wit, i nigdy się nie mylę. Widzisz, jak się łamiesz? Tak właśnie się wileś i skamlałeś, kiedy przyszli po ciebie. To odwaga zdrajcy. To wewnętrzna choroba.

Kantor wyjął rewolwer i wyciągnął przed siebie na otwartej dłoni.

– Kto robi to, co musi być zrobione? Czy mam to zrobić sam?

– Pozwól mi – rzekła Lidia. – Proszę, Józefie.

Kantor wręczył jej broń. Wit zerwał się z krzesła i dał susa ku drzwiom, ale Stefania podstawiła mu nogę. Upadł na twarz z głośnym plaśnięciem.

– Och, nie – mruknął. – Nie.

Lidia przytknęła lufę do jego potylicy.

– Żegnaj, tłuściochu.

Pociągnęła za spust.

– Szkoda – powiedział Kantor, ścierając sobie coś ciepłego z twarzy – że nie zrobiłaś tego na zewnątrz.

Gdy tylko zamknął za nimi drzwi, poczuł wnikającą do pomieszczenia uwagę Archaniola. Meble zaskrzypiały ze strachu.

– Nie – powiedział Kantor cicho. – Nie. Tylko nie to.

Archaniół otworzył go i wniknął do środka. Wdarł się do jego głowy, zajmując wszystko. Biorąc wszystko. Nie zostawiając nic prywatnego. Jego głos był ryczącym szeptem.

*Boją się ciebie. A kogo ty się boisz?*

Kantor leżał na podłodze, z ciałem wstrząsanym spazmami, z oczami szeroko rozwartymi i wpatrującymi się w przestrzeń. Obcy głos Archaniola w jego głowie był głosem lśniącej ciemności, absolutnie inteligentny, absolutnie zimny, jak polarne niebo o północy, wolne od chmur i poprzecinane żyłkami gwieźdznego blasku.

*Kogo się boisz?*

Archaniół dał mu odrobinę luzu, by mógł udzielić odpowiedzi.

– Ciebie – wyszeptał Kantor. – Boję się ciebie.

*Tracisz czas. Myśl jak pan, nie jak niewolnik. Słuchasz mnie?*

Kantor próbował coś powiedzieć, ale mięśnie twarzy miał sparaliżowane, a gardło blokował mu bezwładny kłoc języka. Próbował wyrzucić to coś, co rozrywało mu umysł i wślazło do środka. Przypominało to przebijanie się głową przez litą skałę.

*Musi być strach. Musi być wojna. Musi być śmierć. Wszystko jest słabe. Wszystko zadrży. Dam ci władzę nad tym światem. I nad innymi. Wieloma, wieloma innymi. A ty zrobisz dla mnie jedną rzecz. Jedną drobną rzecz.*

*Zniszczysz Pollandora.*

Na peronach Dworca Wielandzkiego, przykrytych szklanym dachem opartym na łukowatej konstrukcji, panował gwar jak w fabryce po zakończeniu zmiany. Przenikliwe gwizdy, krzyki, świst pary, stukot przetaczanych wagonów. Zapach gorącej oliwy, rozgrzanego metalu, stęchłego powietrza, kurzu. Szklany dach, brudny od sadzy, przepuszczał niewiele światła. Lamy kolejowe płonęły żółtym blaskiem. Płynącą z głośników *Uwerturę Tarsis* przerywały co jakiś czas wrzaskliwe zapowiedzi kolejowej spikerki.

Łom sam wyciągnął walizkę z wagonu bagażowego. Była to ciężka i niezgrabna podługowata waliza obciążona brązową skórą, z trzema paskami o mosiężnych sprzączkach i z mosiężnym zamkiem. Łom ubrał się ciepło, czapkę naciągnawszy ciasno na uszy, lecz na dworcu panowały gorąco i tłok. Gdy po zejściu z walizą szerokimi, niskimi marmurowymi schodami stanął w głównej hali, spływał potem i dzwoniło mu w uszach.

Pozwolił, by tłum rozstępował się wokół niego. Ochroniarze i portierzy wykrzykiwali nazwy miejsc docelowych. Stręczyli doróżkarzy i riksarzy. Obok, ciągnąc wózek, przemaszerował golem. Wszyscy tu byli umundurowani, nie tylko kolejarze, kierowcy, policjanci i gwardziści, lecz także studenci i odźwierni, i konsjerżki, i sprzedawcy, mamki, guwernantki, kurierzy i listonosze. Uniformów nie nosiły tylko bogate rodziny w podróży, robotnicy w poplamionych oliwą drelichach i urzędnicy w ciemnych wełnianych płaszczach. Łom rozczytał się za Raku Wiśnikiem. Nigdzie nie było go widać. Może telegram nie dotarł do niego? Może po czternastu – nie, piętnastu – latach Wiśnik przeczytał go i wyrzucił do kosza?

– Zrobić przejście!

Łom odsunął się. Nierówna kolumna żołnierzy maszerowała przez halę i w górę po schodach na perony. Ciągnął się za nimi zapach frontu: śledzi, tytoniu, błota, pleśni, wszy i rdzy. Na końcu szli ranni. Nazywano ich „ludźmi o złamanym twarzach”. Było to dosłowne określenie. Mężczyźni, którym brakowało kawałka głowy. Jeden stracił ucho i fragment czaszki. Inny nie miał górnej szczęki: między dolnymi zębami i karkiem ziała otchłań.

Na końcu kolumny dwóch szeregowców podtrzymywało trzeciego, który szedł między nimi, a raczej nie tyle szedł, co słał się. Drżał przy tym na całym ciele, jakby tańczył szalonego czardasza, jakby w ubranie wlaża mu armia mrówek. Miał twarz łagodną, książkową, twarz bibliotekarza lub nauczyciela. Z wyjątkiem oczu. Wpatrywał się w coś. Jego wzrok utkwiony był w jakieś niekończące się przeszłe zdarzenie, w wiecznej pętli powtórzeń, z której nie mógł się wydostać.

Łom poczuł skurcz żołądka. Wojna była daleko. Człowiek starał się o tym nie myśleć.

Weterani skrzesli, tłum zamknął się za nimi. Łom spojrzał na zegarek tylko po to, by odkryć, że ten się zatrzymał. Zapomniał nakręcić go w pociągu. Zegar dworcowy tkwił na szczycie kolumny pośrodku hali, z długą na półtora metra minutową wskazówką przemierzającą widocznymi skokami wielką poźółką tarczę. Dziesięć po szóstej. Spóźnił się do Krocha.

Trwało godzinę, zanim dotarł do położonej na drugim końcu miasta Łódki. Kiedy się tam wreszcie znalazł, oparł się o balustradę Mostu Jekatierińskiego i spojrzął przed siebie. Ogromny budynek wznosił się niby dziób wielkiego okrętu na tle ciemnoszkarłatnego nieba, nabrzmiałych, jaśniejących gwiazd, pchanych wiatrem poszarpanych obłoków. W powietrzu wisiał deszcz. Zmierzch przyniósł zapach miasta i morza, wytłumiając barwy i szczegóły, upraszczając formy. Łódka była wielką, szarą płytą. Jej boki zdawały się wyginać na zewnątrz. Łom czuł obecność anielskiego kamienia, którym była obłożona. Kamień wołał do pieczęci w jego głowie, a pieczęć wibrowała w odpowiedzi.

Łódka stała na wyspie, pomiędzy Kanałem Jekatierińskim z jednej strony a wodami Miru z drugiej. Budynek długi na sześćset metrów i wysoki na sto dwadzieścia miał kubaturę dziesięciu milionów metrów sześciennych i liczył dziesiątki tysięcy metrów kwadratowych gęsto połączonych biur, korytarzy i schodów, niczym kora kamiennego mózgu. Mówiono, że Łódkę zbudowano tak pośpiesznie, że na końcu okazało się, że do wielu pomieszczeń w ogóle nie prowadzą żadne drzwi. Puste kubiki powietrza zamknięte ścianami z kamienia. Korytarze znikąd donikąd. Z okien wysokich pięter spoglądać można było na puste, pozabawione wejść dziedzińce, najgłębsze sekrety Właści. W tysiącu okien płonęło bursztynowe światło. Za każdym z nich do późna pracowali ministrowie i urzędnicy, gryziopiórkowie, archiwiści i funkcjonariusze tajnej policji. W jednym z tych pokoi czekał na niego podsekretarz stanu w Ministerstwie Bezpieczeństwa, Kroch. Łom przeszedł przez most i zaczął się wspinać po schodach do wejścia.

W recepcji siedział osobisty asystent Krocha. Na biurku piętrzyły się akta, każda teczka oznaczona ręcznymi dopiskami i kolorowymi naklejkami. Spojrzął na Łoma beznamiętnie, gdy ten wszedł.

– Śledczy Łom, jesteście po czasie. Podsekretarz to człowiek bardzo zajęty.

– To proszę mnie od razu wpuścić.

– Miał pan przybyć przed szóstą.

– Posłano po mnie. Jestem.

– Pawle? – zawołał głos z gabinetu. – Czy to pan Łom? Przyślij mi go tu zaraz!

Gabinet był duży i pusty. Sam Kroch siedział na przeciwległym końcu za zwykłym drewnianym stołem w ośmiobocznej wnęcie flankowanej z nieosłoniętymi oknami. W świetle dnia dawały zapewne niemal pełną panoramę miasta, teraz jednak były czarne i odbijał się w nich jedynie Kroch w ośmiu ujęciach. Skóra jego twarzy była miękka i przetłuszczona, a oczy, skryte pod ciężkimi, na wpół przymkniętymi powiekami, zdradzały naturę kunktatora.

Łom czekał, aż Kroch mu się przyjrzy. Głowa bolała go tam, gdzie tkwiła anielska pieczęć. Tępy, pulsujący ból: dudnienie wewnętrznego tołumbasu.

– Jest pan albo idiotą, panie Łom, albo człowiekiem odważnym. Którym z tych dwojga?

– Nie po ściąganiu mnie do Mirgorodu, żeby teraz nazywać idiotą.

Kroch wydał na to dziwaczne, piskliwe parsknięcie. Był to śmiech. Ujął leżącą przed nim na biurku teczkę.

– Oto pańskie akta, Łom. Czytałem je. Był pan jednym z ludzi Sawinkowa. Nie spotyka się ich wielu. I jest pan utalentowany. Ale wciąż tylko śledczy. Bez awansu od... iluż to? Dziesięciu lat?

– Jedenastu.

– I trzy prośby o przeniesienie do Mirgorodu. Wszystkie odrzucone.

– Nie podano powodu. Nie mnie.

– Pańscy przełożeni w Podczornoku wspominają o kłopotach z dyscypliną. Czy to prawda?

Łom wzruszył ramionami.

– We Właści jest miejsce dla ludzi takich jak pan, śledczy Łom. Są możliwości. Dlatego znalazł się pan tutaj. Czy zrobi pan coś dla mnie? Wykona pewne bardzo specjalne zadanie?

– Musiałbym wiedzieć, o co chodzi.

Ból głowy nasilał się. Uderzał falami w miejsce, gdzie obsadzony był anielski kamień. Przed oczami latały mu kolorowe płyty. Kąty w pomieszczeniu zupełnie się nie zgadzały.

– Ostrożny z pana człowiek – rzekł Kroch. – To dobrze. Ostrożność to cenna zaleta. W określonych okolicznościach. Ale znaleźliśmy się w impasie, panie śledczy Łom. Nie mogę panu nic powiedzieć, dopóki nie będę wiedział, że jest pan po mojej stronie. I tylko po mojej. Tylko po mojej, Łom. – Kroch wyciągnął przed siebie ręce. Szczupłe dłonie, szczupłe palce, jasna, miękka, sucha skóra. – A zatem. Co dalej? Jak mamy się do tego zabrać?

– Miałem długą podróż, panie podsekretarzu. Sześć dni w pociągu. Jestem zmęczony i boli mnie głowa. Jeżeli ściągał mnie pan tutaj tylko po to, by nic mi nie powiedzieć, to równie dobrze może pan wyjaśnić, o co chodzi.

Kroch odetchnął. Ciche, ledwie słyszalne westchnienie.

– Zaczynam rozumieć, dlaczego niektórzy uważają pana za człowieka trudnego. Tym niemniej ma pan rację. Czy nazwisko Kantor, Józef Kantor, mówi coś panu?

– Nie.

Kroch rozsiadł się wygodniej, opierając głowę o czerwone skórzane oparcie fotela.

– Józef Kantor – zaczął – miał dziewiętnaście lat, gdy wybuchła Rebelia Birżeńska. Jego ojciec był prowodyrem: został stracony. Tutaj, w Łódce. Sam Józef też uczestniczył w buncie. Przemawiał przy oblężeniu Arsenалу i współtworzył tak zwaną Deklarację Birżeńską. Zna pan ten dokument, Łom?

– Słyszałem o nim.

– Świetnie napisany. Naprawdę świetnie. Powinno się go znać na pamięć. Trzeba rozumieć język wroga.

Kroch pochylił się ku przodowi.

– Wierzmy – zaczął, podnosząc głos. – Wierzmy, że Właść Jedynej Prawdy nie ma racji bytu w Łazarstwie, nigdy jej nie miała i nigdy nie może mieć. Władza Właści jest przeklęta na zawsze jako uzurpacja sprawiedliwych Rządów Ludu Łazarstwa i jako zbrodnia przeciwko ludzkiemu postępowi i postępowi Innych Racjonalnych Ludów. Złożymy ofiarę życia, by tego



dowieść. Niniejszym proklamujemy Naród Łazarski jako Lud Samorządny i Niezależny i przyrzekamy życie nasze i naszych towarzyszy broni sprawie jego wolności, postępu i zapewnieniu mu godnego miejsca pośród Wolnych Ludów Kontynentu.

Kroch przerwał. Łom milczał.

– Piękne słowa, Łom, piękne. Kantora oczywiście aresztowano, ale – tego nie potrafię wyjaśnić, akta są tutaj mętne – wyrok zmniejszono mu do trzech lat zesłania. Do pańskiej prowincji, panie śledczy. Tam mógł odsiedzieć swoje w jakim takim spokoju i wrócić do miasta, ale nie. Uparcie próbował uciekać. Zabił strażnika. Dostał za to dwadzieścia lat kolonii karnej w Wigu. Rzadko kto przeżywa taki wyrok, ale on przeżył. A potem, rok temu, znowu z niejasnych powodów, został zwyczajnie wypuszczony. Wrócił do Mirgorodu i straciliśmy go z oczu. Mniej więcej w tym samym czasie – ciągnął Kroch – w mieście pojawił się nowy rodzaj terroru. Oczywiście mamy naszych anarchistów. Nihilistów. Nacjonalistów. Zawsze panuje pewien nieredukowalny poziom przemocy. Ale to miało nowe, nieznane wcześniej poczucie celu. Zuchwałość. Niszczycielskość. Okrucieństwo. Było oczywiście, że pojawił się nowy przywódca. Mielśmy nazwiska, wiele nazwisk: w końcu odkryliśmy, że wszystkie prowadzą do jednego człowieka.

– Kantor.

– Zaiste. Tylko w tym miesiącu odpowiedzialny jest za zabójstwo komisarza Halonena, bunt w Dokach i – zaledwie w zeszłym tygodniu – napad na konwój Banku Handlu Zagranicznego. Ukradli trzydzieści milionów rubli. Wyobraża pan sobie, co człowiek taki jak Kantor może osiągnąć, mając do dyspozycji sumę trzydziestu milionów rubli?

– O napadzie na konwój czytałem w gazecie – rzekł Łom. – Ale dlaczego mi pan o tym opowiada?

Kroch machnął tylko ręką.

– Od roku ścigam Kantora – powiedział. – Od roku, Łom! Ale wciąż nie mogę go dopaść. Dlaczego?

– Domyślam się, że ma przyjaciół.

Kroch przyjrzał mu się uważnie. Błysk uznania.

– Właśnie. Tak. Bystryś pan. To dobrze. Nie mogę dopaść Kantora, ponieważ jest chroniony. Przez ludzi Właści, tutaj, w samej Łódce.

– W porządku – odparł Łom. – Ale dlaczego? Dlaczego mieliby to robić?

– Domyślam się – rzekł Kroch – że nawet w Podczornoku macie jaką taką orientację w sytuacji międzynarodowej. Zdajecie sobie na przykład sprawę, że przegrywamy wojnę z Archipelagiem?

– Wiem tylko tyle, ile napiszą w gazetach. W zeszłym tygodniu odzyskaliśmy Sewę.

– I straciliśmy ją ponownie następnego dnia. Właść nie jest w stanie ciągnąć tej wojny przez kolejny rok. Nasza pozycja finansowa jest słaba. Żołnierze odmawiają walki. Archipelag zaproponował warunki pokoju i... – Kroch urwał. – To są informacje niejawne, rozumiecie, Łom?

– Oczywiście.

– Przywódca ma wkrótce rozpocząć negocjacje. Honorowy pokój, Łom. Koniec wojny.

– Rozumiem.

- A jednak są elementy w Mirgorodzie... we Właści... elementy, dla których idea negocjacji jest nie do przyjęcia. Są tacy, którzy mówią, że wojna wcale nie powinna się kończyć. Nigdy. Wojna o nieograniczonym celu strategicznym! Walka nie przeciwko ludziom jak my, lecz przeciwko naszej antytezie. Przeciwko Wielkiemu Wrogowi.

- Ale...

- Ci ludzie to szaleńcy, Łom. Ich cele są absurdalne. Absolutna i totalna wojna to cel absurdalny. Wyczerpanie i śmierć. Ruina dla zwycięzców i dla przegranych. Pan to widzi, jest pan człowiekiem inteligentnym. Przywódca też to rozumie, chociaż wielu wokół niego nie. Nie możemy pozwolić, by negocjacje się załamały. Nie będzie drugiej szansy.

- Z pewnością są to sprawy dla dyplomatów. Nie rozumiem...

- Wrogowie Przywódcy są zdecydowani go obalić. Użyją wszelkich możliwych środków i pójdą na współpracę z każdym – każdym – by tego dokonać.

- Włącznie z Józefem Kantorem?

- Dokładnie tak. Kantor to jednoosobowa armia, Łom. Jego działania powodują chaos. Sieje strach i nieufność. Ludzie tracą wiarę. Przywódca nie jest w stanie nad tym zapanować. Ja nie jestem. Nikt z nas. Służby robią się niespokojne. Ludzie już szepczą przeciwko nam. Przeciwko Przywódcy. Co oczywiście oznacza sposobność dla tych, którzy pragną zająć jego miejsce. Zbiera się na przewrót. To nie jest przypadek. Istnieje plan. Istnieje spisek.

- Rozumiem.

- Kantor to zawlecza. Kantor to król terroru. Obalisz jego, a zawali się cała struktura. Obalisz go, a Przywódca będzie bezpieczny.

- Rozumiem. Ale... dlaczego mówi mi pan to wszystko? Co to ma wspólnego ze mną?

- Chcę, żeby dopadł pan Kantora, Łom. Dopadł go dla mnie.

- Ale... dlaczego ja? Nie znam Mirgorodu, nikogo tutaj. Pan ma cały wydział policji... żandarmerię... trzecią sekcję... gwardię...

- To właśnie z powodu tych dyskwalifikacji potrzebuję pana. I nikogo więcej. Dlaczego mam pańskie akta, Łom? Co takiego zwróciło moją uwagę?

- Nie mam pojęcia.

Kroch sięgnął po teczkę.

- Jest tu dość skarg, by z miejsca wysłać pana do Wigu. Poważnych zarzutów. Ja oczywiście przejrzałem to na wylot. Insynuacje i fałszywe oskarżenia. Widzę, czym są powodowane. Nie boi się pan robić sobie wrogów, a ich to wkurza. Dlatego właśnie pana potrzebuję, Łom. Otaczają mnie nieprzyjaciele Przywódcy. Wiem, że tu są, ale nie wiem, kim są. Nikomu nie mogę ufać. Nikomu. Oprócz pana, Łom. Spójrzmy... – Kroch zaczął wyliczać na palcach. – Dobry detektyw. Lojalny wobec Właści. Nieskorumpowany. Niezależny. Odważny. Zapewne niegłupi. Nie zna nikogo w mieście. Jego też nikt nie zna. Widzi pan, do czego zmierzam?

- Cóż, tak... – rzekł Łom.

- Oczywiście zapewne się panu nie uda – powiedział Kroch. – Ale kto wie. Niech pan znajdzie Kantora i powstrzyma go. Wszelkimi możliwymi środkami. Wszelkimi. I co więcej, niech się pan dowie, kto nim kieruje. Ktoś tutaj pociąga za sznurki. Niech się pan dowie kto.

Niech się pan dowie, co te sukinsyny planują, a kiedy już będzie pan to wiedział, Łom, niech pan przyjdzie z tym do mnie. Tylko do mnie. Jasne?

– Tak.

– Będzie pan zdany na siebie – rzekł Kroch. – Żadnego wsparcia z zewnątrz. Żadnej pomocy. To pańska szansa, Łom, jeżeli jest pan gotów ją wykorzystać.

Józef Kantor czytał przy biurku. Okno w pokoju było otwarte. Lubił, jak zmrok wyostrza dźwięki i zapachy portu. Lubił wpuszczając je do środka. Nie potrzebował lampy: światło lamp łukowych i blask isker tańczyły na kartach książki. Nie znał lepszego światła do czytania. Światło ludzi pracy. Światło przyszłości.

Usłyszał odgłos kroków na mokrym asfalcie, potem wspinanie się po żelaznych schodach. Jedna osoba. Zapewne kobieta. Czekał w ciemności przed drzwiami z rewolwerem w garści. Wybrał takie miejsce, by ona była w świetle, a on nie.

– Kim jesteś? – spytał.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie chciałam tu przychodzić, ale nie miałam wyboru.

Ulicą szła grupa robotników, którzy właśnie skończyli zmianę. Rozmawiali głośno. Ze zdziwieniem spojrzeli na kobietę na schodach. Nie widywało się tu takich po zmroku. Zapamiętają. Kantor nie potrzebował tego rodzaju zainteresowania.

– Niech pani wejdzie – powiedział.

Wszedł za nią do środka i zapalił lampę. Zobaczył, że jest młoda – po dwudziestce zapewne – i chuda. Dłonie miała szorstkie i czerwone od fizycznej pracy, kościste przeguby odcinały się na tle ciemnych mankietów, lecz twarz była żywa i inteligentna. Gęste czarne włosy, przycięte krótko z tyłu, spadały na czoło mokrymi kosmykami. Wcześniej padało, choć teraz deszcz ustał. Płaszczyk miała cienki, lichej, stanowiący słabą ochronę przed pogodą, lecz wszedłszy prosto z dworu, przyniosła ze sobą podmuch innego powietrza, nie stoczni i portu, lecz świeżej ziemi i wilgotnych liści. Patrzyła mu w oczy bez wahania: tęczęwki miała ciemne, lecz jej oczy patrzyły jasno.

Miała coś w sobie. Coś, co go niepokoiło. Coś, co niemal rozpoznawał, chociaż nie mógł sobie uświadomić, co to jest.

– To pomyłka – powiedział. – Nie ta osoba. Nie to miejsce.

– Nie. Ty jesteś Józef Kantor.

Kantor nie lubił, gdy nieznanymi wymawiali jego nazwisko.

– Mówiłem już. To pomyłka – odparł. – Myli mnie pani z kimś innym.

– Proszę – powiedziała. – To ważne. Nie odejdę, dopóki nie porozmawiamy. Jesteś mi to winien.

Zdjęła płaszcz, przerzuciła go przez krzesło i usiadła. Miała na sobie dziergany sweter z ciemnozielonej wełny. Powaga i prostota. Szyję miała odkrytą, a piersi małe. Kantor był zaintrygowany.

– Skoro nie chce pani odejść – rzekł – proszę mi powiedzieć, kim pani jest.

– Jestem twoją córką.

Spojrzał na nią tępo. Chociaż raz był zaskoczony. Szczerze zaskoczony.

– Nie mam córki – powiedział.

– Ależ tak. To ja. Jestem Marusia Szaumian.

Trwało chwilę, zanim Kantor doszedł do siebie. Nie spodziewał się tego, ale powinien był, oczywiście, że tak. Wiedział, że istnieje dziecko, dziecko Fejgi-Ity Szaumian, tej przestraszonej kobiety, którą poślubił wiele lat temu, przed Wigiem, przed wszystkim. Tamten związek był błędem młodości; jeszcze większym błędem, jak właśnie zdał sobie sprawę, było to, że pozwolił im żyć. Przyjrzał się młodej kobiecie uważniej.

– Czyli to ty jesteś tą dziewczyną – zaczęła. – Jak mnie znalazłaś?

– Jakow Pietrow powiedział mi, gdzie cię znajduję.

– Pietrow? Ten malarz? Powinnaś staranniej dobierać znajomych.

– Nie przysłałam tu rozmawiać o moich znajomych.

– Nie? – rzekł Kantor. – Więc co to ma być? Rodzinna pogawędka? Nie interesują mnie sprawy rodzinne.

Marusia wsunęła dłoń do kieszeni swetra i wydobyła niewielki przedmiot. Pokazała mu go. Przypominał ptasie gniazdko: maleńki, nieregularny kłębuszek ulepiony z gałązek, listków, kostek zwierzęcych i wysuszonych jagód. Zdawał się posklejany kuleczkami żółtawej, przypominającej wosk substancji i dodatkowo wzmocniony zasupłanymi źdźbłami trawy. – Chcę, żebyś mi powiedział, co to jest.

Kantor wziął rzecz do ręki i gdy tylko to zrobił, miał wrażenie, że pomieszczenie uległo deformacji, stało się jednocześnie za małe i za duże, nie trzymało kątów, a podłoga uciekała mu spod nóg. W powietrzu rozniósł się aromat żywicznego drzewa i wilgotnej ziemi. Zapach lasu. Kantor czuł ją od ponad dwudziestu lat. Zapomniał już, jak bardzo jej nienawidzi. Zdusił uczucie mdości w gardle i poruszył się, by wrzucić przedmiot do ognia.

– Nie! – Marusia wyrwała mu kulkę z ręki. – Wiesz, co to jest? Wiesz, co oznacza?

– Nie – odparł. – Skąd to masz?

– Matka je ma. Ukradłam jej. Nie wiem, skąd je bierze, sądzę jednak, że pochodzą z lasu albo mają z nim jakiś związek.

– Ten błotnisty, gnijący, chaotyczny świat pod drzewami nigdy nie zrodził nic użytecznego. To wszystko bzdury. Same bzdury.

– A ja myślę, że ta rzecz ma znaczenie.

– To zapytaj matkę, co to jest.

– Nie może mi powiedzieć.

– Dlaczego?

– Naprawdę nie wiesz? Nic o nas nie wiesz? Mogłeś się dowiedzieć, gdybyś chciał.

Miała rację. Mógł przedsięwziąć kroki. Rozważał to, gdy był w Wigiu, po tym, jak Fejga-Ita Szaumian opuściła go, i później. Ale to oznaczałoby zadawanie pytań. Przekonał sam siebie, że lepiej nie dzielić z nikim wiedzy o ich istnieniu. To było głupie. Dzisiaj to wiedział. Dzisiaj było to oczywiste.

– Matka nie czuje się dobrze – mówiła dziewczyna. – Od lat. Mówię o stanie jej umysłu. Cierpi na lęki. Boi się, że dzieje się coś złego i że jest śledzona. Inwigilowana. Nigdy nie wychodzi na dwór i nieustannie mamrocze pod nosem o drzewach. Te rzeczy pojawiają się u nas od miesięcy. Widziałam trzy albo cztery, ale myślę, że było ich więcej. Rozrywa je i

wyrzuca. Milczy na ich temat, ale nieustannie wraca do czegoś, co wydarzyło się w Wigu. Co wydarzyło się, gdy poszła w las.

– Powinnaś zapomnieć o tym wszystkim – rzekł Kantor. – Zapomnieć o przeszłości. Odciąć się. Porzucić nostalgię za tym, co było. Za leśnymi krasnalami i czarownicami. To bajki, nie można w nie wierzyć. Ich czas minął.

– To nie bajki. To prawda. To wszystko tutaj jest. Tu, w mieście. Nadbudowano je na starym świecie, ale on nie zniknął. – Wyciągnęła przed siebie kulkę. – Te kulki są prawdziwe. I ważne. Pochodzą z lasu i matka ma coś zrozumieć, ale nie może. Dawno temu przeżyła coś w lesie. I... – zawahała się – wciąż mówi o Pollandorze. Musisz mi powiedzieć, co się wtedy wydarzyło. Musisz mi powiedzieć o Pollandorze.

Po raz drugi Kantor był szczerze zaskoczony. Czegokolwiek się spodziewał po tej rozmowie, to nie było to.

– Pollandor? – powtórzył. – On nie istnieje.

– Nie wierzę. Musisz mi o nim opowiedzieć. I o mojej matce. Co przydarzyło jej się w lesie? To wszystko jest powiązane. Chcę zrozumieć. Mam prawo wiedzieć. Jesteś moim ojcem. Musisz mi powiedzieć.

Kantor nagle poczuł, że ma dość gier. Czas to zakończyć. Tę grę pozorów. Otworzyć jej oczy. Sprawić, żeby przejrzała. Skonfrontować z prawdą.

– Nie jestem twoim ojcem – powiedział.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Co takiego? Co masz na myśli? Ależ tak, jesteś.

– Tak zapewne powiedziała ci matka, ale kłamała. Oczywiście, że kłamała. Zawsze to robiła. Jakże mógłbym być twoim ojcem? One nie... twoja matka nie... Odmawiała mi. Miesiącami. Przed tym, jak zaszła w ciążę. Poszła w las. Ciągle tam chodziła. A potem porzuciła mnie i wróciła do Mirgorodu. Nie jesteś moim dzieckiem. Nie jestem twoim ojcem. Nie mógłbym nim być.

Na jej twarzy odmalował się szok.

– Nie wierzę ci – powiedziała. – Kłamiesz.

Ale widział, że mu wierzy.

– Jakie to właściwie ma znaczenie? – zapytał. – Co to za różnica?

– Ma znaczenie – odparła. – Dla mnie ma.

– Masz nadzieję, że tatuś cię przytuli? A zatem zapytaj matkę, kim on jest. Jeżeli jesteś w stanie dojść do ładu z tą starą suką.

Dziewczyna gapiała się na niego. Jej twarz nagle zbladła i stwardniała niczym maska. Aha. Nie poprosi go więcej o pomoc.

– Ty sukinsynu – powiedziała cicho. – Ty sukinsynu.

– Jeżeli już, to ty tu jesteś bękarcicą. Bękarcicą leśnej kurwy.

– Pierdol się.

Gdy odeszła, Kantor zgasił światło i siedział długo, rozmyślając. Wizyta dziewczyny

ożywiła dawne wspomnienia. Wig. Skraj lasu. Pollandor. Sądził, że wyplenił już je wszystkie. Zabił i zapomniał. Ale zaledwie je wyparł. A wyparte zawsze powraca. Tak powiedziała.

Już dawno temu powinien był zrobić coś z młodą Szaumian; to, że tego nie uczynił, oznaczało, że jest w nim słabość, z której nie zdawał sobie sprawy, a taka słabość była niebezpieczna. Poza tym dziewczyna stanowiła zagrożenie samo w sobie. Miała bliski związek z lasem i była zaskakująco silna. Zmusiła go do okazania słabości. Musi coś zrobić: wreszcie to sobie uświadomił. Musi zakończyć to teraz. Był rad, że przyszła: obnażenie własnej słabości było pierwszym krokiem do stania się silniejszym. W jego dialektyce lęku i śmierci liczyła się tylko przyszłość. Tylko przyszłość była stawką.

Marusia Szaumian zostawiła za sobą nocny rozgardiasz portu i szła pozbawionymi wyrazu ulicami pośród kamienic i niewielkich hurtowni. Drżała. Potrzebowała usiąść i pomyśleć, ale nie była w stanie. Zbyt wielkie było jej wzburzenie. Szła, chcąc doznać zmęczenia. Nie chcąc wracać do domu. Ledwie zauważając, dokąd idzie.

Padał deszcz i zbierało się na więcej. Od wschodu nadciągały niskie, ciemne chmury, lecz ponad nimi połyskiwały gwiazdy. Nie wiedziała, która godzina. Było późno.

Dotarła wreszcie do Wału Stołypina: rząd latarń wzdłuż murku podtrzymywanych przez morświny z brązu. Bruk lśniący w ich świetle. Za murkiem wyczuwała raczej, niż dostrzegała powolny nurt Miru, barki i spóźnione wodne taksówki wciąż jeszcze kursujące po czarnych wodach. Długie, przerywane odbicia ich światel pozycyjnych sączyły się ku niej, a rozmowy marynarzy niosły się po wodzie, intymne i ciche. Nie potrafiła rozróżnić słów: jakby rozmawiali w innym języku. Żandarm przyglądał jej się ze swej budki, ale zignorowała go i usiadła na ławce, patrząc na ciemny, szeroko rozlany nurt, na przepływ, masę, spokój w ruchu. Wyciągnęła z kieszeni leśne zawiniątko i przysunęła do twarzy, wdychając dziwny ziemny aromat. Napełniając nim płuca.

I wtedy to się stało, tak jak niejedyn raz wcześniej.

Drzenie przebiegło po czarnym podbrzuszu chmur, niczym szkwał po powierzchni jeziora, a po budynkach nocnego miasta przeszły ciarki; śpiąca metropolia uchyliła oka, zaniepokojona, niepewna. Marusia czekała, nasłuchując. Nic więcej się nie wydarzyło. Nic się nie zmieniło. Brzemienne deszczem chmury zmieniły kształt. A potem nagle kamienno-żelazna solidność Mirgorodu załamała się w jednym mgnieniu oka. Mrok i plusk wody oddzielił się od rzeki i uniośł w górę, wypełniając powietrze, i wszystko się zmieniło. Noc zgęstniała od wyciekających możliwości. Miękkich ewaporacji. Fragmentów i przeczuć innego możliwego życia, ciągnących znad wody nad brudnymi trotuarami. Nadziei, niczym księżycowe duchy, ulatniających się z bruku.

Barki, nabrzmiałe i intensywnie pachnące, zanurzyły rufy i podniosły dzioby, otwierając usta, jakby chciały przemówić, wypuściły jednak tylko lśniący żółto oddech. Morświny cisnęły spotniałe od wilgoci, płonące złotem szklane kule latarń w niebo. Kostki brukowe rozpostarły płatki niczym salwy błękitnego gromu. Gwiazdy były wielkimi i lśniącymi owocami o czarnogranatowej barwie. Żandarm w budce miał trzy metry wzrostu, a jego twarz, skóra i włosy emanowały wieloma woniami i czarnym blaskiem.

Wszystko, co ciemne, świeciło swym wewnętrznym światłem, i nic nie było niczym więcej ponad to, czym było. Marusia czuła tę żywą obfitość, którą utkane były rozpościerające się na niebie jaskrawe konstelacje świadomości. Spojrzała na swoje dłonie. Były zrobione z ciemnych, mokrych liści. A potem chmury zamknęły się nad gwiazdami i z nieba zaczęły padać duże, powolne krople deszczu, i Mirgorod uspokoił się wokół niej, tak jak zawsze to robił.



Była późna noc, gdy Łom wyszedł od Krocha. Ulice były wymarłe. Biurowce ciemne, zaryglowane. Wiatr ciskał mu w twarz śruciny deszczu. Deszczówka z pluskiem tryskała z rynien i przepelnionych rynsztoków, zalewając chodniki. Raz na jakiś czas mijała go prywatna karetka, w zaciągniętych roletach na zamkniętych oknach.

W walizce miał teczkę wycinków prasowych na temat ataków przypisywanych Kantorowi i jego ludziom oraz jedno zdjęcie, stare i kiepskiej jakości, przedstawiające samego Kantora, zrobione niemal dwadzieścia lat wcześniej, gdy jechał na zsyłkę do Wigu. Łom miał teraz misję. Prawdziwą robotę do wykonania. Wreszcie. Mirgorod rozciągał się wokół, szemrząc cicho w mroku deszczu i nocy. Milion ludzi, a gdzieś pośród nich Józef Kantor. A za nim ludzie cienia. Wewnętrzna trucizna. Ból głowy definitywnie minął, ale pozostawił po sobie głód. Potrzebował coś zjeść. Potrzebował się gdzieś zatrzymać. Potrzebował punktu zaczepienia. Jakiegoś otwarcia. Żałował, że nie zapytał Krocha o pieniądze.

W kieszeni miał adres Raku Wiśnika: mieszkanie gdzieś w Dzielnicy Admiralicyjnej. Miał słabe pojęcie, gdzie to jest – gdzieś na północy, na drugim brzegu Miru. Nie więcej niż parę mil. Nie stać go było na hotel, nie chciał nawet wydawać na dorożkę, zakładając oczywiście, że jakąś znajdzie. Pójdzie do Raku. Pod warunkiem, że ten wciąż tam mieszka. Zapiął płaszcz po samą szyję i ruszył w drogę. Deszcz przybrał na sile i wlewał mu się za kołnier. Łom zgarbił się i szedł dalej.

Hipnotyczny rytm marszu. Bębnienie deszczu o bruk. Idąc, rozmyślał o mieście. Mirgorod. Nigdy wcześniej tu nie był, choć całe życie o tym marzył. Wielka stolica, miasto Założyciela, serce Właści. Marzenie o Mirgorodzie zagościło w jego wyobraźni, gdy był jeszcze dzieckiem, na długo przed myślą o tym, by wstąpić do policji. Pamiętał tę chwilę. Wspomnienia parowały z mokrych ulic. Był znowu w Podczornoku, w Instytucie Prawdy. Siedmio-, może ośmioletni. Kolejny dzień padało, a on siedział w bibliotece i wyglądał przez okno. Lubił tu być: mieli tu głęboko wcięte wysokie okna, z parapetami na tyle szerokimi, że można było na nich przykucnąć. Chociaż był dzień, zaciągnął zasłonę i znalazł się sam: z jednej strony ciężka kurtyna, z drugiej szyba okienna i deszcz spływający po niej strużkami. Za oknem skraj lasu: nie puszczy, lecz zwyczajnego lasu, pociemniałego od deszczu, bezlistnego pod niskim szarym niebem. I on, czytający w bladym świetle dnia.

Pamiętał nawet, co wtedy czytał: *Życie Założyciela. Wersja dla dzieci i młodzieży*. Rozdział o założeniu Mirgorodu. Ilustracja przedstawiała Przywódcę na koniu, otoczonego świtą na pomniejszych rumakach. Zatrzymali się na niskim wzgórku otoczonym przez płaskie, puste rozlewiska, i Przywódca wbił miecz w bagno.

– Tu! – zawołał. – Tu stanie nasze miasto.

Była to szaleńcza lokalizacja. Grunt był miękki i grząski, usiany niewielkimi skałkami niby wyspami pośród traw, zarośniętych trzciną oczek wodnych i zapadającego się pod nogami jedwabiście gładkiego błota. Żadnych osad ludzkich w promieniu dwustu kilometrów. Żadnej drogi. Bezpiecznej przystani. Nic. A jednak tutaj, powiedział Przywódca, który widział to, czego jego doradcy, dyplomaci i żołnierze nie potrafili dostrzec. Widział, że wielka

rzeka Mir uchodzi do oceanu. Widział, że dzięki głębokim jeziorom i innym rzekom oferuje dogodny dostęp do kontynentu rozciągającego się na wschodzie. Widział, że na zachód leżą wielkie oceany. Tylko Założyciel potrafił zobaczyć, że to samotne miejsce nie jest końcem świata, lecz oknem na świat.

– Nie możemy zbudować miasta w tym okropnym miejscu! – zakrzyknęli członkowie świąty, brodząc po kolana w błocie. Ich konie wierzgały i potykały się co chwila.

– Tak – odparł Założyciel. – Możemy. I zrobimy to.

– Hej, ty!

Łom mijał właśnie niewielki sklepik, wciąż otwarty mimo późnej pory. Ze środka chwiejnym krokiem wyłonił się mężczyzna.

– Hej, ty. Chodź napić się z nami.

Łom zignorował go.

– Czekał. To mój płaszcz. Oddawaj go, sukinsynu, ukradłeś mi płaszcz.

Łom namacał pałkę. Kawał twardej gumy w jedwabnym pokrowcu spoczywał w specjalnej kieszeni wszytej w rękaw koszuli przy mankiecie. Rozpiął guzik, który sprawił, że pałka wsunęła mu się w dłoń, i się odwrócił.

– Lepiej wracaj do środka – powiedział.

Mężczyzna spostrzegł pałkę. Wbił wzrok w Łoma, chwiejąc się lekko.

– Ech, kij ci w oko – powiedział i wycofał się.

Łom szedł dalej, zagłębiając się w miasto. Miasto Kantora. Ale również jego miasto: takim je uczyni. Był myśliwym, prawdziwym, nieustraszonym gliną. Minął bar, ale ten był zamknięty, ciemny. Nazwa wypisana była na szybie łuszczącymi się złotymi literami. Uspieński Anioł. Kiedy pod koniec rządów Przywódcy pierwszy umierający anioł spadł z nieba prosto do Uspieńskiego Błota, uznano to za potwierdzenie i uświęcenie dzieła wielkiego lidera. W ciągu kolejnych stuleci za pomocą kamienia z członków anioła zabezpieczono fasadę Łódki i innych wielkich budowli i wzniesiono mury miejskie, ale tors pozostawiono na miejscu, widoczny dla każdego przybywającego do miasta. W książce o życiu Założyciela było zdjęcie upadłego anioła, a obok uproszczona mapa zatytułowana *Mirgorod dzisiaj*, pokazująca pajęczynę ulic i kanałów, niczym ciemną, rozrastającą się sieć. Łom pamiętał, jak wtedy w bibliotece wpatrywał się w mapę i zdjęcie anioła. Obudziły w nim dziwne, trudne do nazwania tęsknoty. Poczucie możliwości. Celu. Przygód, jakie mogło zaoferować życie.

I wtedy przypomniał sobie...

...po raz pierwszy...

...zapomniał... na ćwierć wieku...

...jak czytał książkę, zachłannie wpatrując się w ilustracje...

...przypomniał sobie...

...dłoń odsuwając zasłone bibliotecznego okna i wyrastającą przed nim przepełnioną nienawiścią twarz o kwaśnym oddechu, okrutną dłoń wyrrywającą mu książkę z ręki i skrzeczący głos:

– To tu się schowałeś, złośliwy gówniarzu! Mam cię, paskudniku!

Poczuł, jak dłoń niby szpon chwytą go za kark, a potem zrzuca z siedziska na oknie. I przypomniał sobie lądowanie na twardej biblioteczej podłodze.

Łom zatrzymał się na środku ulicy, łapiąc oddech, pozwalając, by deszcz spływał mu po twarzy. Wspomnienie tamtej chwili wstrząsnęło nim. Tak głęboko je zepchnął. Zapomniał. Rana z innego świata, nic nieznacząca dla twardego gliny, którym się stał. Odłóż to na bok, powiedział sobie, pomyślisz o tym kiedy indziej. Być może. Teraz, i to zaraz, musiał schować się gdzieś przed deszczem i nocą. Był ciekaw, czy się zgubił. Nigdzie żadnych drogowskazów. Stracił poczucie kierunku na pustych ulicach. Głupio zrobił, nie łapiąc drożki.

Wiało i deszcz zaczął. Spływał z dachów, wpadał do rynien i z bulgotem zniknął w studzienkach. Zbierał się w rynsztokach i odpływach, tworząc kałuże i rozlewiska czekające spokojnie, aż ktoś w nie wpadnie. Nasiąkało nim stare drewno, porowaty kamień i odkryta ziemia. Przeglądał się w lustrach kałuż. W szarpanym wiatrem powietrzu było aż gęsto od stad deszczu: deszczowych wróbli i deszczowych gołębi, wron deszczu. Deszczowe szczury przebiegały po chodniku, a deszczowe psy czały się w mroku. Każda tafla i każda kropla, każda kałuża i bajoro, i plusk, i gulgot, każdy chlust i bryzg niesionej wiatrem wody był żywy. Deszcz przyglądał mu się.

Od czasu przybycia pierwszych budowniczych deszcz sączył się przez szczeliny i otwory w pancerzu chitynowego miasta, wciskając się pod dachówki i olowianą blachę, przeciekając między płytami chodnikowymi i kostkami bruku, zbierając się w piwnicach, zalewając fundamenty, przesączając się pod ulicami do ziemi. Każdy opad rozpuszczał nieskończenie cienką warstwę mirgorodzkiego kamienia, uwalniał sole mineralne z zaprawy, niedostrzegalnie wygładzał ostre kąty, zaokrąglął narożniki i erodował żłobienia ścian i przypór. Deszcz wciskał się między mur i zwieńczenie, działając jak dźwignia. Stopniowo, wiek za wiekiem, rozpuszczał miasto.

Teraz jego krople ściekały Łomowi po twarzy, smakując go. Deszcz spływał fałdami jego skóry i zbierał się za uszami. Płuskał o płatek anielskiego kamienia w jego czaszce. Smakował anioła, smakował policjanta, spływając po twardych aksjomatach Właści i prawa, zabetonowanych anielskim ciałem. Podczas gdy Łom szedł, nieświadomy otoczenia, pogrążony we wspomnieniach, deszcz odciągał go jeszcze bardziej i bardziej od zaludnionych ulic, ku miejscom starszym, mniejszym, bardziej dżdżystym.

Wspomnienie trafiło go niczym pięść w brzuch.

Jakże mógł o niej zapomnieć? Zepchnąć ją tak głęboko w niepamięć? Nigdy o niej nie pomyśleć? Nigdy. Nigdy. Aż do teraz.

Chwyciła go za kark i zaprowadziła do gabinetu dyrektora.

– Proszę bardzo! – syknęła. – Mówiłam panu! On jest zepsuty. Zły. W ogóle nie powinien zostać przyjęty. Tak uważałam.

W rogu pomieszczenia płonął ogień w kominku. Odebrała mu coś, coś ważnego, i teraz podeszła do ognia, by starannie to tam umieścić.

– Nie! – krzyknął rozpaczliwie. – Nie!

Przyskoczył do ognia i zaczął rozzgaśniać płonące polana. Pamiętał ją, wrzeszczącą niby zwierzę, uderzającą go w tył głowy, i wtedy... coś się wydarzyło. Ale co? Nie pamiętał. Stał przed drzwiami, których nie mógł otworzyć, a za nimi czaiło się coś strasznego. Co takiego zrobił? Czuł się zawstydzony i winny, ale za nic nie mógł sobie przypomnieć, o co chodziło.

Wiedział jednak, że nazajutrz rozcięto mu głowę i wsadzono do środka kawałek anielskiej skały, i to uczyniło go dobrym.

Łom postawił walizkę na ziemi i wytarł moką twarz. Szedł wąską ulicą pomiędzy świętymi niegdyś budynkami, zamienionymi teraz w obrośnięte dobudówkami kamienice. Między rzadko rozsianymi latarniami rozpościerały się czeluście mroku i deszczu. Mirgorod schował się przed deszczem, a on, Łom, czuł, jak przemoczone ubranie oblepia mu skórę, obrasta niczym pleśń, opatulając go ciepłem jego własnego ciała. Szum deszczu pogłębiał wrażenie izolacji. Gapiły się na niego czarne wyloty ulic. Mijał połamane drewniane płoty zagradzające dostęp do połaci ugorów. Niewielkie drzwi wybite w wysokich ceglanych murach.

Zdawało mu się, że coś spostrzegł, jakiś kształt wycofujący się szybko w ciemność. Na wszelki wypadek namacał pałkę spoczywającą w rękawie.

Doszedł do skraju wielkiego brukowanego placu, którego przeciwległego krańca prawie nie było widać w nocnym deszczu. Pośrodku placu stała latarnia, a pod nią niewielka budka. Przy budce stały w deszczu dwa konie z łbami zwróconymi w jego stronę. I kryta dorożka. Ruszył prędko w jej stronę, ale nie przeszedł jeszcze połowy dystansu, kiedy woźnica wyłonił się z budki i wgramolił na kozioł.

– Ej! – wrzasnął Łom. – Ej! Stać!

Zaczął biec, niezgrabnie, spowalniany przez siekący mu prosto w twarz marznący deszcz, przemoczone ubranie i walizę. Bez szans. Patrzył, jak dorożka odjeżdża w mrok.

– Psiakrew.

Deszcz padał teraz intensywniej i był zimniejszy. Kłut go w twarz i przyciskał do ziemi niczym wielki ciężar. W pewnym momencie, gnany wiatrem, wykonał przed nim piruet i ujawnił się w postaci deszczu-rzeczy, deszczu-istoty – i to rodzaju żeńskiego – wyższej od człowieka, stwardniałej kolumny deszczu i powietrza.

A potem deszcz go zaatakował.

Łom obrócił się i spróbował osłonić, ale deszcz już tam był. Zamachnął się i chlasnął go. Pięść deszczu. Twardy smecz wiatru znad morza, wypełniony deszczem. Piękący cios deszczu prosto w twarz. Upadł na ziemię, czując smak deszczu i krwi w ustach. Deszcz zamienił się w gigantyczną stopę, która nadepnęła go, wgniatając twarzą w bruk, pozbawiając oddechu.

Jego życie było w niebezpieczeństwie.

Podniósł się i próbował zerwać do biegu, ślizgając się i potykając na mokrym bruku. Uciekał jednak ku swemu prześladowcy, nie od niego. Deszcz osaczył go, czekając na niego, gdziekolwiek Łom się zwrócił, ciskając mu śruciny kropel prosto w twarz. Łom osłonił oczy dłonią. Budka dorożkarzy była tuż przed nim. Podszedł do niej z trudem i pchnął drzwi. Nie

drgnęły. Próbował naprzeć ramieniem, ale deszcz podciął go i Łom runął na ziemię, uderzając głową o bruk. Kiedy doszedł do siebie, twarz deszczu była naprzeciw jego własnej. Poczuł, jak woda zalewa mu usta i nos. Chciał zacerpnąć tchu, a wtedy gardło wypełniło mu się deszczem i krwią. Deszcz siadł mu na piersiach, pozbawiając oddechu. Łom tonął w deszczu.

Coś przełamało się w nim wtedy. Poczuł, jak to coś pęka, jakby zerwało się ogniwo żelaznego łańcucha. Jakby pękł zamek. Jakby ciężar, który w nim kiedyś złożono, nagle zniknął.

Przypomniał sobie.

Przypomniał sobie, co zrobił tamtego popołudnia w gabinecie dyrektora.

Przypomniał sobie, jak zebrał całe powietrze w pomieszczeniu i cisnął w nią, a ona upadła z krzykiem. Przypomniał sobie głośnie pyknięcie, które rozległo się, gdy chwilowa próżnia zasklepiła się. Przypomniał sobie widok unoszących się w powietrze papierów dyrektora, wysranej z kominka chmury żaru, popiołu i dymu, przewracającego się krzesła, obrazu spadającego ze ściany. Przypomniał sobie, co zrobił, jakie to było uczucie, i że nie wiedział, ani wtedy, ani obecnie, jak to zrobił.

Spróbował zrobić to ponownie. Teraz!

Sięgnął w zacinający, wezbrany deszcz i chwycił pigułę wiatru i wody. Próbował maksymalnie ją ugnieść. I cisnął ją z całej siły w stojącą przed nim deszczową postać.

Na niewiele się to zdało. Właściwie na nic. Nie miał szans. Umrze.

Deszczowa rzecz stanęła, spokojniejsza nagle. Łom poczuł, jak skupia na nim uwagę, ocenia go, zastanawia się. Deszcz wyciągnął dłoń i lekko dotknął jego czoła. Poglaskał płatek anielskiego kamienia tkwiący w jego głowie. Łom miał wrażenie, że wyczuwa życzliwość. Współczucie.

„Biedny chłopiec – zdawał się mówić deszcz. – Biedny chłopiec”.

Potem deszczowa postać rozwiła się i Łom został sam.

Podniósł się z trudem, pokaleczony, wyczerpany, przemoczony do cna. Potrzebował gdzieś przycupnąć. Schować się przed deszczem. I to szybko.

Była niemal północ, gdy dowlókł się wreszcie, przemoczony do suchej nitki i zziębnięty na kość, pod adres Wiśnika. Nabrzeże Pelikanów okazało się rzędem domów ustawionych wzdłuż kanału, jedną z wielu podobnych ulic położonej na północnym brzegu rzeki Dzielnicy Admiralicyjnej. Deszcz ustał. Wilgotny, piwniczny zapach w powietrzu i masywne żelazne pacholki i relingi po drugiej stronie ulicy zdradzały niewidoczną obecność kanału. Pod numerem dwieście trzydziestym pierwszym znalazł wciśniętą pomiędzy sąsiednie budynki wysoką kamienicę o pozbawionej ozdób fasadzie, ten rodzaj domu, jaki niegdyś wznoszono dla znamienitszych rodzin, dzisiaj podzielony na małe, pudełkowate mieszkania przeznaczone dla krawców, ślusarzy, kucharzy i urzędników niższej rangi. Obserwowało go wiele par oczu; mimo późnej pory dozorca siedzieli na zewnątrz, każdy w składanym krzeselku, w przyćmionym blasku lampy nad wejściem, strzegąc poruczonej im dziedziny. Ten spod numeru dwieście pięćdziesiątego pierwszego pił właśnie z blaszanego kubka. Jego twarz lśniła niczym księżyc. Opadnięte policzki zwiślały na wysokości brody.

– Raku Wiśnik – powiedział Łom. – Lokal numer cztery.

– Zakaz wizyt po dwudziestej pierwszej.

– Czeka na mnie. To nocny marek.

Dozorca spojrział na jego obskurną walizę. Przemoczone ubranie. Włosy, z których kapiała woda.

– Nocowanie zabronione.

Łom sięgnął do kieszeni.

– Przepraszam za kłopot. Proszę przyjąć dwadzieścia kopiejek za fatygę.

– Rubel.

– Pół.

Dozorca stęknął i wyciągnął dłoń. Miał na sobie grube, pozbawione palców wełniane rękawiczki; nawet w bladym świetle lampy widać było, że przydałoby im się pranie.

– Drugie piętro. Nie używać windy i nie zapalać światła.

Schody były ciemne i wąskie, oświetlone jedynie wątłym blaskiem ulicznego światła wpadającym przez okienka wysoko w górze. Unosił się zapach stęchlizny. Na podłodze leżała wyleniąta wykładzina. Dzwonek do mieszkania numer cztery zadźwięczał słabo, zabawkowo, jakby był blaszany.

Łom czekał. Cisza. Stał, ciekając wodą, w ciemnym korytarzu. Zdawał sobie sprawę, że ma dreszcze, i to nie tylko z powodu zimna, głodu i zmęczenia. W ustach czuł smak żywego deszczu. Jego zapach na twarzy i ubraniu. Słyszał o takich rzeczach, o tym, że są możliwe. Nie mieszkało się na skraju puszczy, nie będąc czasem świadkiem budzenia się rzeczy dzikich: życia wiatru, czujnej wrażliwości drzew. Towarzyszyło mu wspomnienie wilgotnej, żywej ziemi. Ale nie w Mirgorodzie. Nie spodziewał się znaleźć tego tutaj: Mirgorod był stolicą stałości, mocy Założyciela, Właści Jedynej Prawdy.

Dlaczego Wiśnik nie otwiera? Zadzwoił jeszcze raz. Nic. Może Wiśnik jest już w łóżku? Zadzwoił jeszcze dwukrotnie i załomotał do drzwi. Coś zaszurało i drzwi uchyliły się powoli. Pojawiła się w nich blada, ściągnięta twarz. Ciemne oczy, patrzące tępo, nieostro, spojrzwały w jego własne.

– Tak?

– Raku?

Mężczyzna zerknął ponad jego ramieniem, by sprawdzić, czy ktoś jeszcze jest w korytarzu. Był ubrany, jakby wychodził: na ramiona narzucony miał niezapięty gabardynowy płaszcz, w dłoni podręczną torbę. Był wyższy, niż Łom go zapamiętał, ale na czoło opadał mu ten sam kosmyk lśniących czarnych włosów. Te same ciemnobrązowe oczy za pozbawionymi oprawek okrągłymi okularami. Jednak w tych oczach czaił się strach.

– Raku, to ja. Wissarion.

Dłonie Wiśnika zaciśnięte były w pięści. Trząsł się z wściekłości.

– Kurwa mać – powiedział. – Kurwa mać. Co ty tu, kurwa, robisz?

– Raku? Nie dostałeś mojego telegramu?

– Nie, nie dostałem twojego pieprzonego telegramu. Kurwa mać! Co ty wyrabiasz? Nie widzę cię przez pół życia, a potem zjawiasz się i w środku nocy walisz do moich drzwi.

– Pisałem. Pięć, sześć dni temu. Że przyjadę i że będę późno.

Wiśnik wskazał na torbę. Podsunął ją Łomowi pod nos.

– Widzisz to? Jak myślisz, co to jest? Ubrania. Żeby nie wzięli mnie w piżamie. Jak się tu w ogóle dostałeś? Dozorca powinien był...

– Dałem mu pół rubla.

– Pół? To za mało. Ma rozkaz zgłaszać gości na policję.

– I co im powie? Ja jestem policją.

– Pieprzony policjant. Spójrz na siebie. Cieknie z ciebie. – Spojrzała na bagaż Łoma. – Masz tam suche rzeczy?

– Mam.

Wiśnik zniknął. Deszcz sączył się z włosów Łoma i spływał po twarzy. Wyciekał zza kołnierza płaszcza i z mankietów spodni.

Wiśnik wrócił z ręcznikiem w dłoni.

– Na końcu korytarza jest łazienka.

– Dzięki.

– Jasne. Psiamać. No nic, wysusz się.

Łom wetknął sobie ręcznik pod pachę, chwycił walizę i ruszył korytarzem.

– Aha, Wissarionie.

– Tak?

– Dobrze cię widzieć. Myślałem, że się już nigdy nie zobaczymy.

Kwadrans później Łom siedział na kozetce u Wiśnika z kieliszkiem akwawitu w dłoni. Na

stole stało jedzenie. Solanka z kapustą i jagnięciną i grubo krojony czarny chleb. Łom rozsiadł się wygodniej i rozejrzał po pokoju. W oknie wisiały grube aksamitne zasłony, niegdyś ceglascocerwone. Elektryczne lampy biurkowe rzucały ciepły blask. W kącie pracował naftowy grzejnik. Wszędzie regały z książkami. Więcej książek na podłodze i ustawionych w stos na biurku. Na stoliku zaś dziwne nagromadzenie przedmiotów, niczym artystyczna instalacja: pęknięty czerwony lakowy pojemnik na herbatę; niebiesko-szary kubek kawowy bez ucha; porcelanowa figurka psa; kawałek barwionej deski poprzebijanej krzywymi i zardzewiałymi gwoździakami; odłamki ceramiki i szkła; pióro; miska wilgotnej czarnej ziemi. Dziwne rzeczy, które można by znaleźć na ulicy. Ustawione niby rytualne przedmioty miejskiego szamana.

Tym jednak, co czyniło pokój wyjątkowym, była kolekcja dzieł sztuki. Obrazy, w zwyczajnych ciemnych ramach, wciśnięte między półki z książkami, wiszące w kątach i wysoko pod sufitem, były niepodobne do niczego, co Łom dotąd widział. Same barwy i kształty. Powyginane czworoboki czerwieni, błękitu i zieleni, zderzone z ciemnoszarym tłem, przypominające miejskie budynki o zmierzchu, lecz zapadające się. Rozpadające. Czarne linie przecinające sterty pudeł słowiańskoterakoty. Grube, niewykończone maźnięcia farbą – północny granat – spalona ziemia – barwy deszczu i stali. Szalone, dziecinne obłoki, esy-floresy i rozlewiska purpury, złota i kwaśnej, lekarskiej zieleni. Przyglądając się tak, Łom zauważył, że w skład obrazów wchodzi – czasami – przedmioty, a przynajmniej ich sugestie. Kawalki i fragmenty przedmiotów. Rowerowe koło. Korek od butelki. Most przegładający się w wodzie, rozsadzany przez zachód słońca. Koń. Dziobek dzbanka. Miejskami pojawiał się też tekst: fragmenty typografii, nabazgrane samogłoski, pomieszczone litery alfabetu, ale nigdy pełne słowa.

Wiśnik siedział przy biurku z kieliszkiem w dłoni. Sprawiał wrażenie chudego, niemalże wymizerowanego. Jego dłonie wciąż się trzęsły, ale oczy były łagodniejsze, wypełnione znajomym zapałem, uważne. Ta sama czysta, poważna twarz, rozjaśniona błyskiem wybitnej inteligencji. Było w niej coś dzikiego i smutnego zarazem, czego nie pamiętał z młodych lat. Ale poza tym siedział przed nim ten sam Raku Wiśnik.

– Przestraszyleś mnie przyjacielu – mówił gospodarz. – Byłem nieuprzejmy. Przepraszam. Zbyt wiele czasu spędzam ostatnio sam. Człowiek robi się odrobinę, powiedziałbym, nadwrażliwy.

– A jak praca, uniwersytet? – zapytał Łom.

Pamiętał dzień, w którym odprowadził Wiśnika na prom. Jego przyjaciel jechał do Mirgorodu studiować historię na uniwersytecie, a on, Łom, miał wstąpić do policji w Podczornoku. Wiśnik ubierał się wtedy ekstrawagancko. Kapelusze z szerokim rondem i jaskrawe krawaty. Grzywka dłuższa i bardziej zakręcona. Wymieniali listy, pełne inteligencji i żartów opowieści o tym, jaka ich czeka przyszłość w wybranych zawodach. Wiśnik miał zostać profesorem – i udało mu się. Lecz w miarę upływu lat ich korespondencja stawała się coraz rzadsza, aż ustała zupełnie. Łom wszedł w rutynę pracy w miejscowym wydziale śledczym.

– Uniwersytet? – powtórzył Wiśnik. – To bydlaki. Nie pozwalają mi już uczyć. Moja przeszłość wyszła na jaw. Pochodzenie. Ktoś mnie wydał. Arystokracja. Szlachta. *Ancien régime*. Któryś z moich miłych studentów musiał naskarżyć. Do tego, oczywiście, doszła kwestia moich powiązań z artystami. Poeci. Kabarety. Pisałem o tym wszystkim, wiesz? Oczywiście, że nie. Recenzje. Eseje. Artykuły. Redakcje nigdy nie płaciły, ale czasem dawali



mi obraz. – Niedbałym gestem wskazał na ścianę. – Ale już wszystko skończone. Wygląda na to, że stałem się dla władz problemem. Dzisiaj o estetyce, podobnie jak o wszystkim innym, decydują twardogłowi. Te obrazy są uważane za sztukę zdegenerowaną. Przesrane. Pozamykali galerie i redakcje. Malarzom zabronili malować. Ale ci oczywiście wciąż to robią. Tyle że teraz to niebezpieczne. Mnie uciszono. Zakazano publikować. Zakazano wykładać.

Jednym haustem opróżnił kieliszek, po czym napełnił go ponownie. Nalał Łomowi.

– Ostro – rzekł Łom. – Przykro mi.

– Miałem szczęście w nieszczęściu. Nie zostałem kompletnie wyrzucony za burtę. Najwyraźniej moi zdradziecy koledzy poczuwali się mimo wszystko do jakiejś lojalności. Mianowano mnie, wyobraź sobie, oficjalnym historykiem Mirgorodu. I tę funkcję spełniam do dzisiaj. Przysługuje mi nawet niewielka dieta. Stać mnie na jedzenie. Nie żeby kogoś interesowała historia Mirgorodu. Wątpię, by kiedykolwiek ją wydano. Nie rozmawia się ze mną, Wissarionie, już nie. I jestem pod obserwacją. Na czarnej liście. Przyjdzie na mnie czas. Kiedy zacząłeś walić do drzwi, myślałem, że to już. Oni zawsze przychodzą nocą. Nigdy, siakrew, o poranku. Nigdy w porze obiadu. Zawsze w środku nocy.

– Przykro mi. Nie sądziłem...

– Pieprzyć ich. Pieprzyć, Wissarionie. Powiedz mi, że ty się nie zmieniłeś.

– Nie zmieniłem się.

Wiśnik uniósł kieliszek.

– Za przyjaźń. Witaj w Mirgorodzie.

*Archanioł przygląda się swej planecie, swemu więzieniu, swej klatce. Gromadzi fragmenty, umysły, które przesiał i zebrał, i coraz lepiej je rozumie. Ta planeta ma historię, a historia ma głos. Mieszkańcy planety służą historii tak, jak fotony służą światłu, jak skupiska masy służą grawitacji. Głos historii to mroczna siła.*

*I Archanioł zaczyna rozumieć, że głos historii planety załamał się. W przyszłości, która dopiero nadchodzi i która już była, przyszłości, która na nowo wyobraża sobie własną poprzedniość, popełniany jest katastrofalny błąd.*

*I dowiaduje się jeszcze czegoś, co stanowi dlań niebezpieczeństwo. Okrutne i bezpośrednie niebezpieczeństwo. Gdzieś w pobliżu wciąż istnieje studnia dawnej możliwości. Ślad starego głosu. Zagubiona, niema opowieść spoczywa gdzieś w cichym zapomnieniu. Nie istnieje w świecie, lecz jest tam. Obok. W potencjalności. Uśpione ziarno. Niepodłączony nośnik pamięci.*

*I ten załączek niezrealizowanej przyszłości dojrzewa, pęka i zaczyna przeciekać. Zaczyna się zastanawiać: być może to, co się stało, jednak się odstanie?*

Archanioł wydaje ryk.

**TO NIE MOŻE SIĘ WYDARZYĆ!**

*Archanioł musi powrócić do przestrzeni międzygwiazdnej, która jest jego przyrodzonym prawem i odebraną domeną. Nie tylko powrócić do niej, lecz ją zająć, pochłonąć, stać się nią. Stać się gwiazdami. Galaktykami. Lepiej niż przedtem. Widzi, jak można tego dokonać. Ta planeta mu w tym pomoże.*

*Niech głos tej planety stanie się moim głosem. Niech głos jej historii stanie się moim. Głosem lęku. Głosem siły. Niech głos historii stanie się moją krtanią. By opowiedzieć przerwana opowieść w nowy*

sposób. Niech to, co dzieje się na świecie, będzie planową, przebiegłą, świadomą, konieczną, jednoznaczłą ekspresją mnie, Archaniota, głosem przyszłości, głosem świata, przemawiającym przez wszystkich ludzi zawsze i wszędzie.

Niech ludzie polecą z tej jednej planety do wszystkich gwiazd, wszystkich galaktyk, wszystkich niezmiernych przestrzeni międzygalaktycznych – i niech głoszą mnie! Miliard miliard miliard ludzi zawsze wszędzie w lśniących szkarłatnych statkach przez czerwono-czarnozłotą energioczasoprzestrzeń krzyczących mnie. Nieustanne rozwijanie się i rozkwitanie mojego głosu. Wszystko wypełnione moją anielskością.

Niech tak się stanie.

By to się jednak stało, to fatalne drugie źródło – to kruszące się jajo alternatywnych możliwości, które jakimś cudem przetrwało – musi zostać zniszczone.

Taka zatem jest pierwsza sylaba pierwszego słowa pierwszej frazy pierwszego zdania głosu Archaniota.

**ZNISZCZYĆ POLLANDORA!**

Łom obudził się wcześniej rano. Pierwszy brzask dnia przesączał się przez szpary w zasłonach w mieszkaniu Wiśnika, gdy leżał na kozetce, rozważając ze wszystkich stron sprawę Kantora, zastanawiając się, jak niby ma go znaleźć. Czy choćby zacząć szukać. Kroch powiedział mu, że nie będzie miał do dyspozycji żadnego wsparcia, żadnych środków, żadnej pomocy ze strony gigantycznej maszyny wywiadowczej Właści. Osobisty asystent Krocha miał mu załatwić przepustkę do Łódki i biuro tamże pod jakimś odpowiednio nijakim pretekstem, by uzasadnić jego obecność, ale to wszystko.

Niekoniecznie było to przedsięwzięcie skazane na porażkę; w końcu Kroch zajmował się tą sprawą od roku i wszystkie dotychczasowe wysiłki spełzły na niczym. Pomysł podsekretarza stanu polegał na tym, że jeden samotny detektyw, jeden człowiek z zewnątrz, może zdolać osiągnąć sukces tam, gdzie wszystko inne zawiodło. Była w tym pewna logika. Jednak Łom potrzebował jakiegoś punktu zaczepienia, a w tym momencie miał przed sobą tylko pustą anonimowość wielkiego, obcego miasta.

Do późnej nocy zapoznawał się z zawartością teczek z wycinkami, którą dał mu Kroch. Napady, zamachy bombowe, zabójstwa polityczne. Nie układało się to w żadną szczególną całość. Cele były rozmaite, ofiary, zdawałoby się, przypadkowe: na każdego zabitego ministra czy policmajstra albo generała Właści przypadały dziesiątki niewinnych przechodniów schwytanych w ognisty wir niszczycielskiej przemocy. Nie było też żadnego wyraźnego celu: odpowiedzialność za każdy zamach brała inna, nikomu nieznana rozłamowa organizacyjka albo nie brał nikt, i żadnego ze sprawców nie schwytano nigdy żywcem.

Łom długo wpatrywał się w fotografię młodego Kantora, którą dostał od Krocha. Próbował odnaleźć w niej rys świadomego okrucieństwa, zdolnego przeprowadzić tak morderczą kampanię. Była to jednak tylko twarz: chuda, pociągła, znaczone dziobami jakiejś dziecięcej choroby, lecz przystojna. Kantor patrzył w obiektyw brązowymi intrygującymi oczami spod gęstwiny ciemnych potarganych włosów. Chociaż zdjęcie musiało zostać zrobione w pokoju przesłuchań, w kąciku szerokich ust czaił się uśmiech. Oto był pewny siebie, inteligentny młody człowiek, taki, którego można polubić, nawet podziwiać. Którego chciałoby się mieć po swojej stronie.

Oczywiście zdjęcie zostało zrobione dwadzieścia lat wcześniej. Dwadzieścia lat Wigu zmieniał każdego. Z powodu tego człowieka w Mirgorodzie panowała atmosfera nerwowości, nieufności i cichej paniki. Łom wyczuwał ją w tonie artykułów prasowych. Zauważył również, że obok oficjalnych potępień pojawiła się w ostatnich miesiącach przybierająca na sile tendencja, by krytykować władzę za brak efektów w walce z terrorem. Ta krytyka, chociaż starannie zawoalowana, była w coraz większym stopniu wymierzona bezpośrednio w Przywódcę. To się narzucało samo: Przywódca był stary, słaby, niezdecydowany. Czy nie było przypadkiem tak, że rozmyślnie pozwala kampanii terroru toczyć się dalej, by wzmocnić nadszarpięty własny autorytet? Te ataki na Przywódcę były zawsze anonimowe, ale – w świetle oskarżeń Krocha – Łom zaczynał wyczuwać w nich czyjeś umyślne działanie.

Jedno było pewne. Leżenie na kanapie i oddawanie się rozmyśleniom zaprowadzi go donikąd. Odsunął koc. Czas się ruszyć. Znaleźć punkt zaczepienia.

W łazience na piętrze Wiśnika rury jęknęły, zagulgotały i wypłyły do umywalki strużkę zimnej wody. Łom golił się swoją starą brzytwą. Przez małe okienko wysoko w górze do środka wpadały odgłosy budzącego się miasta: turkot przejeżdżającego tramwaju; syrena barki na kanale; trzask podnoszonych żaluzji sklepowych. Łom oddychał powietrzem sączącym się przez okienko, a zapach spalin, dymu, wody i mokrych chodników mieszał się z zapachem jego kremu do golenia. Miasto kipiało utajoną energią, bucząc z częstotliwością niesłyszalną dla ucha, lecz wystarczająco wyraźną, by przeszedł go dreszcz.

Wytarł twarz różkiem wyleniałego ręcznika i wrócił do mieszkania. Zastał gospodarza przy biurku. Przed nim leżała rozłożona gazeta „Głos Mirgorodu”, lecz Wiśnik wyglądał przez okno, popijając z niebiesko-szarego kubka, a jego lewa dłoń poruszała się niespokojnie, wybijając skoczny rytm.

Łom ułożył mundur na kozetce: czarny serżowy płaszcz, srebrne epolety, guziki z polerowanego rogu jelenia. Nałożył buty, również czarne, błyszczące, pachnące skórą. Rozłożył i oczyścił rewolwer. Był to piękny egzemplarz, łamany od góry zoern z czarną rękojeścią: naboje kalibru .455 w ładownicach w kształcie półksiężyca; długość całkowita dwadzieścia osiem i pół centymetra; masa nienaładowanego nieco ponad kilogram; prędkość początkowa prawie sto osiemdziesiąt dziewięć metrów na sekundę; zasięg praktyczny około pięćdziesięciu metrów. Jak większość rzeczy w Podczornoku był przestarzały o jakieś trzydzieści lat, ale Łom go lubił. Czyścił starannie, z wyraźną przyjemnością. Wiśnik przyglądał się staremu przyjacielowi.

– Wissarionie – powiedział w końcu. – Czy możesz mi powiedzieć, co ty tu w ogóle robisz?

– Słyszałeś o Józefie Kantorze?

– Kantor? Oczywiście. To było swego czasu głośne nazwisko. Intelktualista od Łazarów, polemista, młody, lecz miał zwolenników. Umiał zadowolić tłum. Elokwentny. Ale uciszono go dekady temu. Ześlano. Przepuszczam, że nie żyje.

– Żyje. I jest w Mirgorodzie. – Łom zrelacjonował Wiśnikowi to, czego dowiedział się od Krocha.

– W Łódce od zawsze były frakcje i koterie – rzekł Wiśnik. – Białomorcy. Opus Omnium. Żelazna Gwardia. Bagrationowcy. Grudownicy. Jedni chcą liberalizować, inni dokręcać śrubę. Ale dlaczego mi o tym mówisz?

– Pytałeś.

– Tak, ale...

– Potrzebuję pomocy, Raku. Kogoś, kto zna miasto. I potrzebuję dachu nad głową.

– To niemała prośba. To jest, jeżeli mogę się tak wyrazić, skurwysyńsko niemała prośba.

Łom złożył rewolwer i włożył do kabury pod pachą.

– Wiem.

– A zatem... – rzekł Wiśnik po chwili. – Okej. W porządku. Jesteś moim przyjacielem, więc dlaczego nie. Od czego zaczynasz?

– Nie wiem. Od czegoś. Czegokolwiek. Muszę znaleźć jakiś trop i podjąć go. Zobaczyć, dokąd mnie zaprowadzi.

Chwycił gazetę Wiśnika. Było to poranne wydanie. Powoli przerzucał strony, przesłizgując się wzrokiem po nagłówkach.

KANONIERKI OSTRZELIWUJĄ SAMBUR. OFENSYWA ARCHIPELAGU  
POWSTRZYMANA POD AŃSKIEM. MISTRZ TRYKTRAKA ZAMORDOWANY: SEPARATYŚCI  
LAZARSCY BIORĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ: ŁÓDKA ZAPOWIADA ADEKWATNĄ REAKCJĘ.

ZDRAJCÓW TRZEBA ZGNIEŚĆ SIŁĄ! – krzyczał nagłówek komentarza redakcyjnego:

„Mateczniki robactwa, gdzie lęgną się ci złoczyńcy, należy oczyścić raz na zawsze. Nasi przywódcy zbyt długo wykazywali pobłażliwość. To prawda, że jesteśmy narodem przyzwoitym, lecz te złowrogie elementy kpią z naszej wyrozumiałości i plują na naszą przynależność. One są chorobą, lecz my znamy lekarstwo. Popieramy tezy niedawnego przemówienia marszałek Ławrientii Chaziajskiej wygłoszonego na placu Arsenalskim. Takiej właśnie postawy potrzebuje nasza stolica. Wzywamy do...”.

Podobnie jak w wycinkach Krocha także w tej lekturze pobrzmiwały echa lęku przed wojną, Kantorem i bezimiennymi siłami knującymi przeciw Przywódcy. Ale to nie wszystko. Były też inne głosy, inne wątki, o których w wybiórczej opowieści Krocha nie było mowy.

Artykuł na rozkładówce donosił o planach budowy ogromnych, monumentalnych grobowców dla żołnierzy, marynarzy i lotników poległych w wojnie z Archipelagiem. „Te imponujące budowle wyrosną na skalistym wybrzeżu Morza Cetyckiego. Potężne wieże pięć się będą ku niebu jako symbol zwycięstwa zdyscyplinowanej mocy Władcy nad chaosem i zepsuciem zbuntowanych wysp zewnętrznych”. Zamki Śmierci, tak miały się nazywać. U ich stóp artysta dla pokazania skali umieścił maleńkie postaci ludzkie zbite w przestraszone gromadki.

MATKA MORDUJE DZIECI. Prawniczka Afanasija Woskobojnikowa udusiła trójkę swych dzieci za pomocą poduszki, a następnie powiesiła się. Zostawiła list: „Podłogi się zapadają – napisała. – Czy ktoś może coś z tym zrobić?”.

Łom miał już odłożyć gazetę, gdy spostrzegł niewielki akapit w kolumnie towarzyskiej. Zdjęcie prezesa mirgorodzkiego Banku Handlu Zagranicznego ściskającego dłoń oficera gwardii. „Major Artiom Szafran, dzięki odwadze którego udało się obronić bank na placu Ławrowskiego przed frontalnym atakiem terrorystów, odbiera gratulacje od wdzięcznego Ollanda Netta. Major Szafran zarządza muzykiem bojowym”. Łom zastanowił się: według Krocha atak na placu Ławrowskiego był najnowszym dziełem Kantora. Jeżeli Szafran tam był, to musiał widzieć Kantora, a przynajmniej jego ludzi. To już coś.

Łom przyjrzał się zdjęciu uważnie. W cieniu za Szafranem majaczyły nogi i brzuch muzyka. A w głowie majora, dokładnie pośrodku czoła, lśniła anielska pieczęć, taka sama jak jego.

Łom wstał. Czas ruszać.

Zjechał windą na dół. Dozorca siedział w służbówce. Jeżeli mundur Łoma zrobił na nim wrażenie, nie dał tego po sobie poznać. Na ścianie służbówki wisiała korkowa tablica z ważnymi numerami i ogłoszeniami: adres miejscowego Biura Porad; szczegóły dotyczące zbierek na pomoc zimową; zaciemnienia ćwiczebne; zmiany w ubezpieczeniu społecznym; terminarz przydziałów mydła.

– Tak? Słucham?

– Zatrzymam się tu na kilka dni. U profesora Wiśnika. – Łom pokazał służbową delegację. Dozorca zerknął, ale pozostał nieporuszony. – Jestem tu służbowo. Profesor jest pod moją

ochroną. Nic nie raportujcie. Nikomu. Fakt, że tu jestem, kiedy wychodzę, kiedy wracam, to moja sprawa. Dla was zasada: nie widzieć, nie mówić, nie pamiętać.

Dozorca trzymał w dłoni blaszany kubek. Pociągnął łyk i wzruszył ramionami. Ledwo dostrzegalnie. Być może.

– Zrozumiano?

– Cokolwiek pan powie, generale.

Łom odnalazł biuro, które asystent Krocha załatwił mu w Łódce. Jeden pokój pośród tysięcy, pozbawiony okien kubik na wysokim piętrze, pomiędzy magazynami, archiwami, pomieszczeniami gospodarczymi. Odnalazł go po półgodzinie błądzenia po piętrach i korytarzach. Identyfikator przy drzwiach był świeżo wydrukowany: „Śledczy W.H. Łom. Obwód Podczornok. Sekretariat Oceny Współpracy Regionalnej”.

W biurze znalazł krzesło, wieszak na ubrania, biurko. Sprawdził szuflady: resztki papeterii; otwarty, wyschnięty kałamarz. Na ścianie wisiał plakat.

„Obywatele! Przemaszeraujmy szybciej

Przez resztę dni!

Można zapomnieć, gdzie się napchało brzuch

Ale nigdy kraju, w którym się głodowało”.

Wyciągnął notatnik i zastrzył ołówki. Dał pokojowi jeszcze dwie minuty. Wydawało się to o półtorej za długo. *Zrób coś, myślał. Cokolwiek. Znajdź punkt zaczepienia.*

Łom wyszedł z biura i zagłębił się w labirynt korytarzy Łódki. Na skrzyżowaniach wisiały plany poszczególnych pięter, ale nic mu nie mówiły: numery pokoi i skrótowe opisy drobnym drukiem, ręcznie poprawiane, nijak się miały do oznaczeń drzwi i klatek schodowych. Wiedział, że miejsce, którego szuka, będzie położone na którymś z dolnych pięter. Te miejsca zawsze były przyzajone. Ukryte. Jak śmierć.

Dotarł do bardziej zatłoczonej części budynku: sekretarze w grupach, z teczkami akt, dyskutujący; asystenci pchający wózki papierów i pudeł; policjanci, umundurowani i nie; urzędnicy publiczni omawiający kwoty i preferencje, wymieniający się akronimami. Fizyki na drzwiach sal konferencyjnych były sylabami tajemnego języka. Aluzje i znaki.

CENTGEN.

KOMPOLIT.

GENKOM.

INTPOP.

POLITCENT.

Na poły oczekiwał, że ktoś zatrzyma go i zapyta, co tu robi, więc naprędce przygotował odpowiedź o pilnej potrzebie poprawy współpracy ze wschodnimi regionami. Odkrył, że ma na ten temat sporo do powiedzenia: była to kwestia, która rzeczywiście wymagała uwagi. Zaczął rozmyślać, jak można by usprawnić strukturę komitetu i linie dowodzenia. Być może powinien napisać w tej sprawie notatkę dla Krocha? Wyciągnął notatnik, by zanotować kilka pomysłów, gdy...

Co ja, do diabła, robię?

Odłożył notatnik z powrotem do kieszeni. Udzieliła mu się atmosfera Łódki, budząc wewnętrznego biurokrate. Za uchylonymi drzwiami widział biurka, skupione czoła, szpice ołówków zawieszane nad długimi listami. Przytłumiona muzyka dzwonek telefonów i

terkotu maszyn do pisania. Zapach pastowanych podłóg i papierowego pyłu. Schody i korytarze bez końca. Łódka płynęła po powierzchni miasta niby wielki okręt, i tak jak okręt nie miała do czynienia z odmętami pod sobą, chyba że akurat trałowała je w poszukiwaniu zdobyczy.

Łom nie przerywał tych rozmyślań, które zajmowały powierzchowne partie jego umysłu, pozwalając, by Łódka niosła go naprzód, przez swe labirynty, z prądem, który dało się zauważyć tylko wtedy, gdy się za bardzo nie próbowało. Była to technika, którą zawsze z powodzeniem stosował w budynkach biurowych: były żywe i inteligentne, i wiedziały, dokąd człowiek chce iść; jeżeli im się zaufało i utrzymywało otwarty umysł, same tam prowadziły.

Na parterze wyczuł ledwo uchwytny zapach słodkiej zgnilizny i poszedł za nim, w dół wąskimi schodami. Tabliczka na wahadłowych drzwiach głosiła: PROSEKTORIUM. Za drzwiami wiódł korytarz, wyłożony czerwonym linoleum, by nie znać było krwawych plam. Dyżurny zaprowadził go do windy i z hukiem zaciągnął metalową kratę. Ruszyli w dół.

– Ma pan szczęście. Po tygodniu ich palimy. Akurat pan zdążył. Ale będą już lekko nadpsuci.

Dyżurny poczęstował go papierosem. Chodziło nie tyle o umarłych – ci nie byli jeszcze tacy źli – co o słodko-duszący zapach formaldehydu, o gryzienie w płucach. To było gorsze. Łom nie spodziewał się, że papieros będzie aż tak mocny: zabolą go gardło i poczuł ucisk w płucach. Zakaszał.

– Niedobrze panu?

– Miejmy to już za sobą.

Sala sekcyjna wyłożona była białymi kafelkami, które lśniły w ostrym świetle. Oddechy mężczyzn kłębiły się w chłodnym powietrzu niby duchy.

– Ktoś jeszcze ich oglądał?

Dyżurny sprawdził w książce wizyt leżącej na stoliku przy drzwiach.

– Nie. Proszę tu poczekać.

Łom zaciągnął się mocno. Raz, drugi, trzeci, czwarty. Papieros palił się za szybko. Waleczek popiołu wydłużał się, w środku tlił się jeszcze tytoń. Bibułka była za gruba.

Dyżurny wrócił, pchając stalowy wózek. Leżał na nim podłużny kształt, przykryty cienkim, poplamionym brązowym prześcieradłem.

– Będzie mi pan musiał pomóc z golemem – powiedział. – To ciężkie sukinsyny.

Łom upuścił niedopałek na białą podłogę, przydeptał butem i wszedł za dyżurnym przez grubą gumową zasłonę do kostnicy. Pod ścianami na wózkach leżało wiele zwłok, lecz zwalistego ciała gołemu nie dało się pomylić z żadnym innym. Łom chwycił wózek od strony głowy i zaczęli pchać.

– Może pan mnie tu zostawić – powiedział, gdy znaleźli się w sali sekcyjnej. – Dam znać, gdy skończę.

Dwa trupy leżały obok siebie, niczym ojciec i syn. Co miał nadzieję znaleźć? Trop. Tym właśnie zajmowali się detektywi. Martwe ciała mówią różne rzeczy. Te jednak były po prostu martwe. Bardzo martwe.

Sprawdził identyfikatory. „Akakij Sierow, płeć męska, włosy rude, farbowane na ciemno, wiek ok. 30–35 lat”. Twarz odpowiadała fotografii znajdującej się gdzieś w aktach: podano



numer katalogowy Centralnego Rejestru. Poza kilkoma drobnymi skaleczeniami i nakłuciami brak było jakichkolwiek znaków szczególnych, zresztą twarzy i tak już nie dawało się rozpoznać. Skóra była odbarwiona i zapadnięta, usta ściągnięte, odsłaniające zęby w trupim uśmiechu. Tułów napuchnięty niczym balon. Krew odpłynęła do pleców i pośladków. Rana na szyi, obrzeżona ciemnym strupem, wyglądała jak drugie usta, również nieme. Nóg nie było.

Łom zawahał się. Powinien zdjąć odciski palców. Rozewrzeć usta trupa, by sprawdzić ewentualne wydzieliny... czego?... tajemnic. Gdyby Sierow żył, Łom zacząłby nad nim pracować. Farbował włosy, był więc próżny. Albo próbował zmienić wygląd. Ludzkie rzeczy. Rzeczy, które dało się wykorzystać. Uraza wobec kogoś. Wzięta dawno temu łapówka. Strach przed bólem. Cokolwiek. Tak właśnie Łom prowadził przesłuchania: uwodząc, pochlebając, grożąc, budując relację, dochodząc do konkluzji. Lecz martwi nie mogli nic powiedzieć. Była to ich cecha charakterystyczna, jedyna, która im pozostała; ich martwota.

Przeszedł do drugich zwłok.

Golema znaleziono przy pustym wozie opancerzonym. Personalalia nieznanne, podobnie jak twarz; zresztą niewiele z niej zostało. Skóra była twarda i biała jak kreda. Pomiedzy nogami, gdzie powinno znajdować się podbrzusze i genitalia, nie było nic. Ziejąca dziura. Poszarpana. Osmalona. Pusta. Skóra powyżej była nadpalona, zmarszczona od gorąca. Rana wlotowa w czaszce, brak potylicy.

To go zastanowiło. Golem musiał już być umierający – zamiast dolnej części tułowia miał krwawą jatkę – lecz ktoś zadał sobie trud, by strzelić mu jeszcze prosto w głowę. Po co? Z litości? By go uciszyć? Jako przestroga dla innych? Zbyt wiele było tu wątków. Nadmiar możliwości był tym samym co ich brak. Prowadził donikąd. Martwi, będąc martwymi, niewiele mogli pomóc.

Łom wetknął dłonie do kieszeni, próbując je rozgrzać. Zaczynał marznąć. Musiał stąd wyjść.

Zrób coś innego, pomyślał. Podejmij inny trop.

Marusia Szaumian wspięła się po dobrze znanych schodach do pracowni Jakowa Pietrowa i pchnęła drzwi. Białe światło dnia wypełniało skąpo umeblowane, przestronne pomieszczenie. Deszcz bębnił w wysokie okna od północy. Dobrze знаła ten pokój: jego czarną intensywność, zapach farb i terpentyny, resztek jedzenia i nieświeżych ubrań. Kiedyś często tu przychodziła.

Pietrow od wielu miesięcy, z małymi przerwami, pracował nad portretem Marusi. Malował ją nagą, w czerwieniach, różach i odcieniach czerni dla oddania skoncentrowanej energii, przedstawiając jej ciało z boku, wygięte w gwałtownym skręcie ukazującym bok piersi pod pachą. Na przykrytym obrusem stoliku z tyłu przewracał się wazon z kwiatami, jakby potrąciła go w geście, który ukrył jej twarz. Pietrow mówił, że to dla niego ważna praca: wyjście poza konwencjonalne, scholastyczne ujęcie kobiecego aktu, poszukiwanie sposobu bezpośredniego wyrażenia pożądania, a jednocześnie obojętności wobec ograniczających konwencji miłości i piękna. Jednak od czasu, gdy Pietrow związał się z grupą Józefa Kantora, stracił zainteresowanie malarstwem. Zmienił się, błędząc gdzieś myślami, oddalając od niej. Marusia przychodziła coraz rzadziej, aż w końcu całkiem przestała.

Poznała Pietrowa w Szkarłatnym Świstaku, klubie, do którego zaczęła chodzić wieczorami po pracy. Znalazła się tam z powodu niejasno odczuwanego pragnienia posmakowania czegoś nowego. Nowych sposobów widzenia świata. Jednak doświadczenie okazało się rozczarowujące: klub był schronieniem dla artystów i intelektualistów, którzy woleli pić i przechwalać się niż pracować. Wszyscy próbowali wsadzać ręce pod jej spódnice. Wszyscy poza Pietrowem.

– Czego tu szukasz? – zapytał ją kiedyś.

– Nie wiem – odparła poważnym tonem. – Czegoś. Czegokolwiek. Byle było to nowe.

– Czy prawdziwa nowość w ogóle jest możliwa? Teraźniejszość istnieje przecież jedynie w odniesieniu do przeszłości. – Tego typu filozofowanie często słyszało się w Świstaku.

Marusia zmarszczyła brwi.

– Przeszłość jest lepsza od teraźniejszości – rzekła. – Teraźniejszość jest zła i przyszłość też będzie zła. Chyba że zaczniemy od nowa. Że znajdziemy sposób.

Pietrow zaśmiał się.

– W Świstaku nie znajdziesz nic nowego. Spójrz na nich. Sami pozerzy, hipokryci i oszuści. Gadają o nowoczesnej rewolucji, ale tak naprawdę chodzi im o sławę i pieniądze.

– Ty też taki jesteś?

– O nie, ja nie – odparł Pietrow. – Ja naprawdę wierzę w to, co mówię. Rewolucję trzeba zacząć od siebie. Trzeba najpierw zlikwidować bariery i kompleksy w sobie, zanim będzie można dokonać czegoś naprawdę nowego. Posmakować życia w całej pełni. Doświadczyć jego skrajności. Nie obchodzi mnie, co ludzie o mnie myślą: ja chcę zaszokować samego siebie.

Lubiła go wtedy. Nie dostrzegała niebezpieczeństwa jego słów, dosłownej powagi

pragnienia, by wstrząsać i niszczyć. Spotkali się jeszcze kilkakrotnie w Świstaku, rozmawiając szczerze. Marusia zastanawiała się, czy mogliby zostać kochankami, ale nic takiego nie nastąpiło.

Teraz Pietrow ledwie podniósł głowę, gdy weszła. Mimo że w studiu było lodowato, pracował, w czapce i rękawiczkach bez palców, obstawiony słoikami, tubkami i pędzlami. Malował szybko, śmiałymi pociągnięciami, jakby dźgał górujące nad nim ogromne płótno.

– Jakowie? – odezwała się Marusia. – Chciałam cię o coś poprosić.

Pietrow się nie obejrzał.

– Nie będę cię dzisiaj malował – rzekł nieobecny głosem. – Tamten obraz jest skończony. Wszystkie są skończone. Ten jest ostatni.

– Co przedstawia? – zapytała. – Mogę zobaczyć?

Wzruszył ramionami i odwrócił się, zajęty czymś przy stoliku. Marusia spojrzała na obraz, który malował. Był kolosalnych rozmiarów, niepodobny do żadnej z wcześniejszych jego prac. W środku przedstawiony był golem, rozciągnięty na czarnym bruku, najwyraźniej martwy, otoczony przez sześć płonących świec, każda w złotym świeczniku, rozciągająca wokół siebie aureolę bursztynowego blasku. Kobieta w białej spódnicy – uosabiająca cierpiącą ludzkość – oplakiwała zmarłego w dramatycznym geście. Wokół wznosiły się ciemne, powyginane budynki, pokryte krwią. Za nimi, wyższy niż one wszystkie, siedł mężczyzna, grając na skrzypcach. Zdawał się tańczyć. Żółtozielone niebo o trupim odcieniu przesłaniały czarne chmury.

– Dobry jest – powiedziała. – Naprawdę dobry. Inny. Czy ma tytuł?

– To Waso – odparł Pietrow. – *Śmierć golema Wasa, zabitego w napadzie na bank*. – Ale nie obejrzał się. Jej obecność zdawała się go denerwować.

– Jakowie? – Chcę cię o coś zapytać. To ważne. Chcę znaleźć Raku Wiśnika.

Pietrow nie odpowiedział.

– Raku Wiśnik – powtórzyła. – Muszę się z nim zobaczyć. Nie pojawił się wczoraj w Świstaku. – Umilkła, ale nie odpowiedział. – Jakowie?

– Co? – rzekł wreszcie. – Co takiego powiedziałaś?

– Raku Wiśnik. Muszę go znaleźć. I to szybko. Potrzebuję jego adresu.

– Wiśnik? – rzekł Pietrow z roztargnieniem. – W dzień go nie znajdziesz. Facet włóczy się. Ciągłe się włóczy. Łazi po mieście.

– Ale gdzie? Nie było go w Świstaku.

– Nie. Nie widziałem go tam od tygodni.

– To gdzie?

– Musisz pójść do niego do domu. Nocą. Późną nocą. Bardzo późną.

– Podasz mi adres?

– Co?

– Adres Wiśnika. Gdzie mieszka?

– Och – rzekł Pietrow w zamyśleniu. – Nabrzeże Pelikanów. Nie znam numeru. Popytaj dozorców.

Po raz pierwszy obrócił się w jej stronę. Marusia była wstrząśnięta jego wyglądem. Zmienił się tak bardzo w ciągu ostatnich tygodni. Włosy miał potargane i zmatowiałe, ale twarz rozświetloną dziwnym intensywnym blaskiem. Żrenice były rozszerzone i ciemne. Wpatrywał się w świat, w nią, ale nie widział tego, co miał przed oczami; patrzył poprzez nią, poza nią, wyglądając znanej tylko sobie przyszłości. I cuchnęła. Teraz, gdy był blisko niej, czuła jego nieświeży oddech i woń przepoconych ubrań.

– Coś jest nie tak, Jakowie – powiedziała. – Ale co?

Pietrow otworzył usta, by odpowiedzieć, ale urwał. Wyglądał tak, jakby w głowie kłębiły mu się dziesiątki myśli... obrazów... idei... na temat tego, co musi zrobić... Ale nie potrafił nic z siebie wyrzucić. Próbował, ale nie mógł.

– Jakowie? – powtórzyła Marusia. – Co się dzieje?

– Idź – rzekł wreszcie. – Musisz już iść.

– Dlaczego?

– Bo tak chcę. Nie będę cię już potrzebował. Nie przychodź tu więcej. Nigdy.

– O czym ty mówisz? Co takiego zrobiłam?

– Wszystko jest skończone. Zostawiam to za sobą.

– Dokąd pojedziesz?

– Nie mam nic więcej do powiedzenia. Żadnych słów. Słowa się skończyły. Sprawy osobiste nie mają już znaczenia: moje życie osobiste jest martwe i wkrótce martwe będzie też moje ciało.

– Jakowie...

– Odejdź. Po prostu odejdź.

Marusia zostawiła Pietrowa w jego pustej pracowni, sam na sam z golemem. I znowu, już po raz drugi w ciągu ostatnich dni, potraktowano ją niegościnnie. Nie chciała iść do pracy, ale nie chciała też wracać do domu – nie tam, do matki uwięzionej w smudze cienia, czekającej w ciszy, bojącej się wyjść, wyrzeć przez okno, otworzyć szafkę, w ogóle się poruszyć – nie chciała iść nigdzie. Było jednak wciąż wczesnie, nawet nie popołudnie; musi poczekać do późna, a potem odwiedzić Raku Wiśnika. Być może Wiśnik opowie jej o Pollandorze. W końcu jest historykiem. Powinien wiedzieć.

Tego ranka Raku Wiśnik wybrał się na Rynek Apraksinowski. Lubił to miejsce, z jego zgiełkiem, feerią barw i zapachów, z szerokimi pasażami i galeriami sklepów, sklepików i straganów wznoszącymi się koliście wokół centralnego atrium, gdzie odbywał się targ i stały budki z kawą i przekąskami. Apraksin – jak w skrócie nazywano bazar – podzielony był na sektory zajmowane przez poszczególne branże: jubilerstwo, przyprawy, dywany, odzież, obuwie, parasole, papier i atrament, liny i sznury, części do maszyn i urządzeń, narzędzia, meble, wyroby tytoniowe, kamieniarstwo. Mak. Jeden odległy kraniec, gdzie rezydowali paserzy. I wreszcie na najwyższej galerii, pod samym szklanym dachem, znajdował się wewnętrzny ogródek wypełniony rzeczami niechcianymi, zepsutymi: pies; dziecko na ławce; poplamiony pluszowy miś polarny. Tak zwana Alejka Kasina.

Wiśnik przechadzał się od sklepiku do sklepiku, z piętra na piętro, sporządzając listy, robiąc szkice, zdjęcia, podnosząc drobiazgi upuszczone przez innych – bilet tramwajowy, nieaktualny program teatralny – notując wszystko.

Mirgorod, cmentarz marzeń, myślał.

Od ponad roku krążył w ten sposób codziennie po mieście, z chlebakiem przewieszonym przez ramię, grubym notesem w skórzanej oprawie, automatycznym ołówkiem, zestawem map i aparatem fotograficznym. Oficjalny historyk Mirgorodu. Traktował swoje obowiązki poważnie, nawet jeżeli był w tym osamotniony. Systematycznie przeczesywał i dokumentował ulice, aleje, prospekty. Strychy. Pokryte patyną kopuły. Wieże i iglice. Posągi jeźdźców i aniołów. Gmach opery. Stację Morską. Okolice Czeszmy. Most średnicowy. Wszystko zapisywał w notesach i zaznaczał na mapie. Notował zapach lip wiosną i zapach wilgotnego mchu pod mostami jesienią. Fotografował napisy kredą na murach, podarte afisze, fontanny, wzory kreślone na niebie przez linie telefoniczne. Żeliwną, przykrytą kopułą wieżę zegarową o czterech tarczach.

Tym, co odkrywał w ten sposób, była obcość. Zrozumiał, że całe miasto jest niczym fikcyjne dzieło: księga sekretów, aluzji i znaków. Miasto w lustrzanym odbiciu. Każdy detal był komunikatem zapisany odwróconym piśmem.

Sprawy poszły w niewłaściwym kierunku. Wszystko spieprzone, myślał.

Pracując w ten sposób tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu, odkrył, że miasto jest zmienne. Trudno uchwytnie. Sporządzał dokumentację danego obszaru, a kiedy wracał tam, wszystko było inaczej: drzwi wcześniej zamurowane teraz były otwarte; sklepy i zaułki, które zanotował jako nieistniejące, znowu były na miejscu i wydawało się, że tkwią tam od lat. Było tak, jakby istniało inne miasto, obecne, lecz najczęściej niewidoczne, miasto, które pokazywało się, a potem chowało. Droczył się z nim, podchodził je, bardziej niesforny, niepokorny brat bliźniak miasta widomego, stawiając na jego drodze zagadki, wskazówki i akrostychy: rzeczy, które zaciemniały znaczenie, jednocześnie robiąc aluzje.

Kręcę się w kółko, ot co, pomyślał. Gdzieś tu musi być przyczyna i skutek. Jestem historykiem: odnajdywanie łańcuchów przyczynowo-skutkowych to moja praca. I on tu jest, ale ja nie potrafię go zobaczyć. Po prostu, psiarew, nie potrafię.

Wiśnik tropił ślady. Dawne przedsięwzięcia – sugestie tych, które miały dopiero nadejść – powiewy możliwości, którymi wypełniona była teraźniejszość. Weźmy na przykład tego jubilera i zegarmistrza, którego drewniany szyld „S. Larkow” przykrywał, ale tylko częściowo, większy napis wykonany butelkową zielenią na purpurowych kafelkach. „Rudolf Gotman – Książki – Czasopisma – Introligatorstwo”. Wiśnik zaznaczył reklamę Gotmana na swym planie Rynku Apraksinowskiego i wyjął aparat, by uwiecznić palimpsestowy napis.

– Hej, ty! Czego tu szukasz? Co tam robisz?

Psiamać. Znowu to samo, pomyślał.

Niewysokiego wzrostu mężczyzna, z gładko zaczesanymi czarnymi włosami i okrągłą lśniącą twarzą, wyłonił się ze sklepu. Pan S. Larkow. Na nosie miał okulary w złoczonej oprawie, a z kieszonki ciasno opinającej ciało kamizelki zwisała dewizka złotego zegarka. Regulowane opaski z klamerką z polerowanej stali ścisnęły wąski biceps, sprawiając, że rękawy białej koszuli nadymały się niby balon.

– Pytałem, co robisz.

– Zdjęcia – odparł Wiśnik i wręczył mężczyźnie wizytówkę.

*Prof. Raku Andriejewicz Wiśnik*

*Historyk Mirgorodu*

*Oficjalny fotograf*

*Nabrże Pelikanów 231/4*

*Wandianka*

*Dzielnica Admiralicyjna*

*Mirgorod*

Jubiler odsunął kartonik.

– To nic nie znaczy. Kto fotografuje takie miejsca? Kto zaznacza je na mapach?

– Ja – rzekł Wiśnik.

– Powiem ci, kto. Szpiedzy. Terroryci. Agenci Archipelagu. No już, oddawaj mi to! – Sięgnął po aparat, ale Wiśnik wyrwał mu się.

– Posłuchaj pan. Jestem historykiem i...

Twarz Larkowa wykrzywiła się w nienawistnym grymasie. Jego maleńkie oczka były jak trybiki zegarka.

– A jeżeli nawet, to co? Obrzydlistwo. Pasożyty. Inteligenci. Egoiści. Przywódca zajmie się wami...

Z sąsiednich sklepów zaczęły wyglądać zaciekawione twarze. Larkow znowu spróbował wyrwać Wiśnikowi aparat, chybił, ale udało mu się chwycić pasek chlebaka.

– Nie ruszaj się. Nie skończyłem z tobą. Intelktualista! – syknął Wiśnikowi prosto w twarz, opluwając go przy okazji.

– Odwal się pan – rzekł Wiśnik. – Zostaw mnie pan w spokoju!

Wyrwał mu chlebak z ręki i odwrócił się.

– Żandarm! Żandarm! Łapać sukinsyna!

Wiśnik spostrzegł zbliżający się z przeciwległej strony zielony mundur. Czas się zmywać.

Z prosektorium, pokonawszy wiele korytarzy i schodów, Łom trafił wreszcie do czytelnicy Centralnego Rejestru. Od dawna chciał zobaczyć to miejsce, a kiedy je znalazł, stanął na moment w wejściu, by się lepiej przyjrzeć.

Była to wielka sala na planie okręgu, z kamienną podłogą, z rzędami dookołnych galerii, przykryta kopulastym szklanym dachem na żelaznych dźwigarach. Miała w sobie spokój i oddech wielkiej biblioteki, i typowy dla biblioteki zapach pasty do podłóg i starzejącego się papieru. Ze środka pomieszczenia, niby szprychy koła, rozchodziły się rzędy biurk do czytania. Każde wyposażone w mosiężną lampę z błękitnym abażurem, niebieski bibułaż i fotel obity błękitną skórą. Trzy tysiące osób mogło tu studiować jednocześnie, chociaż teraz, pogrążonych w lekturze, było ich tu nie więcej niż dziesiąta część tego.

Pośrodku sali wznosił się na ponad trzydzieści metrów, niemalże do samego dachu, komputer analogowy zwany Silnikiem Gaucha. Łom widział go kiedyś na zdjęciu. Wyglądał tam pięknie, lecz nic nie przygotowało go na rzeczywistość. Był ogromny: elegancka konstrukcja połączonych kół zębatych i polerowanego drewna, transportująca dziesiątki ciężkich koszyków niby wagoniki diabelskiego młyna. Machina była w ciągłym ruchu, jej tryby obracały się, zatrzymywały i obracały znowu. Pomruk elektrycznych motorów brzmiał jak cicha, relaksująca muzyka.

Obserwowała go kobieta – zaróżowione ramiona, okrągła, czerwona twarz, włosy zaplecione w warkocz, biały sweter pod służbowym bezrękawnikiem.

– Tak? – powiedziała. – W czym mogę pomóc?

– Szukam akt osobowych – rzekł Łom. – Nazwisko Kantor. Jestem tu pierwszy raz.

Archiwistka wyszła zza biurka. Była niższa i tęższa, niż sądził. Do spódnicy przykleiły jej się okruszki chleba.

– Proszę za mną – powiedziała.

Zaprowadziła go do jednego z biurk roboczych. W biurko wbudowane były dwa zestawy oznaczonych literami klawiszy, niczym klawiatury dwóch maszyn do pisania.

– Jedna jest do nazwisk, druga do kryptonimów. Proszę wprowadzić trzy pierwsze litery poszukiwanego nazwiska i nacisnąć guzik, a silnik dostarczy odpowiedni koszyk. W koszyku znajdują się karty katalogowe. Gdy znajdzie pan tę, co trzeba, proszę skopiować numer referencyjny w prawym górnym rogu i przyjść z kartą do mnie. Katalog jest fonetyczny, nie alfabetyczny. Czasem nazwisko zostaje tylko podstuchane i pisownia jest niepewna. Karty są podzielone kolorami: żółte dla studentów, zielone dla anarchistów, fioletowe dla nacjonalistów i tak dalej. – Pokazała mu legendę przyklepioną pinezką do biurka.

– Ile kart tu macie?

– Trzydzieści pięć milionów. Coś koło tego.

Łom wystukał litery. K – A – N. Nacisnął guzik. Tryby obracały się powoli, aż zatrzymał się przed nim odpowiedni koszyk. Podniósł wieczko i ujrzał dziesiątki kart katalogowych zawieszonych na centralnej ośce. Zaczął je przeglądać. Kantorów było wielu, całe pokolenia,



ale tylko dwóch Józefów urodzonych w ostatnim półwieczu. Jedna karta była koloru białego i należała do niskiej rangi urzędnika publicznego, którego umieszczono w bazie nie dlatego, by cokolwiek przeszkobał, lecz dla porządku. Druga była lawendowa, pomięta, z oślimi uszami, z odnośnikami do co najmniej dwudziestu kryptonimów. Łom zanotował numer referencyjny na specjalnym kwicie i podał archiwistce.

W oczekiwaniu na jej powrót zaczął przechadzać się po czytelnicy. Były tu regały z katalogami, rzędy ksiąg archiwalnych. Gazety, czasopisma, dzienniki, katalogi firm, mapy, atlasy, indeksy nazw geograficznych, rozkłady jazdy. Publikacje, protokoły i listy członków wszelkich organizacji i stowarzyszeń. Akta uniwersytetów, politechnik i szkół każdego stopnia. Galerie wznosiły się aż po dach. W osobnych pokojach, za obrotowymi drzwiami, mieściły się archiwa i zbiory specjalne: wstęp do nich, jak głosił napis, był wzbroniony osobom nieupoważnionym.

„Podstawą działania każdej służby bezpieczeństwa jest archiwum” – stwierdziła marszałek Chazajaska w przemówieniu dla oficerów służb wygłoszonym przed rokiem w Podczornoku. Łom i Ziller spóźnili się wtedy, a aula szkoły policyjnej była przepełniona i duszna. Stanęli z konieczności z tyłu, wyciągając szyję, by zobaczyć cokolwiek ponad głowami dwóch zwalstych żandarmów z Izmy. Zastępca komendanta Lauritis wygłosił długie i pełne pochlebstw przemówienie powitalne. „Wizyta wielkiej marszałek Ławrientii Chazajaskiej, szefowej służb specjalnych Własci – mówił – jest wielkim wydarzeniem, doniosłą chwilą, w której my, funkcjonariusze bezpieczeństwa obwodu podczornockiego, możemy poczuć się częścią samego serca państwowego organizmu”.

Marszałek Chazajaska z łatwością panowała nad salą: była niewysokiego wzrostu, lecz ustawiona na prostym podium zdawała się tryskać energią: jasna, intensywna, schludna, szczupła, wyprostowana, jej głos z łatwością dochodził do najdalszych zakamarków auli. Ani na moment nie przestawała elektryzować słuchaczy. Należymy do niej, myśleli funkcjonariusze. Jesteśmy jej żołnierzami. Pracujemy dla niej.

Raporty, które dostarczają, mają znaczenie, podkreślała marszałek: są wykorzystywane, więc muszą być sporządzane należycie. Łom słuchał uważnie, gdy opisywała, jak surowe, nieobrobione informacje wywiadowcze zebrane w poszczególnych dominiach Własci są następnie przesiewane, sortowane, opracowywane. Było to przedsięwzięcie wielkie, pełne rygoru, eleganckie, dokładne: pięknie proste w założeniu, imponujące pod względem skali i zasięgu.

Machina informacyjna Własci składała się w istocie z trzech urzędzeń, a raczej była jedną maszyną w trzech częściach: tak opisywała to marszałek Chazajaska. Najpierw szła machina przyobleczona w ciało, machina ludzka, składająca się z funkcjonariuszy jawnych i tajnych, agentów i prowokatorów – dziesiątek, jeżeli nie setek tysięcy – patrzących i słuchających, zbierających informacje o działalności politycznej i sympatiach społeczeństwa. Funkcjonariusze ci prowadzili obserwację bezpośrednią, a także korzystali z usług informatorów – dozorców, tramwajarzy, nauczycieli, dzieci. Ich głównym celem były zmieniające się jak w kalejdoskopie konstelacje dysydentów, separatystów, anarchistów, nacjonalistów, demokratów, nihilistów, terrorystów, rebeliantów i innych niebezpiecznych ugrupowań i frakcji pragnących upadku Własci. W ramach swej pracy zbierali również oczywiście ogromne ilości danych na temat rodzin, sąsiadów i znajomych interesujących ich „figurantów”, a także generalnie na temat urzędników publicznych i polityków

wysokiego szczebla w celu indeksowania, selekcji i oceny potencjalnej użyteczności.

Ta machina ludzka karmiła maszynę papierową: tony papieru; kilometry akt; papier składowany w ciemnych grotach magazynów ciągnących się przez podziemia i zakamarki Łódki. Nie wyrzucano niczego: w ciągu setek lat inwigilacji jeszcze nigdy żadnej cząstki informacji nie wyrzucono. Operatorami maszyny papierowej byli szyfranci i archiwiści oraz tkwiący na szczycie hierarchii – analitycy. To oni, na podstawie sumarycznych kart obserwacji, przygotowywali na poły magiczne diagramy „kregów kontaktu”. Bez nich wykrywanie spisków i wywrotowych organizacji pośród milionów poddanych Właści byłoby jak szukanie igły w stogu siana. Sporządzanie „kregu kontaktu” zaczynało się od wypisania nazwiska figuranta pośrodku dużego arkusza papieru i otoczenie go okręgiem. Z tego okręgu niczym z piasty koła wychodziły linie do nazwisk kontaktów figuranta. Im bliższe lub częstsze ich kontakty, tym grubsza linia. Każde takie nazwisko stawało się następnie środkiem niezależnego okręgu, kolejnym węzłem, i cały proces był powtarzany. Chodziło o znalezienie prawidłowości – połączeń – powiązanych zapętleń – które wyłoniłyby się z pozornego chaosu spisów nazwisk i dat, ujawniając istnienie w szczegółach zaplanowanych, głęboko zakonspirowanych spisków. Łom był zafascynowany. Przypominało to przybliżanie pod mikroskopem, aż nagle oczom ukazywał się wirus lub złowroga bakteria pływająca w morzu cieczy immersyjnej. Po to właśnie został policjantem. By zrozumieć ukryty wzór, odnaleźć tkwiące u jego źródła okrucieństwo i wykorzystać je.

Trzecia machina wreszcie – mówiła marszałek Chazajaska – serce i mózg operacji, to maszyna elektryczno-żelazna: osławiony Silnik Gaucha, w samym sercu Łódki. A teraz Łom stał u jej stóp.

Wróciła archivistka.

– Teczka, którą pan zamówił, jest niedostępna – oznajmiła.

– Co to oznacza?

– Że nie może pan jej obejrzeć. Nie ma pan odpowiedniego poświadczenia bezpieczeństwa.

– Gdzie je otrzymam? Mam na myśli pilnie. Zaraz.

– Teczka przechowywana jest w osobistym archiwum marszałek Chazajaskiej. Udostępnienie wymaga jej osobistej zgody. Na piśmie. Przykro mi, panie śledczy. Nic na to nie poradzę.

– Dziękuję pani – rzekł Łom. – To miło, że zechciała mi pani pomóc.

Cholera, pomyślał.

Zaczyna brakować mi tropów.

Potrzebuję punktu zaczepienia.

Postrzępiony lambrekin markizy łopotał na wietrze. Kwiecisty napis na różowawym tle głosił: „Piekarnia. Galina Tropina. Słodczyce. Kawa”.

Wiśnik wszedł do środka.

Kobieta za ladą zmarszczyła brwi na jego widok. Jej ramiona miały odcień i fakturę surowego ciasta, a sztucznie kręcone włosy ufarbowane były na wściekłe rudy kolor. W głębi stało kilka pustych stolików.

– Chciałbym kawę – rzekł Wiśnik. – Mocną, jeśli można prosić. I akwawit. Pięćdziesiątkę śliwowicy. Dziękuję pani.

Nogi mu się trzęsły. Zaczynał się robić drażliwy: różne rzeczy denerwowały go bardziej niż powinny. Za dużo czasu spędzam sam, pomyślał. Kiedyś, w młodości, lubił przebywać we własnym towarzystwie. To jednak była innego rodzaju samotność: samotność jedynaka, który wie, że jest wolny, bezpieczny i kochany. To była słodka, zaczarowana samotność „Przedtem”. Przed czystką wśród ostatnich arystokratów, wyciąganych przez policję z kryjówek, które pobudowali sobie w odległych majątkach.

To był inny świat, pomyślał. Już dawno zniszczyły go wichry historii. Zostały mi już tylko cholerne wspomnienia. Idę przez życie tyłem do przodu.

Sprawdził aparat. Precyzyjne, praktyczne urządzenie marki Zuch. Gdy dorastał w Wirogorsku, określenie „aparat fotograficzny” oznaczało sporą skrzynkę w mosiężno-drewnianej obudowie ze skórzanym miechem, której uruchomienie wymagało solidnego, wysokośći człowieka, mahoniowego statywu. Jego zuch miał korpus z matowego czarnego metalu, wielkość mniej więcej podręcznego notesu, i dzięki swej zwartości i masie dobrze leżał w dłoni. Wiśnik zbudował w kuchni ciemnię, gdzie wywoływał klisze i robił własne odbitki, które trzymał w pudłach. Wielu, wielu pudłach.

Do piekarni weszła dziewczyna i położyła na ladzie koszyk z zakupami. Czarna sukienka zwisała luźno z jej chudych, kościstych ramion, a cienkie, słabe włosy rozdzielały się z tyłu, ukazując błydy kark. Miała na sobie grube szare pończochy i zdarte, niezgrabne buty. Kobieta za ladą uśmiechnęła się do niej. Uśmiech był promienny, wyjątkowy, szczodry i dobry, i w tym momencie to się stało: materia świata rozdarła się, ujawniając potencjał, możliwość, ukrytą prawdę rzeczy.

Połysek oddzielił się od ocynkowanego blatu, unosząc się w powietrzu: tafla połyskliwego koloru przetykanego jaskrawymi błękitami i zieleniami turystycznych plakatów wiszących na przeciwległej ścianie. Umywalka otworzyła oczy i uśmiechnęła się. Deski podłogowe zrobiły się czerwono-złote i zaczęły się wić i wiercić. Ramiona kobiety spłaszczyły się, niczym herbatniki, jej dłonie unosiły się osobno, tańcząc z nadziewanymi makiem babeczkami do wtóru zacinającego deszczu, dziewczyna zaś w czarnej sukience szybowała w powietrzu, twarzą do dołu, odbijając się od sufitu, śpiewając *Żeglarską dumkę* cienkim, czystym głosem.

*O Mirgorodzie, Mirgorodzie,  
Słodka stolico deszczu i marzeń.*

*Poczekaj na mnie, poczekaj,  
A wróć do ciebie.*

Powoli, ostrożnie, by nie zburzyć magii chwili, Wiśnik podniósł aparat do oka i nacisnął spust. Starannie przewinął film kciukiem i zrobił następne zdjęcie. I jeszcze jedno. Potem otworzył notes i zaczął pisać, zapędzając stronę szybko i płynnie.

*Pollandor, ukryty pod wielką i ludną górną katakumbą z kamienia w sercu miasta, czeka, obracając się.*

*W ciemnościach, rozjarzony własnym światłem, obraca się powoli wokół własnej osi. Nadymając się i kurcząc. Delikatnie.*

*Jak serce.*

*Jak płuco.*

*Jak oddech.*

*Raz na jakiś czas – być może częściej niż kiedyś, ale kto miałby to zmierzyć? – gdzieś wewnątrz Pollandora – w głębinach jego maleńkiego ogromu – pojawia się mikroskopijne rozszczepienie – pęknięcie – ledwie słyszalne, gdyby był ktokolwiek, kto mógłby je usłyszeć, ale nie ma nikogo – najlżejsze tchnienie światła i ziemskiego zapachu.*

*Prawie nic, w gruncie rzeczy.*

*Dojrzewające jajo czasu.*

Łom zatrzymał się przed Arsenalem i spojrzał w górę. Kolumna Przelanej Krwi, smukła i spiczasta, wznosiła się na trzysta metrów. Sztab główny gwardii mieścił się w Arsenale, nie w Łódce, i było to rozróżnienie ściśle przestrzegane. Gwardia, służba będąca czymś pomiędzy wojskiem a policją, uważała siebie za formację elitarną, zbrojne ramię Przywódcy.

Wspiął się po niskich stopniach i pchnąwszy ciężkie, okute mosiądzem drzwi, znalazł się w wysokim pomieszczeniu: podłogi wykładane biało-czarnymi kafelkami; chłodne, cieniste powietrze; echo kroków; zapach pasty, potu, mundurów i starego papieru. Na ścianach widniały napisy, nie propagandowe hasła, jakimi obklejone było miasto, lecz podstawowe prawdy Właści.

WSZYSTKO, CO MA NADEJŚĆ, JUŻ TU JEST.

HISTORIA TO ROZWIJAJĄCA SIĘ BELA TKANINY, TYLE ŻE TKANINA ZOSTAŁA JUŻ SKROJONA, A KAŻDY SZEW ZASZYTY.

Recepcjonista przyglądał mu się zza wysokiego kontuaru.

– Szukam majora Szafrana – rzekł Łom.

– Minęliście się. Wyszedł jakie dziesięć minut temu.

– Gdzie go znaleźć?

– Proszę spróbować w stajni. Będzie z muzykiem. Nigdy nie wychodzi, nie pożegnawszy się z nim najpierw.

Stajnie znajdowały się w osobnym budynku po drugiej stronie placu apelowego. Wysokie na cztery i pół metra wrota z grubych dębowych desek stały otworem. Łom wszedł do środka i znalazł się w wysokiej kamiennej sali: wąskie okna pod sufitem, półmrok, drobinki kurzu w powietrzu. Nie pachniało tu jak w stajni. Ani słomą. Ani skórą. Ani końskim łajnem. Muzyk stał nieruchomo w cieniu na drugim końcu pomieszczenia. U jego stóp, oparty plecami o ścianę, siedział gwardzista.

– Szukam majora Szafrana.

– To ja.

Łom postąpił naprzód. Muzyk poruszył się.

– Spokojnie – rzekł Szafran. – On nic nie zrobi.

W półmroku muzyk jawił się matowoczerwony, barwy cegły i starego mięsa. Był wyższy od wszystkich golemów, jakich Łom w życiu widział, i masywniejszy: ceglasczerwony posąg wykuty w anielskim kamieniu, tyle że to nie był posąg. Łom wyraźnie czuł jego mroczną energię. Jego uwagę. Intensywne, obojętne, bezokie spojrzenie muzyka przesunęło się po nim i okruczeństwo anielskiego kamienia w czole Łoma zawibrowało w odpowiedzi. Było to takie samo uczucie, jak przy dotknięciu biegunów baterii językiem: to samo kwaśne podrażnienie, metaliczne uszczyplenie. Ta sama fałszywa implikacja, że jest się żywym.

Szafran czekał, aż Łom podejdzie. Był zapewne około trzydziestki, gładko ogolony, z włosami przyciętymi krótko i tak jasnymi, że wydawały się pozbawione koloru. Mundur był odprasowany i schludny. Krawat zawiązany w niewielki, ciasny węzeł. Bez munduru mógłby uchodzić za kogokolwiek innego: nauczyciela, urzędnika, prokuratora; dobrze odżywiony, beztrzęściowy, słusznie myślący produkt Właści. A jednak było w nim coś jeszcze: Szafran zdawał się... przebudzony. Siła życiowa muzyka odbijała się w jego wodnistych oczach. Jego szczupłe dłonie poruszały się lekko u boków, a łąpska muzyka powtarzały gest niemal niewidocznie. A pośrodku czoła majora Szafrana, niczym ślepe trzecie oko, tkwiła anielska pieczęć.

– Tak? Mam pięć minut.

Łom zdjął czapkę, by Szafran mógł zobaczyć jego znamię.

Gwardzista chrząknął.

– Czyli wyczuwa go pan.

– Obserwuje mnie?

– Oczywiście.

Łom spojrział muzykowi w twarz. Tyle że to nie była twarz, a jedynie jej surowe, bezokie przybliżenie. Nie patrzyła w żadnym określonym kierunku, nie swoimi oczodołami, a jednak spoglądała na niego.

– Mówią, że są nieżywe – odezwał się Szafran – i używają ich, jakby były kawałami mięsa i skały, ale to nie w porządku, prawda? Pan wiedziałby, o czym mówię.

– Tak?

– My, ludzie z anielskim kamieniem, wiemy to. Wiemy, że one nie są martwe.

Łom podszedł do muzyka i położył dłoń na jego ciężkim udzie. Było gładkie i ciepłe.

– Czy to prawda – zapytał – że mają mózg i kręgosłup martwego zwierzęcia?

– Nie powinien go pan dotykać. On myśli po swojemu. I działa bardzo szybko.

– Mając mózg ze zdechłego kota?

Łom nie cofnął dłoni. Sondował muzyka, tak jak ten sondował jego. Wyczuł odległy puls świadomości. Jak kolory, ale inaczej.

– Nie kota – rzekł Szafran. – Psa. Jest w nim gdzieś, ale to nie ma znaczenia. Naprawdę powinien się pan odsunąć.

To było jak popchnięcie przez manewrującą lokomotywę. Łom ani się spostrzegł, gdy leżał na plecach, z trudem łapiąc powietrze, czując ostry ból w żebrach. Szafran spoglądał na niego z góry.

Łom przekreślił się na brzuch i z trudem ukląkł, wypływając kwaśną ślinę na podłogę. Żadnej krwi. To było coś. Poczuli, jak macki świadomości muzyka wpychają mu się do nosa, gardła, klatki piersiowej.

Przestań!

Odparł atak siarczystym kontruderzeniem. Nie był pewny, jak to zrobił, ale zrobił to. Wyczuł zaskoczenie muzyka. I Szafrana.

Podniósł się chwiejnie, ocierając usta grzbietem dłoni.

– Jest pan szalony – rzekł major.

Łom zaczynał rozumieć relację pomiędzy Szafranem i muzykiem. Istniał między nimi przepływ energii, więź wzajemnej świadomości.

- Czy to pan kazał mu to zrobić?
- Nie, to nie działa w ten sposób.
- Ale mógł go pan powstrzymać.
- Nie wiem. Być może. Nie próbowałem.
- A gdybym próbował pana uderzyć, co by zrobił?
- Broniłby mnie.
- Widziałem pańskie zdjęcie w gazecie.
- O czym pan mówi?
- Plac Ławrowskiego. Dziękował panu prezes banku. Nie byłem pewien za co.
- Za uratowanie pieniędzy.
- Przecież spod pańskiego nosa zwinięto trzydzieści milionów rubli.

Łom pomacał się po żebrach i pomasaował po klatce piersiowej. Skrzywił się z bólu, ale nie wydawało się złamane. Muzyk dokładnie wyważył siłę ataku.

- Mogło być gorzej – rzekł Szafran. – Nie dostali się do banku.
- Nie próbowali. Ich celem był konwój.
- Może tak, może nie. Bank był zadowolony. To nie były ich pieniądze. Nie zostały dostarczone.

- Czekaliście na nich. Musieliście wiedzieć, że się zjawią.

- No to co?

- Mogliście temu zapobiec. Celowo pozwoliliście im uciec.

- Ostrożnie z takimi oskarżeniami. – Muzyk postąpił krok naprzód. – Zdarzały się tu wypadki. Śmiertelne. Muzyk może być niebezpieczny, jeżeli kogoś nie zna.

- Przekupiono was?

- Jak pan się nazywa, panie śledczy?

- Łom, nazywam się Łom.

- I dla kogo pan pracuje, panie Łom? Z kim pan trzyma? Czy ktokolwiek wie, że jest pan tutaj?

- Mając trzydzieści milionów rubli, można przekupić nawet gwardię.

- Odwał się pan.

- No to skąd wiedzieliście, że się zjawią?

- Detektywistyczna robota.

- Mieliście informatora. Zapewne kogoś w samej bandzie. Kto to był?

- Nie uczą was podstawowych zasad tam, skąd pan pochodzi? Jaka jest zasada dotycząca informatorów? Podstawowa zasada?

Nigdy nie zdradzaj jego personaliów, pomyślał Łom. Nawet własnemu oficerowi prowadzącemu. Nawet ty sam musisz na zawsze zapomnieć jego imię. Zapamiętaj wyłącznie

kryptonim. Jedno nieostrożne słowo może zrujnować życie wam obu.

– Macie kłopoty, majorze. Korupcja. Umożliwienie kradzieży wielkiej sumy pieniędzy.

– Nie byłby pan w stanie tego udowodnić. Nawet gdyby było to prawdą.

– A zatem wykonywaliście rozkazy. Czyje? Powiedzcie, czyje.

– Cholera. Widzę, że to nie żarty.

– Chcecie być majorem do końca życia?

– Co takiego?

– Korupcja to jedna rzecz. Ale nikt nie lubi tych, którzy dają się złapać. To niekompetencja. Brak zadatków na dowódcę.

– Sam powinienem pana zabić.

Stopy muzyka poruszyły się, wydając dźwięk niby obracające się żarna.

– Ale nie zrobicie tego. Nie wiecie, dla kogo pracuję. Kto mnie przysłał. Myślicie, że jestem tu ot, tak sobie?

– Kto?

– Nie.

Szafran wzruszył ramionami i spojrzął na zegarek.

– Nie było informatora.

– Ależ był.

– Nie, naprawdę nie było. To był jakiś pijak. Mam ludzi, którzy zaprzyjaźniają się z bywalcami klubów dla artystów. Mają uszy szeroko otwarte. To nietrudne. Artyści są zawsze niezadowoleni. Chełpliwi. Problemem jest, żeby przestali gadać. Ten był spięty nawet we własnym towarzystwie. Uprzejmy, trzeźwy, ale lubi mieszankę brandy i opium, i po kilku kolejkach czegoś takiego przeklina wszystkich wokoło.

– No i?

– Pewnego wieczoru ten idiota zaczął rozgłaszać, że związał się z jakimś wielkim nacjonalistycznym liderem, i że ma torbę pełną bomb. Wszyscy powinniście się mnie bać, powtarzał. Demolka wisi w powietrzu. Opowiadał, że on i jego nowi towarzysze zamierzają okraść konwój z pieniędzmi dla banku, którego nazwę wymienił. Okazało się to prawdą.

– Nazwisko?

– Kręcone włosy. Bawidamek. Ma pracownię gdzieś na dzielnicy. Włamałem się tam dla lepszego rozeznania. Syf. Obsceniczne obrazki.

– Nazwisko.

– Pietrow. Jakow Pietrow.



## 21

Łom chciał wrócić do Centralnego Rejestru, by sprawdzić, czy mają tam teczkę Pietrowa, ale zastał drzwi zamknięte. Silnik Gaucha zakończył już pracę na ten dzień. Zaklął. Co teraz? Spojrzał na zegarek. Parę minut po czwartej. Mógł pójść do biura, ale po co? Uświadomił sobie, że od śniadania nic nie jadł. By zaspokoić głód, potrzebował pieniędzy, a do tego potrzebował Krocha.

W recepcji siedział ten sam asystent. Przesadnym gestem – z podtekstem „nie dla waszych oczu, Łom” – zamknął teczkę, z której zawartością się zapoznawał, i wstał. Wykorzystał w ten sposób przewagę wzrostu.

– Ach. Pan śledczy Łom.

– Załatwił mi pan ładne biuro – rzekł Łom. – Dziękuję.

– Tak myślałem, że się panu spodoba. Jak sprawa Kantora? Ma pan coś do przekazania?

– Nie panu.

Mężczyzna otworzył terminarz.

– Mogę pana umówić z podsekretarzem na dziś wieczór. Jest bardzo zajęty. Ale jakoś pana wcisnę. O dowolnej porze w istocie. Gdy tylko będzie pan gotowy, panie śledczy. Wystarczy jedno słowo.

– Potrzebuję pieniędzy.

Asystent usiadł i oparł się w fotelu, zaplatając dłonie z tyłu głowy.

– Ach tak. Dlaczego?

– Bo to moja praca. Wykonuję ją za pieniądze. Poza tym mam wydatki.

– Rozmawiał pan o tym z podsekretarzem? Jak mówiłem, mogę załatwić panu spotkanie.

– Nie. Proszę mi wypłacić. Wypisać papierek. Otworzyć kasetkę z pieniędzmi. Potrzebuję dwieście rubli. Teraz.

– Jakiego rodzaju wydatki?

– Czyny.

– Ale przecież mieszka pan u znajomego, nieprawdaż? U szacownego profesora Wiśnika na Nabrzeżu Pelikanów. Tamtejszy dozorca to skrupulatny pracownik, nie taki, co dałby się zastraszyć albo przekupić. Tak się składa, że mam przy sobie teczkę Wiśnika. – Otworzył ją i zaczął demonstracyjnie przerzucać kartki. – Mam wrażenie, że z uniwersytetem jest dość luźno związany.

Łom nachylił się i położył dłonie na biurku.

– Wiśnik to mój przyjaciel. Jeżeli coś mu się stanie, będę wiedział, kto za tym stoi. Proszę mi dać te pieniądze. Nie zamierzam żerować na przyjaciółach ani kraść jedzenia, podobnie jak nie zamierzam płacić informatorom z własnej kieszeni. Zwłaszcza niepewnym.

Asystent podsekretarza uśmiechnął się przyjaźnie.

– Oczywiście, panie śledczy. Wszystko dla osobistej policji pana podsekretarza.

– A kimże jest ten jegomość – rozległ się kobiecy głos w tyle – by zasługiwać na specjalne traktowanie?

Łom odwrócił się gwałtownie. Z nie całkiem przyjemnym zaskoczeniem spostrzegł, że w drzwiach stoi sama marszałek Ławrientia Chazajaska, szefowa tajnych służb Własci, ta sama, której przemówienia słuchał owego pamiętnego dnia przed dwoma laty w podczornockiej szkole policyjnej.

– To jest śledczy Łom, pani marszałek – rzekł asystent Krocha. – Wykonuje świetną robotę dla pana podsekretarza. Jako łącznik regionalny.

Łom nie był pewien, czy wychycił w tonie asystenta ironiczną nutę: ukryte znaczenie, moment porozumienia pomiędzy nim i Chazajaską. Tak czy owak, wpatrywała się w Łoma bystro, a on odwzajemnił spojrzenie. Trudno było nie patrzeć. Zmieniła się bardzo od czasu, gdy ją ostatni raz widział. Błysk w oku i drapieżna energia pozostały, ale coś było nie tak z jej skórą. Twarz i szyja upstrzone były ciemnymi plamkami. Plamki były też na rękach: gładkie, twarde i niebieskawe w biurowym świetle. Rozpoznał kolor – miał ten sam na czole – to był anielski kamień. Ale nigdy dotąd nie widział czegoś takiego. Plotki, że Chazajaska eksperymentuje we współpracy z technikami od anielskiego kamienia, że posuwa się coraz dalej, docierały nawet do Podczornoku. Łom nie zwracał na nie większej uwagi, ale wygląda na to, że były prawdziwe.

– Czyli to jest ten słynny śledczy Łom. Pochodzi pan z Podczornoku, nieprawdaż?

Łom był pod wrażeniem.

– Zgadza się – rzekł. – Czuję się zaszczycony. Nie spodziewałbym się, że ktoś taki jak pani... to znaczy, z pani pozycją...

– Och, ja wiem wszystko, panie Łom. Interesują mnie wszelkie sprawy związane ze służbą. – I znowu miał niejasne wrażenie, że miała na myśli więcej, niż powiedziała na głos. Jej jasne, wąskie oczy lśniły dziwnym blaskiem, w którym było coś jeszcze poza zwykłą pewnością siebie. Żądza. Pragnienie. – Na przykład – ciągnęła – wiem, że był pan dzisiaj po południu w Arsenale. I rozmawiał z majorem Szafranem. Nie wątpię, że występował pan w roli... łącznika.

Łomowi zrobiło się niedobrze. Asystent Krocha przyglądał mu się z ciekawością. Łom poczuł się... zagubiony. Zgłupiał. I tak oczywiście miało być. Chazajaska bawiła się z nim jak kot z myszą. Przyszło mu do głowy, że nie pojawiła się w biurze Krocha przypadkowo. Chciała mu się pokazać. Dać mu znać, kim są jego przeciwnicy. Ale dlaczego? Co to miało oznaczać? Jakiś polityczny spór między nią i Krochem, spór, który z nim, Łomem, nie miał nic wspólnego? Możliwe.

– Obaj wyszliśmy spod ręki Sawinkowa – odparł, wskazując na płatek anielskiego kamienia w czole. – Nie spotyka się takich wielu.

Był ciekaw, czy Chazajaska sama rozmawiała już z Szafranem i czy wie o zainteresowaniu Łoma napadem na placu Ławrowskiego i Pietrowem. Ale jej oblicze było nieprzeniknione.

- Oczywiście - rzekła. - Mam nadzieję, że coś pan z tego ma. - Uśmiechnęła się, pokazując rząd równych, ostrych zębów, a jej jasne oczy zabłyśły ponownie, lecz poza tym twarz pozostała nieruchoma, jakby usztywniły ją wszyte pod skórę płatki anielskiej materii. Łom poczuł się jeszcze bardziej nieswojo. Na niepewnym gruncie. Odetchnął z ulgą, gdy zamknęła za sobą drzwi.

Łom wrócił tramwajem do mieszkania Wiśnika.

Asystent podsekretarza Krocha wystawił mu polecenie wypłaty, ale znalezienie kasy zajęło Łomowi ponad godzinę. Było to zaledwie dwadzieścia rubli.

– Dałbym panu więcej, panie śledczy – tłumaczył się asystent – ale nie mogę. Taki mam dzienny limit wydatków. – Nie próbował nawet udawać, że to prawda. – Oczywiście, jeżeli woli pan spotkać się z podsekretarzem...

Przynajmniej teraz miał pieniądze w kieszeni. Wysiadł z tramwaju i kupił cebulę, jagnięcinę, ciastka i parę butelek śliwownicy. Wiśnik nie przyjmie pieniędzy, ale jedzenie to też coś.

Gdy wrócił do mieszkania, Wiśnik czekał na niego, pełen energii, dziwnie podekscytowany, ubrany wyjściowo. Łom usiadł na kozetce i zaczął ściągać buty. Pchnął torbę z zakupami w kierunku Wiśnika.

– Proszę. To na obiad.

– Nie czas teraz na jedzenie, przyjacielu – rzekł Wiśnik. – Jest dopiero szósta. Chodźmy na miasto. Zaprowadzę cię do kina Dreksler.

– Może innym razem. Mam robotę.

– Co to za robota?

– Myślenie.

– Pomyślisz w kinie. Nie można, będąc w Mirgorodzie, nie pójść do Drekslera. To miejsce to istny cud, ósmy cud świata. A dzisiaj jest Święto Spadających Aniołów.

Łom westchnął.

– W porządku.

Nie założył munduru i w zatłoczonym tramwaju byli z Wiśnikiem jedynymi pasażerami w cywilu. Budynek kina Dreksler ozdabiały wielobarwne flagi i czerwono-złote transparenty. Ogromna marmurowa kopuła skąpana była w świetle reflektorów. Pionowe szperacze zamieniły chmurę w rozległy, płynny sufit, który nadymał się i przelewał, spuszczać drobne opady deszczu. W środku dwadzieścia tysięcy foteli, podzielonych na rzędy, sektory i galerie, patrzyło na wielki wodospad karminowej kurtyny. Sala była pełna. Bileterka z latarką i planem sali zaprowadziła ich na miejsce i niemal natychmiast przygasły światła. Dwadzieścia tysięcy ludzi, zebranych w ciemności, poczuło się nagle jak uczestnicy prywatnego przyjęcia.

Puszczono filmy animowane, a potem kronikę filmową, którą otworzyła relacja z wielkiego wiecu w Pałacu Sportu, przetykana zdjęciami z południowego frontu. Sytuacja wojenna rozwija się pomyślnie, zapewniał ciepły, spokojny głos narratora. Armaty waliły z ogłuszającym hukiem, wzniesając tumany kurzu. Maszerowały kolumny żołnierzy palących papierosy, machających i uśmiechających się do kamery. „Obywatelu! Stań na wysokości

zadania! Surmy bojowe grają też dla ciebie!”. Tlum wiwatował.

Komentator czytał wiersz, podczas gdy na ekranie falowały kłosa zboża; pracowały fabryki; przesuwaly się kolumny ciężarówek i czołgów:

*Las sztandarów*

*Uniesionych dłoni, gęsty jak trawa*

*Tysiące maszerują radośnie!*

*Na śnieżnych polach – na ścierniskach*

*W dymiących fabrykach*

*Dla ciebie, towarzyszu Przywódco,*

*Oddychamy – żyjemy – czujemy –*

*Walczymy!*

Widok spadającego do morza zestrzelonego myśliwca Archipelagu spowodował tupanie, buczenie i gwizdy. Ciągająca za sobą warkocz dymu maszyna runęła do wody, wzbijając fontannę białej piany.

Na ekranie pojawiła się znajoma, ojcowska twarz. Twarz spoglądająca codziennie z setek, tysięcy plakatów, okładek książek, pierwszych stron gazet. Przywódca, z jego sumiastym wąsem i wesołym błyskiem w oku.

„Obywatele Właści, przygotujcie się na ważne oświadczenie”, rozległo się z głośników.

Wygląda starzej, pomyślał Łom. Musi być już po sześćdziesiątce. Mijało trzydzieści lat, od kiedy przejął władzę w Radzie i zaaplikował Właści kurację wstrząsową. „Wielkie Oczyszczenie”, tak to się nazywało. Osiem, od kiedy wznowił wojnę przeciwko Archipelagowi. Trzy dekady żelaznej dobrociwości. Idę drogą wyznaczaną przez anioły z pewnością somnambulika, pomyślał.

Widownia powstała, by pozdrowić Przywódcę, i to samo działo się we wszystkich dominiach Właści.

– Obywatele – zaczął Przywódca, spoglądając ufnie z ekranu. – Bracia i siostry, przyjaciele. W tym momencie, co do godziny, mija trzysta siedemdziesiąt osiem lat, od kiedy spadły u nas pierwsze anioły. Tam i wtedy, w Uspeńskim Błocie, rozpoczęła się nasza historia. Z tego wydarzenia wyrasta wszystko, co mamy i czym jesteśmy, nasza wielka i wiecznotrwała Właść. Wszyscy znamy tę historię. Pamiętam, jak matka opowiadała mi ją na dobranoc. Byłem wtedy dzieckiem i słuchałem z wypiekami na twarzy.

Na widowni panowała absolutna cisza. Przywódca jeszcze nigdy nie zwracał się do narodu tak bezpośrednio.

– Matka opowiadała mi, jak sam Założyciel przybył obejrzeć tę niesamowitą istotę, która spada z nocnego nieba. A gdy to uczynił, ujrzał nie tylko anioła, lecz i przyszłość. Niektórzy twierdzą, że anioł przemówił do niego przed śmiercią. Założyciel nie pozostawił na ten temat żadnej relacji, nie wiemy więc, czy to prawda, ale... – tu Przywódca zrobił pauzę i spojrział prosto w kamerę – ...ja wiem, w co wierzę.

Na te słowa rozległ się na widowni szmer aprobaty i ciche oklaski.

– Tamtego dnia – ciągnął Przywódca – Założyciel ujrzał kształt przyszłej Właści. Od lodów

na północy po słońce na południu, od puszczy na wschodzie po morze na zachodzie – jedna Prawda. Jedna Wielkość. To właśnie dał nam pierwszy anioł, drodzy przyjaciele, i zapłacił za to cenę życia.

Lom sprawdził kiedyś w słowniku synonimy wyrazu „Właść”. Zajmowały niemal pół kolumny. Rządy. Panowanie. Władza. Zwierzchność. Kontrola. Kierownictwo. Autorytet. Ster. Przywództwo. Dominacja. Dominium. Urząd. Naród.

– Wy o tym wiecie, przyjaciele – kontynuował Przywódca. – Matki opowiadały wam to, tak samo jak mnie. Ale to nie wszystko. Coś jeszcze przybyło do nas wraz z pierwszym aniołem, i przybywało dalej, gdy z jasnego nieba, niczym dojrzałe owoce, spadały kolejne.

– Martwe – syknął Wiśnik. – Wszystkie, psiakrew, kompletnie martwe.

– Dzielni bohaterowie – mówił Przywódca – polegli w bitwach, od których pęk księżyc. Oddali życie w wiecznej sprawiedliwej wojnie. Wojnie – wtedy i teraz – nie przeciwko wrogom z krwi i kości, lecz przeciwko mocom, ukrytym pryncypiom, przeciwko władcom ciemności, która nas otacza. Co jeszcze przyniosły nam anioły? Czy nie otrzymaliśmy od nich daru pewności prawdy? Spróbujcie to sobie wyobrazić, bracia i siostry, przyjaciele. Wyobraźcie sobie, jeżeli potraficie, czym musiało być życie przed pierwszym anielskim upadkiem, gdy ludzie jak my spoglądali w niebo i zastanawiali się – zaledwie zastanawiali! – co może tam być. Nie wiedzieli nic. Mogli jedynie zgadywać i marzyć. Spekulacje, ciemnota i zabobon. Straszne, mroczne czasy. Aż zostaliśmy od tego uwolnieni. Zamknął się długi wiek zwątpienia. Dano nam niezaprzeczalny, niezniszczalny, namacalny dowód. Od chwili pierwszego upadku możemy powiedzieć o sobie, że wiemy. – Przywódca podniósł się w fotelu i uderzył pięścią o wewnętrzną stronę dłoni. – Wiemy! Dokładnie trzysta siedemdziesiąt osiem lat temu zaczęła się historia Właści Jedynej Prawdy. Obyśmy żyli po wsze czasy pod bezpiecznym skrzydłem aniołów!

Ryk dwudziestu tysięcy gardeł. Okrzyki. Owacje na stojąco. Na ekranie, przewidziawszy taką reakcję, Przywódca czekał, podczas gdy tłumy wiwatowały w pięciu strefach czasowych. Po odpowiednio długiej pauzie podniósł dłoń. Potwierdzając, uspokajając, uciszając.

– A dzisiaj rozpoczyna się nowy rozdział.

Zapadła cisza. To było coś nowego.

– Toczmy naszą własną wojnę, przyjaciele, która jest częścią wielkiej wojny aniołów i jest do niej podobna. Walczymy również przeciwko ukrytym mocom i nieuświęconym pryncypiom. Przeciwko Achipelagowi – wyspom zewnętrznym – nieposiadającym anielskiej akceptacji i poparcia – gdzie nigdy nie spadł żaden anioł. Gdzie ich istnienie nie jest nawet przyjmowane za pewnik. Wielu dzielnych synów Właści poległo w tej walce. Znam ich wszystkich. Czułem ból każdego z nich i płakałem waszymi łzami – was, którzy mnie teraz słuchacie i myślicie o swoich synach i córkach, braciach, siostrach, ojcach, matkach, towarzyszach i przyjaciółach. Wspomnijmy dzisiaj poległych. Winniśmy im niespłacalny dług. Nie wstydźmy się czasem zapłakać nad nimi. Ja tak czynię. Ale i wychwalajmy ich. Znam was wszystkich. Jesteśmy przyjaciółmi. Anioły znają was również. Przyjaciele, jestem tu, by powiedzieć wam, że zwycięstwo jest bliskie! Archipelag przysłała do Mirgorodu ambasadora, by negocjować warunki pokoju. Nieprzyjaciel słabnie. Zaczyna do niego docierać prawda. Tak, przyjaciele. Zwycięstwo jest bliskie. Ostatni wysiłek! Ostatni zryw! Wielki dzień zbliża się. Chcę, byście usłyszeli to z moich ust. Słuchajcie uważnie i zapamiętajcie. W tym dniu prawdy i światła chcę, byście to usłyszeli i mieli pewność. Moja miłość jest z wami. Nasze

zwycięstwo będzie całkowite i jednoznaczne. Nie może być inaczej, gdy nosimy w sobie anielską prawdę. Dobranoc.

Widok Przywódcy za biurkiem zastąpiło teraz zbliżenie jego twarzy w plenerze. Słońce podkreślało kurze łapki w kącikach oczu. Wiatr mierzwił mu włosy. Gdy rozległy się pierwsze takty *Pieśni o Wodzu*, u dołu ekranu pojawił się tekst, a dwadzieścia tysięcy gardeł zaczęło śpiewać:

*O naszym to Wodzu piosenka*

*O naszym Przywódcy jedynym*

*Ku niemu rwą się nam serca*

*I Jego wszyscy wielbimy!*

*O naszym to Wodzu piosenka*

*O naszym Przywódcy kochanym*

*Jego nosimy na rękach*

*I jemu wznosimy sztandary!*

– Psiakrew – rzucił Wiśnik, gdy wyszli na deszcz. – Chodźmy się napić.

Była prawie północ. Po kinie Wiśnik zaciągnął Łoma do knajpy, gdzie pili porzeczkowego cienkusza. Zostałby tam na noc, gdyby Łom nie uparł się, żeby wrócili i coś zjedli. Teraz Łom siedział na kozetce u Wiśnika, wygodnie wyciągnięty. Wciąż bolała go klatka piersiowa po uderzeniu muzyka, ale piecyk w kącie przyjemnie nagrzał w pokoju, a butelka śliwownicy była prawie pusta. W mieszkaniu pachniało gulaszem jagnięcym i naftą, i czymś jeszcze – wywoływaczem. Łom pamiętał zapach hydrochinonu z policyjnej ciemni w Podczornoku.

– Ten zapach. To wywoływacz?

– Co takiego? Ach, tak. Robiłem odbitki. – Twarz miał rumianą. Pił, nie wylewając za kołnierz przez cały wieczór. – Fotografii. Robiłeś kiedyś fotografie, przyjacielu? Wspaniała sprawa. Genialna. Widzisz, to cię całkowicie pochłania. Ta chwila. Stapiasz się z otoczeniem. Obserwujesz interesujący cię obiekt. Patrzysz: jak pada światło, jaka prędkość migawki, przesłona, głębia ostrości. To bardzo intymne myśli. Cholernie intymne. Wszystkie inne tracą znaczenie. Puls ci spowalnia. Ciśnienie spada. Śnisz na jawie. Czas nie istnieje. – Wiśnik dźwignął się chwiejnie na nogi. – Czekaj, pokażę ci. Pokażę. Czekaj.

Miał już zniknąć w kuchni, gdy nagle rozległo się pukanie do drzwi. Wiśnik zamarł i spojrzał na Łoma. W jego oczach znowu pojawił się lęk. Spojrzał na wypakowaną torbę leżącą przy drzwiach.

– Ja otworzę – rzekł Łom. – Zajmę się tym. Poczekaj tutaj.

Otworzył drzwi, na poły spodziewając się zobaczyć mundury. Ale to była tylko młoda kobieta, wpatrująca się weń ciemnymi oczami.

– Och – powiedziała. – Szukałam Raku Wiśnika. Myślałam, że tu mieszka. Przepraszam. Czy wie pan może, pod jakim numerem...

– Marusia? – Wiśnik podszedł bliżej. – Poznałem cię po głosie. Cóż za miła niespodzianka! Nie stój w drzwiach. Chodź. Wejdz. Proszę.

Zawahała się, spoglądając na Łoma.

– Przykro mi, Raku. Chciałam cię o coś zapytać. Ale to może poczekać. Masz gościa. Zjawiłam się nie w porę. Przyjdę kiedy indziej.

– Ależ skąd – zaprzeczył Raku. – W żadnym wypadku. Przy Wissarionie Hipolitowczu możesz mówić swobodnie. To mój druh od najmłodszych lat i dobry człowiek. W razie kłopotów może pomóc. Ale wejdz, proszę, do środka. Ogrzej się. Zjedz coś. Napij się z nami śliwowiczki.

– Nie – odparła. – To nic takiego. Nieważne.

Łom przyglądał jej się uważnie. Żółtawe światło z pokoju Wiśnika padało na jej zatroskaną, inteligentną buzię. Wyglądała na zmęczoną i samotną. Na kogoś, kto potrzebuje przyjaciół. Komu warto pomagać, pomyślał Łom. Chciał, żeby została.

– Proszę się mną nie przejmować – rzekł. – Bardzo proszę. Wygląda pani na zmęczoną.

Zawahała się.



– Dobrze – rzekła wreszcie. – Ale tylko na moment.

Łom odsunął się, by ją wpuścić. Ciągnął się za nią delikatny zapach perfum; nie, nie perfum: natury, otwartej przestrzeni. Deszczu i chłodnej ziemi.

– Cóż – zagał Wiśnik. – W czym mogę ci pomóc? – Ochoczo przemierzał pokój. – Co mogę dla ciebie zrobić? Musi coś być, skoro przyszedł tak późno. Powiedz, proszę. Chcę się wykazać galanterią. Niewiele mam ku temu okazji. Poproś, a spełnię twe życzenie. – Oczy mu błyszcząły. Był już pod dobrą datą.

Marusia ponownie zerknęła na Łoma.

– Nie wiem, czy powinnam... – zaczęła.

– Och, do diaska, Marusiu – przerwał jej Wiśnik. – Mów prosto z mostu, czego ci trzeba.

Wzięła głęboki oddech.

– W porządku. Chcę, żebyś mi opowiedział o Pollandorze, Raku. Chcę, żebyś mi opowiedział o nim wszystko, co wiesz. Wszystko.

Wiśnik znieruchomiał i spojrzał na nią.

– O Pollandorze?

– Tak. – Marusia posłała mu szczere, pełne determinacji spojrzenie. – O Pollandorze. Proszę. To ważne.

– Ale... do diabła... nie tego się spodziewałem... akurat to ze wszystkich rzeczy... – mamrotał Wiśnik. Chwycił kolejną butelkę ze stołu i rozsiadł się na dywanie. – Dlaczego mnie o to pytasz?

– Wiesz coś na jego temat? Możesz mi opowiedzieć?

– Słyszałem o nim. To stara łazarska sprawa. Dawno temu zakazana przez Właść. Nikt nie zna już Pollandora.

– Ja tak – odparła Marusia. – Matka opowiadała mi o nim. Dużo. Wciąż opowiada.

– Naprawdę? – zdziwił się Wiśnik. – Myślałem, że to już... zapomniane historie. – Zwrócił się do Łoma: – Słyszałeś kiedykolwiek o Pollandorze, Wissarionie Hipolitowczu?

Łom wzruszył ramionami.

– Nie. Co to takiego?

– Marusiu? – zapytał Wiśnik. – Powiesz mu?

– Nie – odparła dziewczyna. – Chcę usłyszeć to od kogoś innego.

– W porządku. A zatem... – Wiśnik nalał sobie kolejny kieliszek. – Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się nad tym, jak wyglądał świat przed nastaniem Właści, Wissarionie Hipolitowczu?

– Nie – odparł Łom. – Raczej nie.

– Czterysta lat – rzekł Wiśnik. – Ale równie dobrze mogłoby być cztery tysiące, prawda? Nasza cywilizacja, jeżeli w ogóle możemy ją tak nazwać, żyje od tak dawna w cieniu wojny aniołów, nasza historia jest z nią tak związana, że jej konsekwencje obecne są w naszym sposobie myślenia. Przyniosło to niepowetowane straty. – Wiśnik umilkł na chwilę. – Tego właśnie dotyczy Pollandor. Czasu sprzed anielskiej wojny.

– Sprzed delegacji Łazarów – rzekła Marusia cicho. – Czasu pojedynczego, niepełkniętego jeszcze księżycyca.

– Świat miał wtedy własnych bogów – ciągnął Wiśnik. – Tak opowiadają. Małych bogów. Delikatnych, subtelnych, lokalnych bogów. Ci jednak zniknęli. Wycofali się, gdy zaczęły się anioły. Przewidzieli zniszczenie i straszną, niemożliwą do zniesienia przyszłość. Nie mogli z tym żyć. Ich czas dobiegł końca.

Wiśnik opróżnił kieliszek i nalał sobie kolejny. Łom zastanawiał się, jak bardzo jest pijany. I kiedy ostatnio miał taką widownię.

– Zanim jednak odeszli – ciągnął Wiśnik – jeden z nich, leśny bóg, stworzył kopię świata, całego świata, takiego, jakim był przed upadkiem pierwszego anioła. Był to świat kieszonkowy, świat w hipostazie. Skurczony do rozmiarów pudełka zapalek. Pakiet potencjalności, który miał istnieć poza czasem i przestrzenią, zawierając nie same rzeczy, lecz ich potencjał. Możliwość. Rozumiesz?

– Tak – odparł Łom. – Chyba tak.

– Chodziło o to – kontynuował Wiśnik – by zabezpieczyć tę drugą przyszłość, tę, która w naszym świecie nie mogła się wydarzyć. By mieć ją w zanadrzu. Jako rezerwę. Na wszelki wypadek. Jako zapas. Albo załóżek. Tym właśnie jest Pollandor. Tak w każdym razie głosi legenda.

– Ale co się z nim stało, Raku? – zapytała Marusia. – Gdzie się podział?

– Łazarowie przechowywali go przez jakiś czas, ale potem Właśc im go odebrała.

– Tak – rzekła Marusia. Nachyliła się ku Wiśnikowi, świdrując go wzrokiem. – Ale co się z nim stało? Gdzie teraz jest?

Wiśnik wzruszył ramionami.

– Próbowali go zniszczyć, ale nie potrafili. Potem zaginął. Dlaczego mnie o to pytasz, Marusiu? To stare, zapomniane dzieje.

– Chcę go odnaleźć.

– Odnaleźć? – Wiśnik wyglądał na zaskoczonego. – Jasna cholera...

– Tak. I proszę, nie mów mi, że on nie istnieje. Nie chcę tego więcej słyszeć.

– Ale... Zgoda, to piękna opowieść. Symboliczna. Obrazowa. Ale co każe ci myśleć, że Pollandor naprawdę istnieje?

Marusia zawahała się. Łom starał się odgadnąć, co oznacza jej mina, ale nie potrafił. Spoglądała na Wiśnika bladym, zmęczonym wzrokiem.

– Dzieją się dziwne rzeczy – powiedziała wreszcie. – Przychodzą. Do mojej matki. Z lasu. Była tam kiedyś, dawno temu, przed moim urodzeniem, i coś się wydarzyło. Nie wiem co. Ale od dawna opowiadała o Pollandorze... A teraz... Dziwne rzeczy zaczęły dzieć się również w mieście. Widzę... rzeczy, których tam nie ma... a jednak wydają się bardziej realne od tych, które są... jak przebłyski jakiejś innej wersji świata. Tak, jakby Pollandor próbował się otworzyć. Takie jest to uczucie. I tak właśnie jest. – Umilkła. – Przepraszam. Głupio gadam.

Ale Wiśnik prawie jej nie słuchał.

– Ach, moja kochana dziewczyno! – zawołał. – Ty też widzisz te rzeczy? Myślałam, że tylko ja. I uważasz, że to jest Pollandor? To... to... nie patrzyłem na to nigdy w ten sposób,

ale... to możliwe. To naprawdę możliwe. Cóż za idea. Psiakrew. Tak. Ale...

– Raku? Chcesz powiedzieć, że wiesz, o czym mówię?

– Psiakrew – rzekł Wiśnik. – Mógłbym cię uściskać. Mógłbym cię naprawdę uściskać.

– Czy ktoś mógłby mi wreszcie powiedzieć – wtrącił się Łom – o czym wy dwoje, u diabła, rozmawiacie?

– Powiedzieć? – rzekł Wiśnik. – Czekaj. Pokażę wam. – Podniósł się z niejakim trudem i chwiejnym krokiem ruszył w kierunku kuchni.

– Raku? – rzucił Łom. – Co ty...?

– Czekaj – odparł Wiśnik. – I tak miałem wam to pokazać. Czekaj.

Łom i Marusia siedzieli przez chwilę w niezręcznym milczeniu, podczas gdy Wiśnik grzebał w poszukiwaniu czegoś w małym pokoju i po chwili wrócił, niosąc duże okrągłe pudło na kapelusze. Rzucił je na stolik i zdjął wieko.

– Proszę – powiedział. – Patrzcie.

W pudle były zdjęcia. Całe setki zdjęć. Wiśnik wertował je, wyciągając jedno za drugim.

– Widzicie? – mówił. – Widzicie?

Fotografie były dziwne i piękne. Zachód słońca odbijający się w szybie opuszczonego budynku. Welon połyskującej mgły ścielący się wokół drewnianego domu. Wielka ciemna chmura na niebie. Była w nich wszystkich smutna magia. W promieniach słońca padających na róg ulicy, w zmarszczkach na powierzchni kałuży na chodniku, w tym, jak lśnił w słońcu mech porastający pień drzewa. Poblaski i przeblaski. Ślady i tropy. W fotografiach Wiśnika wyczuwało się czystość intencji, która była poruszająca.

– Coś wam powiem. – Wiśnik wskazał na jedno ze zdjęć. – Ten budynek tutaj. Spójrzcie na niego. Nie istnieje. Nigdy nie istniał. Sfotografowałem go, ale jego tam nie ma. Wróciłem. Nic. – Chwytał następne. Twarz miał czerwoną i woniało od niego silnie alkoholem. – Widzicie ten spalony sklep? Nie było żadnego pożaru. Tę uliczkę? Nie ma jej na żadnej mapie. Widzicie tę wyspę? Na tym akwenie nie ma żadnej wyspy. A ci dwoje nie mają dzieci. Znam ich, Wissarionie Hipolitowiczu. Mieszkają tutaj. A jednak... czy widzisz tego chłopca... tam?

Marusia przyglądała się zdjęciom uważnie, ze skupioną miną, milcząco.

– A te tutaj – rzekł Wiśnik, otwierając niewielkie pudełko i wykładając zawartość na blat – to moje specjały. Cholerne, psiakrew, specjały.

Pierwsze zdjęcie przedstawiało scenę uliczną, lecz znajomy świat został tu wywrócony na nice, zdeformowany. Ulica wpadła w poślizg. Chwiała się i zataczała. Kąty nie zgadzały się. Grunt przechylał się niebezpiecznie, spychając ludzi w stronę obiektywu. Nie było to optyczne złudzenie; ludzie na zdjęciu wiedzieli, że to się dzieje. Brodaty mężczyzna i kobieta w starszym wieku rozpaczali, łapiąc się za głowę. Dziecko wyslizgiwało się z rąk matki.

Marusia chwyciła zdjęcie i długo się w nie wpatrywała.

– Och, Raku – szepnęła wreszcie. – To jest to. Tak. To jest to.

Wiśnik podszedł i usiadł obok niej.

– Jak często widzisz te rzeczy? – zapytał cicho.  
– Nieczęsto – odparła Marusia. – Czasami. A ty?  
– Cały czas. Ale ja tego szukam. Każdego dnia.  
– Od jak dawna się tym zajmujesz?  
– Od dwóch lat – rzekł Wiśnik. – Może dłużej. Inni też to widzą, jestem tego pewny. Tyle że nie jest to coś, o czym się rozmawia z ludźmi.

Łom przypomniał sobie o dzieciobójczyni, o której czytał w gazecie: „Podłogi się zapadają – mówiła. – Czy ktoś może coś z tym zrobić?”. Łom przeglądał pozostałe wybrane przez Wiśnika fotografie. Jedna przedstawiała wnętrze hotelowego baru, lecz ściany rozeszły się, a przez sufit przeświecały gwiazdy. Ludzie też byli w częściach. W rogu zdjęcia unosiła się odwrócona, uśmiechnięta kobieca głowa. Tułów barmana również zawisł w powietrzu, podczas gdy jego – czy na pewno jego? – nogi tańczyły na drugim końcu baru. Na innej fotografii z nieba, niczym boski posłaniec, zstępowała dziewczyna, by wydoić świetlistą krowę. Blask nocnego nieba wprawił ją w taką ekstazę, że głowę zostawiła daleko za sobą. Całe miasto się rozpadało. Rozłaziło w szwach.

– Ty je zrobiłeś? – zapytał Łom.  
– Cały czas – odparł Wiśnik. – Zawsze. – Chwycił jedno zdjęcie i podsunął Marusi pod nos.  
– To z dzisiaj. Nieźle.

Dziewczyna rzuciła okiem i podała fotografię Łomowi. Odbitka była jeszcze mokra. Zdjęcie zrobiono w kawiarni lub cukierni. W powietrzu, pod samym sufitem, unosiła się dziewczyna w czarnej sukni. Błat, który najwyraźniej odczepił się od kontuaru, wisiał obok niej.

– Dobre są – ocenił Łom. – Jak to robisz?  
– Co, myślisz, że to podróbki? – zapytał Wiśnik.  
– Cóż...  
– Pieprzyć podróbki. Oczywiście, że to nie są żadne cholerne podróbki. To się dzieje naprawdę. Tu. W tym mieście. Marusia też to widzi. – Spojrzała na nią. – Nie? Nie mam racji?  
– Tak – odparła. – Masz.  
– Widzisz? – zawołał Wiśnik. – Psiakrew. Po co miałbym wymyślać coś takiego? Falszować rzeczywistość? Pieprzyć to, Wissarionie Hipolitowiczu. Za długo byłęś gliną.

Marusia podniosła nagle wzrok.

– Co takiego? – Spojrzała na Łoma. – Co on powiedział? Ty? Ty jesteś policjantem?

Łom milczał.

– Cóż. – Wiśnik nagle pobladł. – Tak, chyba jest policjantem. Kimś w tym rodzaju. Ale dobrym policjantem. Nie takim, jak myślisz.

– Raku? – powiedziała Marusia cicho. – Co ty narobiłeś?

– Ależ wszystko jest w porządku – zapewnił ją Łom. – Proszę się nie martwić, ja nie...

Ale Marusia nie słuchała go; jej twarz była ściągnięta – lękiem, gniewem lub jednym i drugim, Łom nie był pewny. Wyglądała na... samotną. Chciał wyciągnąć do niej rękę. Nie chciał, żeby odeszła, nie w ten sposób.

– Marusiu... – zaczął.

– Proszę zostawić mnie w spokoju. Nie odzywać się do mnie. Popełniłam błąd. Muszę już iść.

Wiśnik był przerażony.

– Nie – powiedział. – Nie idź. Przecież właśnie... Cholera... Naprawdę nie masz się czego bać. Wissarion to przyjaciel. Również twój.

– Nie bądź idiotą, Raku – odparła Marusia. – Przecież wiesz, że to niemożliwe.

Łom obserwował, jak Marusia wychodzi z pokoju, wyprostowana, silna, dzielna. Czuł, że coś w nim pęka. Jakaś nowa rana. Nowa pustka. Niepewność o posmaku smutku albo głodu, ale inna.

W pociągu zdążającym ku Mirgorodowi od wschodu jest przedział pierwszej klasy, z zasłoniętymi oknami, który kolejowi strażnicy uważają za pusty i zamknięty. Wiedzą – chociaż nie potrafiliby powiedzieć skąd – że jest z nim coś nie tak, jakaś nieokreślona wada wymagająca interwencji mechanika, co sprawia, że przedział nie nadaje się do użytku, a i sami powinni trzymać się od niego z daleka. Nie ma sprawy. W niczym im to nie przeszkadza. Jest to końcowy przedział w ostatnim wagonie, a pierwsza klasa i tak jest w trzech czwartych pusta. Gdy dotrą do Mirgorodu, zacznie się przetaczanie i wkrótce epizod z zamkniętym przedziałem zostanie zapomniany. Gdy pociąg ponownie będzie gotowy do odjazdu, przedział będzie wyglądał normalnie, jeżeli nie liczyć – choć jest mało prawdopodobne, by ktokolwiek miał to zauważyć – leciutkiego zapachu ozonu i leśnej wilgoci w powietrzu.

W tym momencie w zamkniętym przedziale jadą dwie postaci, siedzące w ciemności naprzeciwko siebie. To długa podróż. Gdyby ktoś przypadkiem je zobaczył – ale nikt nie widzi – wydałyby mu się istotami ludzkimi: dwie niemłode kobiety, opanowane, spokojne, cierpliwe, kołyszące się lekko w rytmie jazdy. Obie zdają się odziane w kilka warstw cienkiej tkaniny w zgaszonych barwach lasu, kory i mchu. Głowy mają przykryte, twarze ukryte w ciemnościach. To jest, gdyby miały twarze, których – ujmując rzecz ściśle – nie mają.

Jedna z nich – ta siedząca przodem do kierunku jazdy, jakby chciała szybciej dotrzeć do celu, bo oto jej chodzi – to pałuba. Coś pomiędzy staruchą, czarownicą, jędzą, wagabundą, manekinem, woskową figurą, lalką i marionetką, i chociaż żadne z tych określeń nie jest dokładne, to wszystkie w jakiś sposób odnoszą się do prawdziwej natury postaci, która jest artefaktem starannie zbudowanym z gałązek brzoźowych i kostek ptaków i małych ssaków. Pałuba jest wehikułem, środkiem transportu, obecnie podróżującym wewnątrz innego środka transportu, niosącym świadomość swej stwórczyni i działającym w jej imieniu, podczas gdy ta ostatnia pozostaje w bezkresnej puszczy, w bezpiecznym otoczeniu lasu, którego nigdy nie może opuścić.

Stwórczyni pałuby umieściła pośrodku jej klatki piersiowej, mniej więcej tam, gdzie powinno znajdować się serce, mały kawałek siebie, kulkę pszczelego wosku. Wosk zmieszała ze swą śliną, krwią, włosami, paznokciami, potem i innymi wydzielinami, natchnęła oddechem – i wypowiedziała nad kulką wiele intymnych słów, ugniatając ją w ciepłych dłoniach godzinami przez wiele dni, sprawiając, żeby czuła się dobrze, żeby była silna, tak by pałuba, oddalając się coraz bardziej na zachód, pozostała z nią w kontakcie. Stwórczyni nie towarzyszy pałubie przez cały czas. To byłoby wyczerpujące i niepotrzebne. W razie potrzeby może ją odnaleźć. Może kierować jej krokami, postrzegać jej zmysłami i mówić jej językiem, który jest językiem łani jelenia. W razie potrzeby. Na razie jednak pałuba jest pusta. Czeka, nieskończenie cierpliwa, zwrócona przodem do kierunku jazdy. Ku zachodowi. Ku Mirgorodowi.

Towarzyszka pałuby siedzi zwrócona w odwrotnym kierunku, ku wschodowi, ku krawędzi nieskończonego lasu. I podczas gdy pałuba posiada fizyczne ciało, stanowiąc materialną karykaturę postaci ludzkiej, jej towarzyszka przeciwnie. Pod warstwami odzienia

nie ma nic poza powietrzem, samo powietrze – stężone, gęsto upakowane leśne powietrze. Istota jest chodzącym oddechem lasu.

W miarę jak pociąg powoli zbliża się do Mirgorodu, towarzysząca pałuby boleśnie odczuwa oddalanie się od lasu. Chce wrócić do domu. Potrzebuje wrócić do domu. Nic nie byłoby prostsze niż zawrócić, ale tego nie może zrobić. Tylko jej obecność ożywia bowiem pałubę i pozwala funkcjonować tak daleko od lasu. Bez niej pałuba przestałaby działać. Zamieniłaby się w bezwładną kupkę szmat i rzeczy, z których jest zrobiona. Bez niej misja pałuby skazana byłaby na porażkę, a to oznaczałoby zawiedzenie nadziei lasu, jedynej nadziei ludzkości.

Nazajutrz rano Łom pojechał tramwajem do Łódki. Miał trop od Szafrana – nazwisko Pietrowa, malarza, członka bandy Kantora, który ujawnił planowaną akcję na placu Ławrowskiego. Nie było to wiele, ale zawsze coś. Trop prowadzący do Kantora. Łom próbował skupić myśli na tym ostatnim, ale te rozbiegały się we wszystkie strony. W tle niepokojąco majaczyła postać marszałek Chaziajskiej. Mroczna, naznaczona anielską energią obecność. Pokazała mu się wtedy specjalnie. Igrała z nim. Był tego pewny, chociaż nie znał powodów. Jednak to nie jej twarz wciąż widział na ulicy za oknem, lecz Marusi Szaumian. Zapadła mu w pamięć. Nie podobało mu się, jak patrzyła na niego poprzedniego wieczoru: mieszanina lęku i pogardy w jej wzroku dotknęła go do żywego. Po raz pierwszy w życiu uwierzył go fakt, że jest policjantem.

Tramwaj stanął. Silnik odmówił posłuszeństwa. Pośród zaspanych pasażerów podniósł się szmer głosów.

– Koniec jazdy – zawołał motorniczy. – Brak prądu. Ruch zakorkowany. Pewnie znowu gdzieś maszerują.

Łom westchnął i wysiadł z wagonu. Nie miał daleko.

Rzadkie płatki śniegu sypały się z wahaniem z ołowianego nieba i spadały na ulicę. Ludzie szli pochyleni. W miarę jak zbliżali się do Łódki, tłum gęstniał i zwalniał tempo. W oddali grała muzyka. Hymny. Skreślił za róg i stanął jak wryty: ulicą szedł powoli tłumny pochód.

Szli, nie maszerowali, ze śpiewem na ustach. Starsi mężczyźni w czapkach uszankach i kobiety w waciakach. Licho odziani studenci. Pracownicy Urzędu Telefonów i Telegrafów i tramwajarze. Uczniowie i weterani, w bandażach, kuśtykający. Potem szli golemowie, szurając wielkimi stopami, z trudem nadążając z tempem. Twarze. Twarze. Nieprzeliczone tysiące twarzy, setki transparentów, dziesiątki wznoszonych haseł. *Pokój! Żołd dla żołnierzy! Wolne związki! Prawa dla Łazarów!* Najpiękniejsze transparenty należały do związków i wolnych rad. Były sporządzone z jedwabiu, wyszywane pięknie złotem i czerwienią, ozdobione frędzlami. Trzech mężczyzn dzierżyło drzewce, a trzech kolejnych szło przodem, naciągając specjalne sznury stabilizujące. Jedni i drudzy ubrani byli w długie płaszcze i meloniki.

Szli w jego stronę, więc Łom zszedł z chodnika i przyłączył się do pochodu. To nie byli wywrotowcy lub choćby dysydenci. To w przeważającej większości byli zwykli ludzie, zwykłe twarze, od których biła teraz energia, poczucie celu i dziwna radość. Łom poczuł ciepło ich jedności. Był to rodzaj odwagi. Prawie żałował, że sam jej nie odczuwa. Niektórzy w tłumie spoglądali na niego dziwnie ze względu na mundur, ale nic nie mówili. Ruch uliczny zatrzymywał się, by ich przepuścić. Przechodnie przyglądali się, jedni zdziwieni, inni obojętni. Niektórzy szydzili, lecz inni ofiarowali słowa otuchy, a raz na jakiś czas ktoś się przyłączał. Żandarmi w narożnych budkach ze sklejki niepewnie obracali w dłoniach pałki, unikając kontaktu wzrokowego. Nie otrzymali żadnych instrukcji.

Łom przyglądał się twarzom w tłumie automatycznie, tak jak to zawsze robił. Nie szukając niczego szczególnego, pozwalając, by coś samo zwróciło jego uwagę. Przez tłum powoli



przeciskał się ku przodowi człowiek rozdający ulotki. Miał na głowie charakterystyczny kapelusz typu fedora, a od szarości tłumy odcinała się wystająca spod rozpiętego płaszczka różowa jedwabna koszula. Minął Łoma o kilka metrów, śpiewając refren *Czerwonej Niny* czystym tenorem.

Łomowi zapaliło się światełko w głowie. Ta twarz coś mu mówiła, skądś ją znał, chociaż w pierwszej chwili nie potrafił powiedzieć skąd. Potem doznał olśnienia. Pociągła, dziobata, z tymi szerokimi brązowymi oczami, to mogła być twarz Józefa Kantora. Ten mężczyzna był starszy – oczywiście, że był – a twarz miał pełniejszą niż młody człowiek na zdjęciu Krocha sprzed dwudziestu lat. Ale to mógł być Kantor. Łom był niemal pewny, że to on.

Waliło mu serce. Nie mógł pójść za nim i tak po prostu go aresztować. Pomijając już kwestię tożsamości mężczyzny, gdyby Łom, w mundurze i praktycznie bez wsparcia, próbował teraz siłą wyciągnąć kogokolwiek z tłumy, sprawy przybrałyby nieciekawy obrót. Miałby szczęście, uchodząc z życiem. A z pewnością nie udałoby mu się schwytać Kantora. Szedł więc dalej, obserwując, jak człowiek, który mógł być Józefem Kantorem, lawiruje umiejętnie w tłumie.

Początkowo próbował dotrzymać mu tempa. Wzrost mężczyzny i charakterystyczne nakrycie głowy sprawiały, że trudno go było zgubić, ale fakt, że stopniowo przesunął się ku czołu pochodu, utrudniał sprawę. Gdy Łom ruszył za nim, spowodował zamieszanie. Ludzie popychali go i kłęli. Dwa razy się potknął. Gdyby upadł, skopano by go i podeptano, był tego pewny.

Czyjaś krzepka dłoń ścisnęła go za ramię i obróciła. Nałana, pomarszczona twarz.

– Głupcze. Wynoś się stąd. Co ty robisz? Prowokujesz zamieszki?

Mężczyzna wypchnął go na skraj pochodu. Łom odbił się boleśnie od czyichś pleców. Coś twardego uderzyło go w tył głowy, sprawiając, że poczuł zamroczenie.

– Hej – powiedział inny głos z tyłu. Cicho, niemalże szeptem. – Hej. Spójrz na mnie, dupku.

Łom odwrócił się na tyle szybko, by zauważyć błysk krótkiego ostrza na wysokości pasa. Uskoczył w bok, próbując znaleźć się poza zasięgiem noża. W tym tłumie nie wiedział nawet, kto go trzyma. Zaczynał panikować. Większość idących wciąż jednak ignorowała go; skupione na marszu twarze porządných ludzi chcących przysłużyć się dobrej sprawie. Kantor, jeżeli to był on, zniknął z widoku.

Cholera. Trzeba się stąd wynosić. Ostrożnie, powoli, przecisnął się na bok i wyszedł z tłumy z powrotem na chodnik. Zdał sobie sprawę, że się poci. Przystanął na chwilę, by złapać oddech i zreżnąć się w sytuacji, szukając wzrokiem bocznej ulicy, która doprowadziłaby go do Łódki bez ponownego spotkania z pochodem.

Nieświadom zainteresowania Łoma, Józef Kantor dalej lawirował wśród tłumu. Nie był przywódcą marszu. Nikt nie był. Demonstrację zwołało i uznało za własną kilkanaście separatystycznych organizacji. Istniał tylko zarys scenariusza: przejść prospektem Założyciela pod Łódkę i odbyć tam wiec, z przemówieniami na schodach; potem do oficjalnej rezydencji Przywódcy w Parku Jekatierińskim, by wręczyć petycję u bram.

Liderzy poszczególnych organizacji szli oddzielnie, pod własnymi barwami, podejrzliwie wyglądając szpiegów i prowokatorów. Kantor przesuwiał się od koterii do koterii, każdemu szepcząc słowa uznania i poparcia. Był przyjacielem wszystkich. Jedni zastanawiali się, kim jest. Innym wydawało się, że go znają, chociaż każdy pod innym imieniem: Arłam, Siemion, Foma, Jakim lub po prostu Śpiewak. Niektórzy znali go jako łącznika i negocjatora, który naszkicował treść petycji, arcydzieła porywających słów i szlachetnych żądań, które każdy rozumiał po swojemu.

Liczebność tłumu rosła w miarę, jak szli, przekraczając wszelkie oczekiwania, nawet samego Kantora. Co jakiś czas przebiegali posłańcy, niosąc instrukcje na tył i wracając z wiadomościami o gęstniejącej ludzkiej masie, aż ci na czele zaczęli się zastanawiać, jakie rozpiętały moce, i poczuli się nieswojo. Zaczynali czuć, że zanosi się na coś o wiele większego, niż planowali.

Pochód skończył śpiewać *Czerwoną Ninę* i przeszedł do *Hymnu Łemkego*. Powietrze szczyptało w gardło, lecz serca płonęły żarem. Nie byli już setką tysięcy przypadkowych, pojedynczych ludzi, lecz jednym wielkim stworem kroczącym naprzód z poczuciem mocy i celu. Nowo powstała istotą, której czas właśnie nadszedł.

A potem nagle w tłumie zrodziło się wahanie, rozprzestrzeniając się niczym fala, zamieniając w ciszę i zatorowanie. Pieśń urwała się w niezładzie. Pochód zwolnił, lecz szedł dalej, do wtóru nagle słyszalnego skrzypienia śniegu pod nogami.

Kantor precyzyjnie się na czoło.

– Co się dzieje? – zapytał. – O co chodzi?

– Ponoć dragoni gromadzą się w Łódce. Mają muzyków i ostrą amunicję.

– Plotki. Pogłoski.

– Być może.

Kantor przeszedł do innej grupy. Związek dokerów nigdy nie tchórzył. Chwycił ich lidera, Łopuchina, za rękaw.

– To tylko plotki – powiedział. – Niech idą. Niech dalej śpiewają.

– A nawet jeżeli czekają na nas dragoni? – rzucił Łopuchin. – I tak nas nie zaatakują. My – to naród! Wyobraź sobie, co to będzie za chwila: dragoni odmawiający wykonania bezpośredniego rozkazu!

Ale głos Łopuchina był tylko jednym spośród wielu. Ktoś inny wolał zmienić trasę i ruszyć prosto do Parku Jekatierińskiego. Wywiązała się dyskusja pomiędzy frakcją zalecającą okupację zespołu szkół ekonomicznych a zwolennikami okupacji auli Towarzystwa

Sprzedawców. Kłótnie ciągnęły się, gdy szli prospektem Założyciela, i trwały jeszcze, gdy wyszli na plac Żałościwego Anioła.

Plac był pusty. Na przeciwnym krańcu ku niebu wznosił się ogromny dziób Łódki, a pomiędzy maszerującymi i Łódką stały dwa szpalery konnych dragonów. Na obu końcach szpalerów stały muzyki i jeszcze jeden pośrodku.

Ci na czele próbowali powstrzymać pochód i sprawić, by skręcił, ale ludzka masa poruszała się własnym rytmem i kolejne fale idących docierały na plac. Zaczęło się napieranie i popychanie. Kantor ponownie odszukał Łopuchina i chwycił go za ramię.

– Ruszajmy! – zawołał. – To jest ta chwila! Poprowadź ich, Łopuchin! Stawmy czoło tym żołdakom!

– Do diabła, tak! – zawołał Łopuchin z rozpaloną twarzą i rozognionym wzrokiem. – Zrobię to!

Popchnął swych przybocznych tak, że wypadli na pusty plac. Chwycił sztandar związku i ruszył naprzód, wrzeszcząc i wymachując nim nad głową.

– Chodźcie, chłopcy! Chodźcie! Nie będą do nas strzelać!

Niektórzy ruszyli za liderem z własnej woli, inni popychani przez napierających z tyłu. Kantor wyslizgnął się z tłumu i zajął pozycję w drzwiach sklepu obuwniczego. Z początku nic się nie działo. Dragoni nie reagowali, a demonstranci nabrali śmiałości. Coraz więcej ich wysypywało się na plac. A potem Kantor usłyszał to, na co czekał. Narastający hałas z tyłu pochodu. Z początku brzmiało to jak okrzyki: „Hurra, hurra!”. Potem jednak dało się słyszeć wrzaski i odgłosy wystrzałów niby trzaśnięcia biczem.

Wszystko szło zgodnie z planem. Żołnierze, którzy czekali ukryci w bocznych uliczkach, teraz zaatakowali jednocześnie z flanki i od tyłu. Zaczęła się rzeź.

Przez zaułki i uliczki Łom dotarł wreszcie do Łódki; wszedł bocznym wejściem i skierował się prosto do archiwum. Bez trudu uzyskał teczkę Jakowa Pietrowa – ta, w odróżnieniu od teczki Kantora, była dostępna i nic nie wskazywało, by ktokolwiek przy niej grzebał. Siedział, czytając ją przy jednym z niebieskich biurków pod półkolistym sklepieniem, podczas gdy Silnik Gaucha szumiał i mruczał cicho z tyłu. Włączył lampkę. Mlecznoołyty blask oświetlił błękitną tapicerkę. Jednak Łom nie mógł się skupić. Bolała go głowa, jak wtedy w gabinecie Krocha. Kolorowe płatki co jakiś czas przelatwały mu przed oczami.

Pomasował się po czole, wyczuwając pieczęć anielskiej skóry pod palcami, gładką i chłodną, lekkie zgrubienie konturów. Po niebezpiecznym epizodzie z pochodem był spięty i podenerwowany. Prześladowało go wspomnienie Kantora – to był on, nie miał wątpliwości – spokoju i swobody, z jaką poruszał się w tłumie, jego pewnej miny. Nie wyglądał na kogoś, kto jest ścigany.

Ale było coś jeszcze, co niepokoiło Łoma głębiej: obserwując maszerujący tłum, zapragnął być jego częścią. Dołączył do pochodu za Kantorem. Chciał – teraz zdał sobie z tego sprawę – być jednym z nich. Na jakimś instynktownym poziomie stał po ich stronie. A jednak... wrogość, pogarda, nawet nienawiść, jaką w nich wzbudził... A właściwie nie on, lecz jego mundur. Po raz drugi w krótkim czasie poczuł się nieswojo z powodu faktu, że jest policjantem.

Odepchnął te myśli od siebie – fakt, że mało brakowało, by stracił życie w pochodzie, wytrącił go z równowagi, to wszystko – i skupił się ponownie na teczce Pietrowa. Nie była zbyt obszerna. Pietrow był malarzem o inklinacjach modernistycznych, nieakceptowanych przez Właść. Jego twórczość nie cieszyła się wielką popularnością, nawet w środowisku. Był drobnym figurantem: teczkę miał tylko z powodu swoich kontaktów z ważniejszymi rybami. Artystami. Kompozytorami. Pisarzami. Tak zwaną inteligencją. Przesiadali w klubie zwanym Szkarłatnym Świstakiem, gdzie Pietrow zdawał się niemalże mieszkać. Miał temperament: teczka zawierała relacje o sprzeczkach i przepychankach, w jakich brał udział. Była też afera z ramiarzem. Pietrow twierdził, że zostawił u niego tuzin prac do oprawienia, ramiarz zaprzeczył, jakoby cokolwiek o tym wiedział, na co Pietrow oskarżył go o kradzież i paserstwo. Wniósł oficjalny pozew. Ramiarz twierdził, że Pietrow winien mu jest pieniądze za poprzednie roboty, a dokumentów żadnych nie było. Oficer zajmujący się sprawą nie mógł nic zrobić. Napisał jednak raport. To musiał być dla niego jeden ze spokojniejszych dni w pracy.

Pietrow miał niewielu przyjaciół – pisał autor raportu – poza pewną kobietą, która mu pozowała, pracownicą zakładów odzieżowych przy Dworcu Wielandzkim. Jej nazwisko zanotowano dla porządku, chociaż nie podano adresu ani numeru teczki osobowej. Szaumian. Marusia Szaumian.

Łom usiadł wygodnie w fotelu i wziął głęboki oddech. Kręgi kontaktu. Młoda kobieta, która przysłała wczoraj do Wiśnika, która uciekła, gdy dowiedziała się, że jest policjantem, była przyjaciółką Pietrowa. A Pietrow był kontaktem osobowym Szafrana. Pietrow był członkiem kręgu Kantora.

Łom próbował stworzyć sobie mentalny portret Pietrowa. Teczka dawała tylko zarys człowieka, tyle, ile widać było przez obiektyw inwigilacji. Ciekawiło go, jak maluje. Do wewnętrznej strony okładki przyspilony był wycinek z „Mirgorodzkiej Pszczółki”, datowany na wczesną wiosnę: recenzja wystawy w Szkarłatnym Świstaku. Wcześniej Łom nie zwrócił nań uwagi, teraz przeczytał treść uważnie.

„Błędem byłoby zignorować twórczość Jakowa Pietrowa – pisał recenzent – chociaż wielu to czyni. Ten młody malarz rozwija się w ciekawym kierunku. Jego drażliwa osobowość, w elitarnych kręgach artystycznych znana być może lepiej niż same obrazy, manifestuje się w pokazywanych tu trzech podobiznach jako niespokojna energia. Pietrow nie ma cierpliwości do niuansów stylu – cecha godna podziwu – i nie jest uprzejmym portrecistą, lecz jego barwy są oryginalne, a gest malarski pełen szwungu. Poprzez swych modeli Pietrow pokazuje współczesnego mieszkańca Mirgorodu. W oczach portretowanych czai się niepokój, a tło zdaje się postrzępione, niepewne, jakby miało się zaraz rozpaść. To z pewnością młodzieńcza twórczość, tym niemniej pełna odwagi i nadziei. Wiele obiecujemy sobie po Jakowie Pietrowie w przyszłości”.

Pod recenzją podpisany był Raku Wiśnik.

Kręgi kontaktu.

Nagle zamieszanie wyrwało Łoma z zamyślenia.

– Żołnierze! Żołnierze na placu! – zawołał czyjś przestraszony głos gdzieś w górze. Czytelnicy w ogromnej sali podnieśli głowy jak na komendę. Łom poszukał wzrokiem źródła dźwięku.

– Nacierają! – zawołał głos ponownie i wtedy Łom zobaczył, skąd dociera: ktoś wychylał się zza balustrady górnej galerii, gdzie znajdowały się wysokie łukowe okna. Wymachiwał gwałtownie rękami. – Dragoni nacierają! – krzyczał. – Pozabijają ich wszystkich!

Łom wbiegł na górę po schodach. Ludzie obserwowali demonstrację, tłocząc się przy oknach. Wcisnął się pomiędzy nich i spojrzał ponad dachami, starając się przeniknąć wzrokiem szare powietrze, w którym wirowały płatki śniegu.

Dragoni posuwali się naprzód tyralierą, a za nimi, stopniowo wysuwając się na czoło, kroczyły muzyki. Niektórzy demonstranci panikowali i próbowali kryć się w ulicach odchodzących od placu, ale tam też czekała na nich policja. Byli w potrzasku. Tłumem wstrząsnął dziwny dreszcz, gdy jeźdźcy przeszli do klusa, podnosząc szable i nahajki. Potem konie wpadły między demonstrantów i zaczęło się siekanie i smaganie. Muzyki, poruszające się z zadziwiającą szybkością, dołączyły do bitwy, rozdając razy pięściami i depcząc tych, co upadli.

Dragoni wycofali się, otoczyli tłum i zaatakowali ponownie. I jeszcze raz. Łom obserwował, jak grupa mężczyzn ściąga jednego z jeźdźców z konia, kopie go, skacze po nim i sieka go jego własną szablą.

Działo się jeszcze coś innego, ale tylko Łom zdawał się to widzieć. Na placu było więcej ludzi. Łom dostrzegał ich pomiędzy demonstrantami i dragonami: rzadko rozsiany tłum półprzezroczystych postaci, zmęczonych i nieświadomych rozgrywającej się wokół masakry. Nie byli starzy, lecz już siwieli. Zgarbieni, nienaturalnie chudzi, o skórze suchej i pozbawionej życia niczym gazetowy papier. Odzywali się tylko wtedy, gdy było to konieczne;

ich głos nie miał mocy, słycać go było jedynie na parę kroków. Szepty. Dragoni cwałowali przez nich, jakby wcale ich tam nie było. Bo nie było.

Niebo nad placem przekrzywiło się nagle i z niskich, łożwianych chmur wyspało się inne niebo, podrapane i purpurowe. Pomarańczowe słońce toczyło się przez jego skłon niczym odrąbana głowa, rozświelając chmurne wąwozy. Za szarozielonymi fasadami znajomych budynków przy placu wznosiło się teraz inne miasto. Pozbawione cech charakterystycznych wieżowce rosły na tle siniego nieba. Nad wszystkimi nimi górował kolos w kształcie białej kolumny. Dziesięć razy wyższy od tamtych, pięćdziesiąt od prawdziwej zabudowy Mirgorodu, piął się w górę, poziom za poziomem, wysoki na ponad pięćset metrów, podparty po bokach żłobkowanymi przyporami, które same w sobie były wielopiętrowymi budynkami. Najwyższa jego część była gigantycznym kamiennym posągim mężczyzny. Stał z lewą nogą wysuniętą ku miastu, z prawą ręką uniesioną w geście pozdrowienia i władzy. Miał gołą głowę, a poły długiego płaszcza wyglądały, jakby rozwiewał je wiatr. Chociaż posąg znajdował się o dobry kilometr dalej, Łom wyraźnie widział każdy szczegół pociągłej, dziobatej twarzy. Wzrok mężczyzny sięgał w dal, a jednak nie umykał mu żaden szczegół życia milionów drobnych istot kłębiących się u stóp. Był widoczny z każdej ulicy w Mirgorodzie. Wyrastał ponad horyzont niczym latarnia morska dla kosmicznych statków. Był wujem, ojcem, bogiem. Miasto, przyszłość, należały do niego.

Posąg przedstawiał człowieka, którego Łom obserwował na demonstracji. Człowieka, którego młodzieńcza twarz spoglądała śmiało w obiektyw na zdjęciu w teczce Krocha. Józefa Kantora.

Umoszczony w swym zakątku poza czasem i przestrzenią, Pollandor wyczuwa bliskość śmierci na placu Żałościwego Anioła. Czuje stąpanie muzyków, rozlew krwi. Panikę.

Dla Pollandora jest to stwardnienie, zastój... i rozluźnienie uchwytu. Coś mu się wymyka. Staje się nieprzejrzyste, mętne. Otaczająca to cisza ciemniejce w oddali.

Pollandor wylania się ze studni milczenia.

Łom stał przy oknie przez dłuższy czas, wpatrując się w gigantyczny biały posąg Kantora, wyrastający na ponad pięćset metrów nad kanciastym, bezstylowym miastem. Wiedział, że tego, co widzi, tak naprawdę tam nie ma. Jeszcze nie. To było miasto możliwe. Miasto przyszłe. Czuł, jak nabiera kształtów, konkretyzuje się. Miał przed oczami jeden z tych przebłysków, o których rozmawiali Marusia z Wiśnikiem. Scenę z któregoś ze zdjęć Wiśnika. Ale z pewną zasadniczą różnicą: tamto było miastem miękkich możliwości, nagle otwierania się na wnętrze i prawdę, a to było twarde, okrutne i milczące. Zamknięte. Miasto urawniłowki. Triumfalnego łęku. Miasto szeptów i dominium Kantora, imperialne i ogromne. Mirgorod był polem bitwy, obszarem sporu: dwa przyszłe miasta próbujące się narodzić. Miasto twarde zwyciężało.

A po której stronie był on?

Ale nie tak brzmiało pytanie – jeszcze nie. Najpierw trzeba było zdefiniować same strony. Kantor był wrogiem Właści, a jednak to pod auspicjami jego podobizny dragoni masakrowali tłum na pacu Żałościwego Anioła. Wiśnik i Marusia szukali miasta miękkiego pod fasadami i brukiem Mirgorodu, drząc ze strachu przed policją Właści. Czyli przed nim. Mundur nagle

zaczął napawać go obrzydzeniem. Jakim był policjantem? Zmusił się, by przestać o tym myśleć. Jednego był pewien. Kantor. Trzeba go powstrzymać, a to jego zadanie. Łom odsunął się od okna. Powziął postanowienie. Miał robotę do wykonania.

Gdy schodził z galerii na dół, wielka czytelnia była niemal pusta. Tylko kilka osób wciąż siedziało przy biurkach, z głową w dłoniach, wpatrywało w przestrzeń albo udawało, że pracują, próbując nie zwracać uwagi na dźwięki krwawej łaźni. Byli wyłączeni. Nic nie zauważą.

Zamiast skrócić w lewo u podnóża schodów i wrócić do swojego biurka, Łom poszedł w prawo, okrążając salę, aż dotarł do masywnych drewnianych drzwi z rzędem luksferów na wysokości wzroku.

ARCHIWUM TAJNE. NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP SUROWO WZBRONIONY.

Pchnął drzwi i zamknął je cicho za sobą. Poczul, jak pocą mu się dłonie.

Korytarz był pusty. Mleczny blask szklanych kul zwieszających się z wysokiego sufitu oświetlał kolejne drzwi, każde opatrzone wizytówką z ręcznie wypisanym numerem. Czasem nazwiskiem. Łom szedł powoli korytarzem, czytając wizytówki po kolei. Trwało to wieczność.

„Marsz. Ł.M. Chaziajska”.

Łom chwycił mosiężną klamkę, nacisnął i pchnął. Zamknięte. Napał mocniej, ale drzwi ani drgnęły. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wyważyć ich kopniakiem, ale narobiłby zbyt wiele hałasu. W kieszeni miał zestaw wytrychów. Palce, mokre od potu, zrobiły się nagle niezgrabne. Dopiero za trzecią lub czwartą próbą dobrał odpowiedni rozmiar narzędzia. Serce waliło mu tak głośno, że musiał nachylić się i przytknąć ucho do zamka, by słyszeć, co robi.

Wreszcie zamek ustąpił.

Zamknął drzwi za sobą i włączył światło. Pojedyncza błada świetlówka. Zielona lamperia, puste biurko, rzędy metalowych regałów z teczkami i pudełkami papierów. Łom wszedł między regały, odcytując fiszki. Nietrudno było znaleźć to, czego szukał. Marszałek Chaziajska była metodyczna. Fioletowa teczka Józefa Kantora stała na swoim miejscu pod literą „K”. Była opasła. Chwycił ją i wcisnął pod mundur.

Gdy wychodził, coś sprawiło, że cofnął się do półki z literą „L”. Dużo cieńsza, jasnorożowa teczka. „Łom, Wissarion H. Śledczy policji”. Schował ją za pazuchę obok tamtej.

Był dalej w połowie wciąż niemal opustoszałej czytelnii, prawie przy wyjściu, gdy przypomniał sobie, że nie zgasił światła. Jakaś archivistka gapiała się na niego. Nie mógł nic zrobić.

Wyszedł na plac. Śnieg przestał padać, a w powietrzu wisiał teraz deszcz. Zapach prochu i trupów.

Ludzie chodzili po placu, samotnie i w małych grupkach, od ciała do ciała, szukając znajomych twarzy, mając nadzieję żadnej nie znaleźć. Ślizgali się po mokrym od śluzu i krwi bruku. Dragoni odjechali, a policjanci, nie wiedząc, jak się zachować, nie reagowali. Nikt nie dowodził. Widmowi przechodnie wciąż mijali się, podążając przez plac w sobie tylko znanych celach.

Jednak parę przecznic dalej wszystko było normalnie. Ulice pełne ludzi. Ruch. Łom

wsiadł do tramwaju linii Wandianka, by przedostać się na Nabrzeże Pelikanów. Na miejscu wstąpił do sklepiku i kupił niewielki gumowany worek z wodoszczelnym zamknięciem. Potem usiadł na ławce i przyglądając się łodziom na kei, zaczął od niechcienia kopać czubkiem buta o bruk. Gdy udało mu się obluzować kamień, nachylił się, by wyciągnąć go z ziemi, po czym ukradkiem schował do kieszeni.



Na drugim końcu miasta, w pokoju w Domu na Purdach, pałuba siedziała przy stole, obserwowana bacznie przez członków Centralnego Komitetu Tajnego Rządu Łazarstwa na Emigracji Wewnętrznej. Wietrzyca stała obok, napełniając powietrze zapachem lasu, ozonu i butwiejących liści.

Pięciu członków komitetu piło bursztynowy napar ze szklanek z podstakannikiem, czekając, aż pałuba zacznie. Czekali cierpliwie, przyjmując długą perspektywę, jak ich ojcowie, dziadowie i pradziadowie. To było ich miejsce, ich reguły. To oni nieśli brzemię przeszłości. Ich zadaniem było przechować tradycję. Któregoś dnia obalą Właść i przywrócą dawne prawa. To oni stali za łazarskimi powstaniami, łącznie z Rebelią Birzełską. Ich dzieła i plany obliczone były na stulecia, lecz ich dzień nadejdzie, a wtedy będą gotowi.

– Szanowna pani – zaczął mężczyzna siedzący u wezłowania stołu. Był starszy, z krótko przyciętymi, gestymi siwymi włosami, ze złotą szpilką w klapie ciemnego, dobrego garnituru. – Proszę... Od wielu lat nie dotarł do nas emisariusz z lasu. Jesteśmy bardzo ciekawi pani wieści....

– Homeostaza – powiedziała pałuba. – Równowaga. Archipelag. Kontynent. Las.

Mówiła cicho, tak brzmiało jak szelest liści na wietrze. Mężczyźni pochylili się lekko, by lepiej słyszeć.

– Od stuleci – mówiła pałuba. – Rządzi równowaga.

Siwowlasy skinął głową.

– Obecny Przywódca jest słaby – powiedział. – Jego pozycję podkopują wrogowie wewnętrzni i zewnętrzni. Przegrywa wojnę z Archipelagiem. Nadchodzi nasz czas.

Wiedziała, że jest kłamcą. Homeostaza jest dobra – to miał na myśli. Równowaga jest zadawalająca.

Pałuba położyła dłoń na stole. Zrobiona z gałązek, ziemi i wosku, tkwiła niczym ćma na polerowanym blacie, przyciągając wzrok obecnych.

Zabierz stąd, myśleli. To jest okropne, obrzydliwe. Zabierz to z naszego stołu.

„Słuchajcie, co do was mówię – chciała im przekazać pałuba za pośrednictwem dłoni. – Ja jestem Innym, Nie Wami. Ale jestem tutaj. Słuchajcie mnie. Wasz świat nie jest taki, jak myślicie”.

– Wszystko się zmieniło – powiedziała na głos, spoglądając kolejno na każdego z mężczyzn pustymi oczodołami. – Wasza homeostaza została naruszona. W lesie spadł anioł, który żyje.

– Niemożliwe!

– Jest ranny. Nie może się poruszyć, ale próbuje się uwolnić i może mu się udać. To zdecydowanie najsilniejszy z dotychczasowych.

– Ostatni anioł spadł osiemdziesiąt lat temu – powiedział mężczyzna po prawicy Siwowlosiego. – I żaden nigdy nie przeżył upadku. Niebiańska wojna dobiegła końca. Nawet niektórzy ministrowie Właści przyznają to dzisiaj...

– Zaczekaj, Jefimie – przerwał mu Siwowłoso. – Pozwól jej mówić.  
– Energia anioła przesącza się do skały, która go więzi. To zabija las. Starsze drzewa umierają.

– Nawet jeżeli to prawda... – zaczął mężczyzna zwany Jefimem, ale pałuba zignorowała go.

– Anioł się boi. Czuje, że słabnie. Więdnie. Szuka sposobu obrony. Albo ucieczki.

– Piotrze! Chyba nie będziemy tego słuchać...?

– A teraz anioł znalazł sposób – ciągnęła pałuba. – Buduje sojusz. Tutaj, w Mirgorodzie.

Inny z mężczyzn przysunął się do Siwowłosego i szepnął mu na ucho:

– Czy nie możemy pozbyć się tych okropnych istot? Ten zapach...

Pałuba była tak wyczulona, że słyszała nawet trzepot skrzydeł motyla.

– Jefim ma rację – rzekł człowieczek w kamizelce. – Nie ma na to czasu. Jutro będziemy mieli w garści trzydzieści milionów.

– Mówiłem już, że nie powinniśmy tykać tych pieniędzy – wtrącił pucułowaty mężczyzna w okularach. – Organizacja bojowa Kantora stosuje nieuzasadniony gwałt i przemoc. W efekcie cierpi nasza reputacja...

– Bzdura! – zakrzyknął człowieczek w kamizelce. – To jest wojna! Nie możemy sobie pozwolić na skrupuły. My siedzimy beczynnienie, a ludzie umierają. Pogromy. Procesy pokazowe. Egzekucje. Całe ulice czyszczone z ludzi, podczas gdy my siedzimy i gadamy.

To były głosy, tylko głosy, tak wiele bezużytecznych, nierozróżnialnych, męskich, niepotrzebnych, wątpiących głosów. Pałuba prawie ich nie słuchała. Zrozumiała już, że nic tu po niej. Wiedziała to, od kiedy zobaczyła szklanki z herbatą i poczuła zapach strachu w pomieszczeniu. A jednak nie może się poddawać. Musi spróbować wszystkiego.

– Nie ma czasu! – powiedziała. – Można powstrzymać to, co się dzieje, ale musimy działać niezwłocznie. Natychmiast! Sojusz łazarski i las...

– A co takiego mielibyśmy zrobić? – zapytał mężczyzna zwany Jefimem. – Wysłać Kantora i jego organizację? Żeby obrzucili anioła granatami?

– Odpowiedź tkwi w Pollandorze.

Jefim wstał.

– Mam dość tych bają. I tych odrażających... istot. Zawołajcie mnie, kiedy to się skończy.

Pałuba poczuła narastającą niechęć zgromadzonych.

– Pollandor się budzi – powiedziała. – Promieniuje. Zaczyna wyciekać, może wręcz rozpadać się. Nawet w lesie dało się odczuć.

– Pollandor nie istnieje. To tylko bajki. DUBY SMALONE.

– Nadszedł czas – mówiła pałuba grzmiącym szeptem. – Otwórzcie Pollandora. Tak brzmi wiadomość z puszczy. Nie ma chwili do stracenia. Musicie to zrobić.

– To, o co prosisz, jest niemożliwe. Nawet gdybyśmy wiedzieli, jak go otworzyć... czymkolwiek on jest...

– Nawet gdyby istniał... gdyby nie był tylko mrzonką, urojeniem...

– Przynoszę wam klucz – rzekła pałuba. – Daję wam go teraz. To jest posłanie, które wam niosę, dar od tego, który śpi.

– Pollandor jest w rękach Właści – rzekł mężczyzna zwany Piotrem. – Jeżeli już go nie zniszczyli. Przykro mi. Nie możemy pani pomóc. W żaden sposób.

Czyli porażka. Wiedziała, że tak będzie, gdy tylko weszła do pokoju, a teraz uzyskała potwierdzenie. Ale był jeszcze jeden sposób. Córka starej Szaumian. Miała nadzieję, że to nie będzie konieczne. Było to rozwiązanie... niepewne. Dowiedziono tego wiele, wiele razy. Ale musi spróbować. Jeżeli zdąży.

Łom zastał mieszkanie Wiśnika puste. Włączył lampkę, nalał sobie kieliszek akwawitu i otworzył teczkę Kantora. Początki były standardowe: akta studenckie; raporty tajnych współpracowników na temat życia prywatnego, znajomości i kontaktów. Potem następował wyciąg z procesu uczestników Rebelii Birzeńskiej oraz nakaz zesłania. Uwagi na temat zachowania osadzonego w obozie poprawczym. Coś o żonie. Pojechała za nim na zesłanie, ale zaszła w ciążę z kim innym, porzuciła Kantora i wróciła do miasta.

Łom przeczytał wszystkie dokumenty, ale mówiły one niewiele ponad to, czego dowiedział się od Krocha. Dopiero na samym końcu, w oddzielnej torebce strunowej, znajdowały się luźne kartki z ręcznymi dopiskami, które wyglądały, jakby pisała je drapieźna, szponiasta dłoń. Pod niektórymi widniały inicjały: LMC.

Lawrientia Makarowna Chaziajska.

Łom wyprostował się i zaczął czytać uważnie. To było coś innego. Kolejne próby ucieczki Kantora. Przemoc wobec innych więźniów. Zmiażdżył kapusiowi dłoń w imadle. „Bardzo zaradny – dopisała Chaziajska na marginesie. – Dominuje nad całym obozem. Strażnicy przestraszeni. Komendant nie chce rozmawiać”.

Na innej kartce, innym piórem, dopisane były słowa: „Dzisiaj rozmawiałam z K. Zgodził się”. Do raportu dołączona była pojedyncza kartka papieru w linię, wyrwana z kolonotatnika, wypełniona pismem Chaziajskiej, pospiesznym i miejscami nieczytelnym. Długo trwało, zanim odcyfrował treść, ale niektórym fragmentom i tak nie dał rady:

„Przemówił do mnie w Wigu! To anioł, żywy anioł! Nie ma co do tego wątpliwości. Jesteśmy uznawani, akceptowani. Jego moc! Ta moc... [nieczytelne] ...drżą mi dłonie. Nie mogę tego zatrzymać... [nieczytelne] ... zapisać, zanim wyblaknie. Nie słowa – idee, wrażenia, myśli – grzmiące potoki światła. Wiele jest stracone... [nieczytelne] ...wspaniała. Dzisiaj jest ten dzień! Tutaj zaczyna się nowa Właść. On przemawia również do Kantora. Do niego też”.

Następowało kilka dalszych notatek skreślonych dłonią Chaziajskiej. Zdawały się relacjonować kolejne spotkania z Kantorem, choć były niedatowane. Luźne słowa i cyfry. Łom nie był w stanie ich rozszyfrować. Na dole marszałek dopisała: „Rozmawia z nim. Zawsze z nim. Nigdy ze mną”.

Istniało wejście do Łódki znane tylko najbardziej sekretnym i zaufanym sługom Właści. Miało postać sklepiku zajmującego parter odrapanego budynku z czerwonej cegły. W zakurzonej, słabo oświetlonej witrynie wisiały zdjęcia nagich tancerek. Książki w tekturowych okładkach. Towar popakowany w papierowe torebki z wypisanymi ręcznie cenami. Zaschnięte truchła much i nocnych motyli.

Właścicielem był gruby brodacz, zawsze w rękawiczkach i prążkowanej koszuli, znany tylko jako Goździk. Gdy wypowiedziało się odpowiednie słowa, kiwał głową, podnosił kontuar i prowadził przez zabrudzone szklane drzwi na zaplecze. Stamtąd wychodziło się na ogrodzone z czterech stron podwórko i dalej wąskimi schodami w płataninę tuneli i piwnic. Łatwo było zgubić się w tym podziemnym labiryncie, lecz Józef Kantor dobrze znał drogę.

Nie była to przyjemna trasa. Kantor nie lubił jej i wykorzystywał możliwe najrzadziej. Panowała tu wilgoć i półmrok i pachniało stęchlizną. Tunele i przejścia wykładane były czasem kamieniem, częściej jednak deskami, które butwiały i gnily. Podłoga, usiana kałużami mazistej brei i śmieciami, była zdradliwa. Katakumby ciągnęły się pod większą częścią Mirgorodu. Były pozostałością oryginalnego założenia, a może nawet – jak twierdzili niektórzy – o wiele wcześniejszej osady, poprzedzającej przybycie Założyciela. Kantor wierzył raczej w to drugie. Czasem słyszał odgłosy – szuranie stóp, szmer głosów, odległe okrzyki – i widział ślady ciągnięcia czegoś ciężkiego po ziemi. Nie wszyscy pierwotni mieszkańcy moczarów opuścili je po wybudowaniu miasta, a część z tych, którzy odeszli, wróciła. Kantor odczuwał tu nie tyle nerwowość, co... niesmak.

Doszedł do zagradzającej drogę metalowej kraty. Miał klucz, więc otworzył ją i znalazł się w krytym przejściu pod jednym z prowadzących do Łódki mostów. Niewidoczne z brzegu i z okien budynku, prowadziło ono do poziomu minus jeden gigantycznego kompleksu. Znalazszy się w środku, Kantor przeszedł okrężną drogą, korzystając z nieużywanych korytarzy, wind przemysłowych i pozornie ślepych klatek schodowych, do gabinetu Ławrientii Chazajskiej, szefowej tajnej policji w stołecznym mieście Mirgorodzie.

Wziął sobie krzesło, postawił je przed biurkiem i usiadł. Chazajska czytała dalej, jak gdyby nigdy nic. Jej twarz zawsze kojarzyła się Kantorowi z czymś rumianym i okrutnym. Z twarzą jędry. I te ciemne, gładkie miejsca, gdzie jej skóra zamieniała się w kamień: było ich coraz więcej. Obserwował, jak mimowolnie drapie anielskie znamię na grzbiecie dłoni, jakby ją swędziało. Przegina, pomyślał.

– To był całkowity sukces – przerwał milczeniu.

– Co? – zapytała, nie podnosząc wzroku.

– Marsz na Łódkę.

– Ach, to. Ale musimy porozmawiać o czymś innym, Józefie. Jesteś spalony. Kroch wie, kim jesteś. Zna twoją tożsamość.

– Kroch jest stary i zmęczony.

– Jest sprytny – powiedziała Chazajska. – Wie, że spiskujemy przeciwko niemu i wie, że

nie może ufać własnym ludziom. Dlatego podjął pewne kroki. Ściągnął śledczego z prowincji. Kompletnego outsidera. Nasłał go na ciebie.

Kantor chrząknął.

– Jeden śledczy? To chyba da się załatwić. Zajmiesz się tym?

– Oczywiście.

– Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby ktoś nam przeszkadzał.

Marszałek podniosła wreszcie wzrok znad papierów.

– Nie możemy się więcej spotykać, Józefie. Musimy zmienić plany. W każdym razie w odniesieniu do ciebie.

– Mnie nie można wymienić na kogoś innego, Ławrientio Makarowna. Anioł przemawia do mnie, nie do ciebie.

Chazajaska drgnęła, a jej oczy rozszerzyły się niemal niedostrzegalnie. Znowu podrapała się po grzbiecie dłoni i zwilżyła usta czubkiem języka. Jakże łatwo ją przejrzeć, myślał. Wszystko jak na dłoni. Sama nie wie, że to robi. Jakże jej zależy, by być blisko władzy! Jak bardzo tego pragnie! Chce czuć jej gorący oddech na skórze, otworzyć dla niej nogi. Jest zazdrosna, bo anioł nawiedza nie ją, lecz mnie. Poczula to raz i chce poczuć znowu. Połknęła haczyk.

– I co mówisz? – zapytała wszechwładna marszałek. – Co mówi ci anioł?

Widział, jak jest słaba. Pragnienie bycia blisko władzy to nie to samo co pragnienie władzy, myślał. To coś odwrotnego.

– Niecierpliwi się – rzekł. – Nalega na pośpiech. Obiecuje.

– Obiecuje?

– Mnie, Ławrientio. Nie tobie. Mnie.

– To oczywiście, że coś takiego powiesz. By ratować własną skórę.

– Anioła nie da się okłamać. Zwiesć.

Chazajaska ponownie oblizała wargi, które były blade i wąskie.

– On tu jest? Jest tu... teraz?

– Oczywiście, że nie. Nie mógłbym z tobą rozmawiać.

– Dlaczego wybiera ciebie, Józefie? Dlaczego nie przychodzi do mnie?

Kantor milczał.

– Wiesz dlaczego?

– Nie.

– Mógłbyś zapytać.

– Nie.

Chazajaska westchnęła i opadła w fotelu.

– Co ci obiecuje, Józefie?

– Gwiazdy. Galaktyki. Wszechświaty. Wschód czerwonego słońca.

– Co to oznacza?

Kantor spojrział na nią w milczeniu.

- Nie oznacza nic – rzekła marszałek.
- Przekazał mi polecenie. Pollandor musi zostać zniszczony.
- On wie o Pollandorze?
- Wie wszystko.
- A zatem wie, że nie jesteśmy w stanie go zniszczyć. Próbowaliśmy i nie potrafimy.
- Musicie.
- To nie zmienia oczywiście twojej sytuacji – przejęła inicjatywę Chazijska. – Logika jest nieodparta.
- Nie dla mnie.
- Pomyśl, Józefie. Spójrz na to z mojej perspektywy. Wkrótce do gry wejdzie Żelazna Gwardia i zrobi porządek. Obecny chwiejny i słaby reżim upadnie. Ze świeżym wigorem wznowimy słuszną wojnę.
- Ze mną przy tobie, Ławrientio. Taka była umowa. Musi być dotrzymana.
- Zważ jednak na coś, Józefie. Co będzie, jeżeli Kroch odkryje powiązanie między nami? Jeżeli będzie w stanie to udowodnić? Jeżeli pójdzie z tym do Przywódcy, a my nie będziemy gotowi? Rozumiesz, że tak się nie może stać.
- Kantor przyglądał jej się spokojnie. Milczał.
- Co byś zrobił na moim miejscu, Józefie?
- Wzruszył ramionami.
- To nie jest takie skomplikowane. Kroch musi umrzeć.
- Powieka jej zadrżała.
- Widzę cię na wylot, kobieto. Ty gadatliwa, naszprycowana botoksem jędo.
- Nic nie jest łatwiejsze od śmierci – rzekł na głos. – Im więcej śmierci, tym lepiej dla sprawy.
- Ale...
- Rozwiązanie jest proste – ciągnął Kantor. – Kroch musi zginąć. Oczywiście... – spojrzał jej prosto w oczy i nie spuszczał wzroku – jeżeli ciebie na to nie stać, sam się tym zajmę. To nie ma znaczenia, liczy się efekt.
- Chazijska spiorunowała go wzrokiem.
- Zajmę się tym – powiedziała. – To nie stanowi problemu.
- Dziękuję – rzekł Kantor. – To dobrze. Ale oczywiście nie po to tu przyszedłem.
- Po co więc?
- Mam kilka próśb. – Uśmiechnął się. – Nie wątpię, że ich spełnienie również nie będzie problemem.
- Chazijska zachnęła się.
- Bądź ostrożny, Józefie. Nie posuwaj się za daleko. Nie jesteś... bezpieczny.
- Nikt nie jest bezpieczny, Ławrientio. Taki jest świat. Ale są rzeczy, które mogłabyś dla mnie zrobić.
- Mianowicie?

– Moja była żona, ta bladź Fejga-Ita.

Chaziajska spojrzała na niego zaskoczona.

– Co z nią?

– Zabijcie ją. I jej bękarcię.

– Rozumiem, ale... przecież mógłbyś zrobić to sam. Masz ludzi...

– Chcieliby znać powód. To by utrudniło sprawę.

Chaziajska odchyliła się w fotelu, myśląc.

– W porządku – powiedziała wreszcie. – Ale będziesz mi coś winien, Józefie. Służba nie jest twoim osobistym plutonem egzekucyjnym. Czy to wszystko?

– Nie. Chcę, żebyś zabrała mnie do Pollandora. Chcę go zobaczyć.



W mieszkaniu Wiśnika Łom nalał sobie kolejny kieliszek akwawitu i sięgnął po teczkę oznaczoną swoim nazwiskiem. Była to typowa teczka osobowa, zawiązana tasiemką. Rewers na okładce pokazywał, że została wypożyczona marszałek Chaziajskiej zaledwie poprzedniego dnia. Dnia, kiedy dotarł do Mirgorodu i spotkał się z Krochem. Rewers kontrasygnował osobisty sekretarz Krocha.

Teczka zawierała dokumentację niewybitnej kariery. Przeciętne wyniki na studiach. Zablockowane awanse i odrzucone prośby. Krytyka, skargi i oskarżenia. I jeszcze coś. Najświeższy dokument. List. Łom odczytał go kilka razy, aż treść wryła mu się w pamięć. Był adresowany do rektora Instytutu Prawdy w Podczornoku.

*Wasza Magnificencjo,*

*klaniam się Panu do samej ziemi i polecam Pańskiej pieczy chłopca, którego mój oddział znalazł podczas likwidacji osady Sałachardka w ramach akcji karczowania lasu. Chłopiec nie odzywa się do nas, ale sądzimy, że jest dzieckiem ludzi prostych, a zatem obecnie sierotą. Nie ma pewnie jeszcze sześciu lat, a sumienie nie pozwala nam zakończyć życia tak młodego. Z nami jednak pozostać nie może. Rozkazano nam maszerować dalej na wschód, w głąb puszczy. Być może dałoby się go nauczyć Jednej Prawdy? Jest jeszcze młody.*

*Pański uniżony sługa*

*kapitan S.W. Łapin*

Łom rozsiadł się wygodnie. Głęboko pogrzebane wspomnienia; najwcześniejsze wspomnienia; początki. Leżał pod drzewem, sękatym starym bukiem o grubych, częściowo odkrytych korzeniach i rozłożystej koronie rzucającej błękitny cień na wiosenną zieleń trawy. Nad drzewem, niby przycumowany ognisty statek, wisiało słońce, a z gęstwiny dobiegały odgłosy rozmaitych drobnych stworzeń. Powietrze wypełniał zapach ziół i rozgrzanej ziemi, a on czuł grunt pod plecami. Słyszał szelest liści i gałązek poruszających się jak na wietrze. Patrzył w górę, przyglądając się konarom drzewa, tam gdzie pień rozdzielał się i zamieniał w koronę z milionem liści, świeżych i mięsistych, rozświetlonych zielonozłotym blaskiem przesączającego się przez nie słońca. Drzewo wdychało światło i wydychało obłoki woni.

Pachnący oddech drzewa był jego głosem, jego chemiczną mową. Za jego pośrednictwem przemawiało do owadów w korze i konarach, ostrzegając je i jednocześnie uspokajając. Przemawiało do sąsiednich drzew, które mu odpowiadały: drzewo rozmawiające z drzewem, aż po kraniec puszczy. I przemawiało do niego. W pęcherzykowatych ostępach jego płuc i synaptycznych zwojach kory mózgowej zachodziły psychoaktywne zjawiska.

W podczornockim instytucie nadano milczącemu chłopcu imię – Wissarion Łom – i zabrano mu to wszystko.

Wspomnienia odeszły. Łom siedział nieruchomo przez dłuższą chwilę, zmęczony i pusty,

nie myśląc o niczym, słuchając krzyków mew krążących po niebie o barwie morza. Było tak, jakby wypływał na powierzchnię z głębin. Zmierzchało już, gdy wreszcie się poruszył. Zebrał papiery i swoje notatki i schował je do wodoszczelnego worka, który następnie obciążył kamieniem i ukrył w spłuczce toalety. Potem usiadł, by poczekać na Wiśnika. Czekają ich wyjście do Szkarłatnego Świstaka. Spotkanie z Jakowem Pietrowem.

Z każdym krokiem muzyka stawała się głośniejsza. Nad obitymi blachą drzwiami migał czerwony neon: „Szkarałtny Świstak”. Łom pchnął drzwi. Uderzyła go fala gorącego, przepelnionego dymem papierosowym powietrza i hałasu. Wnętrze było jednym wielkim rozgrzanym do czerwoności kotłem. Czerwonym jak oficjalny kolor Włści i jej propagandy, jak krew, jak seks i pożądanie. Podekscytowani ludzie rozmawiali, przekrzykując muzykę.

Wiśnik poszedł przodem, torując drogę przez tłum, aż dotarli do stolika. Obok samotnie tańczył młody mężczyzna o niewidzącym spojrzeniu i pobielonej twarzy. W błysku światła Łom spostrzegł na jego policzku poszarpaną bliznę. Przy stoliku obok mężczyzna z bródką palił papierosa z półprzymkniętymi oczami. Jego towarzyszka wyglądała na znudzoną. Jej bluzka lśniła jedwabią. Kobieta od pasa w dół była naga. Zaśmiała się, dopiła drinka i dołączyła do młodego człowieka o pobielonej twarzy, rytmicznie potrząsając biodrami i kreśląc dłońmi skomplikowane wzory w powietrzu. Tańczący nie zwrócił na nią uwagi. Na ławce w rogu para młodych ludzi uprawiała seks.

– Kim są ci ludzie? – zapytał Łom, nachylając się, by wykrzyknąć pytanie Wiśnikowi do ucha.

Wiśnik wzruszył ramionami.

– To nie ma tutaj znaczenia. Przychodzą tu, by być kimś innym. Na zewnątrz, w dzień, są sprzedawcami. Kelnerami. Byłymi adwokatami albo generalskimi żonami. Przychodzą tu, by być częścią akcji. I stopniowo się rozkręcają. Kolejna kreska. Kolejny drink. Tutaj przychodzi się, by wykorzystać do maksimum ciało własne i ewentualnego partnera. Czy to cię szokuje?

– Nie – odrzekł Łom. – Nie. Nie szokuje. – Bywał w miejscach w Podczornoku, gdzie tłuści bogacze przychodzili pić i obmacywać dziewczyny, ale to było co innego. Tutaj w jakimś sensie czuł się komfortowo. Rozejrzał się ponownie, poszukując wzrokiem twarzy. – Widzisz Pietrowa? Jest już?

– Nie, ale jeszcze wcześniej.

Kelner przyniósł butelkę szampana i dwa kieliszki. Łom obserwował, jak ją odkorkowuje i nalewa.

– Wyluzuj – powiedział Wiśnik. – Wczuj się w klimat.

Spowolni wzrok przyzwyczajając się Łomowi do panującego we wnętrzu czerwonego półmroku. Ściany wyłożone były szkarłatnym pluszem i obwieszone wielkimi lustrami w złożonych ramach, co sprawiało, że pomieszczenie zdawało się większe niż w rzeczywistości. Stoliki ustawione były gęstym półkolem wokół parkietu, gdzie tancerze wyginali się pomiędzy grupkami ożywionych dyskutantów. W głębi znajdowało się niewielkie podwyższenie sceny, zasłonięte kurtyną, a w rogu grupa muzyków grała na nowoczesnych instrumentach. Rozpoznał niektóre: heklofon, lupofon, bandoneonium i organy szklane. Pozostałych nie potrafił nazwać. Pociągnął łyk szampana i skrzywił się. Był ciężkawy, z metalicznym posmakiem. Spodziewał się po Świstaku czegoś lepszego: galerii sztuki, powiedzmy, z intensywnymi rozmowami i herbatą z samowara. A przecież sztuka była tu obecna. Dzikie,

kociaste malunki na ścianach. U sufitu wielki manekin w żołnierskim mundurze i z głową niedźwiedzia. Przycupnięta w rogu postać stwora o ośmiu kończynach i sześciu rzędach kobiecych piersi. Łom zdał sobie sprawę, że ma to być anioł. Rzeźba wykonana była ze zwierzęcych kości, starych butów, skrawków skóry i odpadów. W oczach płonęły świece, a z karku zwieszała się tabliczka z odręcznym napisem: „Ojczyzna”. Poniżej ktoś przykleił do ściany kolaż z hasłem: „Sztuka to dług! Niech żyje mięsno-maszynowa sztuka Forbatu!”.

Z nagłym akcentem muzycy umilkli, a kurtyna odsunęła się, odsłaniając niewielką scenę. Rozwinął się czerwony transparent: „Kabaret Neo-Emocjonalny”. Po sali przebiegł ironiczny szmerek i rozległy się skąpe oklaski. Wiśnik nachylił się ku Łomowi.

– Spodoba ci się. To coś innego. Coś nowego. To jest naprawdę dobre.

Na scenie, wewnątrz dużej drewnianej skrzyni, kucał mężczyzna, wykrzykując nonsensowne słowa przez megafon:

– Zaum! Zaum! Babu-zaum! – skandował. Muzycy grali atonalną kocią muzykę. Łom wychwytywał pojedyncze fragmenty niemalże otwartego tekstu:

*Obudźcie się, samoudręczeni łajdacy!*

*Materialiści! Zjadacze chleba! Mirgorod to klif*

*śnieg spiętrzonych zasp – świt dnia.*

*Późny zimowy brzask – zmęczony – drżący –*

*spada na rzekę jak epidemia ospy.*

Łom poczuł ulgę, gdy występ dobiegł końca. Kurtyna zapadła i muzycy ponownie zaczęli grać. Różowe reflektory oświetlały parkiet. Łom nie zauważył tancerki wcześniej i teraz zaczął się jej przyglądać. Piersi miała nagie, a rozcięcie długiej, migoczącej sukni ułatwiało taniec. Była szczupła, muskularna, z niedużym, szczupłym biustem i krótko obciętymi czarnymi włosami, nie tańczyła szybko, nie namyślając się wiele, pokrzykując i podskakując do muzyki, zbliżając się do siedzących i oddalając ze wzruszeniem ramion. Bawiąc się. Niczego nie udając. Po prostu będąc sobą.

Potem, żegnana oklaskami i okrzykami, zniknęła. Muzycy wstali i przeszli do baru, zostawiając tylko klawiszowca, by snuł lekkie, zwiewne melodie.

Wiśnik złapał Łoma za ramię i szepnął mu do ucha:

– Przeszedł Pietrow. Stolik obok baru. Zielona koszula.

Wzrok Łoma pobiegł ku grupie mężczyzn słuchających zwalistego, brodatego jegomościa, który przemawiał podniesionym głosem, akcentując tok wypowiedzi uderzeniami pięścią w stół. Pietrow siedział w kącie, milczący i spięty, spozierając na mówcę z wyraźną niechęcią. Łom przyjrzał mu się uważnie. Był dziki, z ciemnymi kręconymi włosami, długim, ostrym nosem i brązowymi oczami pełnymi pasji, inteligencji i gniewnej, szalonej energii. Zaciśnięte wargi były pełne i niemal sine. Wyglądał, jakby otrzymał cios i próbował się nie rozplakać. Gdy odchylił się w krzesle, jakby po to, by jeszcze bardziej zdystansować się wobec mówcy, poły rozpiętej do pasa koszuli rozchyliły się, ukazując białą, kościstą klatkę piersiową.

– Poznasz nas? – zapytał Łom. – Chcę z nim pogadać.

Wiśnik ujął na poły opróżnioną butelkę szampana i kieliszki i ruszył w stronę stolika. Łom postąpił jego śladem. Niektórzy z mężczyzn skinęli głowami. Brodacze i Pietrow nie

zareagowali.

– Miasto jako całość – mówił brodac z głęokim, dźwięcznym głosem – jest instynktem o energetyzującej mocy. Źródłem inspiracji. Im więcej marszów, strajków i zamieszek, im intensywniejsza konfrontacja, tym lepiej dla sztuki. Podniecenie na ulicach i w fabrykach jest jak żyłowanie silnika przed wyścigiem. Dodaje otuchy. Jest cudozne. Wspaniałe. Potrzebuję go przez cały czas, by móc tworzyć. To paliwo, na którym jadę.

Umilkł na chwilę, by pociągnąć łyk.

– Słyszeliście? – wtrącił młodzieniec z pobieloną twarzą. – Przywódca ogłosił, że odąd wszystkie jego apele będą się odbywać po zmroku. Czy to nie genialne? W całej Właści już wieczór. Północ! Przywódca, chociaż sam się do tego nie przyzna, jest artystą.

Brodacz prychnął.

– Przywódca! Wiecie, co powiedział o moim obrazie przedstawiającym jezioro Syrkał? – Powiódł wzrokiem po słuchaczach, jakby rzucał im wyzwanie. – Namalowałem wodę w żółciach i czerniach, a on: „Jako myśliwy wiem, że nie tak Syrkał wygląda”. Tak więc dzisiaj zakazuje nam używania barw innych niż te, które zwyczajowo postrzegamy. Po co komu, pytam was, malarz, który widzi tak jak wszyscy? Każdy idiota potrafi zobaczyć to, co zwyczajne. Ale czy boję się Przywódcy? Nie!

– A czy on boi się ciebie, Brachu? – zawołał Pietrow, podrywając się nagle. W rękę trzymał szklaneczkę czegoś ciemnego i gęstego. – Czy Przywódca boi się ciebie? O to przecież chodzi, nieprawdaż? Sądzę, że się nie boi.

Brach zmierzył go ostrym wzrokiem.

– Co chcesz powiedzieć?

– To, że twoje obrazy są niczym. Wszystkie nasze obrazy są niczym. Ten klub jest niczym. Obchodzi Przywódcę tyle co zeszłoroczne śniegi. Jesteśmy tu tylko dlatego, że jego wzrok jeszcze na nas nie padł.

– Trzy moje obrazy znalazły się na Wystawie Sztuki Zdegenerowanej. Trzy.

– Robią z nas pośmiewisko i tyle. Dla odwrócenia uwagi. Myślisz, że Przywódca nie może spać po nocach, bo namalowałeś żółto-czarną wodę?

Pobielona twarz zachichotał.

– Najpiękniejszy kształt – zacytował – najszlachetniejszy obraz, jaki kiedykolwiek powstał, nie wyszedł z pracowni żadnego artysty: to stalowy hełm żołnierza piechoty. Artystów powinno się przywiązywać do ich dzieł jak do pęgierza, by każdy obywatel mógł napluć im w twarz.

Brach zignorował go. Wpatrywał się w Pietrowa.

– A co z tobą, Jakowie? – wycedził. – Czy Przywódca boi się ciebie? Ile twoich obrazów znalazło się na wymyślonej przez niego wystawie?

– Malarstwo się skończyło – odparł Pietrow spokojnie. – Mówiłem ci. Idzie nowe w sztuce. A wkrótce pozna moje imię. Pozna mnie po moich dziełach. Wszyscy mnie poznacie. O tak, powinien się mnie obawiać.

– Dlaczego? – przerwał ciszę Łom. – Co zamierzasz zrobić? Obrabować bank?

Pietrow rzucił mu ostre spojrzenie.

- Ktoś ty?
- To mój kumpel, Jakowie – pospieszył z wyjaśnieniem Wiśnik. – Przyjechał z prowincji.
- To widać – rzekł Pietrow. Obrócił się do Łoma. – I jak ci się tutaj podoba? To nasze laboratorium. Wszyscy tu jesteśmy naukowcami. Badamy nadchodzącą apokalipsę.
- Ty chyba próbujesz ją wywołać.
- Nie śmieję się ze mnie.
- Jeżeli stawiasz – huknął Brach wesoło – to możesz się śmiać, ile chcesz! – Ciężką dłonią chwycił butelkę Wiśnika, opróżnił resztkę jednym haustem i pomachał w stronę baru. – Jeszcze jedną! Dwie! Jesteśmy niedopici! Kumpel Wiśnika stawia!

Pietrow wstał.

- Pij, aż się porzygasz – powiedział. – Kryzys trwa, ale ty nie zauważyłbyś go nawet, gdyby ugryzł cię w dupę. – Ruszył chwiejnym krokiem ku wyjściu.

- Sam jesteś szalonym pijakiem, człowieku! – krzyknął za nim Brach. – Szalonym pijakiem napędzonym tą berbeluchą, którą w siebie wlewasz.

Łom wstał i poszedł za Pietrowem. Na parkiecie wpadł na młodzieńca w wysadzaną cekinami krynolinie i ćwiekowanych napierśnikach, który chciał z nim tańczyć. Gdy się uwolnił i wybiegł na dwór, Pietrow był już w połowie ulicy.

- Czy możemy chwilę porozmawiać?

- Po co?

- Jestem ciekaw. Zgadzam się z tym, co mówiłeś, i chciałbym dowiedzieć się więcej.

- Nie wierzę, że zrozumiałeś choćby jedno moje słowo.

- Być może nie znam się na malarstwie, ale wiem sporo o detonacjach.

- Co to ma wspólnego?

- Twoje słowa brzmiały bojowo. – Deszcz stęzał, popędzany teraz podmuchami zimnego wiatru. Pietrow, wciąż w rozpiętej koszuli, wydawał się nie zwracać na to uwagi. Łom żałował, że nie wziął płaszcza. W uszach mu dzwoniło. – Chyba że to był tylko bluff. Jak w przypadku Bracha.

- Masz rację. Ha! Błefujący Brach!

- A ty?

Stali teraz twarzą w twarz. Oczy Pietrowa, wielkie i ciemne, błyszczały. Łom czuł od niego zapach słodczy i alkoholu.

- Ja mam ideę – odparł Pietrow wolno. – Zamiar. Cel.

- Chciałbym o tym posłuchać.

- Posłuchasz. Jak już to zrobię.

- Dlaczego nie powiesz mi teraz? Mógłbym ci pomóc. Chodź, schowajmy się gdzieś, postawię ci kolejkę.

- Pomoc nie wchodzi w grę. Pomoc nie jest konieczna. Podobnie jak rozmawianie. Można działać albo rozmawiać, ale nigdy jedno i drugie. Powinieneś powiedzieć to Brachowi. Im wszystkim. Żaden z nich nie widzi różnicy pomiędzy działaniem i gadaniem. Na tym polega ich problem.

Ruszył dalej, Łom za nim.

– Porozmawiajmy jednak. Zdaje się, że mamy wspólnego znajomego.

– Kogo? – zapytał Pietrow, nie zwalniając kroku.

– Józefa Kantora.

– Kantora?

– Znasz go?

– Ty powiedziałeś, że go znam.

– Domyśliłem się.

– Kantor zwany Krabem. Józef Krebs. Józef Rak. Śmierdzi od niego obozem. Nie jest w stanie zmyć z siebie tego zapachu. Myślę, że zamienił się tam w pancierz, w który się następnie schował i siedzi w nim już tak długo, że zaczął się z nim utożsamiać. Nic tylko pancierz i pancierz, i wystające ze środka oczka na czułkach, jak u kraba. Ale ludzie go lubią. Wiesz o tym, kumplu Wiśnika? Uważają, że posiada czar. Mówią, że w tych swoich krabich oczach ma ten sam błysk co Przywódca. Ale to idioci. W nim już nie ma człowieka. Jest tylko krab. Żółw. Karaluch. I powiedzieć ci o nim coś jeszcze? – Pietrow odwrócił się i stanął przed Łomem, chwiejąc się lekko, niepomny kropel deszczu ciekących mu po twarzy. Zaczął mówić bardzo powoli i wyraźnie. – Powoduje nim jakiś ukryty cel. – Dźgnął Łoma wskazującym palcem w pierś. – Podobnie jak tobą.

– Mną?

– Nie podobasz mi się, kumplu Wiśnika. Nic a nic. Włosy masz za krótkie. Za bardzo wężysz. Zbyt wielu rzeczy nie dopowiadasz i grasz w zbyt wiele gier. Wiśnik powinien lepiej dobrać sobie przyjaciół. Ty go wykorzystujesz. Nosisz jak płaszcz. Albo jak brodę.

– Ja...

– On o tym wie, ale zgadza się. Oto prawdziwy przyjaciel. A ty sprowadzisz na niego zgubę. Myślisz, że nie potrafisz rozpoznać gliny?

Był środek nocy. Łom leżał na kozetce u Wiśnika pod cienkim kocem, bez powodzenia próbując zasnąć. Kozetka była ciasna, a piecyk w rogu dawno wystygł. Całe ciepło ulotniło się już z pomieszczenia, alkohol też przestał działać i Łom poczuł się nagle zmarznięty i trzeźwy. Przez szparę między zasłonami sączył się młeczny blask dwóch połówek księżyca, wiszących na szklistym, bezgwiezdnym, bezchmurnym niebie. Pokój był w nim skąpany, przez co wszystko wydawało się spopielałe, monochromatyczne, kruche. Oskarżenie Pietrowa wciąż dzwoniło mu w uszach: „Myślisz, że nie potrafię rozpoznać gliny?”.

Któregoś dnia, gdy miał około czternastu lat, posłano go z czymś na miasto i na rogu koło sklepu Altera zauważył dziewczynkę w zielonej sukience otoczoną przez grupkę chuliganów. Szturchali ją:

– Co masz w torebce? No pokaż!

Łom mógł odejść, ale nie zrobił tego.

– Hej! – krzyknął. – Zostawcie ją!

Pobili go. Ciężko. Ten największy, ostrzyżony na rekruta, walił go w twarz. Za każdym ciosem Łom przewracał się na ziemię. Ale potem potrząsał głową i wstawał. I znowu ten duży go uderzał. Łom padał. I wstawał. Z początku krzyczał na nich. Wrzeszczał.

– Odwalcie się! Zostawcie mnie! Nic wam nie zrobiłem!

Ale to wkrótce minęło. Zamilkł. Wpadł w rytm. Cios. Upadek. Powstanie. Cios. Upadek. Powstanie. Nie było tu miejsca na krzyk. Ani powietrza.

– Uwielbiam to – mówił jeden z chłopaków. – Zrób to jeszcze raz, Sawa. Uderz go. Dalej. Tak. To jest świetne.

Łom krwawił i nie do końca uświadamiał sobie, co się dzieje. Wszystko wydawało się nieważkie i odległe. Ciosy prawie nie bolały. Za każdym razem, gdy upadł, wstawał. Niemy, bezsensowny opór. Twarz miał odrętwiałą. Nie było miejsca na myślenie. Tylko automatyczna determinacja, by po każdym upadku powstać na nogi.

W końcu przyszedłby moment, że już nie mógłby powstać, ale zanim to nastąpiło, Sawa przestał. Patrzył na Łoma z rodzajem szacunku. Wtedy podszedł któryś z giermków Sawy i sam wymierzył Łomowi cios, ale nie miał siły herszta, a Łom był uodporniony. Tym razem się nie przewrócił, lecz spojrzał gnojnikowi prosto w świńskie oczka bez śladu zainteresowania.

– Zostaw go – powiedział Sawa. – Wystarczy mu.

Łom poczuł wtedy do niego rodzaj sympatii, co zawstydzało go po dziś dzień. Jednak ten moment instynktownego zbliżenia, pomyślał potem, nauczył go czegoś. Wdzięczność ofiary wobec oprawcy. To, jak bardzo było to uczucie podobne do miłości.

Sawa zabrał mu pieniądze. Pieniądze dla rektora. Przez to musiał sprzątać toalety co rano. Przeszedł jednak list od ojca dziewczynki z podziękowaniami dla nieznanego chłopca w mundurku instytutu, który pospieszył jej z pomocą. Ojcem tym był sędzia pokoju, doktor



Arensberg, a rektor podał mu personalia Łoma. Wkrótce przyszło zaproszenie zaadresowane osobiście do Wissariona Łoma. Zapraszano go na herbatę, a rektor udzielił mu zgody na wyjście. Z czasem weekendowe wizyty stały się regularne.

Dom Arensbergów był w mieście powszechnie znany. Był to duży drewniany budynek ze stromym dwuspadowym dachem, z kominami z czerwonej cegły, otoczony sadem. W pomieszczeniach pełno było psów, kwiatów i zapachu wypieków, a pośród tego wszystkiego dzieci doktora Arensberga ćwiczyły grę na instrumentach. Łom nauczył się grać na eucharze i fisharmonii; doktorostwo i dzieci – Tea i siedemnastoletni Stiepan, który zamierzał zostać oficerem u huzarów – siedzący razem, grający w karty w blasku popołudniowego słońca, w którym unoszą się drobinki kurzu. Zapach pszczelego wosku i herbaty.

Wizyty u Arensbergów były dla Łoma pierwszym i jedynym w życiu kontaktem z życiem rodzinnym. Domem. Prywatnością. Ciepłem i poczuciem godności wynikającym z finansowego bezpieczeństwa. Nie znał wcześniej takich domów ani mieszkających w nich rodzin, poza tym, co dało się zobaczyć po zmiernych w oknach kamienic, gdy zapalono już światła, ale jeszcze nie zaciągnięto zasłon.

Któregoś dnia doktor Arensberg zwołał go do siebie do gabinetu.

– Co będziesz robił w życiu, Wissarionie Hipolitowiczu? Czym się zajmiesz? Kim chcesz być?

– Kim chcę być? Nie mam pojęcia. Pewnie zostanę nauczycielem.

– Czy to jest to, czego chcesz?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale to jest to, czym zajmują się chłopcy w mojej sytuacji.

– A co byś powiedział na wstąpienie do policji? Ciekawa praca, dobre pieniądze, perspektywy rozwoju. Poczucie wyjątkowości. Mógłbyś awansować. Mam na myśli awans społeczny.

I tak jego przyszłość została postanowiona. Będzie policjantem. Bezpieczeństwo domów takich jak Arensbergów wydawało się wartością godną ochrony. Łom będzie go strzec, a któregoś dnia być może sam dochrapie się własnego domu, jak zastępca szefa policji na prospekcie Sycińskim.

Bez trudu zdał wstępne egzaminy. Tego samego tygodnia, gdy składał przysięgę na wierność Właści, uderzyło czarne ostrze. Spadł nieoczekiwany cios.

Z Magadłowska przyjechali żandarmi i zabrali doktora Arensberga. Zdemarkowano go jako spekulanta. Wroga ludu. Szpiega Archipelagu. Wsiadł na prom w kajdankach i nigdy nie wrócił. Dom skonfiskowano i przyznano nowemu komisarzowi do spraw przemysłu drzewnego. Stiepanowi odebrano patent oficerski. Pani Arensberg zamieszkała z dziećmi w pojedynczym pokoiku nad sklepem papierniczym przy prospekcie Ańskim.

Łom nie wierzył w winę doktora. To była pomyłka. Wszystko się wyjaśni. Ktoś złożył fałszywe zeznania. Sędzia pokoju miał wielu wrogów. Po zakończeniu szkolenia Łom dowiedzie jego niewinności. Powiedział to Tei, gdy w nowym mundurze kadeta przyszedł zobaczyć się z nią w pokoiku przy prospekcie Ańskim, z jego żółtymi meblami i cienkimi muślinowymi firankami w oknach. W chustce na głowie Tea szorowała właśnie półki nad kuchnią.

Wyrzuciła go.

– Idź stąd, policjancie – powiedziała gorzko.  
– Teo... chcę pomóc... wam wszystkim...  
– Czy nie widzisz, że jesteś jednym z nich?  
– Ale tylko dla ciebie... dla niego...  
– Rzygać mi się chce, kiedy patrzę na twój mundur – wycedziła. – Nie przychodź tu więcej.

Odczekał kilka dni, by się uspokoiła, ale kiedy wrócił, pani Arensberg – zdystansowana, uprzejma, oficjalna – poinformowała go, że Tea wyjechała do Jagdy, gdzie zamieszka. Miała tam kuzynkę czy ciotkę. Zamierzała iść na studia i zostać lekarzem, jak jej ojciec.

W tym samym tygodniu Łom odprowadził na prom jadącego studiować na uniwersytecie Raku Wiśnika. W przeciągu kilku dni stracił ich oboje i dom Arensbergów przestał istnieć.

Potem rzucił się w wir pracy. Gdy tylko stało się to możliwe, poprosił o akta doktora Arensberga. Dowody przeciwko niemu były przytłaczające. Zesłano go do Wigu, gdzie zmarł. Nie podano przyczyny zgonu. Nic więcej nie można było zrobić.

Piętnaście lat.

Nie było trudno. Zawsze znalazł się ktoś, kto mówił mu, co robić. Ktoś taki jak Kroch. Kroch nie był złym człowiekiem. Ale nie był też dobrym. Nie był ani jednym, ani drugim.

Policyjny detektyw nie kreuje wydarzeń. Robi coś dokładnie odwrotnego: naprawia szkody spowodowane przez pożądanie, gniew, przypadek i zmianę. Ceruje na powrót materię rzeczy. Jednak wydarzenia i tak ją rozpruwają. Wewnątrz. Zmieniając to, jak się rzeczy odczuwa i postrzega. Spełniając rolę siekiery, którą rozłupujemy zamrażnięte morze w nas. Tego detektywu nie jest w stanie naprawić.

Sen nie przychodził. Łom leżał, nasłuchując pomruku śpiącego miasta.

I nagle w pomieszczeniu znalazła się jakaś nowa obecność. Nie było jej wcześniej, a teraz była.

Ciemna i kwaśna, stworzona z krwi i gleby. Nie otwały się żadne drzwi. Nie poruszyła się zasłona. A jednak przybyła. Jakoś.

Zbliżała się. Łom widział ją teraz, choć ledwie, ledwie, skąpaną w świetle rozpękniętego księżycy. Stała tam i spoglądała na niego, wężąc. Łom nie śmiał poruszyć głową, by przyjrzeć się dokładniej, ale wiedział, czym jest. Widział już kiedyś taką istotę, dawno temu, martwą na ziemi w kępie brzoź. Tamta przypominała człowieka, czy raczej dziecko: niedużego wzrostu, szczupłą, żylastą, z małą głową. Ta była inna i to nie tylko dlatego, że żyła – i podchodziła go. Tamta była naga i całkiem białą, białą czegoś, co nigdy nie widziało światła dnia. Ta miała na sobie coś w rodzaju ubrania, a trupio biała skóra na jej twarzy i dłoniach była dziwnie laciata, upstrzona nieregularnymi plamami czerni. Istota była zabójcą chciwym krwi.

Nagle nie było jej tam, gdzie wcześniej, trzy metry od niego, między oknem i drzwiami. Stała nad nim, pochylona, rozdzielając czarne usta. Łom nie widział, jak pokonała dzielący ich dystans. Po prostu... zrobiła to.

Takie istoty nie znoszą, by na nie patrzeć. Nienawidzą ludzkiego spojrzenia. Gdy spozrzała, że Łom nie śpi i spogląda jej prosto w oczy, drgnęła i cofnęła się o krok. Niemal natychmiast się opanowała, ale dało to Łomowi moment, jakiego potrzebował, by ulepić całą

swój strach i obrzydzenie w czarną kulę i cisnąć ją w istotę. Jednocześnie odrzucił koc, poderwał się i skoczył do przodu. Ale jej już tam nie było. Była po lewej, przy jego boku, chwytając go za ramię, sięgając szyi. Poczłł gorąco jej oddechu na twarzy. Poczłł chłodny, wilgotny aromat ziemi. W desperacji Łom sprężył się i cisnął w istotę całym znajdującym się w pomieszczeniu powietrzem. Istota zachwiała się i upadła. Fotografie wzbily się w powietrze, a krzesło przewróciło na bok z głośnym hukiem.

Zaskoczenie i siła ataku były tym, co zapewniło mu powodzenie. Błada istota runęła niezgrabnie. Gramoląc się z powrotem na nogi, odsłoniła tył głowy. Pasemka cienkich włosów na zaskakująco szczupłej, stożkowatej czaszce. Łom postąpił naprzód, ściskając w dłoni pałkę. Drugiej szansy nie będzie.

Ale istoty tam nie było. Zniknęła. Łom obrócił się, spodziewając się ataku z tyłu – którego by nie przetrwał – ale skąpany w księżycowym blasku pokój był pusty.

Drzwi sypialni otworzyły się.

– Wissarionie? Co się dzieje, do cholery?

Wiśnik zapalił światło. W pokoju panował chaos. Porozrzucane książki. Stłuczony obrazek.

– Co się stało? Co ty zrobiłeś? – Spostrzegł teraz podartą koszulę Łoma, krwawe ślady na twarzy i szyi, pałkę w dłoni.

– To był wurdałak – rzekł Łom. – Bardzo dziwny wurdałak. – Usiadł ciężko na kozetce. Teraz, gdy było już po wszystkim, poczuł, jak drżą mu nogi i zrobiło mu się niedobrze. Wiedział, do czego może doprowadzić ugryzienie takiej istoty. – Wygląda na to, że pani marszałek żąda zwrotu akt.

Jakow Pietrow nie poszedł do domu po opuszczeniu Świstaka. Nie potrzebował już własnego miejsca. Od tak dawna nie jadł, że nie odczuwał już głodu. Wyrzucił resztę pieniędzy i szedł nocą, pijąc z każdego napotkanego źródła słodkiej wody. Jej zimna czystość oczyszczała i schładzała mu duszę. Jego Mirgorod płonął. Spływał potokami chłodnego, cudownego deszczu, który zmywał brud z Pietrowa.

Raz po raz miasto wybuchało dla niego detonacjami prawdy. Szedł pośród malowideł, prawdziwszych i lepszych niż którekolwiek z jego własnych. Mógłby je namalować, gdyby zechciał. Ale po co? Nie było takiej potrzeby. Miał lepszy pomysł. Idąc ulicami w pirotechnicznym podnieceniu, od którego gotowało mu się w głowie, ubierał w słowa nową zasadę sztuki. Sztuki, która pozostawi malarstwo daleko w tyle i stanie się czymś nowym, jasnym i czystym. Sztuki nadchodzącego zniszczenia.

Miał przy sobie jedną tubkę farby. Piękny liliowy turkus. W świetle latarni, przeglądając się w witrynie zakładu fryzjerskiego, wycisnął pecynę farby na palec i napisał sobie na czole: JA, PIETROW. Nie było łatwo pisać w lustrzanym odbiciu. Musiał się skupić.

Poczuwszy znużenie, położył się i zasnął, a gdy obudził się o świcie, ubranie miał pokryte cienką warstwą lodu.

Marusia Szaumian wstała bladym świtem. Mieszkała z matką w kawalerce niedaleko Mostu Ostrygowego. Nie posiadały wiele: wspólne łóżko, liche meble, cienki spłowiwały dywan na podłodze z niemalowanych desek. Matka siedziała na krześle pośrodku pokoju ubrana jedynie w szlafrok. Cienkie, nieuczesane włosy sterczały jej niczym kiepska aureola. Oddechy obu kobiet zostawały w powietrzu mroźne obłoczki.

– Chodź – powiedziała Marusia, wyciągając dłoń. – Rozpalę w piecu. Chodź się ubrać.

Matka uciszyła ją gestem. Jej dłonie były miękkie, blade i wiotkie niczym pusta skorupka jajka małego ptaka.

– O co chodzi? – zapytała Marusia. – Co się dzieje?

– Odejdź od okna. Zobaczą cię. Obserwują nas.

– Tam nikogo nie ma. Sami przechodnie.

– Są, są, po prostu ich nie widzisz.

– Gdzie? Pokaż mi.

Matka potrząsnęła głową. Była silna już tylko ślepym uporem.

– Nie idę tam.

– Przynajmniej się ubierz. – Marusia ruszyła w stronę szafy.

Matka zaskomlała cicho.

– Nie otwieraj – wyszeptwała. – Marusiu. Proszę cię. Nie.

Marusia zaczęła nakrywać stół do śniadania. Był czas, kiedy zaciągnęłaby matkę do okna albo nawet na ulicę, żeby pokazać jej, że nie ma się czego bać. Żeby ją otrzeźwić. Czasami dosłownie chwytala ją za ramiona i potrząsała z całej siły tak, że musiało ją boleć, i krzyczała jej prosto w twarz: „Wszystko jest w porządku. Wszystko jest w porządku. Tam nic nie ma. Proszę, zachowuj się normalnie”. Ale to nie pomagało. Nic nie pomagało. Najgorsze były noce. Marusia budziła się, by ujrzeć matkę barykadującą drzwi meblami. „One wrócą – mamrotała. – Drzewa powrócą”.

Wciąż nazywała ją matką, mimo że już dawno słowo to stało się jedynie pustym, gorzkim żartem. Spłowiłałm napisem na starym, zniszczonym pudełku.

Marusia dotknęła ramienia matki.

– Chodź do stołu – powiedziała. – Na pewno jesteś głodna.

Matka spojrzała na chleb, kielbasę, kartofle.

– Skąd to?

– Od Iszy i Żeni.

– O nie. Stamtąd nic bym nie tknęła.

Marusia nie mogła powiedzieć, że to, co stało się z jej matką, było dla niej zaskoczeniem. Chociaż matka nigdy nie usiadła i nie opowiedziała jej całej historii, Marusia zdołała przez

lata poskładać fragmenty układanki. Jej matka nazywała się Fejga-Ita Szaumian, potem Fejga-Ita Kantor, a potem znowu Fejga-Ita Szaumian. Szaumianowie byli jedną z wielkich rodzin łazarskich, a małżeństwo Fejgi-Ity z Józefem Kantorem uważane było za wielce obiecujące: on, żarliwy mówca i nadzieja przyszłości; ona, jego kochająca i zaradna pomocniczka. Gdy Józefa zesłano w ramach represji po Rebelii Birżelskiej, Fejga-Ita pojechała za nim, chociaż nie musiała. A potem nieoczekiwanie porzuciła go – mimo że była w ciąży – i wróciła do miasta. Samotna i zboląła, z trudem zniosła długą podróż do Mirgorodu. To była trudna ciąża. W Mirgorodzie wróciła do dawnego nazwiska, urodziła córkę, nazwała ją Marusia, zerwała wszelkie kontakty z dawnym życiem, rodziną i Łazarami, mieszkując z córką na strychach i w stajenkach. Z początku nie było im źle. Marusia zapamiętała zabawy i opowieści, wycieczki do miasta i za miasto, nad morze i do podmiejskich parków, potem jednak Fejga-Ita popadła w swój dziwny stan. Marusia przyzwyczała się do mrocznych cieni drzew w sypialni, do szpiegów i donosicieli śledzących matkę na ulicy i czających się w zakamarkach ulic, klatek schodowych i szaf.

Ukroiła sobie kromkę chleba i kawałek kielbasy i zaczęła jeść.

Matka, czując wzrok córki na sobie, spozjrzała na Marusię dużymi, wodnistymi oczami.

– Marusiu?

– Tak, mamó?

– Nie powiesz im, prawda?

– O czym?

– Nie mów im nigdy, co zrobiłam.

– Muszę już iść, mamó – powiedziała Marusia. – Naprawdę muszę.

Łom siedział przy biurku w mieszkaniu Wiśnika, po raz kolejny przeglądając teczkę Kantora. Zastanawiał się, co dalej. Chazajaska chciała odzyskać akta. Była groźnym przeciwnikiem: już raz próbowała go zabić i wiedział, że spróbuje ponownie. Kantor był jej agentem. Tyle jasno wynikało z zawartości teczki. To był dowód: wystarczający, by pójść do Krocha – i niech on się nią zajmie. To jednak nie zadowalało Łoma. Czy Kroch zrobi, co do niego należy? Czy zdola? Poza tym Łom chciał czegoś więcej. Chciał Kantora.

Miał zamknąć teczkę, gdy zauważył dokument, który wcześniej umknął jego uwadze, ponieważ był naddarty i umieszczony po wewnętrznej stronie skrzydełka tylnej okładki. Było to rutynowe pismo związane z zesłaniem Kantora do Wigu; autor raportu donosił, że żona zesłańca wróciła do miasta. Nazwisko: Szaumian, Fejga-Ita. Obok Chazajaska dopisała ołówkiem: „Ma córkę. Nie jego. Obserwować”. Ostatnie słowo trzykrotnie podkreślone. Do raportu przypięta była kartka z wypisanym na maszynie adresem:

Szaumian Fejga-Ita i Marusia  
 ulica Wielazina 387 m. 23  
 Most Ostrygowy  
 Dzielnica Wierchniewilujka  
 Mirgorod

Chazajaska dopisała przy nazwiskach ciągi liczb i liter, w którym Łom rozpoznał numery referencyjne Silnika Gaucha.

Czyli Kantor miał żonę, a Marusia Szaumian była jej córką?

Kręgi kontaktu.

O rany.

Pałuba i jej towarzyszka wietrzyca stały w klatce schodowej opuszczonego budynku, obserwując wejście do bloku, w którym mieszkała Marusia Szaumian. Czekwały, aż wyjdzie. Chciały zastać jej matkę samą. To ją znały. Sprzed wielu, wielu lat. Ona była ich szansą.

Gdy zobaczyły, że Marusia wychodzi, przeszły na drugą stronę ulicy i wspięły się po schodach. Nikt ich nie widział. Na ulicy byli przechodnie, ale one pozostały dla nich niewidoczne.

Pałuba zatrzymała się na półpiętrze. Energia Pollandora pulsowała w mieszkaniu, wylewała się na zewnątrz. Czuła jego ekscytujący dotyk. Oznaczał nowe możliwości. Podeszła do drzwi i zapukała dłonią z brzoźowych gałązek powiązanych ścięgnami wiewiórki.

– Fejgo-Ito Szaumian, wpuść mnie. – Jej głos brzmiał niczym szum wiatru trącającego struny eolskiej harfy. Nie było odpowiedzi. Za drzwiami nic się nie poruszało, ale pałuba wyczuwała ludzką obecność.

– Fejgo-Ito Szaumian, otwórz drzwi.

Cisza.

– Fejgo-Ito Szaumian. Znasz mnie. Wpuść mnie do środka. Przynoszę wiadomość. Od niego.

Cisza.

– Fejgo-Ito Szaumian!

– On nie żyje.

Głos był cichszy od najcichszego szeptu. Stara kobieta mówiła do siebie, głosem pozbawionym energii i ściśniętym łękiem tak pradawnym, że przypominało to słuchanie odgłosu przesypujących się ziarenek piasku. Ale pałuba usłyszała.

– Nie – odparła. – On żyje.

– Nie żyje.

– Nieprawda. Wysłał ci listy, ale nie odpowiadałaś.

– To nie były listy.

– Jest ojcem twojego dziecka.

Cisza.

– Fejgo-Ito Szaumian, otwórz drzwi.

Cisza. A potem nagle chrapliwy, urywany oddech. Odgłos przesuwanych mebli. Ustawianych pod drzwiami. Barykadujących je.

– Fejgo-Ito Szaumian, mam dla ciebie wiadomość.

– W moim mieszkaniu są drzewa. Zabierzcie je stąd. Zostawcie mnie w spokoju.

– On potrzebuje cię teraz. Potrzebuje twojej córki. Musisz wysłuchać wiadomości od



niego. Wpuść mnie.

– Stoję przy oknie. Jeżeli spróbujecie wejść, skoczę.

Pałuba usłyszała skrzypienie otwieranego okna. Hałas ulicy stał się nagle odrobinę głośniejszy. Poczowała podmuch powietrza z zewnątrz.

– Możesz iść z nami. Zabierzemy cię ze sobą. Z powrotem do lasu.

Milczenie. Urywany oddech.

– Zabierzemy was obie, twoją córkę też, kiedy dokona się to, co musi się dokonać.

Milczenie.

Wietrzyca wykonała niewielki gest i drzwi, wyrwane z zawiasów, wepchnęło do środka, lecz barykada z mebli ustąpiła zaledwie na parę cali. Matka Marusi jęknęła.

– Proszę, nie zmuszajcie mnie, żebym skoczyła – powiedziała. – Sprawcie, by drzewa odeszły. Proszę.

– Musisz otworzyć Pollandora, Fejgo-Ito. Już czas. Ty albo ona musicie to zrobić. Nie ma już nikogo innego. Tylko wy.

Z mieszkania dobiegał tylko odgłos chrapliwego oddechu.

Milczenie.

Pałuba przytknęła gałęziastą dłoń do drzwi, jakby chciała je pchnąć. Ale nie.

– Posłuchaj, co ci powiem, Fejgo-Ito Szaumian. Albo przekaż moje słowa córce. Ona może tego dokonać. Powiesz jej?

Milczenie.

Pałuba wyciągnęła zza pazuchy niewielki kłębuszek ulepiony z gałązek, mchu i piórek, niewiele większy od kurzego jajka, z kilkoma czerwonymi wysuszonymi jagodami grzechoczącymi w środku. Zewnętrzna powierzchnia pokryta była kuleczkami lepkiej, żółtawej substancji. Pałuba przytknęła kłębuszek do ust, chuchnęła nań kilka razy, po czym umieściła go na podłodze pod wyłamanymi drzwiami.

– Gdy wróci twoja córka, Fejgo-Ito, daj jej to. To podarunek od niego. Klucz do świata.

Odczekała jeszcze chwilę, ale z mieszkania nie dobiegł żaden dźwięk. Odwróciła się. Jej czas się kończył. Podobnie jak nadzieja. Zeszły po schodach.

Godzinę, może dwie później dał się słyszeć odgłos przesuwanych mebli. Powolne, pełne wahania szuranie. A potem cisza.

Po dłuższej chwili drzwi uchyliły się i Fejga-Ita Szaumian wychynęła na korytarz. Ujrzała kłębuszek leżący na wycieracze, chwyciła go delikatnie czubkami palców i schowała do sakiewki z cienkiego materiału. Trzymając ją w obu dłoniach, zeszła powoli po schodach i wyszła na ulicę.

Mniej więcej godzinę później Łom dotarł na ulicę Wielążyna i znalazł drzwi do mieszkania Marusi i jej matki wyrwane z zawiasów. Wszedł do środka i rozejrzał się. Meble były poprzewracane, a okno otwarte na oścież; cienkie firanki powiewały na wietrze. Wsunął szufladę stołu. Nic, tylko kilka tandetnych sztućców nie od pary. Czego się spodziewał?

– Spóźnił się pan. Dosłownie o parę minut.

W drzwiach stała kobieta w kapciach i szlafroku. Pofarbowane na marchewkoworudy kolor włosy miały siwe odrosty. Z zaskakującym wdziękiem podała mu dłoń.

– Dzień dobry panu. Awriłowa. Jestem Awriłowa.

To, jak wymówiła nazwisko, sugerowało, że powinien je znać. Wyczuł od niej zapach miętowych perfum i akwawitu.

– Wyszły i zostawiły pomieszczenie w takim stanie?

– Miałam na myśli tych policjantów przed panem. Czy to byli gwardziści? Nieważne. Powie mi pan?

– Proszę pani...

– Mówiłam już, jestem Awriłowa. Musiał pan słyszeć, jak śpiewam. Na pewno pan słyszał. Przez wiele lat występowałam w Wielkim.

– Czego chcieli tamci policjanci?

– Tego samego co pan, oczywiście. Szukali starej Szaumian i jej córki.

– To oni wyważyli drzwi?

– Ależ nie. Policjanci nie robią takich rzeczy. Były już wyrwane z zawiasów, gdy przyszli. Stara jest szalona. Nigdy nie wychodzi, ale słyhać ją cały czas, jak wrzeszczy do siebie. Kto by pomyślał, że ma taki mocny głos.

– Ale teraz wyszła. Nie ma jej.

– Najwyraźniej – kobieta wzruszyła ramionami.

Łom jeszcze raz rozejrzał się po mieszkaniu. Nie za bardzo było na co patrzeć. Łóżko. Kilka książek. Poezja. To go zaskoczyło. I jeszcze *Współcześni malarze Mirgorodu*, tani album z kiepskiej jakości reprodukcjami. Autor: profesor R. Wiśnik.

Kiedy podniósł wzrok, Awriłowa wciąż stała w drzwiach.

– Co wykrzykuje? – zapytał.

– Słucham?

– Mówiła pani, że matka krzyczy do siebie. Co takiego krzyczy?

Awriłowa wzruszyła ramionami.

– Jakie to ma znaczenie? Głupstwa. Brednie. Mówiłam, że to wariatka.

– Na tyle zwariowana, by własnoręcznie wyrwać drzwi z zawiasów?

Awriłowa spojrzała na niego.

– To byłoby szaleństwo.

Łom wskazał na drzwi.

– Musiał być spory hałas. Słyszała pani coś?

– Codziennie rano śpiewam. Świat mógłby się wtedy zawalić, a ja i tak bym nie usłyszała.

– Pani Awriłowa, ja muszę z nimi porozmawiać. To ważna sprawa.

– Chodzi panu o córkę.

– Dlaczego pani tak sądzi?

– Cóż, to ona sprawia kłopoty, nieprawdaż? To ona jest intelektualistką.

– Wie pani, gdzie ona jest?

– Dlaczego mnie pan pyta? Nie czytał pan jej akt? Kilka razy opowiadałam o niej oficerowi Kasso. Wypłacił mi pieniądze i wszystko zapisał.

– Co mu pani powiedziała?

– On znał wartość informacji. Ci drudzy też nie czytali jej teczki, ale dali mi dziesięć rubli. Minął się pan z nimi dosłownie o parę minut. Może jeszcze ich pan złapie. I wtedy będzie pan mógł zapytać, prawda? Tylu policjantów do jednych zniszczonych drzwi... – westchnęła.

Łom wyciągnął z kieszeni garść drobniaków.

– Pani Awriłowa...

– Marusia jest szwaczką. Fabryka mundurów Wanko.

Marusia Szaumian mogła pracować, nie myśląc, i odpowiadało jej to. Rutynowe czynności zajmowały ją, zacierając wspomnienia. Budynek fabryki mundurów Wanko był niegdyś lokomotywnią, teraz jednak dawne wyposażenie wypruto, zostawiając jedynie pusty szkielet hali, z żebrami i łukami ze starego, czarnego żelaza, ze ścianami poplamionymi sadzą i wysokimi oknami pokrytymi warstwą tłuszczu i brudu. Kamienną podłogę przecinały tory, a w powietrzu wisiał jeszcze odór węglowego dymu, mieszając się z nowszymi zapachami serży i smaru. Maszyny tnące terkotały, wpadając w wibracje pod starym blaszanym szyldem: „Linia Cetycki Bursztyn”. Pod sufitem z rzędów przewodów zwieszały się rzadko rozmieszczone żarówki, ale właściciel fabryki, pan Wanko, włączał je tylko wtedy, gdy nie dało się już pracować przy szarym, przymglonym świetle dnia. Sam Wanko siedział w szklanej budce wysoko pod zegarem, grzejąc się za pomocą naftowego piecyka, popijając akwawit z blaszanego kubka i pilnując pracujących kobiet.

Marusia pracowała przy guzikach. Od serży rogowaciała i pękała jej skóra. Siedziała przy stoliku z puszką nawleczonych igieł i podzieloną na przegródki tacką z guzikami – tandetnymi kółkami z mosiądzu i kulkami z kości słoniowej – podczas gdy obok przesuwiała się taśma z płaszczami z gumowanej bawełny. Musiała chwycić płaszcz i przyszyć cztery guziki, zanim nadjechał kolejny. Gdy podniosła wzrok, widziała zgarbione plecy siedzącej przed nią kobiety, która naszyje pozostałe cztery. Rząd pochyłonych kobiecych głów i pleców ciągnął się daleko przed nią i za nią, a po drugiej stronie taśmy, zwrócone w przeciwną stronę, siedziały szwaczki, pracujące przy maszynach z napędem nożnym, czarnych i lśniących niczym żuki. Ich zadaniem było naszywanie kieszeni, kołnierzy, mankietów. Kobiety pracowały w milczeniu, każda okutana wełnianą chustką czy szalem. Z powodu hałasu i tak nie dało się rozmawiać, a jeżeli mimo wszystko się próbowało, pan Wanko zapisywał nazwisko delikwentki i potrzącał jej z pensji. Na biurku trzymał plan fabryki i wiedział dokładnie, gdzie kto siedzi.

– Hej! – rozległ się jego głos z megafonu. – Zabierzcie stąd tę staruchę! Kto ją tu wpuścił? Spadaj stąd, babciu! Hej, Fasil! Gdzie, do diabła, jest Fasil?

Marusia podniosła wzrok. Drobną kobieciną idącą przejściem była jej matka. Rzadkie siwe włosy miała potargane, a w obu dłoniach trzymała niewielką sakiewkę, przyciskając ją do piersi, jakby w ten sposób chciała obronić się przed obojętnością kobiet i wrzaskiem pana Wanki. Drobiniki śniegu tkwiły na jej twarzy i włosach. Nie miała na sobie płaszcza. Fasil zdążył ku niej od strony maszyn tnących.

Marusia wstała gwałtownie, rozsypując igły. Gdy dobiegła do matki, ta zdążyła się już zatrzymać.

– Mamo! Co ty tutaj robisz? – zawołała cicho. – Chcesz, żebym przez ciebie straciła pracę?

Wzrok Fejgi-Ity Szaumian był półprzytomny. Przyciskała sakiewkę do piersi. Fasil był coraz bliżej. Marusia nachyliła się i krzyknęła jej prosto do ucha:

– Chodź. Wyjdźmy stąd.

Matka nie poruszyła się. Mówiła coś, ale bezgłośnie. Marusia położyła jej dłonie na

ramionach – były miękkie i wiotkie jak u dziecka – i obróciła ją ku wyjściu, delikatnie popychając. Dotarły do drzwi i Marusia właśnie je otwierała, gdy Fasil chwycił ją za łokieć i pociągnął do tyłu.

– Wstrzymujesz produkcję – syknął. – Zapłacisz za przestój? A ty? – zwrócił się do Fejgi-Ity.

– Spójrz na nią, Fasil. Jest chora.

Fasil przyciągnął Marusię ku sobie. Jego policzki pokrywała siatka drobnych czerwonych żyłek. Oczy miał zwężone, usta lekko otwarte. Do sumiastych, pożółkłych od tytoniu wąsów przykleiły mu się drobinki kurzu.

– Ty arogancka suko – wydyszał. – Masz nas za nic.

– Fasil, proszę, potrzebuję tylko chwilę...

Zsunął dłoń po jej plecach, aż po miejsce, gdzie zaczynają się pośladki, macając lubieżnie palcami przez cienki materiał płaszcz.

– Dziwka – wysyczał jej do ucha. – Zapłacisz mi później.

Marusia wypchnęła matkę na zewnątrz i wyszła za nią, zatrzaszkując za sobą drzwi i opierając się o nie. Zamknęła oczy. Ten bydlak Fasil. Teraz nie da jej spokoju.

Matka mówiła coś do niej pospiesznie.

– Przyszli po mnie. On wrócił. Musimy iść. Uciekać. Ukryć się.

– O czym ty mówisz?

– On żyje. Wrócił. Przesłał posłanniczkę. Chce nas widzieć. Mówi, że musimy z nią iść. Do lasu. Marusiu. Z powrotem do drzew. – Wyciągnęła przed siebie sakiewkę z zawiniątkiem. – Weź to – powiedziała. – Weź. To tu jest. Zobacz.

Marusia odsunęła dłoń matki na bok.

– Nie powinnaś była tu przychodzić, mamó. Muszę już wracać.

– Nie! – zawołała matka błagalnie. Palcami cienkimi i białymi niczym wiotkie szpony, ponownie wyciągnęła sakiewkę przed siebie. – Przyszły do mnie drzewa. On chce cię widzieć.

– On nie jest w lesie! Józef jest w Mirgorodzie! I wcale nie chce nas widzieć, oczywiście, że nie. A my nie chcemy widzieć jego.

Matka spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Józef? Nie. Nie on, nie Józef, mówię o...

Marusia poczuła, że ktoś napiera na drzwi. Usłyszała głos Fasila.

– Idź do domu, mamó! – powiedziała z naciskiem. I tak było jej wystarczająco trudno. – Proszę. Cokolwiek to jest, powiesz mi później. W domu.

Marusia odwróciła się i otworzyła nagle drzwi, zaskakując Fasila. Wymięła go i wróciła do swego roboczego stołu, nie patrząc na boki, wyczuwając spojrzenia obserwujących ją kobiet. Pozbierała rozsypane igły, chwyciła płaszcz z taśmy i zaczęła naszywać guziki.

Kilka minut później dotarło do niej, że matka nigdy nie znajdzie drogi powrotnej do domu. Cud, że w ogóle tu trafiła.

Wstała i wyszła z fabryki, prosto na mirgorodzki poranek. To nie była jedyna praca w

mieście. Zapewne.

Rozejrzała się po ulicy. Po matce nie było śladu.

Łom wyszedł z za rogu, czując, jak twarz oblepiają mu mokre płatki śniegu, i zatrzymał się jak wryty. Dwadzieścia metrów dalej, w zaułku między magazynami przy fabryce Wanko, stało dwóch gwardzistów. Byli odwróceny do niego tyłem, ale w jednym z nich rozpoznał majora Szafrana.

Drugi złapał go właśnie za ramię, wskazując na zbliżającą się ku nim starszą kobietę, która szła wolno, mówiąc do siebie. Włosy miała mokre i potargane, a w złączonych dłoniach niosła coś najwyraźniej cennego. Szafran wyjął z kieszeni kilka fotografii, porównał i skinął głową. Gwardziści ruszyli ku kobiecie. Gdy ta ich spostrzegła, przycisnęła dłonie do piersi i odwróciła się.

– Hej! – wrzasnął Szafran. – Stać!

Kobieta zignorowała go i przyspieszyła kroku, utykając nieco. Szafran wyciągnął rewolwer i wycelował.

– Gwardia! Stój, bo strzelam!

– Nie! – krzyknął Łom, ale był za daleko, by tamci mogli go usłyszeć.

Szafran wypalił.

Nogi ugięły się pod kobietą i upadła. Próbowwała wstać, gdy Szafran dobiegł do niej. Przewrócił ją czubkiem buta na plecy niczym owada. Leżała, z lewą stopą wygiętą pod niemożliwym kątem, spoglądając na niego. Druga noga drżała jej widocznie. Szafran jeszcze raz porównał zdjęcie, powiedział coś do drugiego gwardzisty i strzelił kobiecie prosto w twarz. Jej głowa rozprysła się niczym przejrzały owoc, zachlapując pokryty śniegiem chodnik i nogawki ich spodni. Towarzysz Szafrana cofnął się z obrzydzeniem, czyszcząc spódnie chusteczką. Upewniwszy się, że nie żyje, ruszyli w stronę fabryki.

Łomowi zrobiło się niedobrze. Kolejna bezsensowna śmierć w imię Właści. Kolejne policyjne morderstwo.

Zwłoki kobiety przypominały kupkę szmat. Tężejąca krew wytopiła w śniegu zagłębienia, szkarłatne w środku, różowe na obrzeżach, a w jednym z nich leżał przedmiot, który tak kurczowo ścisnęła w dłoniach: niewielka sakiewka z cienkiego, szorstkiego materiału. Juta? Konopie? Łom podniósł ją. Jedna strona nasiąkła krwią. Poluzował rzemyk. Wewnątrz znajdowała się ażurowa kulka z gałązek i mchu. Ściągnął rzemyk i schował sakiewkę do kieszeni.

– Odejdź od niej! Zostaw ją w spokoju!

Łom podniósł wzrok. Marusia Szaumian z niedowierzaniem wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

– To moja matka – powiedziała cicho. – Muszę zabrać ją do domu.

– Marusiu – rzekł Łom. – Nie mogłem nic zrobić. Spóźniłem się. Przepraszam.

– Muszę zabrać ją do domu – powtórzyła dziewczyna. – Nie mogę jej tutaj zostawić.

– Marusiu...

– Załatwię może dorożkę.

Zaczynała mówić od rzeczy. Widział ludzi w takim stanie po wypadku drogowym: na pozór trzymali się, ale w gruncie rzeczy byli gdzie indziej, odmawiając pogodzenia się z nową rzeczywistością. Należało traktować ich twardo.

– Twoja matka została zastrzelona – rzekł szorstko. – Nie żyje. To jest jej ciało. Została z rozmysłem zabita przez gwardzistów. Szukali jej. Rozumiesz, co mówię? – Marusia patrzyła na niego gniewnie, czerwieniąc się powoli. – Myślę, że ciebie też szukają. Gdy nie znajdą cię w fabryce, wrócą tutaj i też zabiją.

– To ty – powiedziała. – Ja cię znam. Ty to zrobiłeś.

– Nieprawda. Ja próbowałem to powstrzymać. Nie mogłem...

– Jesteś policjantem.

Chwycił ją za łokieć, próbując odciągnąć od ciała matki.

– Chcę ci pomóc – rzucił.

– Odwal się.

– Chodźmy stąd. Porozmawiamy.

Wyszarpnęła łokieć. Była zaskakująco silna. Umieśniona.

– Powiedziałam, odwal się.

Na drugim końcu ulicy pojawił się Szafran.

– Marusiu, chcę ci pomóc – powiedział Łom – ale nie możesz dać się im złapać. Inaczej zrobią z tobą to samo co z twoją matką.

– Dlaczego miałbyś mi pomagać? Jesteś jednym z nich.

– Nie – odparł Łom. – Nie jestem.

Szafran był coraz bliżej.

Marusia spojrzała na matkę, nieruchomą, martwą, pod wysokimi murami domów i szarym niebem.

– Nie mogę jej tak zostawić – powiedziała. – Szczury... Ptaki...

– Posłuchaj – rzekł Łom. – Musisz już iść. Ja ich zatrzymam.

– Co takiego?

– Idź. Słyszysz, co mówię? Ale nie do domu. Idź do Wiśnika i czekaj tam na mnie.

Ale ona stała i patrzyła na niego gniewnie. Jej rysy nagle stwardniały.

– Ty wcale nie chcesz mi pomóc. Jesteś kłamcą. Zostaw mnie w spokoju. Zostaw moją matkę.

– Hej! – Szafran wyciągnął rewolwer i zaczął biec. – Hej, wy!

Łom wyszedł z cienia i podniósł rękę, mając nadzieję, że Marusia wykorzysta ten moment, by się oddalić. I mając nadzieję, że jego własna twarz nie widnieje na jednym ze zdjęć Szafrana.

– Co ty tu, u diabła, robisz, Łom?

Szafran był wściekły.

– Dzisiaj bez muzyka? – zapytał Łom. – Zabijamy własnoręcznie?



– Kim była ta kobieta? Tiesłow, zatrzymaj ją.

– Poczekajcie – powiedział Łom. – Muszę z wami porozmawiać.

Tiesłow zignorował go i podążył za Marusią, która zdążyła już dotrzeć do końca zaułka i oddalała się szybko. W wytartym płaszczyku wyglądała krucho i delikatnie. Jej szyja, naga i biała między kołnierzem i linią krótko przyciętych czarnych włosów, była najbardziej bezbronną rzeczą, jaką Łom w życiu widział. Miał wrażenie, jakby czyjaś dłoń sięgnęła mu między żebra, chwyciła serce i mocno ścisnęła.

Marusi tak mocno drżały nogi, że z trudem mogła iść. Czując, jak lodowato gorący pot spływa jej po plecach, czekała na strzał gwardzisty.

Nie zatrzymuj się, powtarzała sobie. Nie oglądaj się do tyłu. Zejdź z widoku. Myśl!

Cały jej świat skurczył się do tych kilku sekund. Wyobrażała sobie, jak pocisk rozrywa jej plecy. Jak uginają się pod nią nogi. Jak pada.

Myśl! Zrób coś! Natychmiast!

Nie było granic ani reguł. Tylko instynkt.

Na lewo otworzył się wąski przesmyk między wysokimi budynkami. Nikt tamtędy nie szedł, od kiedy zaczął padać śnieg. Wiedziała, dokąd prowadzi. Donikąd. Ślepy zaułek. Skreśliła. Przynajmniej zniknęła im z pola widzenia.

Po jednej stronie ciągnął się ceglany mur, po drugiej zarośnięta brudem kamienna ściana. Ciemne okna tkwiły wysoko, poza zasięgiem. Zadnych drzwi. Był to zapewne stary magazyn. Pomyślała, że gdyby zdołała dostać się do środka, mogłaby wymknąć się niepostrzeżenie i zgubić w tłumie.

Wyszła na środek, odwróciła się, podbiegła do ściany i skoczyła, próbując dosięgnąć parapetu.

Uderzyła o ścianę całym impetem, obtłukując sobie łokcie i kolana, desperacko szukając punktu zaczepienia, ale parapet był za wysoko.

Ściągnęła buty i wetknąwszy stopę w szczelinę między kamieniami, chwyciła się palcami niewielkiego występu na wysokości ramienia. Dźwignęła się do góry. Udało się. Była nad ziemią, chociaż ledwie, ledwie, wyprężona, z policzkiem przyciśniętym do zimnej ściany; palce drżały jej z wysiłku. Spróbowała wepchnąć je głębiej w kamień, jakby samym wysiłkiem woli chciała wytłoczyć uchwyty. Podniosła wolną nogę, sycząc z bólu, gdy cały ciężar ciała spoczął na stłuczonym kolanie, po czym namacała ręką i podciągnęła się odrobinę wyżej. Znowu się udało. I jeszcze raz. Była niemal metr nad ziemią i powoli pięła się do góry. Wyciągnęła rękę, jak najdalej zdołała, i czubkami palców chwyciła krawędź kamiennego parapetu. Sprężyła się i dołożyła drugą dłoń. Palce stóp straciły nagle oparcie, ślizgając się po wilgotnej ścianie, ale zdołała się utrzymać, podciągając się do góry, z wypiętą pupą i kolanami przy murze. W parapecie był rowek, o który mogła zaczepić palce. Gdyby zdołała zarzucić do góry jedno kolano...

– Złazisz czy mam ci strzelić prosto w tyłek?

Łom odwrócił się plecami do Szafrana i podszedł do zwłok starej kobiety. Była taka krucha. Mógłby chwycić ją i wziąć pod pachę. Z całych sił próbował nie spojrzeć za siebie, by sprawdzić, czy Tiesłow wraca.

– Kto ci dał te zdjęcia, Szafran? Fotografie starej Szaumian i jej córki. Kto cię nasłał? Szafran spojrział na niego.

– To nie twoja sprawa.

– Chcę powiedzieć – ciągnął Łom – że nie ścigałbyś ich z własnej inicjatywy, prawda? Pewnie nawet nie wiesz, kim są. To znaczy, kim naprawdę są.

– O co ci chodzi?

– Ze względu na ciebie mam nadzieję, że rozkaz przyszedł od samej Chaziajskiej.

– A dla kogo ty pracujesz, Łom?

Łom wzruszył ramionami. Kopnął kamień. Nie daj mu się skupić, pomyślał. Nie daj mu czasu na zastanowienie.

– Kiedy znalazłeś to, czego szukała Chaziajska?

Tym razem Szafran wyglądał na naprawdę zdziwionego.

– O czym ty mówisz?

– Nieważne. Nie przejmuj się.

Nagle od wysokich ścian odbił się echem odgłos wystrzału.

Szafran uśmiechnął się.

– Tiesłow ją znalazł.

Kolejny strzał. I jeszcze jeden.

– Ach – rzekł Szafran. – *Coup de grace*.

Kurczowo trzymając się parapetu, Marusia spojrzała w dół na gwardzistę. Stał tam, z pistoletem w dłoni, najwyraźniej już od jakiegoś czasu, obserwując jej desperacką wspinaczkę. Po minie widać było, że go to bawi. Marusia odepchnęła się od ściany i spadła prosto na niego. Tiesłow przewrócił się pod jej ciężarem. Pistolet wypalił. Coś palącego smagneło ją w łydkę i nagle straciła czucie w całej nodze.

– Ty głupia suko.

Leżała na nim plecami. Tiesłow dyszał jej do ucha. Marusia zadarła głowę i z całej siły rąbnęła go tyłem czaszki w twarz, czując, jak rozbija mu nos. Tiesłow zaklął siarczyście i uderzył ją pistoletem w bok głowy. I jeszcze raz. I jeszcze. Poczula, jak coś rozrywa jej policzek. Drugą ręką Tiesłow próbował chwycić ją za brzuch, zrzucić z siebie.

– Zabiję cię, suko – wyszeptał.

Był silny. Nie mogła z nim walczyć. Za chwilę zdoła przytknąć jej pistolet do pleców albo żeber i wypalić bez obaw, że zrani siebie. Wcisnęła rękę pod siebie, między ich zwarte ciała, macając w poszukiwaniu jąder, a kiedy je znalazła, ścisnęła z całej siły, wykręcając moszną gwałtownie dla dodatkowego efektu. Gwardzista wrzasnął i wyprężył się, próbując zrzucić ją z siebie, uderzyć pistoletem. Marusia ponownie uderzyła go tyłem głowy w twarz i jeszcze raz, i jeszcze. Poczula, że trafiła go w delikatny punkt podbródka, a jego czaszka odbiła się od bruku. Tiesłow zwiotczał.

Marusia przekręciła się na bok i wstała na kolana. Gwardzista leżał na plecach, próbując unieść głowę i skupić wzrok.

– Suka – mamrotał. – Suka. – Wycelowwał w nią. Pistolet zdawał się ciężać mu w dłoni.

Marusia chwyciła broń obiema dłońmi, ciągnąc i wykręcając. Wypalił, ale prawie nie zwróciła na to uwagi. Wreszcie jego uchwyt osłabł i pistolet znalazł się w jej ręce.

– O nie – wyszeptał Tiesłow. – Nie.

Marusia przycisnęła mu lufę do uda i pociągnęła za spust.

W przedpołudniowej ciszy swego mieszkania Raku Wiśnik posprzątał biurko i rozpostarł na nim duży, nowy plan Mirgorodu. Miasto – czarne kreski ostro odcinające się od bieli papieru – wydawało się geometryczne, prostoliniowe, sieć kanałów i prospektów rozciągająca się niby rozległa instalacja elektryczna, łącząca wyspy z placami i place z wyspami; schemat ludzkiej sieci dla zapewnienia odpowiedniego przepływu pracy i ruchu. Było to wyłącznie – albo prawie wyłącznie – pobożne życzenie. Cieniutka warstewka cywilizacji, układ współrzędnych nałożony na krainę trzęsawisk, mgieł i snów.

Obok mapy Wiśnik ułożył stos zapisanych notesów, pudełko wycinków prasowych i stertę innych map i planów. Wszystkie mapy pokazywały całe miasto albo jego określone części i wszystkie były pognicione, wielokrotnie składane i pełne zaznaczeń: podkreśleń, symboli i dopisków, od pojedynczych słów po całe akapity. Pudełko z fotografiami stało na podłodze przy krześle. Za oknem szumiało i zgrzytało miasto. Płatki śniegu zamazywały widok, zamieniając go w plamy żółci, zieleni i brązu.

Poszukiwał wzoru, jakiegoś rytmu, prawidłowości.

Metodycznie przeglądał notatki, szukając rozmaitych anomalii. Miejsc i momentów, gdy miasto wariowało. Jak wtedy w piekarni Galiny Tropinej. Jak na jego zdjęciach. Jak wtedy, gdy wracał w znajome miejsce, a ono było zmienione. Inni też tego doświadczali. Dowiadywał się o tym czasem z gazet, ale też z rozmów podsłuchanych w miejskiej komunikacji, w sklepach, na ulicy. Zapisywał wszystkie przypadki. Notes za notesem. Data, miejsce, czas.

Od odwiedzin Marusi Szaumian tamtej nocy w jego głowie dojrzywał pomysł. Nowa możliwość. Marusia sprawiła, że przekroczył pewien próg. Dotąd nie przychodziło mu do głowy, że mógłby robić coś więcej niż notować i dokumentować. Był zaledwie archiwistą przebłysków. Nigdy nie pomyślał, że to, co obserwuje, ma swoją przyczynę. Źródło. Że mógłby zacząć działać.

Teraz jednak, powoli, starannie, strona po stronie, przeglądał notesy, jeden za drugim, zaznaczając każde wydarzenie w odpowiednim miejscu na mapie. Pracował cały ranek, dopasowując oddech do powolnego rytmu deszczu i miasta.

Stopniowo zaczął się wyłaniać wzór. Materializował mu się przed oczami niczym zdjęcie w kuwecie z wywoływaczem, szkicowy zarys powoli wypełniający się szczegółami. Ale Wiśnik nie dawał się ponieść. Nie chciał wyciągać pochopnych wniosków. Nie chciał popełnić błędu. Zachowywał zimną krew. Trzymał się metody.

Powinienem być zrobić to dawno temu, myślał. Miałem wszystkie potrzebne dane, a nigdy nie spojrzalem.

Skończył późnym popołudniem. Przypiął mapę do ściany i odsunął się, by objąć ją wzrokiem. Nie było wątpliwości. Najmniejszych. Znaki na mapie układały się we wzór przypominający wybuch czarnego słońca, węglową mandalę, symetryczny chlust – jakby ktoś ulepił kulkę z płatków sadzy i cisnął nią w mapę. Promienie czarnego słońca rzedły na obrzeżach miasta, lecz w centrum gęstniały, nachodząc na siebie, krzyżując się. Wszystkie

skupiały się w jednym miejscu. Wyglądało to jak lej po bombie, krater po upadku meteorytu, jak epicentrum. To było źródło. Tam coś było. Coś, co sprawiło, że miasto traciło spójność, deformowało się, puszczało w szwach. I efekt ten przybierał na sile. Znalazł to.

Wiśnik podszedł do regału z książkami koło piecyka i wyjął stary tom o splewiałej, poplamionej okładce. Grzbiet odklejał się, złocone litery tytułu wytarły się, a cienkie, prześwitujące stroniczki były postrzępione i ponaddzierane. Była to praca zakazana, na indeksie Właści od ponad stu lat, od kiedy zdano sobie sprawę z jej istnienia. Wiśnik znalazł egzemplarz zatknięty za kaloryfer Instytutu Prawdy w Podczornoku przed ponad dwudziestu laty. Nie pokazywał go nikomu i nigdy nie natknął się na inny egzemplarz. Żadnych wzmianek w bibliotecznych katalogach. Z tego, co wiedział, jego egzemplarz był jedyny na świecie. *Dziecięca księga dawnych legend, podań i baśni.*

Raz jeszcze otworzył ją na znajomej stronie. Raz jeszcze usiadł na podłodze przy regale w powoli gasnącym świetle dnia i zaczął czytać.

„Opowieść o stworzeniu Pollandora”.

Zostawiwszy Szafrana i ciało zabitej kobiety, Łom szedł ulicami. Donikąd. Byle iść. Nienawidził tego miasta. Tego, jak można było wyjść z zaułka wprost po koła rozpedzonych samochodów. Twarzy na ulicy. Twarzy za oknami. Twarzy, które nie wiedziały nic o leżących parę metrów dalej zwłokach starej kobiety. To było w innym mieście, nie ich. Łom poczuł, że musi złapać oddech. Pomyśleć.

Kupił bilet i wszedł do pierwszego lepszego tramwaju. Linia obwodowa, okrążająca całe śródmieście. Wagon był niemal pusty. Dwaj chudzi jegomoście o gładko wygolonych, kościstych twarzach rozmawiali o koniach. Okrągłe kapelusze, buty z cholewami, wehłiane marynarki i spodnie z mankietami. Ze ścian wagonu wołały do nich ostrzeżenia: „Obywatelu! Terroryci nie śpią! Zgłaszaj podejrzane pakunki! Nie zostawiaj bagażu bez opieki!”.

Młody człowiek siedzący na końcu przyglądał mu się dziwnie. Długi, cienki nos. Wysokie kości policzkowe. Tłuste włosy opadające na czoło. Na kolanach trzymał otwartą książkę, ale nie czytał. Gdy napotkał wzrok Łoma, udał, że wygląda przez okno. Łom wzruszył ramionami. To tylko studenciak. Ciekawiło go, co to za podręcznik. Był ciężki, gruby i wyglądał na stary. Na pewno nic z przedmiotów ścisłych, nie z tymi włosami. Zastanawiał się, czy nie podejść i nie sprawdzić. Potrząsnąć drzewem, zobaczyć, co wyleci. Kiedyś, nie tak dawno temu, tak właśnie by postąpił. Ale nie teraz. Niech sobie jedzie. Nic mu do tego. Łom zdał sobie sprawę, że wpatruje się w chłopaka, co wprawiło tamtego w zakłopotanie; pogrążył się w lekturze, udając zaczytanego, lecz jego szyja i policzki poczerwieniały. Gdy tramwaj zatrzymał się, chłopak wysiadł pospiesznie, unikając kontaktu wzrokowego.

Śnieg przestał padać. Na chodnikach leżała szara breja. Mirgorod przesunął się za oknem, ale Łom prawie go nie widział. Był za blisko, przed samą twarzą. Był zbyt wielki i zbyt brudny. Nie miał sensu. Z okien tramwaju można było zobaczyć rozmaite szczegóły. Drobne, oderwane fragmenty: wąski zaułek znikający między witrynami sklepów; szyld szkoły rysunku; świeże okonie w skrzyni z lodem przed sklepem rybnym; uprzęż pociągowego konia; zamurowane okno. Miasto było ogromne, nie do pojęcia. Pleniło się w nieskończoność, rojąc się i rozrastając. Ludzie tworzyli tu własne, intymne miasto, zbudowane wokół kilku miejsc, kilku twarzy, kilku wydarzeń. Wewnętrzne, wyobrażone miasta, milion miast nakładających się na siebie w czasie i przestrzeni, półprzezroczystych. Miasta jak warstwy cebuli, stopy miast, delikatnych i misternych, powiązanych wijącymi się, krzyżującymi, niewidocznymi nićmi maszyny informacyjnej. Kruche miasta, wszystkie bez wyjątku. Wystarczyła gwardyjska kula, cięcie dragońskiej szabli. Tkanka miasta rosła jednak dalej.

A pod nimi wszystkimi – dwie przyszłości walczące o to, która się wydarzy.

Łom wsunął dłoń do kieszeni i napotkał coś lepkiego i szorstkiego: sakiewkę Fejgi-Ity Szaumian, wilgotną od jej krwi. Poluzował rzemyk i zajrzał do środka. Przypominało to gniazdo ptaka, dokładnie coś takiego, czego można by się spodziewać po starej wariatce, ale to nie było gniazdo. Patyczki złączone były za pomocą nici. Wyjął kłębuszek, by mu się bliżej przyjrzeć. Trochę krwi, ciemnej i lepkiej, przesączonej się przez materiał i przykleiło do powierzchni, na której tkwiły też kuleczki czegoś innego, wosku czy żywicy. W środku

grzechotały wysuszone, rdzawoczerwone jagody i kostki jakiegoś drobnego zwierzęcia. Myszy? Kreta? Małego ptaka? Dziwna rzecz wydzieliała słodkawy aromat, silniejszy od żelazistego zapachu krwi. Przypomnił sobie pozabawione białek brązowe oczy weterana na ulicy w deszczu w Podczornoku tamtego dnia.

Jakiś instynkt kazał Łomowi podetknąć kłębuszek pod nos i powąchać. I nagle świat się zmienił. Jakby ktoś obrał go ze zmysłów tak, jak obiera się banana. Twarda granica oddzielająca ja od nie-ja, linia wydzielająca świadomość ze świata, przestała nagle istnieć. Miał wrażenie, że dotąd był uwięziony w sobie, zamknięty w skórze sztywnej i napiętej jak skóra bębna, a teraz nagle wszystko puściło. Jakby wpadł w zieloną głębinę i tonął, koziołkując i przekręcając się, nie wiedząc już, gdzie jest góra, a gdzie dół. Z początku spanikował, zaczął się szarpać, próbując odzyskać kontrolę, ale po chwili przypomniał sobie, że nie tak powinno się to robić. Przestał walczyć i poddał się prądowi, pozwalając, by naturalna wyporność wyniosła go z powrotem na powierzchnię.

Był kobietą w zimowym lesie. Nie tyle widział to, co była nią: szła pośród milczących, rzadko rozsianych drzew, wracając do domu, zmęczona po miłości, z otartymi od pocałunków ustami, wypełniona nasieniem mężczyzny. Powąchała palce. Jego zapach wciąż się na nich utrzymywał, wyraźny jak wspomnienie. Kołnier, rękaw, lamówka kaptura, wszystko przesiąkło zapachem jego izby, intensywnym odorem dymu, żywicy, futer i potu. Ach, do diabła! On z pewnością zauważy. Nawet jego uwadze nie ujdzie ten fakt. Czy się tym przejmowała? Nie! Był to nowy rodzaj szaleństwa i wcale jej to nie przeszkadzało.

Wizja zniknęła. Łom zamknął oczy i przyglądał się tańczącym pod powiekami wirom światła. Myślenie go męczyło. Za bardzo ciążyły mu własne myśli. Wyjrzał przez okno, starając się opróżnić umysł. W odbiciu ujrzał duże, ciemne oczy Marusi Szaumian. Jej oddalającą się sylwetkę.

Trzy strzały. Padły trzy strzały.

Nie nie osiągnąłem. Każdy trop, jakim podążam, prowadzi donikąd – albo do trupa.

Nie, nie donikąd. Do Chaziajskiej.

Kantor był agentem Chaziajskiej. Wszystkie jego zabójstwa, zamachy, napady inspirowane były nie przez nacjonalistyczną gorączkę czy rewolucyjny zapał, lecz przez szefową tajnej policji Mirgorodu. Szafran też był jej człowiekiem. To Chaziajska wysłała go, by zabił Marusię i jej matkę.

Ja też jestem jej człowiekiem.

Tyle że to nie była prawda. Już nie.

Teraz, gdy wiedział, Chaziajska zabije go i zabierze mu teczkę Kantora. Wysłała wurdalaka. To musiała być ona.

Teczka.

Zobaczył ją teraz, oczyma wyobraźni, schowaną w łazience Wiśnika. Zobaczył Wiśnika, bitego policyjnymi pałkami. Martwego, podziurawionego kulami przez ludzi Szafrana.

Teczka. Jasna cholera. Teczka.



Józef Kantor szedł za marszałek Chaziajską pustymi korytarzami, które zdawały się wykute w litej skale. Schodzili żelaznymi schodami oświetlonymi żółtym blaskiem nagich żarówek. Były wilgotne i zdradliwe. Chaziajska prowadziła go ku najstarszym, najniżej położonym częściom Łódki, gdzie nigdy wcześniej nie był: w najgłębsze, najbardziej starożytne czeluście.

– Nikt tu nie przychodzi – powiedziała. – Tylko ja. Jesteś uprzywilejowany, Józefie. Pamiętaj o tym.

Kiedy stała się taka pompatyczna? Była słabsza, niż myślał. Niepewna. Niewiarygodna. Zgodziła się, choć z wahaniem, pokazać mu Pollandora, ale kazała mu czekać. „Przyjdź jutro – powiedziała. – Pozwól mi wszystko przygotować”.

Kantor poczuł nagle, że irytuje go ta stara lisica próbująca pokazać mu, kto tu rządzi. Chciał ją odrobinę utemperować.

– Czy sprawa Krocha została załatwiona, Ławrientio Makarowna?

Szła przed nim i nie obejrzała się.

– Miałeś rację – powiedziała. – Jest przeszkodą. Panuję nad tym.

– Zatem to wciąż niezłatwione. A druga sprawa?

– Jaka?

– Kobiety – rzucił Kantor niecierpliwie. Chaziajska nie zapomniała; nigdy niczego nie zapomniała, lawirowała tylko. – Szaumian i jej córka. Miałas się nimi zająć. Czy to załatwione?

– Ach, to – powiedziała. – Tak. Twoja żona nie żyje. – Wyczuł w jej głosie lekkie wahanie.

– A córka?

Chaziajska milczała.

– A córka, Ławrientio? – ponowił pytanie.

– Żyje. Uciekła. Zgubiliśmy ją. Ale tylko chwilowo. Znajdziemy, zapewniam cię.

– Co się stało?

– Był tam śledczy Krocha. Pomógł jej.

– Łom?

– Wmieszał się niepotrzebnie. Szafran mu pozwolił. Dziewczyna zastrzeliła jego człowieka i uciekła.

– Ach tak? – Mimo wszystko był pod wrażeniem. Ale nie mógł tego tak zostawić.

– Oboje muszą zostać zlikwidowani – powiedział. – I ten śledczy, i młoda Szaumian. Zrób to teraz. Zrób to szybko, Ławrientio. I jeszcze Kroch. Dość zwlekania. Zabij ich wszystkich.

Chaziajska obróciła się ku niemu.

– Nie próbuj na mnie naciskać, Józefie. Nie zaakceptuję tego. Pamiętaj, kto tu jest kim.

Mam inne sprawy na głowie poza załatwianiem twoich domowych porachunków. Dzisiaj odwiedzimy Łazarów. Będzie gorąco. Ty też masz swoją rolę do odegrania. Pamiętaj o tym. Przywódca...

– Możesz zostawić to mnie – przerwał jej Kantor. – Nie musisz znać szczegółów. Lepiej, żebyś nie znała... – Wyczuł, że Chaziąjska chciała zaoponować, ale dotarli właśnie do wąskich, nieoznakowanych drzwi, i marszałek zatrzymała się.

– Tędy – powiedziała, wyciągając z kieszeni pęk kluczy.

Drzwi wyglądały na stosunkowo nowe. Farba była tandetna, ale same drzwi solidne, ciężkie, wyposażone w kilka dobrych zamków. Chaziąjska otworzyła i Kantor wszedł za nią do środka.

Znaleźli się w przestronnej sali. Białe dzienne światło przeświecało z rzędu kratownic umieszczonych w bardzo wysokim suficie. Ale przecież tak głęboko zeszli; musieli być wiele pięter pod ziemią. Po chwili zrozumiał, że kratownice są wylotami świetlików rurowych: kanałami wyciętymi w Łódce, by choć trochę doświetlić jej podziemia. Gdy wzrok przyzwyczał się do półmroku, Kantor ujrzał, że znajdują się w głębokiej, wąskiej komorze, ciągnącej się w obie strony. Nie widział jej końców. To mógł być tunel. Podłogą biegły szyny, jakby kolejowe albo tramwajowe.

Wszędzie poustawiane były skrzynie, pudła i palety. Wielkie, bezkształtne bryły przykryte płótnem i brezentem. Były też maszyny, na regałach i na podłodze. Niektóre rozpoznawał: tokarki i piły tarczowe, koła pasowe i bębny łańcuchowe, i inne tego typu urządzenia. Większość jednak była mu nieznana: skomplikowane układy części metalowych, gumy, drewna i polerowanego kamienia. Sprawiało to wrażenie warsztatu albo magazynu, ale w jakim celu? Woniało tu żelazem, mokrym kamieniem i olejem maszynowym. Atmosfera zaniepokoiła go: poczuł napięcie i lekką dezorientację, jakby powietrze i podłoga niemal niedostrzegalnie wibrowały.

– Gdzie on jest? – zapytał. – Gdzie jest Pollandor? – Nie wiedział, czego się spodziewać, ale nic z tego, co widział, nie pasowało do jego wyobrażeń.

– Niedaleko – odparła Chaziąjska. – Potrzebuję jeszcze jednego klucza. – Włączyła lampkę przy roboczym stole i zaczęła przetrząsać szuflady. – Dawno z niego nie korzystałam.

Na stole leżały rozłożone narzędzia, a także kawałki papieru i kamienne odłamki. Pośrodku, w naczyniu wypełnionym gęstą srebrną cieczą, która mogła być rtęcią, unosiła się duża mosiężna kula z małąkimi wygiętymi dziobkami wystającymi z powgniatanej, łuskowatej powierzchni. Powierzchnia cieczy błyszczała i falowała lekko w blasku lampki.

– Co to za miejsce? – zapytał Kantor.

Chaziąjska podniosła wzrok. Światło lampki załśniło w jej lisich oczach, podkreślając ciemne znamiona na twarzy i dłoniach. Czy one pokrywają całe jej ciało? Kantor zaczynał czuć się niepewnie. Namacał rewolwer w kieszeni.

– To moja prywatna pracownia – odparła szefowa tajnej policji Mirgorodu.

Blask lampy oświetlił pobliskie zakamarki. Kantor drgnął. Wydało mu się, że w pomieszczeniu jest ktoś jeszcze, kto stoi nieruchomo pod ścianą i przygląda mu się. Był to podłużny kształt, nakryty ceratą, wysoki na prawie dwa metry. Zaciekawiony Kantor podszedł bliżej i odsunął materiał.

Z początku myślał, że patrzy na zbroję, ale ta była o wiele za ciężka i za duża, by

ktokolwiek mógł się w niej poruszać. Hełm z goglami i niezgrabne palczaste rękawice nadawały całości wygląd czegoś w rodzaju kombinezonu nurka głębinowego. Matowe, purpurowoczerwone wykończenie dopeśniało efektu.

Nagle Kantor zdał sobie sprawę, na co patrzy. Całość zbudowano z kawałków anielskiego ciała. Chazajaska skonstruowała sobie muzyka! Muzyka, którym można było kierować od wewnątrz. Nie docenił jej. I to bardzo. Gorączkowe myśli przelatowały mu przez głowę. Ileż można by osiągnąć przy pomocy czegoś takiego, gdyby działało. Jeżeli działało.

– Odejdź stamtąd – rzuciła Chazajaska ostro.

Nie chciała, żebym to zobaczył, pomyślał Kantor. Czyli tym się tutaj zajmuje. To jest jej majsterkowanie.

– Używasz tego? – zapytał na głos. – Wchodzisz do środka?

– Nieważne – odparła Chazajaska. – Odsuń się. Chcesz zobaczyć Pollandora czy nie? Mamy niewiele czasu. Wkrótce muszę wracać. Chodź tędy.

Podeszła do metalowych drzwi w bocznej ścianie, otworzyła je i weszła do środka. Kantor pospieszył za nią i znalazł się na wąskiej żelaznej platformie, pod którą ziała przepaść.

Czegokolwiek się spodziewał, to nie było to. Patrzyli na szeroki, okrągły lej, rodzaj kawerny, pośrodku którego znajdowała się konstrukcja z kutego żelaza. Musiała mieć co najmniej pięćdziesiąt metrów wysokości. W podziemiach Łódki! Konstrukcję otaczały schody z rozmieszczonymi co jakiś czas bogato zdobionymi platformami widokowymi, a wewnątrz wiła się żelazna helisa. W niej, zawieszony w powietrzu, niczego nie dotykając, unosił się Pollandor.

Powietrze trzeszczało lekko, jakby było naelektryzowane. Kantorowi zakręciło się w głowie. Pollandor wisiał w pustce: zielonkawa kula wielkości niedużego domu, wypełniona światłem, ale go nieemitująca. Podświetlane nic. Zapach ozonu i butwiejących liści. Obracał się powoli, niczym świat w kosmicznej przestrzeni: nie należał do tej planety, chociaż poruszał się po tej samej orbicie, opisując tę samą wokółsłoneczną trajektorię, podróżując przez te same współrzędne w czasoprzestrzeni, zatknięty za pazuchą większego brata, lecz należąc tylko do siebie. W pomieszczeniu nie było słycać zupełnie nic. Nawet ciszy. Pollandor zdawał się mały jak na cały świat, ale Kantor wiedział, że nie jest mały, nie wedle własnej miary.

Odrzucił się, by powiedzieć coś do Chazajaskiej, która stała obok, przyglądając się dziwnemu, obcemu obiektowi. Otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Przestrzeń kawerny połknęła jego słowa, zanim jeszcze zdążył je wypowiedzieć. Chwycił ją za ramię, ściągnął z platformy i zatrzasnął drzwi.

– Musimy go zniszczyć – powiedział. – Pozbyć się tego świństwa.

– Myślisz – zapytała Chazajaska – że nie próbowaliśmy?

Marusia siedziała na mokrej ziemi na końcu swojej ulicy, opierając się plecami o pień drzewa. Wyglądając mundurowych. Wyglądając obserwatorów. Drżała na całym ciele. Mało brakowało, a poniosłaby klęskę. Pierwszy strzał gwardzisty rozorał jej lewą łydkę, która była teraz krwawą masą, ale jakoś utrzymała jej ciężar. Kolano, którym uderzyła w ścianę przy próbie skoku, płonęło bólem przy każdym kroku, a włosy na potylicy lepiły się od krwi – jej i jego. Tam, gdzie ugryzł ją w skroń, wisiały kawałki skóry, a na policzku ziała mokra od krwi rana. Kark miała zeszytywniały. Bolał ją, kiedy próbowała się odwrócić. Pistolet gwardzisty, lśniący i ciężki, spoczywał na jej kolanach.

Wiedziała, że powrót do domu byłby głupotą. Ten policjant, Łom, ostrzegwał ją przed tym. Z drugiej strony miała powód, by go nie posłuchać. Głęboko nie ufała Właści i wszystkim jej funkcjonariuszom. A jednak... ten jej pomógł. Pozwolił jej uciec. Gdyby nie to, zostałaby pojmana.

Nie mogła o tym teraz myśleć. Musiała iść do domu. Dokąd indziej miałyby iść? Musiała umyć się z krwi. Przebrać. Potrzebowała tej odrobiny pieniędzy, jaką miała. Potrzebowała odpocząć. I przemyśleć dalszy plan. Poczekała, aż na ulicy nie będzie nikogo, wstała z trudem i pokuśtykała do drzwi budynku.

Na końcu korytarza znajdowała się niewielka łazienka. Była tam umywalka i wanna z zimną wodą. Brudne lustro. Ściany wyłożone cytrynowozieloną lamperią. Marusia zamknęła się w środku, zebrała i umyła, starannie, powoli, nie myśląc. Pozwoliła, by lodowata woda zmyła krew i brud z jej ciała i włosów. Nabrała wody w złożone dłonie i napiła się; woda smakowała trochę krwią, ale była zimna i słodka. Zostawiła brudne, zakrwawione ubranie na podłodze, owinęła się cienkim, szorstkim ręcznikiem i podreptała boso do siebie, na tyle szybko, na ile pozwalały jej rany, nie chcąc spotkać wścibskiej Awriłowej. Drzwi do jej mieszkania były wyrwane z zawiasów. Przyjęła, że to dzieło policji.

Ubiarała się powoli, nie spiesząc się, nie tylko z powodu obrażeń, lecz dlatego, że było w tym coś ceremonialnego. Oto zaczynało się jej nowe życie. Znalazła czystą bieliznę. Bawełnianą halkę. Prostą szarą sukienkę. Czarną chustkę na głowę. Miała kłopot z butami: lewy był mokry od krwi. Na szczęście matka zdołała przechować parę butów z lepszych czasów. Wystarczy. Był też niezgrabny wełniany płaszcz, który matka zostawiła, wychodząc. Musiała porządnie zmarznąć.

Gdy była już ubrana, zaczęła się pakować. Odzież na zmianę. Mydło. Jej nędzne oszczędności, jakieś trzydzieści rubli. Nie wystarczy na długo. Po chwili namysłu spakowała też tomik poezji Anny Jordanowej. Prezent od kogoś ze Świstaka. *Elegie o mym siole*. Lubiła ten spokojny, aluzyjny, przepiękny ból głos:

*Słońce z nieba spada, sad*

*Oddycha smakiem wiśni i grusz*

*Jeszcze chwila i przezroczyste niebo*

Dlaczego gorszy od innych jest nasz czas?

Córka Jordanowej, lat dziewiętnaście, zmarła w obozie w Wigu. Jej męża zastrzelono w kazamatach Łódki.

Ubijając się i pakując, Marusia raz jeszcze przebiegła w myślach kolejne punkty planu. Jak wielu ludzi w Mirgorodzie przez lata żyła z myślą, że nadejdzie kiedyś dzień, gdy po nią przyjdą i trzeba będzie uciekać. Już dawno postanowiła, że w takim przypadku spróbuje przedostać się do Koromantu, wolnego miasta na wybrzeżu cetyckim, pięćset kilometrów na południe od Mirgorodu.

Cały świat na zachód od wielkiej puszczy podzielony był pomiędzy Właść i Archipelag, pogrążone w nieustającej wojnie. Lecz tam, gdzie istniał konflikt, musieli też istnieć bankierzy, finansieści, handlarze bronią – wojny toczono na kredyt – i dlatego istniały wolne miasta. Zwaśnione potęgi tolerowały istnienie tych eksklaw, wydzielonych z ich terytoriów, otoczonych murami, strzeżonych; były to miasta nienależące ani do Włości, ani do Archipelagu. Każdy był tu bezpieczeństwa, każdy był wolny, a pieniądze i informacja były jedyną władzą. Do miejsc takich jak cmy do światła lgnęli wszelkiego rodzaju szpiegdy, wyrotowcy i uciekinierzy – jeżeli byli w stanie przedostać się przez mur czy druty. Tam wybierali się zesłańcy intelektualni, by spiskować i kłócić się, a słyszała też o innych, dziwniejszych, nieludzkich postaciach, wygnanych z gett, marginesów i północnych kresów Włości, które znalazły miejsce do życia w starszych, mroczniejszych zakamarkach wolnych miast. One mogły wiedzieć, czym jest Pollandor, i pomóc jej.

Najbliższym wolnym portem był Koromant. Widziała kiedyś pocztówkę stamtąd: szeroki nadmorski bulwar z kawiarniami i barami z widokiem na ciemne, spienione fale; w głębi, odcinające się na tle nieba, poszarpane łańcuchy górskie Masywu Koromadzkiego. Tam, postanowiła – tam podąży – gdy nadejdzie czas. Chociaż jak się tam dostanie, nie wiedziała.

Postanowiła nie brać ze sobą paszportu. I tak się jej nie przyda. Położyła dokument na środku stołu, by tamci znaleźli go od razu, gdy po nią przyjdą. Już czas. Zbyt długo zwlekała.

Odwróciła się do drzwi i ujrzała stojącą tam postać szaleństwa i śmierci, która przyglądała jej się mrocznymi, bezdennymi oczami.

– Marusiu? – zapytała. – Marusiu? Jesteś gotowa do drogi?

Głos pałuby rozbrzmiał w pomieszczeniu jak szelest odległych drzew. Powietrze wypełnił aromat żywicy i wilgotnej ściółki. Szmaty, w które była odziana, falowały lekko, jakby na wietrze. W czerni wypełniającej kaptur majaczył zarys ust, które otwierały się, gdy przemawiała.

Przestąpiła próg. Nie był to jednak zwykły krok. Zdawało się, że postać pochyliła się głęboko, podrywając się w ostatnim momencie przed upadkiem. Wyglądała krucho, lichy, marionetkowato. Kończyny były dziwnie zestawione. Za nią podążała następna, jej towarzyszka, druhna, jeszcze bardziej cienista, bezkształtna, ulotna, jeszcze bardziej... odległa. Cień pełen oczekiwania.

- Kim jesteście? – zapytała Marusia, czując narastającą panikę. I jednocześnie nadzieję.
- Wyczuwamy u ciebie rany – powiedziała pałuba. – Krwawisz. Jesteś ranna.
- Kim jesteście? – zapytała Marusia ponownie. – Czego ode mnie chcecie?
- Nie musisz się mnie bać – powiedział głos. – Jestem po twojej stronie. Byłam przyjaciółką twojej matki. Ale ona nie chciała mnie słuchać. Powiedziała ci cokolwiek?
- Już jej nie ma. Nie żyje. Bezpieka ją zabiła.
- Och. – Cień w miejscu twarzy na moment znieruchomiał. Marusia przysięgłaby, że usłyszała w głosie żal. – Wzięła to, co dla niej zostawiłyśmy. Przekazała ci to?
- Nie. Nic mi nie przekazała.
- To było zaproszenie. Klucz. Od twojego ojca.
- Ja nigdy nie miałam ojca.
- Oczywiście, że miałaś. Każdy ma.
- Mój ojciec był kłamstwem. Przyszłam znikąd.
- Tak ci powiedziała? Moje biedne dziecko, to nie było tak. Chcesz wiedzieć?
- Co wiedzieć?
- Wszystko.
- Tak.

Pałuba ściągnęła kaptur, odsłaniając piękną i straszną zarazem twarz. Nadstawiła usta.

- Pocałuj mnie, Marusiu.
- Co takiego?

- Pocałuj mnie. – Towarzyszka pałuby poruszyła się lekko. – Pocałuj.

Marusia postąpiła naprzód i objęła pałubę ramieniem. Z jej na wpół otwartych ust wydobywał się przyjemny powiew. Pachniał jesienią. Marusia przytknęła wyschnięte wargi, rozchyliła je i napiła się.

W pocałunku pałuby były drzewa, piękne, rozłożyste, wyższe i starsze niż jakiegokolwiek inne drzewa na świecie, i wszystko było połączone.

Marusia szła między nimi. Położyła dłoń na milczącej, żywej korze i nagle jej skóra, jej ciało, stały się przezroczyste. Zdała sobie sprawę z układu swych kości oplecionych mięśniami i ścięgnami. Oczy, serce, płuca, wątroba i mózg, umoszczone niby ptasie gniazda w chodzącym drzewie z kości. Splocie żył, arterii i wiązek nerwowych pulsujących delikatnym prądem.

Słyszała szelest liści i skrzypienie konarów. Szepty wypełniające powietrze intensywnymi zapachami. Drzewa sięgały korzeniami w głąb ziemi niby kończynami, a ona sięgała wraz z nimi, wydłużającymi się włóknistymi palcami, napierając, wciskając się w ziemię, przez szczeliny w skalnym płaszczu.

Aż przedostała się na drugą stronę.

Podziemna komora dzikiego śpiącego boga była ciasna i przytulna, lecz ogromna ponad wszelką miarę. Niespokojny śpiący bóg, dręczony burzliwymi snami, rozbudował się do wewnątrz i na zewnątrz, i w dół, drażąc labirynt bez końca, misterną sieć korytarzy i komór rozciągających się we wszystkich kierunkach, skręcających, zawijających i zagłębiających

się, spiralnych ciemnych tuneli o skali niemożliwej do pojęcia, nieogrzewanych blaskiem nieobecnego słońca, lecz sercem planety. Był to jeden wielki system korzeniowy: korzenie skały i korzenie drzew. Matryca i sieć. Włókniste korzenie powietrza, wiązki energii i przestrzeni, splatające wszystko z wszystkim w komorze snu śpiącego boga.

Leżał na plecach, a przez żebra przewiercały mu się wielkie korzenie palowe. Z łędźwi wyrastało mu drzewo-kończyna. Ciekła po nim woda. Korzonki pełzły w dół, głaszcząc jego unieruchomione ciało. Korzenie wielkich drzew piły z pogrzebanego boga tak, jak ich liście piły światło słońca.

W górze, w świetle, korony drzew łączyły się w jedną wielką koronę, tchnąc czystym, smacznym powietrzem. Powietrzem, które Marusia piła z oddechem pałuby.

Między drzewami siedł mężczyzna. Marusia wiedziała, że to jej ojciec, a on spostrzegł ją i powitał, i zrozumiała, dlaczego jej matka pokochała go i dlaczego musiała odejść, i dlaczego odejście oznaczało śmierć.

Łom drgnął nagle. Teczka! Chaziajska zgłosi się po nią i znajdzie Wiśnika. Marusia!

Musi coś zrobić. I to już.

Tramwaj zatrzymał się. Jakieś anonimowe miejsce z dala od centrum. Błąd. Po drugiej stronie ulicy był hotel połączony przewodem telefonicznym ze słupem na środku placu. Pobiegł tam. Pensjonat Czesma. Mokre od deszczu stoliki na werandzie z balustradą z kutego żelaza. Strome marmurowe schody prowadzące do odrapanego portyku nieokreślonej barwy. W bocznym okienku tkwiła kartka z odręcznym napisem: „W sezonie zimowym nieczynne”. Łom zabębnił do drzwi.

– Otwierać! Policja!

Farba oblażyła z drzwi, odsłaniając szare, ługowane drewno. W zaśniedziałej osłonie tkwił guzik barwy kości słoniowej. „Dzwonek – głosił napis. – Portier”. Nacisnął, chociaż nie spodziewał się po tym wiele, i kopnął w drzwi.

– Policja! Otwierać albo wyważę!

Rozległ się szcęk odsuwanej zasuwy. Drzwi uchyliły się. Portier w sabotach i brązowym kitlu przyglądał mu się nieufnie.

– Nie wygląda pan na policjanta.

Innymi słowy: u nas by pan nie przenocował, pomyślał Łom.

Pchnął drzwi i bezceremonialnie mijając portiera, wszedł do pogrążonego w półmroku holu. Fotele i otomany przykryte szarymi narzutami. Zapach starego jedzenia i jeszcze starszych dywanów. Wilgoć, kurz, morska sól. Łom rozpiął płaszcz.

– To jest mundur – powiedział. – A to pistolet. Muszę zadzwonić. Natychmiast.

Portier zaprowadził go przez recepcję do pokoiku na zapleczu. Na biurku stał telefon. Portier stał, niepewny, co dalej.

– Nie gapcie się tak, człowieku. Jestem głodny. Zorganizujcie mi coś do jedzenia. I szklankę gorącej herbaty.

Trwało dłuższą chwilę, zanim Łom uzyskał połączenie najpierw z Łódką, a potem z gabinetem Krocha. W słuchawce rozległ się głos jego osobistego asystenta.

– Halo? Kto mówi?

– Tu Łom. Muszę z nim porozmawiać. Natychmiast.

– Ach, pan śledczy Łom. Podsekretarz zaczynał się zastanawiać, czy nie wrócił pan przypadkiem do Podczornoku. Ale nie zrobił pan tego, prawda? Skąd dokładnie pan dzwoni?

– Nieważne. Proszę mnie z nim połączyć.

– Obawiam się, że w tym momencie to niemożliwe. Jego harmonogram jest bardzo napięty. Jeżeli poda mi pan swoją lokalizację albo numer telefonu, pan podsekretarz oddzwoni do pana po południu. Chyba że chce pan umówić się na spotkanie. Jestem pewien, że pan podsekretarz byłby przeszczęśliwy...



– Proszę przestać pieprzyć i natychmiast mnie połączyć.

Asystent odetchnął głośno i linia zamilkła. Jasna cholera.

Łom miał już odłożyć słuchawkę, gdy usłyszał zmęczony, oschły głos Krocha.

– Tak, panie śledczy? Chciałby pan coś zgłosić?

– Czy mogę mówić?

– Oczywiście.

– Ale czy linia jest bezpieczna? Nikt nas nie podsłuchuje?

– Po prostu mówcie, co macie do powiedzenia, Łom. Grałem w tę grę, gdy wy chodziliście jeszcze do przedszkola.

– Być może niepotrzebnie lekceważy pan niebezpieczeństwo. Jest pan pewien, że linia jest bezpieczna?

– Oczywiście, że tak, człowieku. Istnieją systemy. Uzgodnienia.

– Chazajśka też tak myślała, ale była głupia. Ufała systemom, bo sama je stworzyła, ale niemiłosiernie ją pokonać.

Milczenie.

– O czym pan mówi, Łom?

– Być może podsłuchuje naszą rozmowę.

– To śmieszne. Popada pan w histerię. Być może pomyliłem się co do pana...

– Jeżeli nawet, nie ma to znaczenia. Ona i tak wie, że ja wiem.

– Co właściwie chce mi pan powiedzieć?

– W tym wszystkim nie chodzi o Kantora. Kantor to agent. Agent Chazajśkiej. To ona pociąga za sznurki.

– Może pan to udowodnić? Jest pan pewien? – Łom spodziewał się oburzenia. Niedowierzania. Ale w głosie Krocha było tylko ostrożne zainteresowanie. – Czy istnieje dowód? Żelazny dowód, z którym mógłbym pójść do Przywódcy?

– O tak – odparł Łom. – Mam cały stos dowodów. Jej własne akta. Z odręcznymi dopiskami. Ale ona wie, że je mam.

– Rozumiem.

– A jeżeli podsłuchuje pańskie rozmowy, a na pana miejscu nie liczyłbym na to, że tego nie robi, to teraz już wie, że panu powiedziałem. A jeżeli nawet nie podsłuchuje, to i tak założy, że to zrobiłem.

– Ach. Rozumiem. Tak. – Pauza. – A w jaki sposób wszedł pan w posiadanie tych poufnych dokumentów?

– Włamałem się do jej prywatnego archiwum i wykradłem je.

– Doprawdy? Nie doceniałem pana, panie śledczy.

– A teraz pan wie, i ona wie, że pan wie. Musi więc pan coś z tym zrobić. Dzisiaj, panie podsekretarzu. Teraz.

– Co dokładnie ma pan na myśli?

– Jest pan jej przełożonym. Proszę się nią zająć. Załatwić to jakoś. Kazać ją zabić. Nie

wiem co, to nieważne, po prostu zajmijcie się nią i zróbcie to teraz. Nią i Kantorem.

– Potrzebuję dowodu. Potrzebuję tych papierów.

– Nie ma na to czasu. Trzeba działać. I na pana miejscu zająłbym się też pańskim asystentem.

– To mocne słowa, Łom.

– Chazajaska miała moją teczkę, panie podsekretarzu. Otrzymała ją z pańskiego biura w niecałą godzinę po naszym spotkaniu. Od pańskiego osobistego asystenta. Własnoręcznie ją parafował. Otaczają pana spiskowcy. Są tak pewni siebie, że nawet nie próbują zacierać śladów.

– Wciąż będę musiał pokazać Przywódcy dowód...

W głosie Krocha brzmiało zmęczenie, które udzielało się też Łomowi. Przypomniał sobie gabinet podsekretarza. Proste, schludne biurko. Okna. Szum ulicy. Długie korytarze. To nie ma sensu, pomyślał.

– Przyniosę panu te akta, panie Kroch. Ale nie może pan zwlekać. Musi pan działać...

– Kiedy mi je pan przyniesie?

– Niedługo. Wkrótce. Teraz nic więcej już nie powiem.

– Panie śledczy Łom. Proszę się uspokoić. Żąda pan ode mnie, bym zaryzykował wiele – wszystko – na podstawie...

– ...telefonu od policjanta niskiej rangi z Podczornoku. To pan to wymyślił, panie podsekretarzu. Pan mnie tu ściągnął.

– To prawda.

– Aha, i jest jeszcze coś.

Tak?

– Gdzieś w lesie w okolicach Wigu spadł żywy anioł.

– To niedorzeczne.

– Chazajaska i Kantor, zdaje się, że głównie Kantor, komunikują się z nim. Pomyślałem, że powinien pan o tym wiedzieć.

Powiedziawszy to, Łom zakończył połączenie.

Portier przyniósł tacę z herbatą, razowym chlebem i kielbasą.

– Jadalnia zamknięta. Może pan zjeść tutaj. Albo w ogrodzie.

– Zapomnijcie – rzucił Łom. – Sami zjedzcie.

Do tramwaju, który zawiezie go do mieszkania Wiśnika, miał jeszcze pół godziny. Siedział przygnębiony na pustym przystanku. Ubranie i skóra cuchnęły mu beznadzieją, obrzydzeniem do samego siebie i cudzą krwią.

Przed oczami stał mu obraz Szafrana strzelającego do starej kobiety na ulicy.

Obraz Marusi idącej samotnie ulicą. Potem trzy strzały.

Obraz Chazajaskiej przetrząsającej mieszkanie Wiśnika i znajdującej teczkę.

Obraz martwego Wiśnika.

Wszystko przez niego. Jego wina. Jego odpowiedzialność. Popełniał same błędy. Był żalostną karykaturą policyjnego detektywa, a teraz nie był nawet tym. Był kimś, kogo zostawiono na lodzie. Był sam.

Potrwa wiele godzin, zanim odzyska teczkę i dostarczy ją Krochowi, i to pod warunkiem, że teczka wciąż tam jest. Nie był przekonany, czy Kroch wystąpi przeciwko Chaziajskiej, nie mając teczki w rękę – ani nawet wtedy. Łom zrobił, co było w jego mocy, ale na niewiele się to zdało. Praktycznie na nic. Jedno wielkie zero.

Niebo pociemniało i posiniało. Grube krople deszczu zaczęły rozpryskiwać się na ziemi, z początku jak dojrzałe owoce, potem jak pociski z moździerza, bijąc szybko i mocno, wymieszane z odłamkami lodu. Nadciągał sztorm.

W zatoce zaczynał się przypływ. Siła grawitacyjna dwóch połówek pękniętego księżyca ciągnęła masy wody ku brzegowi. Czarna, spieniona fala toczyła się z grzmiotem ku miastu, podmywając wieże strzelnicze u wejścia do portu. Po wielu tygodniach opadów stan wód w Mirgorodzie był alarmowo wysoki. Potężna fala przypływu spotkała się i połączyła z tym, co było początkiem powodzi. W Mirgorodzie wody podnosiły się szybko.

Od deszczu nasiąkało miasto i ciemniało niebo. Przemoczony Wiśnik zostawił za sobą zatłoczoną ulicę i pchnął żaluzjowe drzwi Domu na Purdach. Otoczyła go znajoma melancholia, cywilizowana cisza. Hol był przestronny i pusty, jeśli nie liczyć drobinek kurzu w powietrzu, głębokich cieni i słodkiego zapachu wosku i starości. Przytłumiony blask światła i szum deszczu. Gdzieś tykał cicho zegar. We wszystkich kierunkach rozciągały się korytarze, a na górę prowadziły szerokie schody.

Dom na Purdach, siedziba Rządu Łazarstwa na Emigracji Wewnętrznej, kiedyś nazywał się Rezydencją Szeriemietewską: był to niski, rozległy, murowano-drewniany budynek z niszczącymi balkonami i ciekącymi oranżeriami. Posiadłość ziemska, na terenie której go zbudowano, została już dawno pochłonięta przez rozrastające się miasto, lecz Wiśnikowi korytarze Domu na Purdach wciąż kojarzyły się z utraconym rajem dzieciństwa. Czuł, że jeżeli się w nie zagłębi, cofnie się w czasie. Znajdzie się w swoim bezkresnym dziecięcym domu w Worsmie, z jego labiryntem przejść i schodów. Światło dnia sączyło się przez wysokie, wąskie okna z witrażami, rzucając barwne cienie na zakurzone drewniane podłogi i wytarte chodniki. Wysokie meble i ciężkie tkaniny salonów, jadalni, sypialni, schowków i strychów. Dziwne urządzenia i przepełnione aromatem przypraw kuchni, spiżarnie i komórki. Był pewny, że jeżeli podejdzie do okna i wyjrzy, zobaczy nie Dzielnicę Niżegorodską, lecz ogród z alejkami, parterami, omszałymi rzeźbami, zwojami pnączy obrastających ceglane murki, a w oddali porośnięte lasem wzgórza.

Na niskim stoliku stał mosiężny dzwonek ręczny. Wiśnik chwycił go i zadzwonił. Po chwili zjawiała się ubrana na czarno kobieta w białym czepku.

– Tak? Czym mogę panu służyć?

Pokójówka. Kolejny anachronizm. Całe to miejsce było jak muzeum; jak pudełko z okazami motyli, wysuszonych i przyszpilonych do atlasowego tła, ze skrzydłami rozłożonymi pod szkłem w parodii lotu; gdy jednak podniosło się wieko i wyjęło któregoś, rozsypywał się w palcach na proch.

W stuleciach, które nastąpiły po przybyciu Założyciela, Łazarowie porzucili stopniowo swe doroczne migracje i przeszli do osiadłego trybu życia. Starsze rody uszlachciły się: wybór będący zaledwie ostatnim z długiej serii tragicznych zakrętów losu, które sprawiły, że Łazarowie nie mieli dokąd pójść, gdy Przywódca przejął władzę, a arystokracja upadła.

– Chcę się widzieć z Eslomem.

– Kogo mam zaanonsować?

– Książę Raku Leopoldowicz Szyrin-Wyłyczow Wiśnik.

– Wasza ekscelencja zechce poczekać w bibliotece.

Eslom był łazarskim archiwistą. Przechowywał dokumenty rodowe i opiekował się artefaktami, regaliai i wspomnieniami, które przetrwały z dumnych czasów myślistwa i pasterstwa, pielęgnując jednocześnie pamięć epoki stopniowej asymilacji, a potem segregacji i pogromów. Chociaż Wiśnik kilkakrotnie już odwiedzał Dom na Purdach, by konsultować się

z Eslomem, nigdy dotąd nie uzyskał dostępu do jego kolekcji. Nie dane to było nikomu, kto nie pochodził z jednego ze znamienitych rodów. Denerwowało go to. Łazarowie i tak mieli w Mirgorodzie niewielu przyjaciół.

Pomieszczenie, w którym kazano mu czekać, nie mieściło kolekcji, a jedynie zwykłą bibliotekę. Panowała tu cisza i półmrok, a w gablotach i na regałach piętrzyły się tysiące tomów. Otworzył jedną z biblioteczek i przebiegł wzrokiem po tytułach. Nic specjalnego, marginalia w istocie, a mimo to były tu rzeczy, których nie znalazłby nigdzie indziej w całej Właści.

*Liryki nocnych motyli.*

*Polowanie w warunkach arktycznych.*

*Spokój umysłu pośród lodowych stworów.*

*Pigmenty i barwniki.*

*Życie na wodzie.*

*Geometria chmur, par i oparów.*

*Praktyka sądowa Archipelagu.*

Wiśnik chwycił jeden z tomów, położył na stoliku i otworzył. *Wielki Atlas Archipelagu*. Strona za stroną barwnych map i indeks nazw: świat, lecz nie jego; inne kraje, inne wyspy, rozsiane na błękitnym tle, uźebrowane pasmami gór. Poezja nieznanomych wybrzeży. Łączył je wielki most, długi na tysiące kilometrów, chociaż miejscami wyglądał na przerwany. Ortografia nazw miejscowych była znajoma, lecz same nazwy brzmiały obco, jak z bajki: Mortern. Wyrd. Tranas Giełt. Bealm War-Tok. Sarshals. Atlas innego świata.

Tymczasem nadszedł Eslom. Gdy Wiśnik spostrzegł go, archiwista skłonił się lekko.

– Witaj, książę. Książęta Worsmy i Tumu są tu zawsze mile widziani; w dawnych czasach byli sojusznikami Łazarów. Jest dla was miejsce w naszych sercach i domostwach. Czym mogę służyć?

Eslom był niskiego wzrostu, szczupły, schludny, skromny, z brązowymi oczami, które patrzyły zza okrągłych szkieł okularów, i opadającymi na czoło lśnącymi, ciemnymi włosami. Miał na sobie granatowy dwurzędowy garnitur, białą koszulę w delikatną kratkę z wywinętym kołnierzykiem i ciemny krawat ze spinką.

– Chcę, drogi Eslomie, żebyś opowiedział mi o Pollandorze. Wszystko, co wiesz.

– O Pollandorze? Dlaczego?

– Znalazłem na jego temat pewną opowieść. W książce. Białym kuku. Zacząłem się zastanawiać: czy to prawda? Czy to możliwe?

– Co to za opowieść? Gdzie ją znalazłeś? Jak brzmi tytuł książki?

Wiśnik sięgnął do chlebaka i wydobył tom. *Dziecięca księga dawnych legend, podań i baśni*. Eslom ujął książkę i otworzył ją, a jego oczy zablęskły.

– Słyszałem o niej, ale nawet my nie posiadamy egzemplarza. – Przsunął tom do twarzy, przyglądając się szyciu i wdychając zapach papieru.

– Opowiedz mi o Pollandorze, Eslomie, a podaruję ci ją. Mój prezent dla Ludu.

Eslom oddał mu egzemplarz.

– Piękny dar. Ale dlaczego akurat o Pollandorze? Istnieje wiele innych ciekawych

opowieści.

– Dlatego.

Wiśnik ponownie sięgnął do chlebaka i wydobył garść fotografii. Rozłożył je na stoliku. Eslom włączył lampę i przyglądał im się w milczeniu przez dłuższą chwilę.

– Skąd je masz? – zapytał wreszcie.

– Sam zrobiłem. To wszystko prawda. Jestem naocznym świadkiem. To jest dowód. I w którymś momencie zacząłem zadawać sobie pytanie: co wie na ten temat Eslom?

– Dlaczego sądzisz, że ma to jakiś związek z Pollandorem?

– Dlaczego? Zawsze, psiakrew, dlaczego? Bo jest to możliwe, drogi Eslomie. Bo mam takie przecucie. Hipotezę. Bo pasowałyby to do pozostałych faktów. No to co mi powiesz?

Eslom zawahał się.

– Powiedziałbym – zaczął ostrożnie – że nie jesteś pierwszym, który zjawia się tutaj i wspomina o Pollandorze. Wczoraj odwiedziła nas tu pałuba.

– Pałuba.

– Tak jest. Z lasu. Opowiadała o Pollandorze, a teraz zjawiasz się ty i pytasz o to samo.

– Czyli Pollandor naprawdę istnieje. Został stworzony.

– Tego nie wiem. Istnieje podanie głoszące, że Łazarowie przechowywali kiedyś coś takiego, że jeden za starych rodów miał to w swojej pieczy, lecz przedmiot ten został skonfiskowany przez Właść, gdy Założyciel dotarł na północ. W czasach grudowników podjęto próby jego zniszczenia, ale były bezskuteczne. Tak brzmi podanie.

– Ta pałuba wspominała o nim? To by potwierdzało jego istnienie.

– Potwierdza tylko tyle, że w jego istnienie wierzą nasi leśni przyjaciele. Niektórzy członkowie Komitetu podzielają ten pogląd. Inni nie.

– Co jeszcze mówiła owa... pałuba?

– Prosiła o widzenie z Centralnym Komitetem. Mówiła o aniele, żywym aniele, który spadł gdzieś w lesie i powoduje wielkie szkody. W lesie obawiają się, że zatruje on cały świat. Pałuba chciała, byśmy otworzyli Pollandora. Tak przecież głosi legenda, prawda? Żeby użyć Pollandora jako ostatniej deski ratunku, gdy wszelka nadzieja zgaśnie.

– Dokładnie tak. Psiakrew. Czy rozumiesz, co to oznacza, Eslomie? Czy widzisz...

– Powiedziała też, że Pollandor jest rozbity albo pęknięty, że cieknie lub coś w tym rodzaju. Brzmiało to ponoć niejasno. Nie było mnie przy tym.

– Co postanowił Komitet?

– Nic. W ogóle odmówili rozważenia jej prośby. Nie chcieli mieć z tym nic wspólnego. Odprawili ją z kwitkiem.

– A zatem...

– Byłem oburzony, gdy się o tym dowiedziałem. Ale oni się boją. Znowu zaczęły się pogromy, gorsze niż kiedykolwiek wcześniej. Wiedziałeś o tym? Właść czyści getta. Masowe egzekucje. Wywózki w nieznane. Likwidują całe dzielnice.

– Nie miałem pojęcia. Widziałem nagłówki w gazetach, ale nie... I co zamierzacie z tym zrobić? Mam na myśli Komitet.

– Komitet trzęsie portkami ze strachu. Niektórzy wzywają, by się zbroić i walczyć. Zgromadzić fundusze i zorganizować powstanie. Ciskać bomby z dachów na policję i wojsko. Inni oczywiście mają nadzieję, że jeżeli będziemy siedzieli cicho, to wszystko się uspokoi, tak jak tyle razy wcześniej. Ale ludzie umierają.

– A ty? Kolekcja?

– Moim obowiązkiem jest jej strzec. Przetrwiała już podobne zawieruchy historii. Zacząłem ją pakować, ale... to sporo pracy jak na jedną osobę. Komitet nie zaoferował żadnej pomocy. Nie biorą pod uwagę możliwości ewakuacji.

– Dokąd byś się udał?

– Nie wiem. Być może do lasu, jeżeli znalazłbym sposób przetransportowania kolekcji. Lub do któregoś z wolnych miast. Na przykład do Koromantu. A może załaduję wszystko na statek i przewiozę do Archipelagu. Tyle że nadciąga zima...

Wiśnik podał Eslomowi książkę.

– Proszę – powiedział. – To dla ciebie.

– Wiesz, że nie mogę zagwarantować jej bezpieczeństwa.

– Weź ją, Eslomie. Znajdź sposób. A jeżeli uznasz, że w czymkolwiek mógłbym ci pomóc, przyjacielu, to wal śmiało jak w dym.

Musiałam się przewrócić, pomyślała Marusia. Leżała zwinięta w kłębek na podłodze. Obolała, wyczerpana, podniosła się powoli, centymetr po centymetrze, i usiadła na krześle. W głowie wirowały jej obrazy drzew i podziemnego śpiącego boga. Pałuba przyglądała jej się.

– Czyli to prawda – powiedziała Marusia. – On tam naprawdę jest. Nie wiedziałam. Pałuba milczała.

Dopiero teraz dziewczyna ujrzała, kim była ona i jej towarzyszka: splotem światła, intencji i żywego powietrza. Urzeźbionym oddechem leśnych drzew. Drzew zakorzenionych w ciele podziemnego boga.

Co nie zmieniało faktu, że jej matka nie żyła. Wkrótce zjawi się policja. To też była realność.

– Jak długo byłam... To znaczy, od kiedy tu jesteście? Ile czasu leżałam na podłodze?

Pałuba wzruszyła ramionami. Pytanie niewiele dla niej znaczyło.

– Zająłam się twoimi ranami. Teraz szybko się zagoją.

Marusia podniosła rąbek spódnicy. Rana na łydce pokryła się strupem. Ból przycichł.

– Kim on był? – zapytała. – Ten mężczyzna, którego widziałam?

– Twój ojciec?

– Tak, mój ojciec. Ma chyba jakieś imię.

– Ach, tak. Nazywa się Hasza.

– Hasza?

– Tak. Nie może cię tu odwiedzić. Nie może opuścić lasu.

– A czy ja... mogłabym pojechać do niego?

– Kiedyś. Być może. Czemu nie. Tyle że... przykro mi to mówić... to jeszcze nie wszystko.

Marusia spojrzała w dzikie, bezdenne oczy pałuby.

– Pokaż mi.



Z nieba wylewał się deszcz. Ciężka, czarna ulewa. Przeszedłszy długą drogę, Jakow Pietrow dotarł na północny skraj miasta, a właściwie poza administracyjne granice Mirgorodu, do starej lazarskiej dzielnicy zwanej Niżegorodską, wiekowego miejsca, gdzie domy zbudowane były z drewna. Chociaż stały tu od stuleci, były to pokrzywione, prowizorycznie wyglądające konstrukcje, obite splowiałymi deskami, z drewnianymi okiennicami i dachami krytymi wiórem. Okapy, ganki i okna zdobiły misternie rzeźbione nadokienniki, pazdury i śparogi, pełne rytmicznych wzorów i zazębiających się ornamentów. Przypominało to haft. Albo ozdoby na torcie. Albo dziwny, nieznany alfabet. Drewno było wysmagane przez wodę i wiatr, miejscami popękane, a jednak domy wyglądały bardziej jak szkatułki albo ciastka niż budynki. Zbudowano je z drzew, które wyrosły na wyspach w delcie rzeki na długo przed przybyciem Założyciela.

Pietrow urodził się tutaj, ale dzisiaj prawie o tym nie pamiętał. Inne myśli zaprzętały mu głowę, pełne tak dzikiej energii, że nie mógł uspokoić ani ciała, ani umysłu, nie był nawet w stanie iść prosto. Nieopanowany, przepełniony ponad miarę, szedł naprzód zygzakami, zyskując dystans jedynie powoli, stopniowo, jakby w swym marszu się jękał, mamrocząc pod nosem, wykrzykując oderwane sylaby w języku, który znał tylko on.

Zagubiony w swym rozwibrowanym świecie spadł prosto w łapankę.

Jeden z ustawionych w tyralierę żołnierzy mówił coś do niego, ale Pietrow słyszał tylko łagodny szum morza i deszczu, więc żołnierz rąbnął go kolbą karabinu w ramię i Pietrow upadł.

– Hej, ty. Do szeregu.

Pietrow wstał, czując promieniujący ból w ramieniu. Żołnierz, który go uderzył, był młody, nie mógł mieć więcej niż osiemnaście lat, a jego twarz była biała jak papier. Zdawał się nie mieć oczu.

– Do szeregu.

– Nie – rzekł Pietrow. – Nie mogę.

Żołnierz dźgnął go lufą karabinu w brzuch.

– Do szeregu albo idziesz pod ścianę.

Otoczyli go w kilku. Któryś pchnął go mocno w kark, tak że potknął się i mało brakowało, by znowu upadł. Żołnierze rozstąpili się, by go przepuścić.

– No już. Dołączyć do reszty.

Pietrow zdał sobie sprawę, że zna to miejsce. Był to nieużytek, przecięty ukośnie płytkim rowem. Popularne miejsce dziecięcych zabaw. Nigdy w życiu klifu nie widziawszy, nazywali je Czerwonym Klifem. Stała tam teraz grupka ludzi, ustawionych w rzędzie na skraju zbocza, w padającym deszczu. Z boku czekający żołnierze. Trzy ciężarówki zaparkowane jedna obok drugiej. Inni żołnierze wyładowywali coś spod brezentu. Jasnowłosy oficer, schludny i blade, wydawał im rozkazy. Pietrow nie miał wątpliwości, że pachnie od niego mydłem.

Niektórzy z więźniów byli nadzy, inni w bieliźnie. Niektórzy rozbierali się na oczach pilnujących ich żołnierzy. Kobiety zakrywały dłońmi piersi, drżąc. Deszcz padał. Na ziemi leżała sterta nasiąkających wodą ubrań. Nieco w oddali stał muzyk koloru ziemi, kołysząc się lekko, czekając. Żołnierze ustawiali arkebuzy w rzędzie na wzgórku.

Pietrow zdał sobie sprawę, że jeden z żołnierzy poszedł za nim i teraz stanął obok niego.

– Dołączcie do pozostałych, obywatelu – ponurym głosem rzekł Pietrowowi prosto do ucha. – Ubranie rzućcie na stertę. Postaramy się załatwić to szybko.

Gdzieś – w oddali – ktoś, kobieta, zdawał się gromić żołnierzy brutalnymi słowami. Trzy pozbawione echa strzały naprawiły ciszę i deszcz.

Potem arkebuzy otworzyły ogień.

Marusia była w strasznym miejscu. Zabrał ją tam pocałunek pałuby. Okropne, koszmarnie miejsce w cieniu strome go wzgórza. Nie było to jednak wzgórze, ale upadły anioł – i do tego żywy.

Rosły tu drzewa, tyle że kamienne, z kamiennymi igłami. Marusia szła po śniegu pośród skalnych występów. Miejscami, tam gdzie nie było śniegu, ziemia tliła się chłodnym ogniem, który pluskał pod twardą, zaschniętą skorupą. Pył i popiół, sucha, łuszcząca się lawa nad zimnymi kałużami ognia. Nogi Marusi zapadały się przez zewnętrzną skorupę w miękkie płomienie pulsujące poniżej. Płomienie, które były zimne i nie paliły.

Kamień rósł i rozprzestrzeniał się jak roślinność. Tu i ówdzie połyskiwały jeziorka wypełnione substancją, która nie była wodą.

Wszystko było żywe i obserwowało ją. Nie, nie żywe, wręcz przeciwnie. Antyżywe. Twarde, funkcjonalne, postrzegające kontynuację bez egzystencji jak echo, cień, odbicie czegoś, co minęło. Lecz wszystko było jej świadome. Wszystko.

Ze wzgórza, które było aniołem, wyciekała świadomość. Sączyła się na wiele kilometrów dookoła. Jak krew.

Marusia nie była sama. Smętne stwory błąkały się bez celu pośród drzew. Istoty z kamienia. Skamieniałe istoty. Popękane, pokruszone, zwietrzałe, lecz niemogące umrzeć. Spod osłony karłowatych brzoź obserwował ją ktoś z potrząskanymi rosochami, pozbawiony tylnych odnóży. Nie było dla niego pociechy. Mógł tylko czekać, aż powolne działanie wody, wiatru i czasu zamieni go wreszcie w proch i rozwieje po świecie. Będzie jednak patrzył i widział, ofiara klątwy niekończącego się trwania.

Kamienni golemowie wydobywali się spod ziemi i szli przed siebie, torując sobie drogę pośród kamiennych drzew. Jeżeli upadli, rozlatywali się na kawałki. Bezgłowi golemowie. Pozbawieni palców golemowie. Golemowie upadli i brnący przez bajora spowolniałego czasu.

Zgnilizna sączyła się i ciekła przez bezkresny las we wszystkich kierunkach niczym zdradliwa plama, jak porost na glazie, jak krew na śniegu. Nigdy się nie zatrzyma. Będzie się tak rozprzestrzeniać po wsze czasy. Las umierał.

Anioł trafił las w podbrzusze niczym pocisk, wyrwijąc dziurę, zapoczątkowując powolne, nieuniknione, glacialne, rakowate, kamienne konanie.

Anioł przyglądał jej się. Całe to kamienne pobożowisko było jednym wielkim wpatrzonym w nią soczewkowatym okiem. Czują jego impertynenckie zainteresowanie, jakby tusty paluch celował to w nią, to w pałubę, to w zwalście leśne drzewa.

Wiedział. A potem, bez wysiłku, rozerwał je na kawałki.

Pałuba eksplodowała kawałkami drewna, szmat i mięsa, które rozleciały się po mieszkaniu z wielką prędkością, niszcząc meble i tłukąc szyby. Wietrzyć wessało, jakby wpadła prosto w oko cyklonu.

Marusia poczuła wrzask w głowie, gdy pałuba próbowała odciągnąć ją w bezpieczne miejsce. Oprócz wrzasku były tam też fragmenty słów, desperacko wciskane jej przez pałubę do głowy.

Pollador! Otwórz go! Otwórz go, Marusiu! Ty masz klucz! Jest w twojej kieszeni!

I w tym momencie chaosu i zniszczenia Marusia wyczuła też lęk anioła. Lęk przed tym, co czekało się w Mirgorodzie, i przed tym, co ona, Marusia, mogła zrobić.

Wyszła z mieszkania i pobiegła w dół schodami. Na ulicę, w deszcz. W kieszeni niosła małą, kruchą kulkę ulepioną z gałązek, jagód, kostek i wosku. Nie kierowała się do Koromantu. Jeszcze nie.

Jakow Pietrow leżał pomiędzy trupami. Twarz trupa przyciskała mu się do policzka. Dusił go ich odór i nacisk – powietrza, powietrza, powietrza – a rów wypełniał się w rytm kolejnych salw: salwa – trup, salwa – trup. Przeciekająca między ciałami woda wlewała mu się do ust. Rozkaszał się i zwymiotował. W ustach czuł smak goryczy i soli.

Żołnierze gramolili się między ciałami, dobijając tych, którzy jeszcze żyli, tych, co jęczeli, krztusili się, poruszali albo łkali. Pietrow, który upadł, nietrafiony, gdy zaczęła się kanonada, leżał cicho jak mysz pod miotłą pod zwałem ciał.

Wreszcie żołnierze zaczęli zasypywać masowy grób mokrą ziemią. Pietrow poczuł jej ciężar i zapach. Była ciężka jak cały świat. Nie mógł zaczerpnąć oddechu. Czekał.

Kiedy nadszedł odpowiedni moment, wygrzebał się spod ciał, z czerwonego błota, i skierował z powrotem do miasta. Ale nie było ucieczki: martwi wydobywali się za nim, niezliczone ich ilości: ślepi, niemi, ciężko człapiący. Poranieni, rozkładający się, gramolili się z rowu i wolnym krokiem podążali za nim.

To, czego teraz potrzebował, mógł uzyskać tylko od Józefa Kantora.

W drodze powrotnej z Domu na Purdach Raku Wiśnik przemókł kompletnie, ale prawie nie zwracał na to uwagi. Był przekonany, że znalazł Pollandora. Słowa Eśloma to potwierdzały. Pollandor był realny, istniał naprawdę, a on wiedział, gdzie go znaleźć. Chciał się podzielić z kimś tą wiedzą – powie Wissarionowi – powie Marusi Szaumian – wspólnie uczczą jego tryumf. Oni zrozumieją. I razem stworzą plan. Opracowując w wyobraźni kolejne jego wersje, elementy i konfiguracje, Wiśnik otworzył drzwi do mieszkania i wszedł prosto w koszmar.

Mieszkanie wyglądało, jakby przeszedł przez nie tajfun. Wszystko wyprute. Meble połamane. Szuflady powyciągane i przewracane. Papiery i fotografie na podłodze. Umundurowany gwardzista podniósł na niego wzrok znad bałaganu, nad uporządkowaniem którego pracowali. Oprócz niego było jeszcze dwóch. Siedzieli obok siebie na kozetce, nie gwardziści tym razem, lecz cywile, w gumowanych płaszczach i kaloszach. Obok nich leżały równo ucięte kawałki liny. Dwa duże czyste noże.

– Moje mieszkanie – powiedział Wiśnik. – Moje mieszkanie...

To o mieszkaniu najpierw pomyślał, chociaż wiedział, jakąś częścią siebie wiedział, że to szaleństwo. Gdy dwadzieścia lat wcześniej przyjechał do Mirgorodu rozpocząć karierę, udało mu się załatwić lokum tylko dla siebie. Gdy po raz pierwszy zamknął za sobą drzwi, niemalże popłakał się ze szczęścia. Któregoś popołudnia jakiś czas potem kupił na straganie na Rynku Apraksinowskim pojedynczą rolkę ręcznie drukowanej tapety – białe kwiaty na karminowym tle – i schował w kącie za piecykiem. Była tam teraz. Przez lata zgromadził też inne skarby: platerowane lustro, prawie niezniszczone; puszkę na herbatę z czerwonej laki; barwną litografię przedstawiającą tancerki. Wszystko to leżało teraz przed nim na podłodze.

– Psiakrew – powiedział Wiśnik cicho, niemalże do siebie. – Psiakrew. – Poczul zrezygnowany spokój. To już nie miało znaczenia. Wiedział, że ten dzień kiedyś nadejdzie. Chwycił zapakowany chlebak czekający przy drzwiach. – Dobrze – powiedział do oficera gwardii. – Dobrze. Chodźmy.

Oficer zabrał mu chlebak i zamknął drzwi.

– Tego nie będziecie potrzebowali – powiedział. – Nigdzie nie idziemy. Wszystko, czego potrzebujemy, jest tutaj.

– Co takiego? – zdziwił się Wiśnik.

– Gdzie jest Łom? Gdzie dziewczyna? Gdzie teczka?

– O co tu, do cholery, chodzi? – Wiśnik nagle się wściekł. – Kim wy, kurwa, jesteście? Co to za pytania? Rozejrzycie się dookoła! Spójrzcie, co narobiliście. Walcie się i już.

– Gdzie jest Łom? Gdzie dziewczyna? Gdzie teczka? Odpowiadać.

– Pytanie pierwsze: nie mam pojęcia. Pytanie drugie: jaka dziewczyna? Pytanie trzecie: jaka znowu teczka?

Dwaj cywile wstali, chwycili kozetkę i przesunęli ją na środek pokoju. Gwardzista ponowił

pytanie. I wtedy pojawił się lęk. Wiśnik zachwiał się i mało brakowało, by upadł. Ale nie upadnie. Nie.

– Walcie się – powtórzył.

Gwardzista wskazał na kozetkę.

– Proszę siadać, książę. Albo położyć się. Proszę zamknąć oczy i pomyśleć. Mamy dużo czasu. Może pan krzyczeć, ile chce. Nikt nie przyjdzie. Dozorca powiedział lokatorom, że tu jesteśmy, i do naszego odejścia będą siedzieć cicho. Wie pan, że to prawda. Nikt nie przyjdzie panu z pomocą. A teraz... – Położył Wiśnikowi dłoń na ramieniu i pchnął go lekko.

– Proszę nie myśleć, że musi pan próbować się opierać. Wcale nie zależy nam na przedłużaniu pańskiego bólu.

– Walcie się – rzekł Wiśnik. – Mam was gdzieś.

## 55

Tramwaj, którym jechał Łom, torował sobie drogę przez nadciągającą burzę. Pasażerowie siedzieli w milczeniu, wyglądając przez mokre od deszczu okna. Powietrze było naelektryzowane. Wiatr smagał ulice nieregularnymi podmuchami. Deszcz bębnił twardymi kroplami o szyby i dachy. Nie minęło dużo czasu i woda zaczęła wylewać się z przepelnionych studzienek.

Tory tramwajowe biegły górą, nasypami i wiaduktami, i Łom przez okno obserwował podnoszącą się wodę. Ludzie zaskoczeni na ulicach splatali ręce na głowie i brodząc, ewakuowali się w wyżej położone miejsca. Wały zaczęły się przepelniać. Barki i promy zerwały się z kotwic i gnane wiatrem znalazły się na ulicach, waląc głucho burtami o ściany budynków, rozbijając witryny sklepów, teatrów i restauracji. Z górnych pięter wyglądali przestraszeni ludzie. Dorożkarze mocowali się z uprzężą na wietrze i deszczu, wyprzegając konie, by się nie potopiły. Nie dało się odróżnić ulicy od kanału. Niektórzy wsiadali do łodzi i wiosłowali pomiędzy kamienicami i witrynami sklepów. Kilku śmiałków próbowało pokonać napór wody wplaw.

Tramwaj jechał dalej, zagłębiając się w miasto, aż w końcu stało się to, co nieuniknione, i grzęznąc po osie w błotnistej wodzie, zatrzymał się w sнопie sypiących się z góry iskier. Silnik zgasł nagle i uszy Łoma wypełniły odgłosy burzy. W pierwszej chwili chciał zostać na miejscu, ale motorniczy krzyczał, że muszą opuścić pojazd.

– Woda się podnosi! Przewróćmy się!

Już czuli, jak wagon kołysze się niepewnie pod naporem wody. Wysiedli kolejno. Woda sięgała mu niemal do pasa, brunatna i lodowato zimna.

Pasażerowie zbili się w gromadkę, zagubieni, wycierając mokre od deszczu twarze. W pobliżu znajdowała się niewielka piekarenka; drzwi były otwarte, woda z pluskiem uderzała o ladę. Na powierzchni unosiły się koszyki, nasiąknięte bochenki i bułki. Z pięterka dawał im znaki mężczyzna w białym fartuchu, wołając coś, ale jego słowa ginęły w szumie deszczu. Pozostali skierowali się tam, ale Łom zignorował ich. Musiał się dostać na Nabrzeże Pelikanów.



Pierwsze, co pomyślał Józef Kantor, gdy Jakow Pietrow stanął w jego drzwiach, to żeby go od razu zastrzelić. Pietrow cuchnął rynsztokiem. Ogolił głowę na zero, a jego ciało, zawsze chude, przypominało teraz szkielet. Był przemoczony, nasiąknięty wodą. Jak mokry szczur. Na jego twarzy widniały smugi atramentu czy farby, jakby pisał po sobie. Źrenice oczu miał rozszerzone, ciemne.

– Powiedziałeś tej dziewczynie, gdzie mnie znaleźć – rzekł Kantor. – Jesteś idiotą, bezużytecznym głupcem. Czego tu szukasz?

Ale Pietrow wyglądał tylko na zdziwionego.

– Dziewczynie?

– Młodej Szaumian.

Pietrow machnął ręką.

– Przybyłem – powiedział. – Jestem gotowy. Na to, o czym rozmawialiśmy wcześniej. Wielka pożoga. Niech się rozpocznie.

Kantor puścił rewolwer i wyjął dłoni z kieszeni. Usiadł w krześle i przyjrzał się Pietrowowi z dobrodusznym zainteresowaniem. Zdążył już zmienić plan i zamierzał wykorzystać Lidę albo Stiefanię, ale nie był w stanie pozbyć się wątpliwości co do ich lojalności. Ich zaangażowania i gotowości poniesienia ofiary. Jeżeli Pietrow wrócił, to świetnie. Tak będzie o wiele lepiej.

Uśmiechnął się.

– Dobrze – powiedział. – Bardzo dobrze. Cieszę się, że przyszedłeś, przyjacielu. Porozmawiajmy o tym, czego będziesz potrzebował.

Łom z trudem brnął naprzód. Woda była śliska od oleju i ropy. Martwy szczur przyczepił mu się do piersi i Łom odrzucił go ze wzdrygnięciem. Zimna woda sprawiała, że drętwiały mu stopy; krawężniki i inne przeszkody co krok groziły, że się potknie i przewróci; płaszcz hamował ruchy. Widział coraz mniej ludzi, w miarę jak woda brała ulice w posiadanie. Skreślił za róg i ujrzał płaskodenną łódź, powoli oddalającą się od niego. Rzucił się za nią, wołając. Łodzią, mocno już obciążoną przez skulonych pasażerów, sterował za pomocą długiego drąga stojący na rufie mężczyzna. Ktoś zauważył Łoma i dał znak sternikowi. Ten zatrzymał łódź i po chwili Łom chwycił za burtę i z trudem wgramolił się do środka, padając ciężko na pokład.

– Dziękuję – wycharczał. – Wielkie dzięki.

– Pięćdziesiąt rubli – rzucił sternik.

Łom sięgnął po pieniądze zgrabiętymi palcami i pochylił się do przodu, by podać je mężczyźnie – nie pięćdziesiąt rubli, ale wszystko, co miał – kołyszac łodzią i niechętny szturchając łokciem siedzącą obok kobietę, która zgromiła go niemym spojrzeniem. Łódź sunęła naprzód w ciszy, mijając budynek Teatru pod Wesołym Kogutem i Rynek Apraksinowski z jego uginającymi się drewnianymi galeriami. Wiatr wzmagął się, siekąc im deszczem w oczy, powodując szkwał. Łom zadrżał z zimna. Przynajmniej powódź dała mu trochę czasu. Ludzie Chazijskiej nie będą w stanie poruszać się szybko w tych warunkach.

Między pasażerami wybuchła kłótnia. Grupa rekrutów chciała, by zabrano ich do Arsenału, i próbowali zarekwirować łódź. Sternik miał już wszystkiego dość i chciał wracać do domu. Pchał łódź uparcie naprzód, ignorując żołnierzy, którzy próbowali wydawać mu rozkazy i przekonywać go do powagi swego zadania. Pozostali pasażerowie przyglądali się temu beznamiętnie, poddawszy się biegowi wypadków, obojętni na to, dokąd płyną, byle nie znaleźć się z powrotem w brudnej, lodowatej wodzie.

Przeplływali właśnie przez rozległy plac, kiedy żołnierze nagle ucichli. Łom pobiegł wzrokiem za ich spojrzeniami. W wodzie coś było. Miękkki, węzowy ruch. Znowu i znowu: coś więcej niż plusk pchanych wiatrem fal. Łomowi mignęło przed oczami stalowoszare, gładkie, jakby naoliwione, podługowate cielsko. Coś jak węgorz, ale sporo większe. Czarne płetwy bezszelestnie przecięły powierzchnię wody i chwilę później w oczy spjrzała mu twarz. Ludzka twarz.

Prawie ludzka. To podobieństwo było w niej najbardziej szokujące, bowiem ludzka nie była w ogóle: biała jak kreda, jak ludzkie ciało, które zbyt długo przebywało w wodzie, z głębokimi oczodołami i prawie czarnymi oczami, z nosem obsadzonym wyżej i bardziej zadartym niż ludzki, z prostą, pozbawioną warg kreską zamiast ust. Stwór wylańczał się stopniowo z wody, odsłaniając tors równie biały jak twarz, i ciężkie białe piersi z sutkami takimi jak kobiece, ale większymi i barwy błękitnosinymi. Poniżej ten prawie ludzki tułów przechodził w ciemny, masywny rozdwojony ogon. Istota wpatrywała się w niego. Była świadoma jego obecności. Wiedziała, że jest obserwowana. Ale na jej twarzy nie malowało się żadne uczucie. Żadne.

Stwór podpłynął do zatłoczonej łodzi, wyciągając głowę, przyglądając się intensywnie Łomowi. Łom wyraźnie widział jego pozbawione źrenic czarne oczy i uchylony otwór gębowy. Usłyszał ciche syczenie, jakby wydech. Stwór podpłynął jeszcze bliżej, chwycił burłę dłońmi i zaczął kołysać łodzią, jakby próbował wgramolić się do środka. Miał gładkie, kwadratowe, białe plecy, jak ludzkie, z wyraźnie zaznaczonym rdzeniem kręgowym.

– Rusałka! Rusałka! – krzyknął przerażony sternik, próbując odgonić istotę za pomocą drąga. Jeden z rekrutów zaprotestował i chwycił go za ramię, ale było za późno. Sternik rąbnął rusałkę drągiem prosto w głowę i istota zniknęła pod wodą.

Nie namyślając się wiele, żołnierz wskoczył za nią do wody.

– Wracaj! – wołał. – Błagam! Wracaj!

Na próżno rozchłapywał wodę, aż osłabł i dostał zadyszki. W końcu towarzysze wciągnęli go z powrotem do łodzi. Korzystając z chwilowej nieuwagi pasażerów, Łom wysiadł i brodząc po wodzie, ruszył ku krawędzi placu.

Kroch zerknął tylko przelotnie, gdy jego asystent wszedł do gabinetu, niosąc kolejny stos akt. Jak zawsze, akta będą umieszczone w pojemniku „do załatwienia”, a ten oznaczony jako „załatwione” zostanie opróżniony. Odbędzie się to bez słowa. Rutynowe działanie. Jak najmniej zamieszania. Kroch zdziwił się więc lekko, gdy asystent nie wyszedł, lecz w zamian obszedł biurko, by stanąć przy oknie.

– Woda się podnosi – powiedział.

Kroch chrząknął. Zachowanie asystenta zirytowało go. Był już podenerwowany po telefonie od Łoma.

– Nie jadę dzisiaj do domu – rzekł. – Prześpię się w firmie. Być może później będę musiał porozmawiać z Przywódcą. Nie musisz zostawać, Pawle. Wracaj do domu, zanim zamkną mosty.

– Teraz już za późno.

Coś w jego głosie zaskoczyło Krocha.

– Cóż – rzekł – niech zatem znajdą ci jakąś łódź. Przekaż im, że to moje polecenie. Nie chcę cię tu widzieć do jutra.

– Przyszła wiadomość od marszałek Chaziąjskiej.

– Jakiej treści?

– Że jesteś bezużytecznym starym głupcem.

Kroch zdał sobie sprawę – zbyt późno – jak blisko podszedł asystent. Zanim zdążył zareagować, ten zarzucił mu na szyję pętlę z drutu. Pętla zacisnęła się, przecinając skórę. Kroch poczuł ciepło krwi ściekającej mu po karku pod koszulę. Zaplamiała papiery na biurku. Próbował wcisnąć palce pod drut, ale nie mógł. Ślizgały się we krwi. Poczuł, jak drut je kaleczy. Próbował wstać, walczyć, wołać o pomoc, ale asystent szarpnął za pętlę, pociągając go do tyłu, pozbawiając równowagi. Chciał rzucić się na bok, ale asystent podciągnął go do góry. Jego ściśnięte gardło nie było w stanie wydać żadnego dźwięku. Nie mógł zaczerpnąć oddechu. Poczuł, jak tyłem głową uderza o krzesło. Zabołało. Potem umarł.

Dotarłszy do budynku, w którym mieszkał Raku Wiśnik, Marusia Szaumian zastała drzwi wejściowe zamknięte. Otworzyła je i weszła do zalanego wodą holu. Plusk wody odbijał się echem po pomieszczeniu. Powoli, czując ciężar przemoczonego ubrania, wspięła się na piętro do mieszkania numer cztery. Drzwi były uchylone.

– Raku? – zawołała cicho. – Raku? Tu Marusia.

Cisza. Pchnęła drzwi i weszła do środka.

To, co zostało z Raku Wiśnika, leżało na kozetce, która tkwiła niczym wyspa pośród morza papierów i połamanych sprzętów. Był nagi, leżał na plecach, z rękami i nogami przywiązanymi do nóg kozetki, cały umazany we krwi. Brakowało mu trzech palców u prawej ręce.

Marusia musiała spowodować jakiś hałas – nie wiedziała jaki – bo Wiśnik skierował ku niej swą zmasakrowaną twarz. Spojrzał na nią jednym okiem. A myślała, że nie żyje.

Podeszła do niego. Wiśnik poruszał ustami. Chyba chciał jej coś powiedzieć, ale bębnienie deszczu o szyby zagłuszało jego słowa. Uklęka przy nim. Woda z sukienki kapłała na porzucane papiery i fotografie.

– Marusiu – wyszeptał – ja nie...

Co robić, myślała gorączkowo. Co robić?

– Już dobrze – powiedziała na głos. – Pomogę ci. – Próbowała rozsuptać jeden z węzłów, ale był mocno zaciśnięty i mokry od krwi. Nic z tego. – Co się stało? – zapytała. – Kto ci to zrobił? Jak ci pomóc, Raku?

– Znalazłem go – rzekł Wiśnik, wpatrując się w nią jedynym okiem, jakie mu pozostało. Po drugim był tylko zakrwawiony oczodół. – Jest tutaj i znalazłem go. Nic im nie powiedziałem.

– Już dobrze, Raku – powiedziała. – Już dobrze...

– Nie. Chcę ci powiedzieć. Miałem to zrobić już wcześniej. – Próbował unieść głowę. Z kącika ust kapłała mu krew. – Znalazłem go. Znalazłem. Ale oni tu byli...

– Raku?

Złożył głowę na kozetce. Dolna szczeka opadła mu lekko. Jego twarz znieruchomiła. Odszedł.

Marusia wstała, drżąc.

Muszę stąd wyjść, pomyślała. Muszę stąd natychmiast wyjść.

Potworność tego, co leżało na kozetce – tego, co mu zrobili – sprawiała, że nie mogła zostać. To było niemożliwe. Jednak na zewnątrz szalała burza, a miasto było zalane: ledwie tu dotarła, a woda od tego czasu jeszcze się podniosła. Dokąd miała iść? I jak?

Podeszła do okna, rozchyliła zasłony i wyjrzała w rozszalałą ciemność. Okno trzęsło się w ramie; szyby ugiwały się pod naporem wiatru, wykoślawiając odbicie pokoju. Przycisnęła twarz do szyby, próbując zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz.

Latarnie uliczne były ciemne; jedyne światło dawały okna okolicznych domów, ale po tym, jak ich blask odbijał się w falach, widać było, że woda jeszcze się podniosła. Była teraz głęboka na trzy do czterech i pół metra i pod wpływem wiatru układała się w strome, spienione fale.

Była też łódź.

Szła na silniku w górę ulicy, wioząc pół tuzina skulonych przed deszczem mężczyzn w mundurach.

„Gwardia Miasta Stołecznego Mirgorodu” – głosił napis na dachu kabiny.

Marusia usłyszała hałas i odwróciła się raptownie, myśląc, że to Wiśnik w jakiś sposób próbuje podnieść się w swym łożu tortur.

Ale to był Łom.

– Musimy uciekać – powiedziała. – Nie możemy tu zostać. Oni są na zewnątrz. Mają łódź.

– Wiem – powiedział. – Widziałem ich. – Spojrzał na Wiśnika. – Przyszedłem tu po niego.

– Raku nie żyje – powiedziała cicho Marusia. – Był jeszcze przytomny, gdy przyszedłem... powiedział, że nic im nie zdradził.

– Nie miał nic do zdradzenia. Niepotrzebnie go męczyli.

Z dołu dobiegł odgłos głuchych uderzeń drewna o drewno. Brzęk szkła.

– Nie ma czasu – powiedziała Marusia. – Musimy iść.

Łom stał, spoglądając na Wiśnika.

– Idź schodami – powiedział wreszcie. – Nie jedź windą. Idź na samą górę. Dach jest płaski i powinien być pozbawiony przeszkód. Przy odrobinie szczęścia dotrzesz na drugi koniec osiedla. Po prostu idź przed siebie. Znajdziesz sposób.

– A ty? – zapytała. – Ty nie idziesz?

– Ja ich tu zatrzymam. Przy nabrzeżu znajdziesz jakąś łódź.

– Zabiją cię.

– Nie, nie zabiją – odparł. – W każdym razie nie od razu. Muszą się najpierw dowiedzieć, co zrobiłem. Muszą mieć pewność.

Marusia potrząsnęła głową. – Chodź ze mną – powiedziała.

– Nie.

Zawahała się. Na dole rozległ się kolejny trzask. Krzyki.

– Cholera – powiedział Łom. – Idź już. Naprawdę. Proszę cię.

Nie mieli sobie nic więcej do powiedzenia. Marusia odwróciła się i wyszła z mieszkania.

Gdy Marusia zniknęła, Łom wyszedł na korytarz i nacisnął guzik windy. Mechanizm uruchomił się z głośnym zgrzytem. Winda była na jednym z górnych pięter i trwało niemożliwie długo, zanim zjechała na dół. Gdy wreszcie się przed nim zatrzymała, Łom wszedł do środka, nacisnął guzik poziomu minus jeden i wysiadł. Rozległ się głośny plask, gdy winda uderzyła o wodę. Teraz nie wjedzie już z powrotem. Zostawały tylko schody.

Stanął przy poręczy. Widział piętro niżej i półpiętro. Sprawdził pistolet. I jeszcze raz.

Cichy głos. Odgłos kroków. Twarz spoglądająca na niego z półpiętra. Łom strzelił, umyślnie celując za wysoko. Pocisk odłupał kawał tynku nad głową mężczyzny, który skrył się szybko.

– Łom? – To był Szafran. – Łom? Czy to ty? Co chcesz osiągnąć?

Łom strzelił jeszcze raz.

– Nie próbujcie tu wchodzić – zawołał. – Zastrzelę każdego, kogo zobaczę. Tym razem będę celował naprawdę.

– Jest nas tu sześciu, Łom. Nie masz szans.

– Mam pełny magazynek. I bardzo wiele cierpliwości.

– Upadłeś na głowę.

Łom milczał. Im dłużej ich tu zatrzyma, tym większa szansa, że Marusi uda się uciec.

– Natrzemy na ciebie, Łom. Powiedz tylko kiedy. Nie zastrzelisz nas wszystkich.

– No to który pierwszy?

– Jak się miewa twój przyjaciel? Jak się ma książę Wiśnik? – Łom poczuł narastający gniew. – Lubił cię, Łom, wiesz o tym? Często wołał twoje imię. Kiedy nie kwiczał jak zarzynane prosię.

– Ty sukinsynu... – Łom urwał. Szafran specjalnie go prowokował. Nie może pozwolić sobie na dekoncentrację. Odczekał chwilę. – Szafran? – zawołał. Nic. Cisza przedłużała się. Nic się nie działo. Czekał.

Ktoś pojawił się na półpiętrze w dole. Twarz. Ręka. Ciskająca czymś. Łom wypalił, ale za późno.

Granat odbił się od ściany i potoczył ku niemu. Łom instynktownie próbował go odkopnąć i chybił niemal zupełnie, ale jakimś cudem zewnętrzną krawędzią buta zaczepił o metal. Pchnięty niezdatnym kopniakiem, granat odbił się od listwy przyściennej i potoczył w dół po schodach, po dwa, trzy stopnie naraz. Łom odskoczył do tyłu, zakrywając twarz ramieniem.

Eksplozja zassała powietrze i wyrzuciła je z powrotem w górę. Huk był zbyt głośny, by dało się go usłyszeć, był tylko bolesnym dudnieniem w głowie. Łom zatoczył się oszołomiony.

Opierając się o ścianę, próbując oprzytomnieć, próbując nie zwymiotować, zdał sobie sprawę, że urywane, bolesne jęki, które słyszy, nie pochodzą z jego ust.

Podniósł wzrok i ujrzał postać w mundurze skradającą się po schodach. Wypalił na oślep i postać wycofała się.

Coś – dźwięk, ruch spostrzeżony kątem oka – kazało mu się odwrócić. Szafran stał za nim, zaledwie parę metrów dalej, z wycelowanym pistoletem.

Cholera, pomyślał Łom. Szyb windy. Sukinsyn wspiął się.

Obracając się, ujrzał błysk satysfakcji w oczach gwardzisty. Nie było czasu na reakcję. Szafran rąbnął go lufą pistoletu w skroń. I jeszcze raz.

Łomowi pociemniało w oczach, nogi ugięły się pod nim i upadł.

Dwaj gwardziści wykrecali mu ręce do tyłu. Napotkał spojrzenie jasnych oczu Szafrana. Próbował napiąć mięśnie brzucha, ale cios sprawił, że złożył się wpół i chciał opaść na kolana. Gwardziści podtrzymali go.

Łom otworzył usta, by zaczerpnąć powietrza, ale nie mógł. Szafran podciągnął mu głowę do góry za włosy i uderzył ponownie. I jeszcze raz. Gdy gwardziści puścili go, Łom upadł i skulił się na podłodze, przyciskając kolana do brody, próbując się osłonić. Wreszcie udało mu się, choć z trudem, nabrać powietrza w płuca. Z kącika ust pociekła na podłogę strużka śliny.

– Jesteś nikim – powiedział Szafran. – Jesteś gównem.



W pomieszczeniu, w którym go zostawili, było potwornie duszno. Musiało znajdować się głęboko w trzewiach Łódki; nie było tu żadnych okien, a jedyne światło rzuciła neonówka ukryta za odporną na uderzenia osłoną pod sufitem. Coś w rodzaju pokoju przesłuchań. Drewniany stół na środku, dwa krzesła naprzeciwko siebie, dwa kolejne pod bokiem. Zielona lamperia, na podłodze odklejające się linoleum, a wzdłuż ścian ciężkie, grube żelazne rury, solidnie przymocowane i gorące jak diabli. Wisały na nich skórzane opaski, a same rury upstrzone były rdzawymi plamami, których pełno było też na podłodze. Zza drzwi dobiegały odgłosy kroków, dźwięk dzwonka, przytłumione okrzyki i wrzaski. Łom nie miał pojęcia, która jest godzina. Czy jest dzień, czy noc.

Bolało go całe ciało. Lewe oko miał zamknięte. Było opuchnięte i lepkie od zasychającej krwi. Kręciło mu się w głowie. W klatce piersiowej czuł tępy ból i głuchy ucisk. Ostre ukłucie w żebrach, gdy się poruszył. Ale był cały. Wciąż cały. Miał szczęście albo – co bardziej prawdopodobne – Szafran wiedział, co robi.

Nacisnął na klamkę. Zamknięte. Usiadł przy stole, twarzą do drzwi, i czekał, próbując wyrzucić z głowy obraz Wiśnika na kozetce – tego, co z nim zrobili. Jeszcze policzy się za to z Szafranem.

W pewnym momencie jego myśli pobiegły ku Marusi Szaumian. Przypomniał sobie jej twarz. Podkrążone oczy. Trzymała się jakoś, ale widać było, że z trudem. Na jej policzku ziała poszarpana rana. Miał nadzieję, że dziewczyna jest daleko. I że jeszcze się kiedyś zobaczą.

Gdy usłyszał szcęk klucza przekręcanego w zamku, chciał wstać, by stawić czoło swym prześladowcom, ale nie ufał własnemu ciału, został więc na swoim miejscu. Mężczyzna w drzwiach ubrany był w ciemny kapelusz i ciężki szary płaszcz, niezapięty, narzucony na czerwoną jedwabną koszulę. Twarz, chuda i dziobata, pokryta kilkudniowym zarostem.

Łom widział go już wcześniej. Na starym zdjęciu u Krocha. Na demonstracji w mieście. Niczym posąg wysoki na ponad pięćset metrów, spoglądający z góry na inny Mirgorod, na miasto, które nie istniało, w każdym razie jeszcze nie. Mirgorod szeptów. Jego Mirgorod. To był on.

Wysoki na kilkaset metrów człowiek położył kapelusz na stole, powiesił płaszcz na oparciu krzesła i usiadł twarzą do Łoma. Włosy miał proste, przycięte dość długo, gęste, ciemne, zaskakująco lśniące, zaczesane do tyłu bez przedziałka. Czerwona koszula była pomięta i przepocona. Oczy ciemne, brązowe, o zaskakująco intensywnym spojrzeniu. Przypominało to wpatrywanie się w uliczne ognie. Mężczyzna położył dłonie na stole, ale cały czas przyglądał się Łomowi swymi ciemnobrązowymi oczami, w których płonęła ziemia.

– Kantor – powiedział Łom. – Józef Kantor.

– Ciekawy z pana człowiek, panie Łom – rzekł Kantor. – Uparty. Inteligentny, odważny. Policjant, który nie waha się działać wbrew rutynie. – Urwał, lecz Łom milczał. Nie powie ani

słowa, dopóki go z niego nie wyrwą. Nic nie odda za darmo. Żałował, że w ogóle się odezwał. Już zbyt wiele zdradził. W trakcie przesłuchania równie wiele co od przesłuchiwanego można się było dowiedzieć od przesłuchującego. Co wiedzą? Czego nie wiedzą? O co im chodzi? Milczenie przedłużało się, aż stało się czymś w rodzaju pojedynku. W końcu Kantor uśmiechnął się. – Zachowuje się pan tak, jak ja zachowałbym się na pana miejscu – rzekł. – Obserwować, gromadzić informacje, nic nie zdradzać. To dobrze.

Łom milczał. Kantor rozsiadł się wygodniej.

– Jesteśmy tutaj. Chciałem porozmawiać z panem sam, zanim zjawi się Ławrientia. Obawiam się, że będzie tu wkrótce, i potem już nie będziemy mogli w ten sposób rozmawiać. Czego szczerze żałuję. – Spojrzał na zegarek. – Zaimponował mi pan. Chce pan wiedzieć, która godzina? Proszę mnie zapytać, a ja odpowiem.

Łom milczał.

– Chce pan zapalić? – Położył na stole paczkę papierosów. – Och, proszę coś powiedzieć. Obaj znamy tę grę. Mnie też obrabiano w pokojach takich jak ten. Człowiek pyta sam siebie: czy wytrzymam? Ale to nie ma znaczenia. Różnica jest żadna. Wkrótce przyjdzie Ławrientia i nie będzie to ten rodzaj przesłuchania, do jakiego jest pan przyzwyczajony.

Najdziwniejsze w tym wszystkim, pomyślał Łom, jest to, że facet ma niezaprzeczalny urok, i nawet to, co o nim wiem, tego nie zmienia. Zamienił przesłuchanie w podchwytliwą grę. Był czarujący, zabawny. Wyczuwało się jego siłę i moc, i zdolność do okrucieństwa, ale w jakiś sposób sprawiało to, że chciało się być obiektem jego troski. Zdawał się kimś, kto mógł człowieka zabić, ale mógł też pokochać.

– Być może wciąż ma pan nadzieję dostarczyć głupią teczkę Ławrientii Krochowi. Być może myśli pan, że Kroch właśnie aresztuje Chaziajską. „Za chwilę stanie w drzwiach i mnie wybawi”. Niestety. – Kantor urwał i rzucił Łomowi sympatyczne spojrzenie. – Znaleźliśmy teczkę schowaną w ubikacji. A Kroch nie żyje. Po pańskim telefonie musiała to zrobić, zgodzi się pan?

Te słowa nadwątyły determinację Łoma. Czuł się zmęczony, przestraszony, zbolący i słaby.

– W gruncie rzeczy to pan go zabił – ciągnął Kantor. – Nikt inny. Już wtedy pan to wiedział. A w każdym razie było panu obojętne, czy tak się stanie, czy nie. Rozumie pan teraz moje zainteresowanie panem? Widzę w panu coś z siebie. Wiśnika też pan zabił.

– Nie!

– Co chce pan wiedzieć, Łom? Proszę pytać, obiecuję, że odpowiem, choćby tylko po to, by odpłacić za przyjemność skłonienia pana do mówienia. Muszę wyciągnąć coś z pana, zanim zrobi to Chaziajska. Ma pan nade mną przewagę, widział pan moją teczkę. Proszę mi o niej opowiedzieć. Co mówi?

Było tak, jakby czytał Łomowi w myślach.

– Chaziajska sądzi, że może pana wykorzystać – rzekł Łom. – Ale myli się, prawda? To pan wykorzystuje ją. Pytanie brzmi: w jakim celu? O co panu chodzi, Kantor?

– Ha! – zakrzyknął Kantor. – Ty cudowny człowieku! Ty rzeczywiście widzisz rzeczy, jakimi są! Tak, ma pan rację, Łom, to jest najważniejsze pytanie. Nikt, nawet anioł, mi go dotąd nie zadał.

– Jest mi pan winny odpowiedź.

– To prawda.

– Proszę więc odpowiedzieć.

– Zastanawiał się pan kiedykolwiek, skąd się biorą anioły?

Łom, zaskoczony, potrząsnął głową.

– Pewnie z gwiazd – rzekł. – Z planet. Z kosmosu. Z galaktyk.

– Dokładnie. I co dalej? W ogóle się nad tym nie zastanawiamy, prawda? Przylatują, a my się nad nimi dziwujemy. Próbujemy odczytać, co chcą nam przekazać. Kto jest namaszczony, a kto nie. Jakie zmyślne urządzenia możemy zbudować z ich umiającego ciała. Wszystko to jest takie wąskie i trywialne, nie uważa pan? Jakby ten wilgotny i zimny świat z jego rozpękniętym księżycem był jedyny. Właść przez cały czas patrzy do wewnątrz i wstecz. Patrzymy na anioły z niewłaściwej perspektywy. One mówią nam o tym, że istnieją inne światy, inne słońca, całe ich miliony; wystarczy zadrzeć głowę nocną porą, by je zobaczyć. I możemy tam polecieć. Możemy podróżować między nimi. Ludzkość rozprzestrzeniająca się po kosmosie, zasiedlająca kolejne planety.

– Niemożliwe – rzekł Łom.

Kantor uderzył pięścią w stół.

– Oczywiście, że to możliwe. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Z technicznego punktu widzenia sprawa jest dość prosta. Jak zawsze, wszystko jest kwestią ceny. Kilka pokoleń wspólnych wyrzeczeń to wszystko, czego potrzeba. Skarbiec gwiazd czeka na nas. To nasza przyszłość. Wiem o tym. Powiedział mi to głos anioła. Tysiące, tysiące lśniących statków unoszących się w powietrze, stawiających żagle i żeglujących przez bezmiar kosmosu. Trzeba tylko pomysłowości. Wysiłku. Organizacji. Poczucia celu. Ofiarności. Wyrzeczenia się przyjemności. Wyobraźmy sobie Właść tysiąc słońc. To byłoby coś. Widzi pan to, Łom? Jest pan w stanie sobie to wyobrazić? Utożsamieć się z taką ideą?

Pytanie wydawało się szczere. Mogła to być autentyczna propozycja, droga wyjścia z sali tortur.

– Nie – odparł Łom. – Nie potrafię.

– Ach – rzekł Kantor i wzruszył ramionami. – Szkoda.

Drzwi otworzyły się i do środka weszła Ławrientia Chazajaska.

*Archanioł rozciąga umysł niczym parasol nad całym kontynentem.*

*Martwi kopią rowy, by się w nich pogrzebać.*

*Martwi jadą bydłymi wagonami na wschód, zostawiając za sobą puste ulice, domy z zawalonymi ścianami, ich wnętrza wystawione na deszcz, sprzęty domowe porozrzucane. Zapach wilgotnej spalenizny przepętnia powietrze.*

*Siwi młodzieńcy ze zrogowaciałymi uszami.*

*Nagi trup u podnóża góry; blask księżycy padający ukośnie na jego rozpostarte nogi.*

*Rekruci w okopach całują naboje i piją roztopiony śnieg.*

*Trupy oczekujące na zabranie z pola bitwy sztywniej niż niczym cierniste drzewa.*

*Wisielcy dyndają na długich sznurach niczym parówki w witrynie u rzeźnika.*

*„Ja” staje się „my”.*

*Zegar i kalendarz zerują się.*

*Wszystko zaczyna się teraz.*

*Archaniot – głos historii, muza śmierci – sięga przez swój świat – przez to, co jest, i co będzie – dotykając tego, co się rodzi – smakując powierzchnię językiem umysłu – macając palcem myśli – zadowolenie – radość – nadzieja. Gwiazdy nadchodzą, a wraz z nimi międzygwiazdna przestrzeń.*

*A jednak – a jednak – niedaleko, lecz poza zasięgiem – niezmordowane jajo czasu lśni w ciemnej masie – przyszłość archaniota pozostaje naznaczona tchnieniem lęku.*

Chaziajska przyniosła ze sobą sakwoją, który postawiła na stole i zaczęła rozpakowywać. Łom patrzył, jak rozwija skórzaną giemzę mieszczącą zestaw drobnych narzędzi: nożyczki, cążki, młotek ze stalowym obuchem.

Kantor chwycił kapelusz i papierosy i przeniósł się na krzesło pod ścianą. Umieścił kapelusz na kolanach i skrzyżował ręce na piersiach, jakby w instynktownym geście chronienia samego siebie. Nie było w tym geście szacunku. Raczej niesmak.

– Interesuje nas tylko jedna rzecz, panie śledczy – oznajmiła Chaziajska. – A mianowicie miejsce pobytu Marusi Szaumian, córki zmarłej żony Józefa Kantora. To wszystko. Nic więcej. Im szybciej się tego dowiemy, tym szybciej będzie pan mógł opuścić to nieprzyjemne pomieszczenie.

Łom poczuł, że jego nadzieja i determinacja słabną. Milczał.

– Major Szafran widział, że pan z nią rozmawiał, a teraz zniknęła. Myślę, że wie pan, dokąd się udała.

– On nic nie powie – rzekł Kantor. – Udaje niemego.

Chaziajska podeszła do Łoma, uklekła przy krześle i zaczęła krępować go za pomocą skórzanych opasek przypominających psie obroże. Przytroczyła mu ręce do nóg krzesła, tak że ramiona zwisały mu wzdłuż boków ciała, a potem skrępowała również jego kostki u nóg. Jej twarz była blisko jego podółka. Szorstki materiał munduru ciasno opinał jej piersi. Ciemniejsze fragmenty jej skóry nie tyle wyglądały jak anielski kamień, co były nim.

Pracowała metodycznie, oddychając przy tym płytko i pospiesznie. Strach był suchym, niemyym rykiem w głowie Łoma. Teraz chciał już mówić, chciał powiedzieć jej wszystko, ale w ustach kompletnie mu zaschło i nie był w stanie wykrztusić ani słowa.

– Był pan obiecującym oficerem, panie śledczy – mówiła Chaziajska. – Kroch sobie przypisywał zasługę odkrycia pana, ale tak naprawdę to byłam ja. Nie domyślił się pan? Śledziłam wszystkie eksperymenty Sawinkowa. Nigdy nie załatwiłby pan Lauritsa, gdybyśmy na to nie pozwolili. To my podsunęliśmy panu dowody. Laurits był leniwy, a na dodatek bezczelny. Pomyślałam, że to dobry pomysł, żeby go pan załatwił, jeżeli pan zdoła. To podniesie morale. Planowałam sama sprowadzić pana do Mirgorodu, gdyby się panu udało. Otwarta ścieżka kariery dla utalentowanych ludzi – tym właśnie powinna być Właść. Ale Kroch ubiegł mnie i teraz jesteście tu, gdzie jesteście. Szkoda.

Łom próbował skupić na niej wzrok, ale nie mógł. Co ona mówiła? Nie był pewien. Jego spojrzenie uparcie kierowało się ku narzędziom rozłożonym na stole.

– Och nie – powiedziała Chaziajska. – To nie tak będzie wyglądało. Tortury mają swoje zastosowanie, ale szybkie pozyskiwanie informacji do nich nie należy. Męki są użyteczne, gdy trzeba siać demoralizację i strach – jeden torturowany przeraża tysiąc innych – a także gwarantują lojalność torturujących. Wszystko to nie ma znaczenia w pańskim przypadku. Tortury okazały się nieskuteczne wobec pańskiego przyjaciela Wiśnika i wątpię, by okazały się skuteczne wobec pana. Przy tej okazji potrzebuję prawdy szybko i istnieje lepszy sposób.

Sądzę, że z zawodowego punktu widzenia metoda może pana zainteresować.

Wyjęła z torby ciemny przedmiot i nałożyła go sobie na prawą dłoń. Była to długa, luźna rękawica, zrobiona z ciężkiej substancji przypominającej gumę, ale nie była to guma. Podsunęła mu rękawicę pod nos. Była czerwonawa, gładka, lśniąca jak mokra skóra fokii.

– Anielska skóra – powiedziała, chociaż tyle sam wiedział. Czytał o czymś takim. To był Robak. Chaziajska wyjęła z sakwojazu butelkę i podsunęła Łomowi pod nos. Odwrócił głowę.

– To tylko woda – powiedziała. – Proszę się napić.

Skinął głową, a ona odkręciła zamknięcie i przytknęła butelkę do spierzchniętych warg Łoma, przechylając ją, by mógł pociągnąć łyk. Starannie oplukał wnętrze ust i – najwolniej jak tylko mógł – przełknął. Bez ostrzeżenia Chaziajska wylała mu resztę wody na głowę. Była lodowato zimna. Łom aż krzyknął.

– To pomaga – powiedziała Chaziajska. – Nie wiem dlaczego.

Przysunęła sobie krzesło i usiadła obok niego, przytykając dłoń w rękawicy do jego twarzy. Wzdrygnął się. Przeszedł go dreszcz.

– Zapytaj go, Józefie – powiedziała ze skrywanym podnieceniem. – Zapytaj go.

Kantor podniósł się i stanął obok Łoma. Jego wzrok był twardy, pełen beznamiętnej ciekawości. Migotał w nim żar tłącej się ziemi.

– Gdzie jest bękarca mojej żony, Wissarionie Hipolitowiczu? Marusia Szaumian. Gdzie ona teraz jest?

Łom poczuł, jak coś odrażającego prześlizguje mu się po powierzchni umysłu, i odepchnął to instynktownie. Postawił mentalną zasłonę i spróbował skupić się na twarzy Kantora. Wyobraził sobie, że jest rysownikiem i metodycznie ją szkicuje. Wodził wzrokiem po jej liniach, konturach i cieniach.

Patrz na nią jak na obiekt, myślał. Skup się na powierzchni.

Chaziajska chrząknęła, zaskoczona, i Łom poczuł, jak Robak silniej napiera na jego umysł. Dłoń w obscenicznej rękawicy zesztyniała, chwytając jego twarz tam, gdzie wcześniej zaledwie jej dotykała. Łom jeszcze silniej zwarł się wewnątrz. Kantor ponownie zadał pytanie.

Wycofaj się do drugiej linii obrony, pomyślał. Powiedz im coś, co już wiedzą. Niech myślą, że posuwają się naprzód.

Zignorował Chaziajską i napotkał spojrzenie Kantora.

Dam radę, pomyślał.

– Widziałem panią Szaumian dziś rano, po raz pierwszy i ostatni w życiu. Być może to było wczoraj, straciłem poczucie czasu. Widziałem ją przy okazji ulicznej egzekucji jej matki, Fejgi-Ity Szaumian, żony Józefa Kantora, dokonanej rękami majora Szafrana, oficera gwardii Mirgorodu. Panna Szaumian również była przy tym obecna, a potem oddaliła się. Nie wiem, dokąd poszła. Więcej jej nie widziałem.

Kantor beznamiętnie odwzajemnił jego spojrzenie. Jeżeli usłyszane słowa cokolwiek dla niego znaczyły, nie dał tego po sobie poznać. Łom poczuł, że Chaziajska zabiera dłoń.

– Nic – powiedziała do Kantora. – Przytrzymaj mu głowę, proszę.

Kantor obszedł stół i chwycił Łoma od tyłu za szyję, pod brodą, zaciskając uchwyt, aż ten

zaczął się dusić i widział już tylko świetłówkę pod sufitem. Drugą ręką Kantor chwycił go za włosy, by unieruchomić głowę.

Twarz Chaziajskiej pojawiła się przed jego oczami. Ujrzał cienkie ostrze w jej dłoni, ale dopiero kiedy przytknęła mu je do czoła, zrozumiał, co chce zrobić.

Odrzucić! Odrzucić!

Wyteżył wszystkie siły umysłu, próbując zebrać całe otaczające go powietrze w kulę i cisnąć nią w Chaziajską.

Nic się nie stało.

– Wurdalak poinformował nas, że ma pan taką umiejętność – rzekła Chaziajska. – Nic dziwnego, że Sawinkow pana zaszył. – Dotknęła jego twarzy w miejscu, gdzie tkwił anielski kamień, i uśmiechnęła się. – Tutaj to oczywiście bezużyteczne.

Poczuł, że zaczęła ciąć.

Nie było jej łatwo usunąć płatek anielskiego kamienia zaszyty w jego czole. Musiała naciskać, podwahać i dłużyć, stosując niemało siły. Wypróbowała kilka różnych narzędzi. Ból trwał w nieskończoność. Łom krztusił się, z trudem łąpał oddech i zamykał oczy przed krwią, która zbierała mu się w oczodołach i sączyła pod powieki. Być może krzyczał. Nie był pewny.

W końcu przestali. Kantor puścił jego głowę i pozwolił jej opaść do przodu. Łom dyszał ciężko. Oczy i usta były pełne krwi, ale ręce miał skrępowane i nie mógł nic zrobić. Nie zemdłał w trakcie i nie zemdłał później. Łatwiej byłoby zemdleć, ale nic z tego.

Kantor nachylał się nad nim.

– Czy to mózg? – zapytał Chaziajską.

Wetknął palec w dziurę w czole Łoma.

– Trzyma się mocniej, niż się spodziewałem.

Wcisnął palec głębiej. Łom nie czuł bólu, kręciło mu się tylko silnie w głowie.

– Daj spokój, Józefie – powiedziała Chaziajska. – Nie niszc go jeszcze.

Wtedy Łom zemdłał.

– Musimy spróbować jeszcze raz – mówiła Chazajaska gdzieś w oddali. Nic się nie zmieniło. Upłynęło zapewne tylko parę minut, może nawet sekund. – Szybko, zanim straci przytomność.

Wciąż oślepiony, ponownie poczuł rękawicę Chazajaskiej na twarzy i tym razem nie był w stanie zrobić nic, by się obronić. Weszła w niego jak w masło. Penetrując. Gwałcąc. Był nagi i bezbronny.

Dał jej wszystko.

Była w środku, w jego umyśle, i wiedziała. Wiedziała. Nic nie mogło się przed nią ukryć. Była wszędzie, a on oddał jej wszystko. Wszystko, co się wydarzyło. Wszystko, co słyszał. Wszystko, co wiedział. Krocha. Wiśnika. Archiwum. Masakrę. Szepty na placu. Szkarłatnego Świstaka. Pietrowa. Szafrana. Muzyka. Marusię. Wszystko.

– On jej pożąda, Józefie! – zawołała Chazajaska z autentycznym zdumieniem i radością w głosie. – Ten biedny idiota jej pożąda!

A potem... Jak długo potem? Ile czasu minęło? Nic nie zdawało się trwać długo...

– On nic nie wie – powiedziała. – Nic. Jest bezużyteczny. Zabij go.

Zostawili go w pokoju przesłuchań, wciąż przywiązanego do krzesła. Po jakimś czasie zdawało mu się, że przyszli inni i odwiązali go. Być może wymiotował. Jednym z tych, którzy przyszli, mógł być Szafran. Ale może mu się tylko zdawało.

Prowadzili go gdzieś korytarzami. Widział na jedno oko: linoleum, wykładzina, kamienne płyty, jego własne nogi. Nie miało to znaczenia.

Nagły szok zimna i przestrzeni, i światła wczesnego poranka. Zapach wody. Most. Szli mostem.

Wyrwał się prowadzącym go ludziom, którzy trzymali go tylko luźno za ramiona, i rzucił ku niskiej barierce mostu.

Przez moment, pół sekundy, nie dłużej, patrzył w ciemny, wezbrany nurt. Chciał, żeby woda zmyła z niego krew, brud i wspomnienia. Czysta, chłodna, intymna śmierć. Rzucił się w dół.

Woda rozchyliła się na jego przyjęcie.

Chwila między rzuconiem się z mostu a wpadnięciem do rzeki zdawała się trwać w nieskończoność. Łom wisiał w powietrzu głową w dół. Tafla wody podnosiła się powoli ku niemu, obciążona śmieciem zalanego miasta. Woda miała szczególny zapach: ciemny, zimny, ziemisty, oczyszczający.

Wpadł w zielonkawą ciemność i huk wypełnił mu uszy. Szok termiczny chwycił jego płuca żelazną pięścią i nie puszczał. Lodowate, metalowe kłamy zacisnęły się wokół głowy i piersi.

Próbował skierować się ku powierzchni, ale stracił orientację, gdzie jest góra, a gdzie dół. Mokre ubranie krępowało ruchy. Buty ciągnęły go za nogi, które oddawały się parodii biegu. Usta rozwarły się w niemym okrzyku.

A jednak był szczęśliwy.

Po pierwszym odruchu paniki poczuł, że jego puls zwalnia. Lodowata rzeka sięgnęła mu w głąb klatki piersiowej chłodnymi, delikatnymi palcami i ujęła jego serce. Wrócił spokój. To działa się teraz, on żył, a rzeka była po jego stronie.

Pozwolił, by ciemny, zimny nurt Miru zmył z niego smród, wstyd i poczucie porażki, jakby udzielał rozgrzeszenia. Rzeka pozwoliła mu zrozumieć.

Nie ma winy. Jedynym sędzią jesteś ty. Wybacz sobie.

Został... zgwałcony... przez obce, brutalne paluchy. Kantora i Chazijskiej w jej obrzydliwej rękawicy sporządzonej z ciała martwego anioła. Nic im nie oddał. Wyrwali to z niego przemocą i tyle. A to nie było to samo.

Woda oczyściła ranę pośrodku czoła, skąd wydłubano mu płatek anielskiego kamienia, i wpłynęła do środka. Poczuł jej chłodny dotyk w samej korze mózgowej, jak rozświetla i ożywia dawno umarłe synapsy. Wreszcie, odłączony po raz pierwszy od dzieciństwa, Wissarion Łom ujrzał świat taki, jaki był: świeży, nowy, beczasowy, przepełniony prawdą. Wąchał zapach światła i smakował przestrzeń pomiędzy rzeczami.

Rzeka była pełna uwagi i inteligencji. Łom szeroko rozłożył ramiona i poczuł, że się unosi. Przebił się przez powierzchnię na świeże poranne powietrze. Płaszcz rozpostarł się wokół niego niczym wielka czarna lilia, obracając nim powoli pod wpływem prądu. Jego twarz, zwrócona ku górze w ciemnym centrum płaszcza, była kwiatem lili, otwierającym się na światło. Oddychającym.

Rzeka wezbrała. Obracając się powoli, twarzą do góry, ujrzał nabrzeża, keje i dachy Mirgorodu przesuwane się na tle zachmurzonego nieba. Wokół niego unosiły się na wodzie kawałki drewna i rozmaite szczątki. Był okrętem flagowym tej flotyli, niesionym ku krańcom miasta i dalej, ku morzu, przez prąd cofającej się powodzi.

Woda obmywała mu twarz i wlewała się do dziury w czole.

Rzeka była rozumną istotą, a jej głos przemawiał do niego. Powiedziała mu, że miasto jest obcą, rakowatą naroślą, powstałą wokół tamy, jaką Założyciel próbował zatkać jej ujście. A jednak był czas, gdy miasto nie istniało, i taki czas mógł nadejść znowu: że miasto zniknie, budynki obrosną drzewami, a mech i czarna ziemia ponownie odetchną powietrzem.

Łagodne wody Miru gładziły jego czaszkę i sięgnęły wewnątrz, by go uspokoić i dodać otuchy. Głos mówił mu, kim jest. Był człowiekiem z krwi i kości, i miłości, i zrozumienia. Był okrętem i kwiatem w rzeczonym nurcie. Byli ludzie, których należało kochać, i ci, których trzeba było nienawidzić i zniszczyć.

Tak, pomyślał, jeżeli będę miał czas. Potrzebuję więcej czasu.

Tyle że czasu już nie było.

Lodowato zimny nurt rzeki obracał Łomem powoli, stopniowo pozbawiając go uczucia. Nie wiedział już, gdzie ma ręce i nogi ani co się z nimi dzieje. Twarz zastygła mu w maskę, a usta znieruchomiały w niemym rozwarciu.



Bezsilnie, jakby z wielkiej odległości, przyglądał się, jak bulgocząca woda powoli likwiduje bąble powietrza uwięzione w fałdach płaszczka. Jeden za drugim przesuwają się ku krawędzi materiału i znikają.

Nic nie mógł na to poradzić.

To, co jego płaszcz-lilia tracił na wyporności, zyskiwał na wadze, i powoli zaczynał tonąć, ciągnąc Łoma ze sobą. Rzeka obmywała mu brodę i wlewała się do znieruchomiłego otworu ust.

Woda sięgnęła mu do nozdrzy i zakryła je. W końcu zachłysnął się lodowatą wodą i utonął po raz drugi i ostatni. Miał wrażenie, że zasypia. Zamykając oczy, ujrzał na tle cieni twarz Marusi, bladą, spokojną i poważną, ogromną, spoglądającą na niego z nieba, niczym księżyc zrośnięty z powrotem w całość.

*Blisko, tak blisko! – lecz równocześnie nie – ani w tym świecie, ani nigdzie daleko – inny otwór – magazyn drugich szans, inne oczekujące usta, język innych egzystencji – nasłuchuje rzeki, nasłuchuje deszczu.*

Marusia Szaumian znalazła ciało Łoma unoszące się na wodzie twarzą do dołu przy jednym z przysadzistych filarów Mostu Uspieńskiego, wśród desek i gałęzi, zgubionych butów i połamanych skrzynek. Próbowwała wciągnąć je do łodzi, ale nie miała siły. Kilka razy niemal wpadła do rzeki, aż wreszcie zrezygnowała i w zamian przywiązała nieruchomego, nieżywego Łoma za nogę do łodzi i odholowała w miejsce, gdzie nabrzeże schodziło do wody kamiennymi stopniami. Przez cały czas bała się, że za chwilę rozlegną się krzyki, strzały.

Łódź – zwykłą płaskodenną pychówkę, z wiosłami równo ułożonymi na pokładzie – znalazła przytuloną do ściany na końcu Nabrzeża Pelikanów. Zignorowawszy wiosła, ukłękła na dnie i odpychając się dłońmi, zaczęła powoli przesuwać się wzdłuż budynków, aż ujrzała blok Wiśnika. Obserwowała ukradkiem, jak gwardziści zabierają Łoma. Gdy odpłynęli, dźgając mrok, fasady domów i wirującą wodę światłem reflektora, skierowała się za nimi, śledząc ich aż do samej Łódki, gdzie zacumowała do słupa telegraficznego.

Zziębnięta, przemoczona, czekała, dygocząc. Mogła odpłynąć w poszukiwaniu schronienia, ale nie zrobiła tego. Łom dwukrotnie ocalił jej życie. Myślała o Wiśniku, jego zmasakrowanym ciele i strasznej, samotnej śmierci. Myślała o swojej matce, zamordowanej strzałem w plecy w bocznej ulicy. Nie pozwoli Właści uśmiercić kolejnej ofiary. Nie pozwoli, jeżeli tylko zdoła.

Gdy zaczęło świtać i pojawiły się inne łodzie, Marusia uznała, że będąc w ruchu, mniej zwróci na siebie uwagę, i rozpoczęła powolny patrol. Okrążyła Łódkę, mijając zatopione place i przecinając wylaniające się z niebytu kanały. Czyste zrządzenie losu sprawiło, że zza osłony unieruchomionej barki strażackiej zauważyła umundurowanych mężczyzn wylaniających się z bocznych drzwi, prowadzących Łoma, który chwiał się i zataczał, jakby był pijany. Widziała, jak wyrwa się i skacze, i słyszała wrzaski strażników i głośny plusk, gdy wpadł do wody. Nie mogła jednak ruszyć ku niemu od razu. Musiała czekać, obserwując, jak oprawcy chodzą po moście, nawołują do siebie i świecą latarkami w mroczną wodę. Po kwadransie dali sobie spokój, a po kolejnym Marusia spostrzegła grzbiet Łoma unoszący się na wodzie wśród śmiecia.

Wyciągnęła ciało na schody i przewróciła na plecy. Wokół zebrała się kałuża wody. Oczy Łoma były otwarte i szkliste, źrenice ciemne i mocno zwężone. Jego twarz i dłonie miały złowrogo siny odcień. Szybko przeprowadziła pobieżne badanie. Nie wyczuła pulsu na przegubie ani szyi, a z zesztyniałych, niebieskawych ust nie wydobywał się oddech.

– Nie umarł – powiedziała do siebie. – Nie umarł. – Była zaskoczona, jak bardzo jej na tym zależy.

Z desperacką energią zaczęła uciskać nieruchomą pierś złożonymi dłońmi, jednocześnie wdychając powietrze w zalane wodą płuca. Odpoczywając po każdym razie, patrzyła na poszarpaną dziurę w czole Łoma. Sączyła się z niej ciemna rzeczna ciecz.

Reanimowała go przez dłuższy czas, masując klatkę piersiową, wciskając powietrze w zimne usta, aż wreszcie opadła, wyczerpana, dysząc ciężko.

Nic z tego.

W tym samym momencie Łom szarpnął się nagle gwałtownie i wyrwał spod niej. Przekreślił się na bok, krztusząc się i wymiotując czarną rzeźną wodą.

Opróżniwszy się z wody, ponownie stracił przytomność, teraz jednak oddychał, a jego twarz zaczęła powoli nabierać koloru w świetle wstającego poranka.

W jakiś sposób udało jej się zaciągnąć go z powrotem do łodzi. Nie miała innego wyjścia. Nie mogła go nieść, nie mogła też zostawić.

Zamocowała wiosła w dulkach i zepchnęła łódź na wodę. Wypłynawszy na środek rzeki, poczuła, jak unosi ją nurt. Opadające wody opuszczały miasto, kierując się z powrotem ku bagnom i morzu, niosąc ze sobą wszelakie śmiecie, pływające szczątki i puste łodzie, dryfujące, objające się o siebie nawzajem i obracające wokół własnej osi pod wpływem prądu.

Nie musiały wiosłować. Tak zresztą było lepiej, bardziej naturalnie. Jednak ciało Łoma było lodowato zimne. Musiała szybko zabrać go do ciepła, bo inaczej umrze.

Zdjęła mu płaszcz przez głowę i odłożyła na rufę, a potem ściągnęła mu koszulę, buty i spodnie. Jego ciało, nagie, jeżeli nie liczyć bielizny, było białe jak kreda. Zrzuciła płaszcz i sukienkę i położyła się koło niego, nakrywając ich ubraniem i biorąc go w ramiona jak kochanka. Jego ciało było zimne, ośliźle, bezwładne, jak coś martwego, a bijący od niego chłód przenosił się na nią. Drżała na całym ciele, jednak przytuliła się do niego jeszcze mocniej i zacisnęła powieki.

Mir niepowstrzymanie toczył swe wody w chłodzie poranka, unosząc drewnianą łupinkę, kierując ich naprzód, ku ujściu, przez ciemne, spienione odmęty, pod ołowianym niebem, wzdłuż betonowych nabrzeży, na desperackiej krawędzi bezlitosnego „teraz”.

*Archanioł wyczuwa nagle coś dziwnego i doznaje wstrząsu.*

*Jest zdumiony.*

*Jest kruchy.*

*Zachodzi nowy fakt, rozkwitając w jego świadomości, plamiąc go sztywną trucizną.*

*Oślepiiony przez milionową obfitość – nie zauważył – aż dotąd – lekkich, głaszczących dotknięć – śladów – tropów – tych, których nie potrafi dostrzec. Strumienie czasu, a w nich ludzie – opowieści, wątki, głosy – którzy nie są częścią jego przyszłości.*

*Zaczyna ich teraz wyczuwać. Zauważa – ledwie, ledwie, peryferyjnym widzeniem – drżenie towarzyszące ich przemieszczaniu się i wie, co to dla niego oznacza. Katastrofa jest nagle blisko. Dokładnie w momencie jego triumfu rodzi się możliwość porażki.*

*Napina się i próbuje, desperacko próbując wydobyć się z kamiennego więzienia wzgórze, którym się stał. Pcha i ciągnie, siłując się z ziemską skorupą. Mocniejszy teraz, czuje, że ta ustępuje, odrobinkę, o milimetry, a śnieg z hukiem opada mu z ramion. Przez chwilę wierzy, że mu się uda. Ale nie, to nie wystarczy. Nie może się poruszyć, nie może powstać, nie może odlecieć.*

*W zamian kieruje umysł, całą jego energię, cały arsenał swej świadomości skoncentrowany w jeden wąski snop, ignorując wszystko inne, ku przecuciu drewnianej łódki i jej niemożliwego ładunku, który obwieszcza zmianę.*

*Nie może ich zobaczyć, nie może ich znaleźć, nie sam; są w jakiś sposób ukryci. Ale są tam, a to*

oznacza – rozumuje – że są też inni, zdolni ich zobaczyć przez swe galaretowato-elektromagnetyczne okulary.

Wdziera się do pierwszego ludzkiego umysłu, potem do następnego i jeszcze następnego. Ogłuszający ryk anielskiego głosu:

**GDZIE ONI SĄ? GDZIE ONI SĄ?**

Marynarz pada na pokład, krwawiąc z obojga oczu. Archanioł przeskakuje dalej.

**GDZIE ONI SĄ?**

Maszynistka osuwa się na podłogę, wstrząsana drgawkami, przemawiając językami. Archanioł przeskakuje dalej.

**GDZIE ONI SĄ?!**

Inżynier wymiotuje na podłogę i próbuje oderwać sobie uszy, aż są całe w strzępach i krwawią. Archanioł przeskakuje dalej.

Przenosi się od umysłu do umysłu, coraz szybciej, nic nie znajdując. A jednak musi ich znaleźć. Teraz. Zanim będzie za późno.

# Część druga

Golem Ajno-Suivantamoinen leżał na plecach na miękkim rzeczonym szlamie Białych Błot. Było prawie tak, jakby unosił się na wodzie. A właściwie tak, jakby był wodnym pajakiem odpoczywającym na powierzchni kałuży czy stawu, czującym, jak woda drży pod naporem bryzy. Oczy miał zamknięte, a dłonie trzymał wewnątrz do dołu na napiętej, wibrującej skórze mułu. Powoli, niespiesznie napełniał płuca powietrzem, smakując je językiem, nosem i gardłem. W powietrzu był lód i mgła, i deszcz, i wydech drzew. Znał smak każdego drzewa – potrafił odróżnić w ten sposób brzozę od olchy, osikę od wierzby, sosnę od świerku – i czuł charakterystyczny oddech każdej z wielkich rzek zbiegających się w gardle delty: Małego Czelu, Ołokmy, Wodu, a nade wszystko Miru, z jego bogatym aromatem, z zapłatanymi w nim zapachami miasta. Wszystko, co wyczuwał za pomocą węchu, słuchu i dotyku, przemawiało do niego. Był to głos świata.

Unosił się na ostrzu krzywej – w nieskończeniu małym punkcie równowagi – pomiędzy przeszłością i przyszłością. Przeszłość była pojedyncza, lecz przyszłości było wiele, rozwidlających się w nieskończoność, tworzących miriady możliwości, z których każda próbowała stać się rzeczywistością, próbowała wyrosnąć z niepewnego, niespokojnego wyścigu teraźniejszości.

Ajno-Suivantamoinen poderwał się nagle w półmroku – serce waliło mu jak młotem, kręciło mu się w głowie – i nabrał garście zimnego szlamu. Złożywszy dłonie, zanurzył w nim twarz, by się ochłodzić. W Mirze było tego ranka coś, z czym nigdy wcześniej się nie spotkał. Rzeka była podekscytowana, nabuzowana, przepelniona obietnicą. Na przestrzeni trzystu lat słuchania żaden poranek nie był taki jak ten. Zbliży się łódź, mówiła rzeka; łódź niosąca znaczenie, niosąca zmianę. Z nurtem Miru płynęły nowe możliwości, a także – co zdumiewające, nigdy by nie przypuszczał, że coś takiego jest możliwe – nowa przeszłość.

Golem podniósł się z mułu. Musiał się spieszyć. Musiał dotrzeć do wielkich śluz i naprzec ramieniem na potężne, pradawne dźwigary. Musiał otworzyć śluzę i zamknąć jazy, zanim wezbrana woda uniesie wszystko w dal. Zanim będzie za późno.

Marusia leżała na dnie łodzi, zmoknięta i zziębnięta, trzymając w objęciach nieprzytomnego Łoma. Prąd kołysał i obracał łodzią, która co jakiś czas zderzała się z innymi dryfującymi obiektami: ciałami utopionych psów i deskami chałup z Dzielnicy Admiralicijnej. Marusia trzymała głowę nisko, starając się nie wychylać, tylko co jakiś czas wyglądając ukradkiem zza burty. Gdyby ktoś ich spostrzegł, pomyślałby, że to jeszcze jedna pusta łódź, która zerwała się z cumy. Łom oddychał głośno, chrapliwie, a z okropnej rany na jego czole, otoczonej delikatnym strupem, sączyła się limfa.

W wielu miejscach rzeka przerwała brzegi. Prąd niósł ich na zachód, przez rzadniejące przedmieścia, ku morzu. Mijali zalane place. Latarnie i pomniki wystające z mętnej, spienionej wody. Z górnych piętér wyglądali czasem ludzie o pobladłych twarzach. Później, przy rogatkach, pojawiły się podtopione pola, zanurzone do połowy drzewa, napuchnięte zezwłoki świń. Wezbrana wodaniosła ich dalej, poza miasto, w nieznanne okolice. W miarę upływu poranka nurt rozlewał się szerzej i zwalniał, pojawiły się niskie, zalesione wysepki, kępy trawy i mułu. Powinni już dotrzeć do jednego z kanałów delty Miru, lecz kanały zniknęły pod masami wody. Marusia nie potrafiła powiedzieć, gdzie kończy się rzeka, a zaczyna błotnisty brzeg i szerokie, jasne niebo.

Raz czy drugi, wiele lat wcześniej, była na skraju Białych Błot. Pamiętała, jak błąka się na ich krawędzi, zagubiona, wyczerpana, samotna. Tam właśnie niosła ich woda. Nie było innej możliwości.

Było to dziwne miejsce, jedyne w swoim rodzaju. W ciągu tysiącleci osady niesione przez wodę zamuliły rozległą Lagunę Mirgorodzką, zamkniętą długim atolem Jantarnym. Łączące się tu cztery wielkie rzeki i niezliczone mniejsze cieki, dodatkowo zasilane słońą wodą przyplływów za pośrednictwem cieśniny Halesond, stworzyły rozległy i nieustannie przekształcający się labirynt mokradeł, bagien, torfowisk i trzęsawisk. Była to kraina wodnych traw, nurzańców i wełnianek, krzewiastych wierzb, sitowia i mchów. Bajorek brązowej, torfowej wody i małych, płytkich jeziorek. Wijących się strumieni, srebrzyście połyskujących w słońcu. Powoli przesuwających się po niebie ptasich kluczy, lśniących niczym rybne ławice.

Słońce skryło się za chmurami i mgłą. Marusia nie potrafiła ocenić upływu czasu; jedyną wskazówką było to, że czuła coraz większy głód i pragnienie. Łom oddychał lżej, ale nie miała powiewu ani słodkiej wody. Musiała szybko znaleźć jakiś stały ład. Nieco później – mogło to być wczesne popołudnie – umieściła wiosła w dulkach i zaczęła wiosłować. Dookoła, jak okiem sięgnąć, nie było widać żadnej innej łodzi. Nad wodną taflą, ograniczoną jedynie rozległym horyzontem, unosiły się opary. Wszędzie roilo się od rozmaitego ptactwa. Mgła gęstniała, co Marusi było właściwie na rękę. Mirgorod stawał się odległym wspomnieniem na horyzoncie. Zaczęło jej się zdawać, że znajdują się pośrodku nicości.

Wiosłowała niezgrabnie, ucząc się w trakcie, ale przynajmniej rozgrzała się i rozmasowała zeszytwniałe mięśnie. Łom leżał na dnie łodzi, ciężki i nieruchomy. W mgłę majaczyły brzegi. Łódź zdawała się mijać wyspy, a może było to rozległe bagniste watty. Trudno powiedzieć. Po jakimś czasie – mogła to być godzina, a może o wiele dłużej – Marusia

poczuła, że nurt rzeki zaczyna się zwężać. Mijali błotniste skarpy porośnięte kępami drzew schodzących do samego brzegu. Spłoszona wydra ześlizgnęła się do wody i odpłynęła pod prąd. Nieruchoma czapla przyglądała im się beznamiętnym wzrokiem. Wreszcie Marusia zdała sobie sprawę, że płynęli stopniowo zwężającym się starorzeczem, które właśnie zanikło. Dotarli do starego, na poły zapadniętego drewnianego pomostu. Przybiła do niego i wdrapała się na trap z cumą w dłoni. Spojrzała z góry na nieruchomego Łoma i zastanowiła się, jak wydobydzie go z łodzi. Tak rozmyślając, obejrzała się w kierunku, z którego przyплыnęli.

Ku nim podązał golem, brodząc po pas w mętnej wodzie.

W mieście, w roboczych ubraniach, w towarzystwie ludzi, golemu wydawały się mniejsze. Ten był inny. Mogłoby się wydawać, że sama rzeka, szlam i muł estuarium ukształtowały się w tę człekokształtną postać, dwa razy większą od człowieka, która powstała i teraz kroczyła ku nim.

Brzuch golema ocierał się o wodę niczym kadłub okrętu. Jego klatka piersiowa była głęboka i szeroka niczym beczka, ale o wiele większa. W odróżnieniu od golemów z miasta, które nosiły włosy upięte w kucyk, temu włosy opadały grubymi, ciemnymi, wilgotnymi puklami na ramiona. Podszedł prosto do nich i obiema dłońmi chwycił burtę łodzi, unieruchamiając ją. Jego ręce były ogromne: paluchy jak cumownicze liny, połączone błoną aż do pierwszego knykcia. Nadgarstki masywne i okrągłe jak konary drzewa. Twarz miał ogorzałą, a oczy duże, koloru śliwkowego, i nieco wyłupiaste.

– Wasza łódź nazywa się Sib – powiedział. – To dobra łódź.

Jego głos był niski, niespieszny, pełen chłodnej miękkości rzeczno szlamu, lecz jednocześnie mocny jak gruba konopna lina. Odzienie miał srebrzystoszare, w kolorze mułu, lekko mieniące się ciemną żółcią. Brązowe czy szare, trudno było wyczuć różnicę. Był częściowo z wody i częściowo z ładu, był istotą spomiędzy: przybrzeżną, litoralną, należącą do obu światów.

– To nie nasza łódź – powiedziała Marusia. – Ukradłam ją. Urwała się z cumy, więc ją wzięłam. Potrzebowaliśmy jej. I to bardzo. Mój przyjaciel jest ranny.

– Szybko przybyliście – rzekł golem. – Wsiądź, a ja go wezmę.

Chwycił Łoma, przycisnął go sobie do piersi i przeszedł do miejsca, gdzie mógł wygodnie wyjść na brzeg. Ociekał wodą, a nogi po kolana miał umazane mułem. Marusia zawahała się. Golem przeszedł kilka kroków, potem zatrzymał się i odwrócił. Marusia nie poruszyła się.

– No i? – zapytał.

– Co?

– Chodź za mną.

– Dokąd?

Ale golem już ruszył w drogę.



Wissarion Hipolitowicz Łom – ta jego część, która nie składa się z tkanek i osocza, białek i soli mineralnych – unosi się na powierzchni morza, kołysany przez fale. I Wissarion Hipolitowicz Łom – to nie jest jego prawdziwe imię, teraz to wie, lecz nie ma innego – jest zdziwiony sytuacją.

Żyje.

Najwyraźniej.

Na to wychodzi.

A jednak nie przypomina sobie, skąd się tu wziął, jak to się stało, że znalazł się w tych...

Opalach?

W tej sytuacji.

Jest też... zmieniony.

To nie jego ciało.

Jego ciało jest gdzie indziej.

Ma jego świadomość – odległego, osobnego, ale nie całkiem oddzielnego.

A morze, w którym pływa, jest... prawdziwym morzem, a zarazem...

...nie.

Niebo jest zbyt błękitne. Zawieszono zbyt nisko nad głową. Wydaje się, że nie ma na nim słońca. Gdziekolwiek nie spojrzy, jest...

...tylko niebo.

Czas jest tutaj niczym.

Morze łśni jak mokra skała. Fale kołyszą go, sprawiając, że popada w odrętwienie. Unosi się pośród wodnych bloków i czuje dotyk słonej wody oblewającej mu twarz, a kiedy przeciągnie tam palcami, jest tak, jakby głaskał chłodne powietrze. Burzyki nurkują nad falami, rybitwy krzyczą nad głową. Widzi odległą kreskę klifu na północy i linię brzegową wyginającą się ku południu i ginącą we mgle. Widzi brzeg atolu Jantarny. Widzi, ale nie może go dosięgnąć. Brak mu sił, by tam dopłynąć. To nieważne.

Czas jest tutaj niczym.

Głowę ma otwartą – ziele w niej dziura – morska woda wlewa się do środka – a z wnętrza sączy się limfa, rozpuszczając się w morzu. On jest częściowo morzem, a morze staje się nim. I wtedy...

Czas jest tutaj niczym.

Morze jest powolne i wieczne. Czas muska jego powierzchnię, a skóra morza podnosi się i opada w ledwie wyczuwalnym rytmie pływów. Łom czuje przyciąganie połówek księżyca: delikatną siłę księżycowej grawitacji, ciągnącą go za włosy i delikatnie obmacującą ścianki jego serca. Lecz dni i noce dotykają jedynie najcieńszej powierzchni morza, a głębiej, pod misterną, cielesną czapą, panuje ciemność: kłębiące się, wirujące pokłady zamieszkałe przez ogromne, nieśmiertelne, beczkowate stwory.

Czas jest tutaj niczym.

Wyobraża sobie, że tonie. Przepastna głębia otwiera się pod nim niczym wielka gardziel. Nurkuje, zamykając za sobą powierzchnię, jakby zasuwiał błyskawiczny zamek, i opada głową w dół, rozdzielając warstwy mięśni ciemniejącego ciała morza. Sonduje. Głębia pochłania go.

W miarę jak opada, światło zanika; kolejne barwy stopniowo znikają ze spektrum: najpierw płowieją czerwienie i świat staje się zielony, potem żółcie wydają ostatnie tchnienie i świat robi się niebieski, a potem... nic, tylko okopcony mrok, całkowity brak widzenia.

Wody są głębokie. Światło znika po sekundach, ale powrót będzie trwał wiele godzin. Każde kolejne dziesięć metrów głębokości dodaje jedną atmosferę do ciśnienia słupa wody napierającego na jego ciało. Wyobraża sobie, że schodzi w dół. Pięćdziesiąt atmosfer. Sto. Tysiąc. Więcej. Więcej. Zawierające powietrze części jego dziwnego nowego ciała zaczynają pękać pod ciężarem. Na długo przed tym, jak dotrze do dna, jego twarz, klatka piersiowa, brzuch implodują. Tłuszcz spręża się i utwardza. Delikatniejsze kości pękają. Końce żeber przebijają skórę i wystają na zewnątrz.

Wyobraża sobie, że przemawia do twardej, zimnej ciemności.

– Jesteś spełnieniem moich pragnień.

Marusia spała do późna następnego ranka i obudziła się w chacie golema. Pachniało tu dymem, tłuszczem i wędzonymi rybami, które wisiały na belkach powyżej. Belkach, które, jak właśnie zdała sobie sprawę, nie były zrobione z drewna, lecz z wielorybich kości.

Chata była dwa razy większa, niż zbudowałyby ją człowiek, było tu jednak ciepło i przytulnie, a to dzięki lampom na rybi tłuszcz i otwartemu piecowi. Chociaż na zewnątrz już dawno wstał dzień, w środku panował przyjemny półmrok. Tworzący ramę chaty wielorybi szkielet przykryty był skórami i korą i uszczelniony mchem i smołą. Pod ścianami stały garnki do gotowania i rozmaite meble. Pośrodku z ziemi wyrastał potężny drewniany słup, wyglądający na bardzo stary, cały rzeźbiony w oczy, pazury i głowy zwierząt – łosi, koni, wilków, fok – z kłami gniewnie wyszczerzonymi – i pokryty inskrypcjami pisanymi dziwnym, kancianstym alfabetem. Zdawał się tu być po to, by chronić domostwo przed jakimś niebezpieczeństwem, przed złem czającym się w oczekiwaniu na okazję. Ale czego tutaj, pośrodku bagien, miałyby się obawiać golem?

Piec był żeliwny, duży i zdobny, ze ściankami z biało-niebieskich kafli i wyżką do spania. Tam właśnie leżał teraz Łom, oddychając cicho. Nie poruszał się.

Marusia pamiętała tylko częściowo przebieg wydarzeń poprzedniej doby. Zbyt była przemarznięta. Zbyt zmęczona. Zbyt głodna. Golem nakarmił ją, podając rosół z gara pyrkoczącego na piecu. Potem rybę, sałatkę z solirodu i namorzynów i jagody. Jedzenie smakowało rzeką, morzem i otwartą przestrzenią. Potem zostawił ją i wyszedł w noc, a Marusia zasnęła. Gdy się obudziła, zbliżało się południe, a ona była sama z Łomem.

Wstała, rozprostowując zeszywniałe kości, i podeszła, by na niego spojrzeć. Piec był wyższy od niej, lecz Łom leżał na poziomie jej wzroku, zwrócony ku niej twarzą. Nie tyle spał, co był... nieobecny. Lecz jego ciało oddychało i zdawało się przechodzić proces samoleczenia. Golem opatrzył ranę na czole i przyłożył do niej kompres z kory i suszonych liści. Teraz, gdy się zbliżyła, jego ostry, czysty zapach przebił się przez dymny aromat wnętrza chaty.

Leżała obok niego na zimnym dnie łodzi, gdy ich ciała ogrzewały się wzajemnie, podtrzymywały przy życiu. To coś znaczyło. To coś zmieniło. Znała teraz zapach jego ciała z bliska, wiedziała, jak pachnie jego skóra i włosy, dotykała ich. Przyłożyła dłoń do jego twarzy. Pomimo ciepła bijącego od pieca i futer, którymi był przykryty, skóra Łoma była chłodna i wilgotna, jak kamyk wyjęty z nurtu rzeki.

Obudź się, pomyślała. Obudź się, proszę. Nie możemy tu zostać.

Chciała ruszać w drogę. Miała coś do załatwienia. Sprawę. Akcję. Zadanie. To, co potrzebowała znaleźć, było gdzieś w mieście. Wiśnik znalazł Pollandora. Była pewna, że to właśnie próbował jej przekazać. Umarł i nie powiedział, gdzie szukać. Z pewnością było to w Mírgorodzie, skoro to znalazł. Musiała tam wrócić.

Skóry zasłaniające wejście do chaty rozsunęły się i do środka wszedł golem. W naturalny sposób wypełniał sobą wnętrze i ludzka skąła wydała się nagle Marusi nienaturalna.

– Czy śpiący obudził się?

– Nie. Jeszcze nie.

Golem, stąpając z zaskakującą delikatnością, podszedł do Łoma i przyjrzał mu się w milczeniu. Przyłożył ogromną dłoń do jego czoła i przybliżył twarz ku jego ustom, jakby wdychał jego oddech, co – jak zdała sobie sprawę Marusia – istotnie czynił.

– On tak cały czas?

– Tak, bez zmian.

Golem podszedł do komody pod ścianą i przyniósł coś zawiniętego w ciemną szmatkę, co, usiadłszy ze skrzyżowanymi nogami na podłodze przy piecu, rozpakował i zaczął jeść. Mógł to być kawałek mięsa, tyle że był ciemnoszary, miękki i jedwabisty, o dziwnym, oleistym połysku. Golem oderwał zębami spory kęs i żuł go, przekrzywiwszy głowę na bok, rytmicznie poruszając szczękami niczym pies gryzący kość.

– Czy nikt więcej tu nie mieszka? – zapytała Marusia. – Mam na myśli te bagna. Nie widziałam po drodze żadnych śladów człowieka. Miałam wrażenie kompletnego pustkowi. Nie ma tu żadnych wsi?

– Dlaczego?

– Zastanawiałam się, skąd wzięłeś te ubrania. – Wcześniej golem znalazł dla niej suche odzienie: wsielskie rajtuzy i dzianą koszulę. Miękkie ciżmy ze skóry.

– Teraz nie ma tu żadnych ludzi. Kiedyś nad małym jeziorem była osada. – Machnął ręką w nieokreślonym kierunku.

– Okazałeś nam wiele dobroci – powiedziała.

– Rzeka was przyniosła. Dlaczego miałbym nie okazać dobroci?

– Nie wiem nawet, jak się nazywasz.

– Moje imię brzmi Ajno-Sivantamoinen, a ty nazywasz się Marusia Szaumian i jesteś ważna.

– Jak to ważna? Skąd znasz moje imię?

– Jesteś kimś, kto sprawia, że rzeczy się dzieją. Różne przyszłości walczą o to, która się wydarzy. Ty masz coś do zrobienia, a wybór, jakiego dokonasz, będzie miał znaczenie.

Gapiła się na niego w oszołomieniu.

– Ty wiesz? – powiedziała wreszcie. – Wiesz o Pollandorze?

Golem machnął ręką.

– Wiem – rzekł. – Różne rzeczy.

– Wiesz, gdzie on jest?

– Został zabrany. Dawno temu.

– Gdzie jest teraz?

– Tego nie wiem.

– Muszę go znaleźć – powiedziała Marusia. – Nie mogę tu zostać. Czas ucieka.

– Tak.

– Ale ja nie wiem, czym on jest. Nie wiem, co zrobić, gdy go odnajdę. Nie rozumiem.

– Rozumienie nie jest najważniejsze. Nigdy nie jest. Robienie jest tym, co się liczy.

Golem odwrócił się i usiadł w kącie, by skupić się na jedzeniu, jakby to było wszystko, co miał do powiedzenia. Przypominało to rozmowę z myślącym drzewem, wzgórzem, łąką lub deszczem.

– Co właściwie jesz? – zainteresowała się Marusia.

– Stare mięso – odparł golem. – Bagno konserwuje. Drewno leży tysiąc lat i nic. To mięso... chowam je, zostawiam, potem znajduję. Smakuje dobrze.

– Co to za mięso?

Wyciągnął kawałek przed siebie i przyjrzał mu się, obracając na różne strony.

– Nie mam pojęcia. – Wziął kolejny kęs. Potem odłożył mięso i wstał. – Chodź ze mną – powiedział. – Przejdźmy się.

Marusia spojrzała na śpiącego na piecu Łoma.

– A co z nim? Nic mu się nie stanie?

– Dzisiaj żadne licho go nie weźmie.

Marusia szła w milczeniu za golemem. Wody opadły w ciągu nocy, odsłaniając rozległe aluwia, labirynt strumieni i kanałów usiany skałkami, wysepkami i wąskimi mierzejami. Szuwary. Słone mokradła. Zatrwian i słonolubne sukulentki. Wierzbowe zarośla. Pasma wody, jasnej i ciemnej niczym falista blacha. Połacie złotego piasku porośnięte jaskrawozieloną, niską jak mech trawą. Lśniące, miękkie błoto, gdzie w poszukiwaniu pokarmu uwijały się dziesiątki okazów wodnego ptactwa. Marusia знаła ich nazwy; jako dziecko obserwowała je na błotnistych brzegach przy domu. Kulik, siewka, rycyk, bekas, brodziec. Zagony nurzańców skubanych przez gęsi. Niebo przecięła pustułka: ślizg, pauza, błysk skrzydeł; ślizg, pauza, błysk skrzydeł.

Był to biotop przejściowy, pośredni, między stałym lądem i wodą. Powietrze przykryte niską pokrywą chmur lśniło srebrzyście. Nie było słońca; zdawało się, że grząski grunt i woda przepełnione są wewnętrzną jasnością. Powietrze pachniało mokrą ziemią i morzem, solą, popiołem drzewnym i butwiejącymi liśćmi.

– Pięknie tu – powiedziała Marusia. – Tak dziko, a jednocześnie tak blisko miasta. Nie wiedziałam. Nigdy wcześniej tu nie dotarłam.

– Nadchodzi zima – powiedział golem. – Zimy są tu mroźne. Ptaki przygotowują się do odlotu. Wszystko będzie przykryte grubą warstwą śniegu. Woda zamarznie. Tylko stworzenia zapadające w sen zimowy i jedynie te, które drążą korytarze w śniegu, mogą tu przetrwać.

– Ale przecież w Mirgorodzie nie jest aż tak zimno – zauważyła Marusia. – A to tylko parę kilometrów.

– Nie. Tu jest zimniej.

– Co robisz, kiedy przychodzi zima?

– Gdy woda zamarza i śnieg przykrywa bagna, zapadam w sen. To już niedługo.

– Przesypiasz zimę jak niedźwiedź? Golemy w Mirgorodzie nie robią tego.

– Ich pracodawcy na to nie pozwalają. Muszą pracować przez cały rok, chociaż skraca im to życie.

Golem zamilkł i szedł dalej. Marusia zaczęła zauważać ślady ludzkiej pracy,

zagospodarowania terenu. Kupy zielska wzdłuż świeżo oczyszczonych kanałów. Poldery, groble, ogłowione drzewa. Wszystko raczej stare, rozpadające się, omszałe: poczerniałe, chylące się ku upadkowi słupki płotów, resztki kładek i porzucone pułapki na ryby. Golem zatrzymywał się raz na jakiś czas, by sprawdzić poziom wody, rozglądając się z przekrzywioną na bok głową, węsząc. Czasem poprawiał ustawienie mechanizmu śluzu, jazu czy przepustu.

Zatrzymali się na brzegu głębokiego kanału o wartkim nurcie. Golem przyjrzał się mętnej, spienionej wodzie przelewającej się przez jaz.

– Powódź cofa się – powiedział. – Po każdej powodzi miasto buduje jeszcze wyższe wały. Ale to nie tak. Woda musi mieć gdzie ujście. Jeżeli próbujesz ją zablokować, to i tak któryś się przecięnie. – Nachylił się, by przekreślić o pół obrotu ukryty w trawie kołowrót, którego Marusia wcześniej nie zauważyła. – Próbowałem im powiedzieć – ciągnął golem. – Kiedy budowali miasto. Mówiłem im, że używają za dużo kamienia. Wszystko było za twarde i za szczelne. Woda musi któryś uchościć. Ale nie chcieli mnie słuchać. Nawet głowy mieli z kamienia.

– Pamiętasz, jak budowano Mirgorod?

– Byłem wtedy młody. Myślałem, że zdołam im wytłumaczyć, że mnie posłuchają. Oni jednak próbowali mnie przepędzić, zresztą co jakiś czas wciąż próbują. – Uśmiechnął się, szczerząc duże, kwadratowe zęby. Siekacze jak kamienne płytki. Ostre kły. – Wprowadziłem ich na manowce.

– Jak to?

– Bagna są większe, niż myślisz, i nieustannie się zmieniają. Każdy przypływ oznacza przekształcenia i zmiany. Występują tu wszelkie możliwe rodzaje mokradeł.

– Nie rozumiem.

– Ależ tak – odparł golem. – Rozumiesz.

Marusia zawahała się.

– Jeżeli pamiętasz, jak budowano miasto...

– Tak.

– To czy pamiętasz też czas wcześniejszy? Pamiętasz Pollandora?

– Nie trzeba pamiętać tego, co wciąż istnieje.

Marusia zawahała się.

– Muszę wracać – powiedziała – ale nie chcę zostawiać Wissariona. Pomógł mi i...

– Nie powinnaś go zostawiać – rzekł golem. – On też jest ważny.

– Co masz na myśli?

Golem przystanął i przyjrzał jej się.

– Nie wiem, i on też nie wie. Ale tak mówi rzeka, a deszcz go lubi. To wystarczy.

– Ale co jeżeli nigdy się nie obudzi? – zapytała Marusia. – Albo obudzi się, ale będzie... nie w porządku? Prawie się utopił i jeszcze ta dziura, ta okropna dziura w jego czole...

– On nie jest chory – powiedział golem. – W każdym razie nie fizycznie. Ale nie wie, jak wrócić.

– Znowu nie rozumiem.

- Mogę sprowadzić go z powrotem, jeśli chcesz. Dzisiaj. Po zmroku. Kiedy skończy się dzień. Wybór należy do ciebie.

- Tak – powiedziała Marusia. – Zrób to.

## 68

Wissarion Hipolitowicz Łom leży twarzą do dołu na szklanym dachu morza. Przciska twarz do wody, jakby była szybą. Spogląda w jasny przestwór. Poniżej rozciąga się krajobraz.

Czas jest tutaj niczym.

To podwodny świat przepelniony pamięcią. Dno morza usiane jest kłami mamutów, kośćmi niedźwiedzi i turów, rogami łosí. Pokryte poczerniałą od soli warstwą liści zatopionego lasu. To leśne miejsce. Na konarze dębu przysiadł krogulec, a małże przyssały się do próchniejącego pnia. Po dnie przesuwają się morskie bestie. Ich niespieszne kroki wzbijają tumany mułu, gdy kroczą, powolne, lecz nie ociężałe, penetrując podłoże w poszukiwaniu jajeczek, płazińców i jeżowców. Ich oczy jak czarne fasolki lśniące w półmroku.

Czas jest tutaj niczym.

Poza tym, że... coś go muska. Wzrok przechodzącego obok stwora. Obcy, zimny, pusty, rozleglejszy od samego morza, siany gwiazdami. Odwraca się.

I nieruchomieje.

Wraca.

I chwyta go.

Łom zaciska się jak pięść, jak morski kamień, jak ukwiał chowający czułki, jak krab pustelnik kryjący się w pustej muszli mięczaka. Chce być mały. Niewidoczny. Chce się zwinąć w kulkę i zniknąć. Ale nie ma szans. Rozpoznaje wzrok anioła.

Archanioł zaczyna go rozwiierać, tak jak podważa się ostrygę, by mu się lepiej przyjrzeć.

Nie! Łom nurkuje, zostawiając za sobą błyskawicznie zasklepiającą się powierzchnię, opadając głową w dół w coraz ciemniejsze odmęty. Głębia pochłania go. Jest silny. Bardzo silny. Silniejszy, niż sądził. Gwałtownym szarpnięciem wyrywa się uchwytowi anioła. Słyszy jego odległy gniewny krzyk. Wyczuwa jego lęk.



W swym mieszkaniu przy Nabrzeżu Obwodnym Józef Kantor poczuł, jak gwałci go umysł Archanioła. Jego potężny głos wypełnił mu głowę. Huczał i dudnił. Kantor upadł.

**SĄ NA BAGNACH! SĄ BAGNACH! ŻYJĄ! ZABIJ ICH! ZNISZCZ POLLANDORA!**

Po jakimś czasie Kantor podźwignął się i otarłszy twarz z płwocin i krwi, ruszył w poszukiwaniu telefonu. Musi porozmawiać z Chaziajską.

Zapadła noc, bezgwiezdna i czarna. Zapach dębowego dymu i wyziewy z garnka stojącego na piecu sprawiły, że Marusi zakreśliło się w głowie. Bojąc się, że może zwymiotować, chciała skryć się w cieniu pod ścianą i kucnęła tam, gdyby dźwięki z zewnątrz nie kazały jej wrócić na miejsce. W ciemnościach słychać było odgłosy, które szczekały i warczały, nawoływały się jak ptaki i klóciły w niezrozumiałym języku. Poszycie chaty trzęsło się, jakby ktoś nim szarpał. Marusia na czworaka przeszła do środka izby, kucając przy samym piecu. W środku płonął błękitny ogień, niczym w palenisku maszyny parowej, i piec buchał gorącem.

– Nie bój się niczego, co zobaczysz albo usłyszysz – powiedział jej wcześniej Ajno-Suvantamoinen. – Ale nie dotykaj mnie. I nie wychodź na zewnątrz.

Teraz jednak leżał na podłodze, ogromny jak powalony byk. Ręce i nogi drżały mu, jakby miał atak epilepsji, przez co rogi, kości, bursztyny i kamyki poprzyszywane do jego opończy podskakiwały i grzechotały. Kaptur skrywał jego twarz, lecz oczy pozostały widoczne. Były otwarte, lecz niewidzące, szkliste, białe jak morska muszla. Między zębami umieścił sobie kawałek skóry i teraz gryzł i żuł go wściekle w nieświadomym skupieniu.

Łom leżał na plecach pośrodku izby.

– Bez względu na to, co się będzie działo – powiedział golem do Marusi – nic nie rób. Rozumiesz? Nic. Cokolwiek się stanie, nic nie rób i nie dotykaj mnie. – A jednak zmagął się już w ten sposób z niewidocznym przeciwnikiem od... jak dawna? Pół godziny? Godziny?

Ściana chaty wybrzuszyła się nagle, jakby pod naporem jakiegoś ciężkiego stworzenia. Rozległ się donośny gniewny okrzyk. Marusia była przekonana, że stwór zaraz wpadnie do środka. W migotliwym blasku ognia rzeźby pokrywające ustawiony pośrodku izby totem zdawały się żyć i poruszać.

Pięć minut, pomyślała. Jeszcze pięć minut i jeżeli nic się nie zmieni...

Wissarion Hipolitowicz Łom leży na plecach w morzu, spoglądając w nocne niebo. Czuje delikatną siłę przyciągania połówek księżyca. Wokół niego morze jarzy się delikatną fosforescencją. Jego własne ciało otoczone jest świetlistą otoczką. Światło ścieka mu po rękach, kiedy trzyma je przed twarzą.

Dziura w jego czole otwiera się na światło gwiazd. Zebrała się tam garstka fosforescencji. Światło wlewa się do środka i wylewa na zewnątrz, rozlewając się po zwojach jego kory mózgowej. Łom stapia się w jedno z morzem. Jego puls jest jak rytm fal. Jego wewnętrzna ciemność to mrok oceanicznej głębi.

Czas jest tutaj niczym.

Słyszy rytmiczny, szurający plusk. Jest to dźwięk, który pamięta, ale którego w tym momencie nie potrafi umiejscowić. Woda przepływająca przez chaszczę wodorostów w dole jest bardziej interesująca.

Leniwie, resztkami zwykłej ludzkiej ciekawości, odwraca się, by spojrzeć. Coś wielkiego i człekokształtnego, czarna sylwetka odcinająca się na tle rozgwieżdżonego nieba, kroczy ku niemu. Czyli to jest ten dźwięk. Kroki. Ktoś brodzący przez wodę. Czy on kiedyś coś takiego robił?

Brodząca postać ogromnieje, przybliżając się. Obserwuje go. Ma określony cel. Tym celem jest sprowadzić Łoma z powrotem.

Ale Łom nie chce wracać.

Zbiera cały ciężar morza w wielkie, spienione fale i ciska nimi w golema. Wypełnia fale zębami węgorzy i ostrzami mieczników. Oplątuje stopy golema wodorostami. Golem potyka się i pada w wodę, a wir spycha go ku głębinie, która otwiera się i połyka go.

Golem Ajno-Suivantamoinen wyczuwa gwałtowność antagonizmu morza. Woda formuje się w sznury, które owijają się wokół jego ramion i nóg, pętając go, ściągając w otchłani, która otwiera się pod nim. Obręcze żelaznej wody ściskają mu klatkę piersiową, pozbawiając tchu. Lodowate wodne palce chwytają go za twarz, wbijając mu pazury w nozdrza, mroźne igły w uszy, zatykając oczy, szarpiąc powieki. To nie tak powinno wyglądać, myśli golem. Człowiek, którego próbuje ściągnąć z powrotem, walczy z nim. Jest zbyt silny. Wszystkie przyszłości, w których ratuje go i bezpiecznie sprowadza do domu, wędną jedna po drugiej i umierają. Coś sprawia, że znikają jak płomień zdmuchniętej świecy.

Utopię się tutaj, myśli, a wraz ze mną zginie bagno.

Ostatnim wysiłkiem kieruje się ku powierzchni.

Odgarniając wodorosty, które przykleiły mu się do twarzy, spogląda w górę i widzi blade światło, zielonkawą, świetlistą postać człowieka. Nie jest daleko. Wyteżając wszystkie siły płynie ku niemu. Woda zamyka się nad nim, ciężka i zimna niczym płynne żelazo, zaciskająca się jak pięść. Walczy z nią, wydobywając się z otchłani. Lecz jest za późno. Zaczyna brakować mu sił. Nie daje rady. Wodna żyła łącząca go z jego własnym ciałem na podłodze w chacie jest coraz słabsza, a kiedy pęknie zupełnie, będzie po nim.

W rozpaczliwym geście rezygnuje z cząstki siebie i wysyła ją z powrotem po wodnej żyłce, rzucającą się i wijącą niczym walczący z prądem łosoś. Srebrzysta rybomyśl błyska ogonem i znika w bladej zieloności.

Marusia klęczała nad nieruchomym ciałem golema, przyciskając ucho do jego ust. Ajno-Suivantamoinen próbował jej coś powiedzieć:

– Obudź go... obudź śpiącego... zawołaj go... teraz...

Chrapliwy szept umilkł. Twarz golema sflaczała.

Marusia doskoczyła do Łoma i chwyciła jego głowę w dłonie, obracając ją ku sobie.

– Wissarionie Hipolitowiczu! – krzyknęła najgłośniejszym głosem, jak potrafiła. Głosy na zewnątrz skrzeczały i wyły, tłukąc się o poszycie chaty. – Wissarionie Hipolitowiczu! To ja, Marusia! Posłuchaj mnie! Musisz się obudzić! Och, musisz. Proszę.

Wissarion Hipolitowicz Łom słyszy głos, ledwo przebijający się przez szum morza i bardzo odległy. Otwiera oczy i na tle nieba widzi twarz, twarz, którą zna, należącą do kogoś, czyje imię prawie pamięta, jasną, spokojną i poważną, spoglądającą na niego. Unosi ku niej ramiona i w tym samym momencie otrzymuje potężne uderzenie w plecy, które wyrzuca go z wody, a potężna pięść chwyta go za kark i zaczyna ciągnąć w stronę brzegu.

Łom obudził się w chacie Ajny-Sivantamoinena, nagle świadomy ciepła, ognia i tańczących na ścianach cieni, i golema siedzącego obok, czekającego cierpliwie, wielkiego i solidnego. Łom wiedział, gdzie jest. Całkowicie. Czuł poruszającą się w pobliżu wodę i trawę, i drzewa, i miękki muł. Morze, nieco bardziej odległe, wciąż było morzem, a uchodząca doń rzeka była jak wielkie, mówiące usta. Otaczające go powietrze było namacalną, płynną substancją, przepełnioną tysiącami aromatów i feromonowych obłoków, tak jak przestrzeń między gwiazdami wypełniona była światłem i przepływami sił. Wszystko tu ociekało mitem, wszystko było zanurzone w prawdzie-śnie.

– Obudziłeś się – powiedział Ajno-Sivantamoinen cicho. Jego głos był spokojny i mocny jak rzeka u ujścia.

– To przejdzie – rzekł Łom. – Prawda? To się nie utrzyma. Utrzyma się? Utrzyma?

Próbował unieść głowę ze skórzanej poduszki.

– Nie – rzekł golem. – Uczucie, którego teraz doświadczasz, nie utrzyma się. Ale też nigdy całkowicie nie zniknie. Nie ma powrotu do poprzedniego życia.

– Nie chcę tam wracać.

– Potrzebujesz odpoczynku.

– Zraniłem cię, prawda? Nie chciałem wracać i cię zraniłem.

– Tak.

– Prawie cię zabiłem.

– Tak.

– Przepraszam.

– To nie twoja wina. Okazałeś się silniejszy, niż myślałem. Nie mogłeś o tym wiedzieć.

– Nie wiedziałem.

– Nie mam do ciebie żalu.

– Ale jesteś ranny.

– Już tylko zmęczony. Ale odzyskam siły. Muszę się jednak przespać. Idzie zima.

Łom chciał odsunąć pierzynę i usiąść.

– Nie możesz jeszcze zasnąć – powiedział. – Przecież wiesz. Coś jest nie tak. Coś nadchodzi. Jest bardzo blisko.

– Ach. Poczułeś to?

Gdy golem zostawił go, Łom wyszedł na zewnątrz i przysiadł na pieńku w pewnej odległości od chaty. Prawie nie czuł sińców i otarć. Delikatnie dotknął czoła. Pośrodku, zaraz nad brwiami, znalazł niewielką, okrągłą dziurkę, niczym oczodół trzeciego oka. Powoli formowała się nad nią warstewka nowej skóry, pomarszczona na obrzeżach. Czubkiem palca wyczuł delikatny puls.

Świat, który widział w całej jego oceanicznej, ociekającej mitem pełni, zaczynał już zacierać mu się w pamięci, ale wciąż wyczuwał wilgoć w powietrzu i zapach dymu, słyszał szum potoku i wiedział, co one oznaczają. Teraz były to już tylko ślady, wspomnienia, wibracje: możliwości niemalże poza zasięgiem. Ale wciąż realne. Wciąż obecne. Płatek anielskiego kamienia tkwiący w jego czole zniknął, a on był żywy.

Świat i wszystko w nim, wszystko, co jest, było i będzie, było autotematyczną opowieścią, a każda poszczególna rzecz w świecie – każda cząsteczka ziemi, powietrza, światła, każda forma życia, każda myśl i wydarzenie – była również opowieścią – o sobie samej – opowieścią o stawaniu się bardziej sobą i mniej czymś innym. O „może być” stającym się „jest”. Zimowe śmy na feromonowych szlakach, skupione na miłości i locie, były ich bohaterkami. On sam, Marusia, Wiśnik, Ajno-Suivantamoinen, wszyscy oni byli tacy albo mogli być: wyrastający z jasnych, znaczących opowieści o własnym życiu. Mitycznych, ważnych.

Ale Wiśnik nie żył.

Nagle wspomnienie wróciło. Wiśnik – to, co z niego zostało – zmasakrowany, zakatowany – jego nieżywe ciało, nagie, na kozetce. To była robota Chaziajskiej.

Przypomniał sobie Chaziajską i Kantora nachylających się nad nim w pokoju przesłuchań – jej skalpel, jego palec obojętnie grzebiący mu w głowie. Wszystko to wracało do niego, niosąc ze sobą gorącą falę wściekłości i gniewu. Nie mógł tu zostać, w tym wodnym miejscu poza czasem. Musi coś zrobić. Musi wrócić.

I wtedy – dopiero wtedy – przyszło mu do głowy pytanie. Ostatnią rzeczą, jaką sobie przypominał, mgliście, niewyraźnie, był moment rzucenia się z mostu w wezbrany nurt Miru. Co było potem? Jak się tu znalazł? Nie miał pojęcia.

## 71

Tymczasem gdzie indziej, daleko, ale nie aż tak, w którymś z bocznych pomieszczeń Łódki, Jakow Pietrow przygotowywał się do momentu chwały. Wszystko, co było mu potrzebne, wszystkie materiały konieczne do stworzenia nowego, wspaniałego dzieła sztuki, uzyskał już od Józefa Kantora, impresaria destrukcji. A teraz zbliżał się czas przedstawienia.

Z płóciennej torby Pietrow wydobyl trzy pasy wypełnione trotylem i gwoździami, owinał się nimi i zapiął sprzączki. Następnie wyjął obszerny płaszcz z ciemnej wełny, przeciągnął przewody detonatora przez rękawy, by móc chwycić końcówki, i ubrał się, zakrywając śmiertelne brzemie, którym był opasany.

Wszystko to robił z wielką starannością. Z całkowitą jasnością umysłu i pewnością celu. Każdy gest był sakramentem. Każdy oddech liczony. Uestetyczniony. Przepełniony świetlistością rytuału.

Gdy pociągnie za końcówki przewodów detonatora, gwoździe, którymi wypełnione były pasy, rozlecą się na wszystkie strony z wielką prędkością. Lecąc w rozszerzającym się, ogromniejącym, odśrodkowym obłoku jego rozerwanego na kawałki ciała. On będzie sercem tego żelaznego rozbłysku. Stanie się supernową.

I tak oto staje się niewyobrażalną formą zerową, myślał. Artysta staje się sztuką. Totalna kreacja. Bez kompromisów. Bez wahania. Bez dodanego znaczenia; tylko to, co jest. Różnica pomiędzy artystą i dziełem całkowicie zatarta.

Swoj własny, niepotrzebny płaszcz złożył starannie w kostkę i umieścił pośrodku pustej podłogi. Obok odłożył pustą teraz płócienną torbę.

Tak je znajdują. Jedyna istniejąca praca jednoosobowej pietrowskiej szkoły sztuki destrukcyjnej.

Coś przyszło mu do głowy. Niezgrabnie, ze względu na pasy z trotylem, pochylił się, by wyjąć z kieszeni płaszcz tubkę z farbą i kawałek sreberka w roli lustra. Po raz ostatni, z łatwością pochodzącą z praktyki, podpisał się na własnym czole. A potem, w nieoczekiwanym dla samego siebie geście, ostatnim przebłysku oryginalności, rozpiął koszulę i napisał na swej nagiej, białej, chudej i bezwłosej, bo ogolonej piersi te same dwa wspaniałe słowa:

JA, PIETROW.

Był spokojny. Był przygotowany. I był gotowy.

Na drugim końcu tego samego długiego korytarza, przy którym przygotowywał swe ostatnie dzieło Pietrow, w dużo większym pomieszczeniu odbywało się ważne zebranie. Doroczny Kongres Komitetu Ludowego Właści. Dzięki pośrednictwu Ławrientii Chaziajskiej

obecny był tam również Józef Kantor. Stał anonimowo na końcu sali – jeszcze jeden bezbarwny funkcjonariusz pośród wielu – obserwując. Czekając na to, co nastąpi. Wiedział bowiem, co się wydarzy. Ból zęba, który nie doskwierał mu od tygodni, teraz powrócił, a Kantor powitał go z zadowoleniem i macał bolące miejsce językiem, obserwując, co się dzieje.

Pośrodku sali stał długi, wąski, ciężki stół z intarsjowanego drewna. Nad nim zwieszała się nisko rząd elektrycznych żyrandoli, niby pokrytych szronem winnych gron, a kanelowane kolumny piaskowego koloru tworzyły pod jedną ze ścian podcień, gdzie przy pojedynczych biurkach siedziały stenotypistki. Chociaż sala była duża, panowało w niej przyjemne ciepło, a w powietrzu unosił się przytłumiony gwar poważnych rozmów. Przy stole siedzieli mężczyźni w garniturach i mundurach, pochłonięci sobą, pewni własnej powagi i znaczenia tego, co robią.

Na ścianie naprzeciwko Kantora wisiał wielki, naturalnych rozmiarów portret Przywódcy, przedstawiający go pośród rozległego krajobrazu późnego lata. Słońce oświetlało mu twarz, podkreślając sumiaste wąsy i kurze łapki wokół oczu, a w tle rozciągało się dominium: pola pszenicy poprzecinane torami, po których mknęły smukłe składy ekspresowych pociągów; wysokie fabryczne kominy buchające różowawym dymem; daleka, połyskująca tafla morza; szczęśliwa kraina z poświęceniem oddająca się rzetelnej pracy.

Pod portretem zaś, mniej więcej w połowie stołu, siedział sam Przywódca w swej znajomej, pozbawionej kołnierza białej bluzie, popijając kawę z filiżanki.

Nagle rozległ się okrzyk:

– Hej, wy! Zatrzymać się!

Kantor spojrzał w tamtą stronę. To był Pietrow. Przeciskał się pomiędzy zaskoczonymi aparatczykami, jego ogolona głowa przesuwiała się pomiędzy nimi niczym biały kamień. Miał na sobie dziwnie obszerny płaszcz, a na twarzy świeże ślady czerwonej farby. Przybył punktualnie. Kantor cofnął się pod ścianę. Chciał znaleźć się jak najdalej od Przywódcy.

Pietrow zatrzymał się i rozejrzał po sali.

Gwardziści ustawieni pod ścianami, bacznie obserwujący sytuację, nie reagowali. Ci stojący najbliżej Pietrowa cofali się. Robili mu miejsce. To byli członkowie Żelaznej Gwardii, co do jednego ludzie Chaziajskiej: nie będą przeszkadzać.

Dyplomata stojący niedaleko Kantora postąpił naprzód.

– Co on robi...? – zawałał się.

– Nie ruszaj się pan! – syknął Kantor. Dyplomata spojrzał na niego z zaskoczeniem i chciał chyba coś powiedzieć, ale Kantor zignorował go. Pietrow spostrzegł Przywódcę, który podniósł się zza stołu z filiżanką w dłoni.

Stenotypistka krzyczała. W jej głosie była panika.

– Niech ktoś go zatrzyma!

Pietrow, z twarzą nieprzeniknioną, ruszył zdecydowanie ku Przywódcy. Dygnitarze wysokiego szczebla zaczęli szeptać z niepokojem. Przedstawicielka Wolnego Miasta Koromant poderwała się na nogi, próbując przebić się przez grupę dyplomatów Właści, którzy nie wiedzieli, co się dzieje i nie przepuszczali jej. Zaczęła krzyczeć na strażników.

– Niech ktoś coś zrobi! – Ale strażnicy, zgodnie z oczekiwaniami Kantora, odsuwali się.

Pietrow nieuchronnie przeciskał się przez tłum w stronę Przywódcy. Gdy znalazł się



blisko niego, wyrzucił ręce na boki, jakby chciał objąć wodza narodu.

Nastąpiła eksplozja. Stłumiona, zwykła detonacja. Błysk. Rzeczowe stęknienie śmierci. Smród. Brzęk żyrandola roztrzaskującego się o stół. Cisza. Długa cisza. Dzwonienie w uszach.

Potem rozległy się głosy: nie krzyki, nie gniewne wrzaski, a jedynie niski, nieartykułowany zbiorowy jęk, rozpaczliwe westchnienie. Dopiero później, gdy ranni zaczęli zdawać sobie sprawę z nieodwołalnej rujnacji swych poszatkowanych ciał, podniósł się lament.

Przestępując nad zabitymi i rannymi Kantor podszedł do miejsca eksplozji. Na podłodze spoczywały zakrwawione szczątki Przywódcy, a na nim leżał Pietrow, jakby rzucił się, by go ochronić. Pietrow nie miał głowy ani ramion, a u boku ziała mu wielka dziura, jakby drapieźny gad odgryzł mu kawał ciała. Przywódca, z otwartymi ustami, wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w sufit, poplamiony własną krwią i wnętrznościami. Jego wąsy, zauważył Kantor, zniknęły.

Ktoś dotknął jego ramienia i Kantor odwrócił się gwałtownie. Wiedział, że strażnicy nie będą go niepokoić, ale zawsze istniała możliwość, że... Była to jednak tylko Chaziajska. Nachyliła się ku niemu poufale i mówiła coś cicho. Jej lisia, pokryta szarymi plamami twarz była zbyt blisko jego własnej. Ludzkiej skóry zostało już w niej niewiele; płyty anielskiego kamienia rozrosły się tak bardzo, że zaczynały się stykać. Twarz jak maska, przewiercające go na wylot spojrzenie jasných oczu.

– Dobrze, Józefie – mówiła. – Bardzo dobrze.

Kantor, zniesmaczony, odsunął się o krok. Za dużo było w niej anielskiego ciała. Przepęniała ją niczym nieprzyjemny zapach.

– Ja wykonałem swoją część zadania, Ławrientio. Ty wykonaj swoją. Co z dziewczyną i człowiekiem Krocha, Łomem?

– Sytuacja jest pod kontrolą – odparła Chaziajska. – Pod kontrolą. Chociaż nie rozumiem, dlaczego przywiązujesz taką wagę...

Kantor zgromił ją wzrokiem.

– Chcę powiedzieć – dodała pospiesznie – że w zaistniałych okolicznościach...

– Anioł chce ich śmierci, Ławrientio – Kantor usłyszał własny głos i poczuł obrzydzenie do samego siebie. On używa mnie jak marionetki, pomyślał. Jak kukielki. Jak służącego. Zaczynał mieć dość anioła. A nawet więcej niż dość. Bał się i nienawidził go. Sytuacja stawała się nie do zniesienia.

Jestem silniejszy od tego anioła, pomyślał. Sprawię, że zacznie się mnie bać, a potem go zabiję. Znajdę sposób. Zabijem Przywódcę, zabiję i anioła. Chaziajską też.

Ale jeszcze nie teraz. Musi się przygotować. Musi skupić się na przyszłości. Tylko przyszłość się liczy.

– Po prostu pozbądź się ich – powiedział na głos. – Łomą i dziewczyny. Nie spieprz sprawy tym razem.

– Mówiłam ci już – odparła Chaziajska – że sytuacja jest pod kontrolą.

Na zewnątrz zapadła już noc, niebo roziskrzone było gwiazdami. Ajno-Suivantamoinen, wielka, ciemna postać, siedział w kucki przy ognisku. Powietrze było wyjątkowo rześkie, a połówki księżycy świeciły na tyle jasno, że dało się dostrzec mgłę kłębiącą się w koronach drzew na skraju polany. Myśliwska noc. Łom siedział owinięty w foczą skórę, popijając zupę rybną z drewnianej miseczki. Przespał cały dzień – spokojnym, pozbawionym majaków snem.

– Nie mogę tu zostać – mówiła Marusia. – Muszę wracać. Do miasta. Odwiedziła mnie pałuba. I jeszcze ktoś. Pokazała mi...

Golem drgnął.

– Widziałś pałubę?

– Tak.

Łom ukradkiem przyglądał się Marusi. Trzymała się prosto, jej twarz oświetlona była blaskiem ognia. Zobaczył ją teraz taką, jaka była: nieugięta, bezkompromisowa, rozjarzona światłem otaczających ją możliwości. Czysta, wyrazista, żywa. Była jak dźwięk dzwonu w niewyraźnym, mglistym świetle. Warta, by o nią walczyć.

– Muszę to zrobić – mówiła. – Nie mam wyboru. – Zawahała się. – Nie, to nieprawda. Mam wybór. I podejmuję taką, a nie inną decyzję.

Zamilkła, spoglądając w ogień.

– Marusiu? – odezwał się Łom.

– Tak?

– Chciałem ci podziękować.

– Za co? – zdziwiła się.

– Wróciłaś po mnie, prawda? Nie musiałaś tego robić.

Nie podniosła wzroku.

– Ty też nie musiałeś mi pomagać. A pomogłeś. Dwukrotnie.

– Wróć z tobą do Mirgorodu – powiedział Łom. – Jeżeli chcesz.

Wtedy na niego spojrziała.

– Zrobisz to? – zapytała cicho.

– Tak.

Major Artiom Szafran stał w drzewach na skraju polany, obserwując chatę golema. Ze szpary między skórami zasłaniającymi wejście sączył się blask. Ci, na których polował, byli w środku. Muzyk stał obok niego, milczący i nieruchomy niczym posąg.

Szafran ścisnął w dłoni płatek anielskiego kamienia, który Chaziajska wydłubała Łomowi z czoła. Korzystając ze specjalnych zmysłów muzyka szedł tropem Łoma, jakby prowadziła go niewidzialna nić, aż dotknął jego umysłu. Poczul wzdrygnięcie i zaskoczony wycofał się. Łom zapewne nie będzie wiedział, co oznacza kontakt, nawet jeżeli świadomie go zarejestrował, ale lepiej zachować ostrożność.

Czyli jest ich troje. Łom, kobieta – z pewnością ta, o którą mu chodziło – i ktoś jeszcze: dziwna, skomplikowana, potężna, nieludzka obecność. Wszedł głębiej w dziki, surowy umysł muzyka. Jego podopieczny nie potrzebował światła, by widzieć. Posiadał inne zmysły, za pośrednictwem których Łom wyczuwał ostre ciernie krzewów, ruch liści, parującą wilgoć. Bakterie roiły się wszędzie, a muzyk przyglądał im się z prostą, pozbawioną celu ciekawością. Coś umarło igniło im pod stopami, pod warstwą ściółki.

Szafran wyczuwał obecność niewielkich zwierząt. Jedno zwłaszcza było blisko i obserwowało ich z intensywnym zainteresowaniem. Lis? Nie, coś mniejszego i bardziej drapieżnego. Łasica? Umysł stworzenia wydzielał przenikliwą woń dziczyzny. Szafran zdążył się już przekonać, że każdy umysł ma swój własny, specyficzny aromat. A tutaj, na bagnach, miał do czynienia nie tylko ze zwierzętami; od czasu, gdy weszli na teren mokradeł, zdawał sobie sprawę z na poły rozumnej świadomości drzew, rzek i strumieni, nawet deszczu. Miał stałe, niezbyt przyjemne poczucie, że wszystko wokół niego wie o jego obecności i wcale się z tego powodu nie cieszy. Zignorował to, tak samo jak muzyk, który gardził drzewami i wodą jako niewartymi zainteresowania. Za pośrednictwem umysłu muzyka Szafran zbadał wnętrze chaty. Zatem trzecią istotą był golem. Tego również się nie spodziewał.

Chociaż muzyk był nieruchomy, Szafran wyczuwał jego chęć, by ruszyć naprzód i zaatakować. Jego podopieczny lubił smakować ludzki strach i śmierć. Żywił się nimi. Jego krwiożerczy nastrój udzielił się Szafranowi; nabrał ochoty do walki i mordów. Z trudem się opanował. Nie spodziewał się obecności golema. Rzecz wciąż była do zrobienia, ale nie bez ryzyka. Musiał się zastanowić.

Jego celem numer jeden był Łom. Chaziajska wyraźnie to podkreśliła. Oraz Marusia Szaumian, gdyby była razem z nim. Marszałek nie wspomniała o nikim więcej – człowiekowi czy golemie – ale strategiczny cel misji był jasny. Zakończyć sprawę raz na zawsze. Żadnych otwartych wątków. Szafran wiedział, co to oznacza. Nikt nie mógł pozostać przy życiu.

W myślach przebiegł listę wyposażenia, które miał przy sobie: duży nóż myśliwski; dwa granaty zapalające; rewolwer, który wręczyła mu Chaziajska, nowy model, pierwsza seria prosto z fabryki, dwuoporowa sepóra na naboje kalibru .44 o bardzo wysokiej prędkości wylotowej i mocy rażenia wystarczającej, by jednym strzałem powalić niedźwiedzia. Sepóra przyda się na golema. Oprócz tego miał jeszcze szerokolufowy pistolet maszynowy marki

Ekster-wulicz z kolbą z cisowego drewna na magazynki o pojemności stu naboji, których dźwigał cztery.

Właśc zatrudniała zabójców dumnych z precyzji swej techniki; byli to mistrzowie w swoim fachu, używający długodystansowych karabinów snajperskich i ostrych jak brzytwa noży. Lecz Szafran nie był jednym z nich. Preferował broń o dużej sile rażenia, zdolną wyrządzić poważne szkody. Strzelanie z eksteru sprawiało mu przyjemność. Lubił jego masywność, lęk, który budził, przeraźliwy hałas, który czynił w działaniu. Sama myśl sprawiła, że przebiegł go dreszcz podniecenia. Pożądania. Z muzykiem było podobnie, nawet lepiej: siła muzyka była jego siłą, jego moc mocą Szafrana. Lęk, który wzbudzał, był lękiem przed nim. Szafran kochał muzyka z jego beczkowatą głową i twardą, ceglasczerwona skórą. Była to barwa rdzy i zaschniętej krwi, lecz w świetle zachodzącego słońca potrafiła lśnić jak rozgrzana terakota.

Lata treningu i doświadczeń sprawiły, że pomiędzy Szafranem i jego muzykiem nawiązała się nie porozumienia, aż ich umysły spłotyły się do tego stopnia, że zatarła się granica między nimi. Większość muzyków przechodziła z rąk do rąk, przynosząc ze sobą wspomnienia, ślady poprzednich relacji, w tym pamięć śmierci, lęku, starości; lecz muzyk Szafrana był z nim od początku. Kolejny powód, by go pokochać. Zarazem jednak bał się go. Czasem śniło mu się, że muzyk go goni. Próbował uciekać i kryć się. Muzyk podążał za nim pustymi ulicami. Przebijając się przez mury. Rozwalając budynki. Gdzie by nie uciekł, zawsze go znajdował. W jednym ze snów Szafran skrył się w samej Łódce, a muzyk walił kulakami w grube na trzy metry mury, próbując dostać się do środka. Rytmiczne odgłosy uderzeń sprawiały, że trzęsła się ziemia. Wiedział, że muzyk nie spocznie nigdy. Kawalek po kawalek rozłupywał mur, na którym zaczynały pojawiać się pęknięcia i szpary.

Muzyk był niezmordowany. Jeżeli człowiek uciekał, muzyk gonił go. Nieubłaganie i do skutku. Była to tylko kwestia czasu. Nie dało się uciec.

– Wyruszysz sam – powiedziała Chaziajska. – Nie bierz zbędnego sprzętu. Poruszaj się szybko. Tak będzie lepiej.

Marsz trwał dłużej, niż Szafran się spodziewał. Muzyk co rusz zapadał się w grząskim gruncie i brnął z trudem przez strumienie i rozlewiska. Szafran stracił poczucie kierunku, dystansu, czasu. Obszar wydawał się większy, niż to możliwe. Po dniu drogi zdawało się, że wcale nie są bliżsi do celu. W miarę upływu godzin Szafran czuł, jak jego umysł stapia się w jedno z umysłem muzyka. Wiedział, że mają ze sobą bliskie połączenie, ale to było przytłaczające, jakby to muzyk kierował nim, a nie odwrotnie. Lubił to uczucie. Poddał mu się. Czuł, jak przepływa przez niego sama Właśc wraz z całym swym autorytetem, potęgą i nieuchronnością. Nie był już tylko jednostką. Był ucieleśnioną historią. Był czubkiem młota, ale to impet zamachu dłoni dzierżącej młot pchał go naprzód. Nie miał pytań, miał odpowiedzi. I wreszcie, po wielu dniach mozolnego marszu, z kawalkiem anielskiego ciała ścisłanym w dłoni i prowadzącym go niczym nić Ariadny, dotarł do polany i chaty golema.

Muzyk wiedząc, że jego cel jest blisko, poruszył się niespokojnie. Chciał wpaść do chaty, zmiażdżyć ofierze czaszkę, zgnieść jej żebra. Już, teraz. Ciemności nie były przeszkodą. Lecz Szafran był zmęczony po wielu dniach marszu przez błota. Dłonie drżały mu z zimna i wyczerpania. Wiedział, że nie zawiedzie – nie mógł zawieść – znał jednak niebezpieczeństwa nadmiernej pewności siebie. Raz jeszcze ogarnął wzrokiem miejsce akcji. Chata, skąpana w księżycowym blasku, stała na niedużym wzgórku pośrodku polany długiej na mniej więcej sto kroków. Na krańcu polany przeciwległym do miejsca, w którym stał

Szafran, płynął kanał lub rzeka. Za pośrednictwem zmysłów muzyka czuł zapach jej ciemnego, zimnego, powolnego nurtu. Chata ze wszystkich stron otoczona była ciernistymi krzewami, zaroślami i karłowatymi drzewami, wśród których wycięto wąskie ścieżki. Szafran był zadowolony; jego zwierzyna praktycznie nie miała szans ucieczki. Otwarty teren oznaczał, że kontrolował sytuację. Za dnia, gdyby spróbowali przedrzeć się do linii lasu, skosiłby ich ogniem z peemu. Ale przy tym świetle? Chmury gęstniały, światło księżyców bladło.

Po omacku, kierując się wyłącznie wyczuciem, Szafran rozłożył ekstera i raz jeszcze przeładował magazynki.

Czekaj, powiedział sobie w duchu. Niech śpią.

Łom śnił, gdy golem go obudził: mroczne, ciężkie, niepokojące sny, pełne niejasnego poczucia narastającego zagrożenia. Otworzył oczy, ale przez dłuższą chwilę sen nie chciał odejść. Wreszcie skupił wzrok na ciężkiej dłoni golema spoczywającej mu na ramieniu i zdał sobie sprawę z pochylającej się nad nim zwalistej sylwetki.

– Nieprzyjaciel jest tutaj – wyszeptał Ajno-Suivantamoinen. – Zbudź się. Szybko.

– Co takiego?

– Musicie uciekać. Oboje.

– Co? Ja nie... – Wciąż próbował rozdzielić rzeczywistość od snu.

– W drzewach kryje się myśliwy. Zabójca. Wysłannik śmierci.

– Tak – rzekł Łom. – Wiem.

I uświadomił sobie, że rzeczywiście wie. Czuł ich obecność w śnie i wyczuwał ją nadal.

– Jest ich dwóch – powiedział.

– Ma ze sobą towarzysza. Istotę jakby z kamienia.

Muzyk? Czy to możliwe?

Łom, w pełni już rozbudzony, zszedł z legowiska na piecu.

– Musicie zachowywać się bardzo cicho – rzekł golem. – Oni nasłuchują.

Było przeraźliwie zimno. Łom instynktownie przysunął się bliżej pieca. Miał lekkie mdłości, jak ktoś, kogo za wcześniej obudzono. Marusia, biała, przygotowywała się w milczeniu do wyjścia.

– Gdzie mój płaszcz? – zapytał Łom.

Ajno-Suivantamoinen miał go na podórzedziu i teraz podał Łomowi. Ach, mieć teraz przy sobie rewolwer, pomyślał Łom, ale jego zoern leżał zapewne w jakiejś kasie pancерnej w trzewiach Łódki, gdzie zanieśli go gwardziści po udanym szturmie na klatce schodowej domu Wiśnika. Pałkę też zgubił.

Wreszcie byli gotowi. Ale na co? Zdał sobie sprawę, że wyczuwa obecność pary zabójców w ciemności. Tkwili tam, obserwując chatę, czekając zapewne na świt, na światło dnia, które było coraz bliżej. Łom rozważył kolejno możliwość bronienia chaty, przedarcia się do łodzi i ucieczki do lasu; jednak bez broni nie mieli szans. Byli w potrzasku. W śmiertelnej pułapce.

Golem podszedł do wielkiego żeliwnego pieca i objął go ramionami, pochylając się lekko. Izbę wypełnił zapach przypalającej się mokrej wełny, a golem stęknął, uniósł piec, sprawiając, że rozżarzone węgle posypały się na podłogę, i przestawił go o kilka kroków. Piec stał na wzorzystym, mocno wytartym dywanie, pełnym dziur wypalonych przez spadające węgle. Golem odsunął dywan, odsłaniając podłogę z nieheblowanych desek. Ukłąkł i przez dłuższą chwilę mocował się z czymś, a potem nagle uniósł klapę i Łom poczuł powiew wilgotnego powietrza pachnącego ziemią i kamieniem. Jego oczom ukazał się ciemny otwór, niczym wlot studni.

– Schodźcie – powiedział Ajno-Suivantamoinen. – Szybko!

– Mamy się tam schować? – zapytał Łom.

– Nie schować. To tunel. Zbudowany przez dawnych mieszkańców bagien. Idźcie cały czas prosto, aż natraficie na odnogę po prawej. Ona wyprowadzi was do lasu na tyłach nieprzyjaciela. Gdy ich miniecie, uciekajcie, ile sił w nogach.

– A ty? – zapytała Marusia.

– Ja się tam nie mieszczę.

– To co będzie z tobą?

– Stawię czoło naszym nieprzyjaciółom najlepiej jak potrafię.

– Nikt nie jest w stanie pokonać muzyka – powiedział Łom. – Nawet ty.

– Istnieją sposoby – odparł golem.

– Ty też możesz uciec – zaprotestowała Marusia. – Nie musisz za nas walczyć.

Golem nie odpowiedział. Zapalił kaganek od żaru z pieca i podał go Łomowi. Jego twarz wyglądała dziwnie w migotliwym świetle.

– Jeżeli nie chcecie zaalarmować nieprzyjaciela – powiedział golem – musicie zachowywać się bardzo cicho. I musicie ruszać już teraz. – Ukłął, zeszkrobał nieco gliny z klepiska i zagasił nią ogień w piecu. Zapadły niemal całkowite ciemności i tylko po szeleście zasłony wejściowej poznali, że Ajno-Suivantamoinen opuścił chatę.

Tunel był wąski i niski. Łom, pochylony, oświetlając drogę kagankiem, szedł pierwszy. Ściany i sklepienie tunelu wyłożone były surowo ociosanymi kamiennymi blokami. Podłogę stanowiła wilgotna, ubita ziemia. Wrażenie ogromnego ciężaru napierającego z góry i boków było przytłaczające. Nie do zignorowania. Istnienie podziemnej konstrukcji w tak grząskim, niestałym gruncie w ogóle wydawało się niemożliwe, a jednak tunel był ewidentnie stary. Być może nawet starożytny. Relikt dawnych czasów. Łom prowadził naprzód tak szybko jak potrafił.

Było prawie tak, jakby poczuli podmuch powietrza, jeszcze zanim usłyszeli eksplozje. Kaganek zgasł. Same eksplozje były przytłumione, krótkie, jakby ktoś zrzucił ciężkie sztaby z wysokości, i trwało chwilę, nim zdali sobie sprawę, co je spowodowało.

– O cholera – powiedział Łom. – Granaty. On ma granaty.

Nastąpiło bardziej przeciągłe tąpnięcie, kolejny podmuch gorącego powietrza, a potem cisza i głęboka ciemność. Wejście do tunelu zawałiło się.

– Nie zatrzymuj się – powiedziała Marusia. – Jestem zaraz za tobą. Chodźmy dalej.

Łom ruszył naprzód, jedną ręką próbując namacać ścianę, drugą trzymając wyciągniętą przed siebie. Panowała kompletna ciemność, która wydawała się czymś więcej niż tylko brakiem światła. Zamykała się wokół nich i przytłaczała, natarczywie dotykając ich twarzy miękkimi palcami, wciskając się do oczu, nozdrzy, uszu, wlewając do gardła z każdym oddechem, przepełniona intensywnym zapachem podziemi.

Łom parł naprzód. Musiał przedzierać się przez gęstniejącą, zdawałoby się, z każdym krokiem ciemność, w której wciąż pobrzmiwało echo obecności dawnych budowniczych, czujnych, zaintrygowanych, niezadowolonych. Czuł, jak ciarki przebiegają mu po plecach.

Nie mieli pojęcia, ile czasu minęło ani jak daleko zaszli; jedynym wyznacznikiem był rytm ich własnych kroków. Ze wszystkich stron otaczała ich teraz poprzerastana korzeniami ziemia, od której oddzielała ich tylko kamienna ściana. Cienka, krucha, porowata. Ściana była niczym. Była nieistotna. Jednym ruchem ręki Łom mógł przebić się przez nią do oceanu błota. Dlaczego nie? Szlam był tylko innym rodzajem powietrza. Mogliby nim oddychać, gdyby chcieli, tak jak czyniły to robaki. Mogliby przezeń popłynąć, poruszając kończynami w gęstej, lepkiej masie. Mogliby. Gdyby chcieli.

– Wissarionie Hipolitowiczu? – głos Marusi dobiegł jakby z oddali. – Dlaczego się zatrzymaliśmy?

Łom zgubił ścianę. Od jakiegoś czasu nie czuł jej pod palcami. Od jak dawna? Nie miał pojęcia. Wyciągnął ręce po omacku na boki, nad głowę. Nic.

– Czujesz ścianę? – zapytał.

– Którą? – syknęła Marusia.

– Dowolną. Z którejkolwiek strony. Czujesz?

– Nie.

– Cholera.

Myśl, powiedział sam do siebie w duchu. Kombinuj.

Musieli wejść do jakiejś większej sali, o której golem nie wspomniał. Zakładał, że będą świecili sobie kagankiem.

Stał na krawędzi bezdennej przepaści. Wąskiej, stromej studni. Jeden krok i...

Nie. Znajdowali się w tunelu, nie w jaskini. I nie zgubili się, a jedynie stracili orientację. Biorąc głęboki wdech, Łom skrzył w prawo i ruszył naprzód. Cztery czy pięć kroków później jego knykcie dotknęły wilgotnego, zimnego kamienia. Dotyk chropawej powierzchni był znajomy, uspokajający.

Rozległ się kolejny wstrząs. Sprawił, że ziemia zadudniła głucho, a wydawało się, że miał miejsce bezpośrednio nad nimi. Potem ziemia zatrzęsała się znowu. I jeszcze raz. Rytmiczne dudnienie, którego źródłem z pewnością nie były wybuchy granatów, nie tym razem. Pacyny czegoś zimnego zaczęły spadać im na głowę i ramiona. Mogła to być ziemia albo błoto, albo po prostu krople wody. Nagle dudnienie ustało i w zamian rozległo się regularne skrobanie.

– To muzyk – powiedziała Marusia. – Znalazł nas i próbuje odkopać.

Łom wyczuł obecność muzyka. Przyjemność, jaką tamten odczuwał. Niecierpliwe wyczekiwanie. Wyciągnie ich z ziemi za uszy jak króliki. Zmiażdży czaszkę palcami, najpierw jednemu, potem drugiemu.

– Naprzód! – syknęła Marusia. – Chodźmy! Nie ma sensu czekać tutaj, aż się przebiję.

Tak, pomyślał Łom, ale w którą stronę? Poczul, jak panika zaczyna ścisnąć mu gardło.

W którą stronę?

Wyteżał wzrok, próbując dostrzec cokolwiek w napierających na nich ciemnościach. Kiedy zdał sobie sprawę, co robi, czym prędzej zamknął oczy.

Zachowujemy się zbyt racjonalnie, pomyślał. Przeceniamy zmysł wzroku.



– Na ziemię! – syknął. – Połóż się i nie ruszaj.

– Położyć się? – Marusia była zdziwiona.

– Po prostu zrób to.

Łom oddychał głęboko, koncentrując się na otaczającym ich powietrzu, pradawnym, zimnym, zgęstniałym i nieruchomym. Prawie, lecz nie całkowicie zgęstniałym. Dziura w jego czole była otwarta, a wraz z nią otworzył się i on. Czuł powietrze krążące powoli w pustej przestrzeni i popłynął wraz z nim, wirując i kłębiąc się. Delikatny prąd ciągnął ku otworowi w murze. Kolejny tunel. Stopniowo podnoszący się ku otworowi prowadzącemu na światło dzienne. W ciemnościach Łom podszedł prosto do Marusi i chwycił ją za rękę.

– Chodź – powiedział. – Chodź za mną.

Ruszył pospiesznie, niemalże biegiem, ciągnąc Marusię za sobą w ciemnościach. Zakłęła, uderzywszy łokciem o występ w murze, i prawie się potknęła, ale Łom podtrzymał ją i pociągnął dalej. Odgłosy skrobania ustały. Muzyk wiedział, że się przemieszczają. Łom poczuł jego nagłą niepewność. Frustrację. Był chwilowo zdezorientowany. Ale znajdzie ich. Będzie ich dalej ścigał. Nigdy nie ustępował.

Korytarz zwężał się i robił coraz niższy, lecz Łom nie zwalniał tempa. W przodzie pojawiło się światło. Szary blask świtu. Przewrócone kamienne bloki. Otwór częściowo zablokowany przez cierniste krzewy i karłowate drzewa. Przedarli się na drugą stronę, nie bacząc na kaleczące ich kolce i drapiące gałęzie. I nagle znaleźli się na zewnątrz. W środku rzadkiego lasu.

Łom rozglądał się w poszukiwaniu kryjówki, miejsca, gdzie mogliby się schować przed muzykiem albo spróbować stawić mu czoło, ale bez skutku. We wszystkich kierunkach ciągnął się rzadki brzozyowy zagajnik o ubogim, mszystym podszycie.

Ale w jaki sposób mieliby stawić muzykowi czoło? By go powstrzymać, potrzeba co najmniej moździerza. Nie było innego sposobu.

Nagle poczuli ostry zapach dymu i spalenizny. Pożar. Chata golema!

Marusia pobiegła w tamtą stronę. Łom, oparty o drzewo, zgięty w pół, łapał z trudem oddech.

– Cholera – wysapał. – Cholera. Zaczekaj!

Marusia zatrzymała się i odwróciła.

– Chodź – powiedziała. – Nie zatrzymuj się.

Niewiele minut później dotarli na skraj polany. Chata stała w płomieniach. Skórzane pokrycie zniknęło. Szkielet z kości wieloryba wciąż stał, poczerniały, pośród ognia palącego się drewna, futer i wełny. Znad płomieni unosiły się kłęby białego i szarego dymu i strzelały w niebo snopy iskier. Wiatr pchał dym w odwrotną stronę, ale i tak czuli jego przenikliwy zapach.

Muzyk powoli krążył wokół ognia, przystając od czasu do czasu, z wielką głową przekrzywioną na bok, jakby nasłuchiwał. Węszył.

Nigdzie nie było widać Ajny-Sivantamoinena. W zasięgu wzroku nie było też żadnego człowieka. Przyglądali się muzykowi w milczeniu.

Nagle Łom poczuł, jak coś ciemnego dotyka jego umysłu. Była to ta sama gwałtowna, nachalna energia, której dotknięcia doznał w tunelu. Po dłoniach przebiegły mu ciarki, jakby krew wracała do zdrętwiałych kończyn. W ustach mu zaschło. Poczuł, że osuwa się w otchłań rozpacz. Beznadziei.

Nasza pozycja jest nie do utrzymania, pomyślał. Umrzemy tu.

Nie. To nie moje myśli.

Muzyk nagle zwrócił twarz ku miejscu, w którym stali, i Łom poczuł, jak jego bezokie spojrzeń przenika przez płataninę gałęzi.

– Psiakrew! – syknął. – Zauważył nas. W nogi! – Kątem oka spostrzegł, że muzyk rusza w ich stronę, przyspieszając gwałtownie. Odwrócili się i puścili biegiem.

Biegli na oślep, tratując krzaki i przeskakując nad powalonymi drzewami. Łom czuł ucisk w klatce piersiowej, brakowało mu tchu. Już czuł uderzenie kamiennej pięści w potylicę, które zakończy jego żywot.

Po kilkudziesięciu krokach wypadli z brzeziny na wąską ścieżkę, prowadzącą lekko w dół między wyższymi drzewami ku bagnetom. Popędzili, przyspieszając kroku. Łom nie miał żadnego planu, żadnej nadziei poza szaloną myślą, że być może na trzęsawisku muzyk nie będzie w stanie ich gonić, że będzie się zapadał i tonął w szlamie. Tego, jak sami będą poruszać się po tak zdradliwym gruncie, nie wiedział.

Nie oglądał się wstecz. Nie musiał. Słyszał depczącego im po piętach muzyka. Od rytmu jego ciężkich kroków trzęsła się ziemia. Miał wrażenie, że muzyk specjalnie się nie spieszy, jakby wiedział, że i tak ich dopadnie.

Nagły podmuch wiatru nieomal zwałił Łoma z nóg. Igliwie i liście uderzyły go w twarz, prawie oslepiając. Kątem oka na poły spostrzegł, na poły wyczuł obecność drobnej, niepozornej postaci, która wyłoniła się spomiędzy drzew i stanęła na ścieżce za ich plecami. Była prawie jak kobieta, tyle że jej kończyny i korpus składały się z gałązek, liści i wirującego wiatru. Łom usłyszał, jak Marusia potyka się i przewraca. Zatrzymał się i odwrócił, by pomóc jej wstać.

– Nie zatrzymuj się! – zawołał, przekrzykując narastający hałas. – Nie oglądaj się za siebie!

Wiatr wzrastał się, wyjąc wściekle: prawie nie dało się wbrew niemu iść, nie mówiąc już o biegu. Ciężki konar upadł im pod nogi z głuchym tąpnięciem. Na tyle wielki, by zabić ich

oboje na miejscu.

– Biegnij! – krzyknął Łom.

Nastąpiła seria głośnych trzasków. Cztery, pięć, sześć. Łoskot pękającego drewna. Wiatr ucichł.

– Wissarionie Hipolitowiczu!

To była Marusia. Łom zatrzymał się i odwrócił.

Niewyraźna postać unosiła się pół metra nad ścieżką, na poły kobieta, na poły wir powietrza i kawałków drewna. Ramiona rozpostarła szeroko, jakby chciała objąć las. W tyle za nią zwały się ogromne drzewa. Pół tuzina najgrubszych buków i dębów przewróconych, jakby powalił je huragan. Muzykowi prawie udało się ich uniknąć, ale ostatnie spadło prosto na niego i teraz leżał, uwięziony, z twarzą przyciśniętą do ziemi, nieruchomy.

Wietrzna postać opuściła ramiona w geście zmęczenia i ulgi. Z lasu wyłonił się Ajno-Suivantamoinen. Ruszył ku leżącemu nieruchomo muzykowi.

– Nie! – krzyknął Łom. – Czekaj! Stój!

Ale golem nie słyszał go albo nie zważał na jego słowa. Podszedł do muzyka, którego twarz zagłębiona była do połowy w błocie. Nie mógł widzieć, słyszeć ani oddychać. Ale nie musiał. Gdy tylko golem znalazł się w jego zasięgu, muzyk zamachnął się potężnym ramieniem pod kątem niemożliwym dla istoty z krwi i kości. Ale muzyka nie obowiązywały prawa anatomii. Jego kamienna łapa rąbnęła golema w kolano, które złamało się z głośnym trzaskiem. Golem wrzasnął z bólu i wściekłości i upadł. Wietrzna postać również wydała z siebie coś w rodzaju okrzyku i zadrżała, jakby przeszył ją dreszcz. Wokół głowy muzyka zatańczyły liście i w powietrze uniósł się pył, ale to było wszystko.

Muzyk uderzył ponownie, gestem tak szybkim, że prawie niewidocznym, celując w leżące golema, ale chybił o centymetry. Ajno-Suivantamoinen odczołgał się na bok, potrząsając wielką głową i ciągnąc za sobą bezwładną nogę. Łom słyszał jego głęboki, dudniący, chrapliwy oddech niczym sapanie pociągowego konia albo wielkiego łosia. Muzyk tymczasem, nie mogąc dźwignąć wielkiego drzewa, którym był przywalony, zaczął wiercić się pod nim, kołysząc ciałem na boki i rękami wygrzebując ziemię spod siebie. Żłobiąc zagłębienie. Stopniowo się wyswobadzając. Wkrótce będzie wolny.

Łom odwrócił się do Marusi, ale jej tam nie było. Rozejrzał się, zaniepokojony. Gdzie się, u licha, podziała?

Potem ją zobaczył. Była na ścieżce, na skraju lasu. Kierowała się ku leżącemu na ziemi golemowi. Ajno-Suivantamoinen dawał jej gestami znać, żeby go zostawiła, ale Marusia była niezrażona.

– Marusiu! – krzyknął Łom. – Padnij! Kryj się!

Rozległ się ostry, nieprzyjemny grzechot. Obsciczny terkot, głuchy i pozbawiony echa. Pistolet maszynowy, pomyślał Łom. Ujrzał błyski wystrzałów pośród drzew, nieco powyżej i po lewej, w bok od Marusi. Seria pobiegła ku poruszającemu się na czworakach golemowi, trafiając go w tułów, i rząd krwawych róż rozkwitł nagle między jego biodrem i szyją, wzbijając w powietrze czerwone obłoczki. Golem zadrżał. Potem jego głowa eksplodowała.

Łom usłyszał rozpaczliwe westchnienie Marusi. Teraz strzelec zwrócił się przeciwko niej. Grad pocisków sprawił, że gałęzie i liście zadrżały jakby pod wpływem ulewy. Łom zobaczył krew na jej policzku, i dziewczyna upadła.

– Marusiu!

Nie poruszała się.

Nie, pomyślał Łom. Tylko nie to.

Ruszył naprzód. Musiał się do niej dostać. Ściągnąć ogień na siebie. Dać jej czas, żeby mogła się ukryć. Jeżeli zdoła.

Strzelec celował teraz w niego. Łom zaklął i rzucił się w bok, między drzewa, upadając ciężko.

Cisza. Strzały umilkły.

Trzymając głowę nisko, w każdej chwili spodziewając się znaleźć znowu pod ostrzałem, Łom zaczął pełznąć naprzód, podciągając się na łokciach i odpychając kolanami. Czuł, jak ciernie i korzenie rozdrapują mu brzuch do krwi. Skrzywił się, gdy ostro zakończony, wystający korzeń wbił mu się w podbrzusze; miał wrażenie, że rozerwał mu skórę i wyrwał kawałek ciała. Nieważne. Próbował dostać się do miejsca na zboczu, gdzie upadła Marusia. Człgając się w ten sposób, nic nie widział. Gdzie jest strzelec? Czekaj, aż Łom się wychyli? Przemieszczą się? Zachodzi go od tyłu? Nie było sensu o tym myśleć. Naprzód! Najważniejsze, by dotrzeć do Marusi. Potężny, omszały pniak stanowił dogodną osłonę. Łom rozchylił gałęzie i ostrożnie wyjrzał.

Dwadzieścia kroków przed nim Marusia, zdezorientowana, oszołomiona, próbowała wstać. Patrzył, jak chwiejnym krokiem oddala się między drzewa.

A potem muzyk wyswobodził się spod drzewa, które go przywaliło, wstał i ruszył ku niemu.

Łom puścił się biegiem, pochylony, ignorując ciernie kaleczące mu twarz i dłonie, aż powilgotniały od krwi, kierując się ku gęstwinie, gdzie trzeba było przeciskać się między pniami, a grunt był grząski, nasiąknięty wodą. Potrzebował czegokolwiek, by opóźnić marsz muzyka. Czegokolwiek, by osiągnąć przewagę.

Muzyk był nieugięty. Nie ustępował. Kontynuował pościg. Nie był jednak w stanie poruszać się w leśnej gęstwinie tak zręcznie jak człowiek. Łom słyszał go za sobą, przedzierającego się z trzaskiem przez las, ale dystans pomiędzy nimi stale rósł. Muzyk zostawał coraz bardziej w tyle.

Łom biegł. Nie istniała przeszłość ani przyszłość, było tylko teraz i następny ułamek sekundy, następny krok do przebiegnięcia, następny sus do zrobienia, następny upadek do uniknięcia. Cały świat skurczył się do pojedynczego punktu absolutnej jasności, do otworu, przez który musiał się przecisnąć, by dotrzeć do momentu po drugiej stronie „teraz”. Za nim był myśliwy. Przed nim było... wzywające go, pragnące go tak samo, jak on pragnął jego... bezpieczne schronienie. Ciemne miejsce. Miękkie łono. Dziura w ziemi.

Łom tkwił skulony w podziemnym tunelu. Był cały spocony, a jednocześnie trząsł się z zimna. Gęsta ciemność wciskała mu się do oczu i sączyła pod skórę. Czuł zapach własnej krwi, rozmazanej na dłoniach i twarzy, czuł zapach wilgotnej ziemi i kamienia, i czuł smród własnego lęku. Lęku i rozpaczki. Co z Marusią? Po raz trzeci nie wiedział. Po raz trzeci zostawił ją samą na pastwę nieprzyjaciół. Wissarion Hipolitowicz Łom, obrońca kobiet. Tutaj napotka własny koniec. Muzyk wyniucha go i zacznie kopać. Wyciągnie go spod ziemi i złamie mu kark. Miał niewiele czasu. I prawie żadnej nadziei. Tunel nie był schronieniem,

lecz pułapką. Mroczna dłoń sięgnęła mu do głowy, ściskając umysł kamiennymi paluchami. Okrutna, głupia i pewna. „Nadchodzę. Niedługo będę”. Łom ponownie poczuł mrowienie w czubkach palców i ciarki na plecach. „Już wkrótce”.

Z całą mocą wyrzucił obcą świadomość z umysłu i postawił mentalną blokadę. Był silniejszy, niż sądził. To było coś nowego. Przyjemna niespodzianka. Poczuł zaskoczenie przeciwnika, który nagle stracił punkt zaczepienia. I milczenie. Udało się.

Dopiero gdy obca obecność zniknęła, zdał sobie sprawę, od jak dawna jej doświadczał: lęk, brak pewności siebie, nieustanne poczucie zagrożenia czające się na skraju świadomości. Prześladowała go od momentu, gdy obudził się w chacie golema, ale teraz zniknęła. Wygnał ją z umysłu. Był silniejszy, niż myślał. Silniejszy, niż spodziewali się jego adwersarze.

Odczekał chwilę, zbierając siły. Oceniając sytuację. Myśliwi znali jego położenie, a mentalnej blokady nie mógł utrzymywać w nieskończoność. Istniała jednak szansa. Marusia mogła wciąż żyć. Żyła. Miał tę pewność, chociaż nie wiedział skąd. W jakiś sposób wyczuwał jej obecność, ukrytą gdzieś w lesie.

Nadszedł czas na kontratak.

Gdy Łom stwierdził, że jest gotowy, ponownie przywołał uczucia bezbronności i rozpacz. Stworzył wrażenie, że jest pognębiony, pozbawiony nadziei, ledwie żywy. Że krwawi w ciemnościach, szlochając, pokonany.

To koniec. Koniec.

Pozwolił, by ta myśl wypełniła mu umysł.

Jestem skończony. Koniec walki. Koniec uciekania. Wszystko mnie boli.

A potem rozmyślnie opuścił blokadę i wpuścił muzyka. Poczuł, jak świadomość stwora wnika do wnętrza jego umysłu, i dał mu odczuć własną bezbronność.

A potem – kiedy muzyk chwycił przynętę, kiedy doświadczył chwili triumfu – Łom zaczął się mentalnie wycofywać.

Powoli, ostrożnie, z wahaniem, tak by muzyk sądził, że jego wola i energia słabną, zanurzył się pod powierzchnię własnej świadomości, kryjąc się za drugim, wewnętrznym, niewidzialnym murem, który tam wznosił. Instynktownie, prawie nie zastanawiając się nad tym, co robi, zaczął się czołgać w głąb tunelu, coraz dalej od powierzchni ziemi.

Marusia obserwowała, jak gwardzista mija nieruchome ciało Ajny-Suivantamoinena z obojętnym, zrelaksowanym wyrazem twarzy. Kolejny człowiek w mundurze, kolejny zabójca. Wyszedł z ukrycia, gdy muzyk ruszył w pościg za Łomem. Teraz jego celem była ona.

Poruszał się ze swobodną pewnością siebie, z karabinem o krótkiej lufie przewieszonym przez ramię i wycelowanym w ziemię. Przystanął na chwilę, by spojrzeć na martwego gołęma. Przeigrana, upokorzona góra mięsa. Niczym ścierwo wielkiej krowy. Widziała, że jest z siebie zadowolony. Pochlebiał mu widomy znak własnej mocy. Kierował się w jej stronę. Nie spieszył się. Nie była dla niego zagrożeniem. Jedynie kwestią porządkową. Sprawą, którą trzeba było załatwić do końca. Ranną kobietą do zabicia, podczas gdy muzyk dopadnie drugiego uciekiniera. Oto jest człowiek, któremu się udało.

Przyglądała mu się z bliska. Nie miał nakrycia głowy. Widziała jego błąd, bezbarwną twarz. Cienkie blond włosy, krótko, po chłopięcemu przycięte. Płatek anielskiego kamienia pośrodku czoła. A potem dotarło to do niej. Niczym otrzeźwiający cios. Gniew ścisnął jej żołądek, aż zrobiło jej się niedobrze. To był on. Ten sam mężczyzna, który zastrzelił jej matkę, teraz zbliżał się, by wykończyć ją.

– O nie – powiedziała do siebie. – Nie.

Zaczęła czołgać się ku drzewom. Nie była poważnie ranna. Odłamki drewna, które latały w trakcie strzelaniny, pokaleczyły jej twarz i coś ciężkiego uderzyło ją w tył głowy, sprawiając, że na moment poczuła zamroczenie; teraz jednak była w pełni przytomna. Mogłaby podnieść się i próbować biec, ale gwardzista ściały ją pierwszą serią. Chciała, by się do niej zbliżył. Chciała wciągnąć go w gęstszy las, gdzie mogłaby zaatakować go znienacka zza drzewa. Kopniakiem wytrącić broń. Paznokciami wydrapać oczy. Na to potrzebowała, by się zbliżył. Uważając, by żadnym nagłym ruchem nie sprowokować go do otwarcia ognia, czołgała się rozpaczliwie powoli ku gęstwinie.

Przed oczami stanął jej nagle obraz zabitej matki. Kolejne zwiotczałe ciało jak kupka szmat, w kałuży własnych wydzielin. Było ich już troje: Ajno-Suivantamoinen, Wiśnik i matka. Troje pośród wielu, oczywiście; Właść zbierała krwawe żniwo na całym swym rozległym terytorium, stopy zwłok spychane buldożerami do masowych grobów, nieliczone przez nikogo. Wkrótce ona będzie kolejnym trupem.

Nie zdąży dotrzeć do gęstwiny. Jej prześladowca stopniowo zmniejszał dzielący ich dystans. Nie miała szans. Mniej niż minuta – sekundy – dzieliły ją od momentu, gdy ją dopadnie. Był zawodowcem. Profesjonalistą. Był skuteczny, a nawet tutaj, w lesie, świat należał do skutecznych mężczyzn. Miała już wstać i pobiec, co oznaczałoby pewną śmierć, kiedy nagle usłyszała jego gniewny okrzyk. Seria wystrzałów rozdarła ciszę poranka. Ale nie trafiła w nią żadna kula.

Obejrzała się za siebie. Przez chwilę sądziła, że opadł go rój pszczoł. Małe ciemne insekty krążyły wokół niego, a on strzelał na oślep, trzymając karabin jedną ręką, drugą próbując ochronić twarz przed pszczołami. Tyle że to nie były pszczoły, lecz liście, gałęzie i ciernie,

krążące wokół niego we wściekłym wirze. Bezcielesna kobieca postać, którą Marusia dostrzegła wcześniej, wisiała nad gwardzistą, biorąc go w objęcia ramionami z wiatru. Mężczyzna, spanikowany, oślepiiony, wykrzykiwał gniewnie, z przestachem, rzucając się na boki, próbując odgonić powietrzny wir, strzelając do atakującego go wiatru.

Marusia widziała – czego on jeszcze nie dostrzegał – że powietrzna postać traci siły. Rozwiewa się. Gwardzista wciąż stał na nogach. Kobieta-wiatr, która obalała na muzyka najpotężniejsze drzewa, nie potrafiła go przewrócić. Była wyczerpana. Ale zrobiła, co trzeba. Zyskała dla Marusi trochę czasu. Marusia pobiegła.

Przeciskała się przez zarośla, podążając ścieżką, która, miała nadzieję, zaprowadzi ją z powrotem do chaty. Ścieżka kluczyła między drzewami i omijała gałęzi. Czasem zanikała zupełnie i Marusia musiała na wyczucie podążać naprzód, aż ponownie na nią natrafiła. Albo na inną, trudno było to stwierdzić. Być może krążyła po prostu po labiryncie ścieżek wydeptanych przez zwierzęta. Wydawało jej się, że wie mniej więcej, gdzie leży polana, na której stała chata golema, ale nie była pewna, czy nie zawodzi jej poczucie kierunku w tym świecie mchu, gałęzi i kęp wysokiej trawy.

Kobieta-wiatr pozwoliła jej zyskać na czasie. Mogła teraz wykorzystać tę przewagę. Zatrzymała się. Znieruchomiała. Zaczęła nasłuchiwać. Usłyszała własny przyspieszony oddech; bicie serca; odgłos wiatru szumiącego w liściach – równie odwieczny i niezmienny jak szum morskich fal. Położyła dłoń na gładkim szarym pniu młodego buka. Próbując wyczuć pulsujące w nim życie. Nie poczuła nic, ale wyobraziła sobie, że drzewo przyjęło jej próbę z zadowoleniem. Że ciepły dotyk jej ręki w jakiś sposób je ożywił. To była tylko myśl, ale pierwsza pozytywna od dłuższego czasu. Zatem postępek. Zdała sobie sprawę, że otoczenie pomoże jej, jeżeli mu na to pozwoli. Jej prześladowca nie będzie wysłał w ten sposób.

Raz jeszcze, kierując się zapachem spalenizny, wróciła do tego, co pozostało z chaty golema. Szkielet zawalił się już niemal zupełnie, ale kilka poczerniałych żeber wciąż sterczało w niebo. Resztki dywanów i futer tliły się, poskręcane, częściowo zwęglone. Od dymu zaczęło drapać ją w gardle. Żelazny piec leżał przewrócony na bok, osmalony przez żar, brudny od popiołu i sadzy. Kafle częściowo odpadły. Wyglądał żałośnie, jakby się nagle skurczył. Wszystko wydało jej się teraz mniejsze. Patrząc na pogorzeliśko nie mogła uwierzyć, jak ciasna była przestrzeń, która początkowo wydawała jej się tak obszerna. Przypominały jej się działki po domach wyburzonych pod nowe budowy w Mirgorodzie; prostokąty gruntu, niemożliwie ciasne, miniaturowe. Za sprawą ludzkiej obecności suma ich wnętrza przewyższała wymiary zewnętrzne.

Łódź, którą przyплыnęli, wciąż kołysała się zacumowana do pomostu na skraju polany, gdzie Ajno-Suivantamoinen przyprowadził ją, gdy Łom leżał nieprzytomny, a ona siedziała przy nim. Przyszło jej do głowy, żeby odwiązać cumę, wsiąść do łodzi i po prostu odpłynąć. Jednak gdzieś tam, w lesie, był Łom. Być może żywy. Być może muzyk go nie znalazł.

Co zrobi jej prześladowca? Przyjdzie tutaj, oczywiście. Sprawdzić chatę. Sprawdzić łódź. Być może właśnie przygląda jej się z ukrycia. Być może muzyk też tam jest. Nie. To niemożliwe. Nie czekaliby. Zaatakowałiby natychmiast. Czyli jeszcze ich tu nie ma. Ale nadejdą.

Myśl, ponagliła się w duchu.

Otoczenie pomoże ci, jeżeli mu na to pozwolisz.

Zakładała, że gwardzista skieruje się do resztek chaty. Przyjdzie tą samą drogą co ona.

Tak samo sprawdzi pogorzeliśko. Stanie na pomoście, by zjrzeć do łodzi. Prędzej czy później musi to zrobić. Ile czasu jej zostało? Może kilka godzin. Może kilka minut. A może w ogóle.

Przy izbie, nietknięte przez ogień, schludnie poukładane, leżały sprzęty rybackie Ajny-Suvantamoinena. Więcierz na łososie. Specjalne sanie do poruszania się po bagnach. Skórzane buklaki na małże. A oparty o stos drewna na opał stał przyrząd, rodzaj tasaka, składający się z rękojeści grubej jak jej ramię i długiej na wzrost człowieka, na czubku którego przymocowano prostopadłe dość wąską, płaską klinga. Sprawdziła palcem: była ostra jak brzytwa. Widziała kiedyś takie narzędzie w porcie wielorybniczym; służyło do odkrawania kawałków mięsa z zawieszonych na hakach morświnów i małych wielorybów. To jednak było większe, grubsze i cięższe, odpowiednio do siły golema. Niewygodne dla niej. Było jednak pod ręką, a niczego innego nie miała.

Otoczenie pomoże ci, jeżeli mu na to pozwolisz.

Przy pomoście strumień wpadający do starorzecza utworzył niewielką zatoczkę. Grunt tam był płaski, trawiasty i praktycznie pozbawiony drzew aż do izby i krawędzi lasu. Na skraj zatoczki, podmywanym przez strumień, utworzył się wysoki na kilka metrów nawis; poniżej rozciągało się grzęzawisko. Marusia wrzuciła tam na próbę kamień i patrzyła, jak tonie powoli w bagnie.

Rzuciła rybacki tasak w ślad za kamieniem, zaznaczając jego położenie garścią błękitnawej trawy. Potem się rozebrała. Kompletnie. Do tego, co planowała, ubranie było niepotrzebne, a wręcz kępowałoby jej ruchy. Wydłużyło czas reakcji.

Zadrżała. Dotyk lodowatego powietrza sprawił, że dostała gęsiej skórki. Wkrótce będzie jej jeszcze zimniej, o wiele, ale to nic. Wytrzyma. Zwinęła ubranie w kłębek, wrzuciła do łodzi i przykryła brezentem. Potem wróciła na nawis i ostrożnie zsunęła się w bagno tak, by mieć na wpuł zatopiony tasak w zasięgu ręki. Przycisnęła go stopą, aż zniknął zupełnie.

Uklęka na grząskiej powierzchni i jej kolana natychmiast zapadły się w błoto. Było miękkie, lekko szorstkie. Zaczęła dłońmi wygrzebywać wąski rów długości własnego ciała, jednocześnie oblepiając się mułem. Na dnie zaczęła gromadzić się woda. Nie była jednak w stanie wysmarować się cała; nie sięgała własnych pleców. Nie miała chwili do stracenia. Położyła się w płytkim rowie i wierząc się na boki, sprawiła, że chłodny, beżowy szlam oblepił każdą piędź jej jasnej skóry. Potem wtarła go sobie we włosy i wysmarowała twarz. Położyła się płasko, starając się maksymalnie zagłębić, aż muł opatulił ją szczelnie. Poczula, jak pogrąża się powoli w chłodnej miękkości. Wybrała miejsce, skąd widziała oddalony o trzy metry pomost. To musiało wystarczyć. Czekala. Jej prześladowca wreszcie się zjawi.

Czas mijał. Marusia czuła, jak jej ciało stopniowo sztywnieje na zimnie. Czuła ocierający się o nią muł. Chlupiącą pod spodem wodę. Szlam na jej plecach wysychał stopniowo, powodując irytujące swędzenie. Starala się o tym nie myśleć. Nie ruszaj się, powiedziała sobie. Stopniowo otoczenie zasklepiło się nad nią, wchłaniając jej obecność, aż stała się jego częścią. Prawie, jakby jej nie było. Nadleciała czapla i wylądowała nieopodal. Stała nieruchomo, obserwując wodę uważnym spojrzeniem bursztynowych oczu, nieświadoma obecności oddalonej zaledwie o kilka kroków Marusi. Nie mogła pozwolić ptakowi zostać. Jeżeli zauważy ją potem, kiedy nadejdzie czas, zaalarmuje jego.

– Uciekaj stąd! – syknęła. – No już! Zmiataj!

Czapla nie reagowała. Marusia postanowiła zaryzykować. Wystawiła palce dłoni ponad



wodę. Ptak natychmiast obrócił głowę w jej stronę, w nadziei schwytania nornicy lub żaby. Ich spojrzenia zetknęły się. Przez chwilę patrzyły na siebie. Potem czapla rozpostarła skrzydła i odleciała niespiesznie ku bardziej prywatnemu miejscu.

Jakiś czas później – nie miała pojęcia, ile to trwało – nadpłynęła wydra, niemalże ocierając się o jej twarz, zupełnie nieświadoma jej obecności.

A potem pojawił się on.

Usłyszała go dopiero, gdy był już bardzo blisko. Dobry jest, pomyślała. Nie pozostawił nic przypadkowi. Usłyszała odgłos jego kroków, gdy był trzy metry od niej. Stał dokładnie tam, gdzie się spodziewała. Zgodnie z jej oczekiwaniami sprawdzał łódź. Broń trzymał luźno pod pachą. I stał tyłem do niej.

Otoczenie pomoże ci, jeżeli mu na to pozwolisz.

Chwyliła ciężkie drzewce wielorybniczego tasaka spoczywającego obok niej w mule. Nadszedł czas.

Była przekonana, że szum rzeki zagłuszy odgłos jej dźwignania się z błota – w końcu sama była teraz błotną istotą – i odgłos jej bosych stóp na trawie, ale jakiś szósty zmysł musiał go zaalarmować. Był do niej na w pół odwrócony i chwycił za broń, gdy zamachnęła się, celując płaską krawędzią tasaka w skroń. Trafiła go w policzek. Siła uderzenia sprawiła, że zatoczył się gwałtownie, ślizgając się na wilgotnym pomoście, i nogi ugięły się pod nim. Upadł ciężko, puszczając broń, i leżał na plecach, wpatrując się w nią z niejakim zdziwieniem.

Zastanawiała się później, czy to jej zaskakujący wygląd – nagiej, ubłoconej, z twarzą wykrzywioną wysiłkiem i nienawiścią – spowolnił jego reakcję w równym stopniu co cios i spowodowany nim niezgrabny upadek. Jakkolwiek było, jej prześladowca spóźnił się o ułamki sekund, a ona przeciwiczyła tę scenę w myślach tysiące razy, przewidując każdy wariant, każdy możliwy scenariusz. Teraz, nie namyślając się wiele, odwróciła ostrze, przytknęła do jego szyi między grdyką i podbródkiem, i z całej siły nacisnęła, jakby wbijała łopatę w ziemię. Zagłębiło się z cichym chrzęstem. Poczowała, jak rozcina ciało i opiera się o kręgi szyjne. Gwardzista chciał krzyknąć, ale z jego gardła wydobyło się tylko gulgoczące rżenie. Wycofała ostrze o centymetr lub dwa i nacisnęła ponownie. Drzewce było teraz ustawione pod kątem i zadziałał efekt dźwigni. Poczowała, jak ostrze wchodzi między dwa kręgi szyjne. Ależ było ostre. Nacisnęła ponownie. Głowa odłączyła się od tułowia i potoczyła po deskach pomostu, zostawiając nieruchomy kadłub z ziejącą na czerwono dziurą, w której połyskiwały białe kości, i szybko powiększającą się kałużę krwi.

Łom maszerował szybkim krokiem w głąb tunelu. Panowała tu kompletna ciemność, ale nie potrzebował światła: strach zniknął, a on był silniejszy. Wracał do miejsca, w którym zeszedł do tuneli, pod chatą golema. Znał drogę. Wiedział, jak ominąć zawał spowodowany eksplozjami granatów Szafrana. Tunele nie były wcale ciasne i ciemne: były jasne, obszerne, pachnące, świetliste, piękne. Poznawał drogę po zapachu ziemi, szmerze osypującego się piasku, po ruchu powietrza głaszczącego wilgotne kamienie. Czuł to wszystko: rośnięcie korzeni drzew w ziemi i szum ich koron na wietrze, tak jak czuł mankiet koszuli ocierający mu się o nadgarstek, skarpetkę rolującą mu się w bucie, zadrapania na brzuchu. Były też inne rzeczy, których nie potrafił jeszcze umiejscowić, ale odczuwał ich obecność: były jak ulotne cienie, intuicje, aluzje. Był światem w ruchu – nieograniczonym, świadomym, oddychającym światem. Anielska pieczęć tkwiąca w jego czole zniknęła. Wody rzeki i morza obmyły go i był czysty.

Wiedział, że ten stan się kiedyś skończy. Tak powiedział golem Ajno-Suvantamoinen. Uczucie zaniknie, ale nie całkiem, a potem powróci.

Idąc bez potknięcia ciemnym tunelem, Łom próbował sondować umysłem, co dzieje się na górze. Nie wiedział jeszcze, do czego jest zdolny. Gdzie leży granica. Sięgał coraz dalej i dalej.

Wyczuł Szafrana. Ten był niedaleko. Stąpał ostrożnie, lecz pewnie, niemal bezpośrednio nad nim.

Wyczuł muzyka, który przeciskał się przez zarośla. Polował, lecz stracił trop. Był zdeorientowany.

Próbował znaleźć Marusię, lecz nie potrafił. Czuł jej obecność, była jednak... wycofana. Prawie nie oddychała. Czekała. Ukrywała się. Ale nie przed nim.

A potem poczuł śmierć Szafrana...

Musi wyjść z tunelu. Jak najprędzej. Musi dostać się do Marusi.

Był teraz dokładnie pod chatą golema, ale kiedy próbował unieść drewnianą kłapę, ta ani drgnęła. Była za wysoko: dosięgał jej palcami, ale nie był w stanie naprzec z całej siły. Wyglądało na to, że coś ją zablokowało: być może przewrócony kuchenny piec.

Musiał się jednak jakoś wydostać. Nie mógł tkwić tu w nieskończoność.

Był jeszcze inny sposób. Jeżeli zadziała.

Łom wyczerpał wszystkie siły. Oddychając powoli, skupiając całą uwagę na tym, co robi, przyciągnął ku sobie miękkimi gestami wypełniające tunel powietrze, lepiąc je w gęstą, ciężką kulę. Odczekał chwilę, balansując ciałem. Ziemia w górze była chłodna i czarna, wypełniona korzeniami i życiem. Była innym rodzajem powietrza. Gęstszym, ciemniejszym, bogatszym, ale wciąż tylko powietrzem. Łom ruszył w górę.

## 78

Marusia siedziała na skraju pomostu i rozważała sytuację. Właśnie zabiła człowieka. Zastanowiła się nad tym. Po tym, jak zastrzeliła gwardzistę pod fabryką, chociaż nie chciała go zabić i nie sądziła, że to zrobiła, miała wyrzuty sumienia i czuła obrzydzenie do samej siebie. Tym razem nic takiego nie nastąpiło. Odczuwała wyłącznie czystą przyjemność. Rozsadzało ją zadowolenie. Chciała to zrobić i zrobiła. I dobrze.

Ześlizgnęła się z pomostu do głębokiej, lodowatej wody. Siegnęła jej piersi, a szok termiczny sprawił, że aż się zachłysnęła. Żałowała, że nie umie pływać, ale jakoś się nigdy nie nauczyła. Przeszła na środek strumienia, czując pod stopami muł, kamienie i płataninę wodorostów. Nurt był silny. Zanurkowała pod wodę z otwartymi oczami, pozwalając, by spłukała błoto z jej włosów. By ją oczyścić – ze szlamu, strachu i krwi, którą była ochlapana. Podała się prądowi, który ją niósł, obracając powoli, aż dotarła do miejsca, gdzie drogę zagradzało przewrócone drzewo. Tam wyszła na brzeg.

Wróciwszy na pomost, kopnęła odciętą głowę na bok, obserwując, jak wpada do wody z głośnym pluskiem i znika. Potem ubrała się i przygotowała łódź do odpłynięcia: umieściła wiosła w dulkach i sprawdziła, czy cumy da się odwiązać jednym szarpnięciem. Postanowiła, że da Łomowi czas do wieczora na znalezienie jej, a jeżeli do tego czasu się nie zjawi, wyruszy sama. Napiła się nieco wody, żałując, że nie ma nic do jedzenia. Zupełnie niespodziewanie, po raz pierwszy od długiego czasu, nabrała wilczego apetytu. To był jednak problem do rozwiązania nazajutrz. Na razie nie miała do roboty nic więcej poza czekaniem.

Próbowała obserwować skraj lasu, by w razie czego zauważyć nadchodzącego Łoma. Albo muzyka. Ale jej spojrzenie uparcie powracało do tłących się zgłiszcz. Symbolu jej smutku i żalu. Zabicie gwardzisty nic na to nie pomogło. Nic a nic. Na tle szarego nieba pojawiły się pierwsze płatki śniegu.

A potem nagle zgłiszcz eksplodowały. Jakby trafił w nie pocisk armatni albo wybuchła mina. Kolumna ziemi, kamieni i popiołu wysoka na jakieś pięć metrów uniosła się w powietrze, a potem opadła, wzbijając chmurę pyłu. Marusia widziała, jak żelazny piec golema podskakuje i rozpada się na części. Owionęło ją wilgotne powietrze pachnące wnętrzem ziemi.

Gdy pył opadł, ujrzała ludzką postać wydobywającą się na powierzchnię, z twarzą usmarowaną ziemią i krwią. Z jej ramion zwiślał ciężki płaszcz. Postać stała przez chwilę nieruchomo, jakby oszołomiona, rozglądając się powoli, a potem ruszyła w jej stronę.

– Wissarionie? – zawołała Marusia. – Wissarionie Hipolitowiczu? Czy to ty?

Postać zatrzymała się, by otrzeć dłonią twarz. To był Łom. Wyglądał na zdezorientowanego, oszołomionego. Z rany na czole sączyła się krew, zalewając mu oczy i

usta. Wciąż ocierał sobie twarz roztargnionym gestem.

– Marusiu? – odezwał się wreszcie. – Mam piasek w oczach. Nie widzę zbyt dokładnie.

– Co się stało? Czy to był granat?

Łom ponownie otarł twarz i przyjrzał się Marusi, mrugając powiekami.

– Granat? – powtórzył. – Nie, to byłem ja. – Urwał. Spostrzegła, że Łom uśmiecha się, szczerząc zęby jak dzieciak. – Ale wesoło – powiedział. Potem nogi ugięły się pod nim i usiadł ciężko obok niej, dotykając dłonią czoła. – Ach – powiedział, przyglądając jej się. – Boli mnie głowa. Nie masz przypadkiem odrobiny wody pitnej?

– Wissarionie Hipolitowiczu? – powiedziała Marusia. – Gdzie jest muzyk?

Artiom Szafran zastanawiał się, gdzie jest. Był z pewnością martwy. Ale... nie do końca. Gdy to okropne ostrze zaczęło kroić mu szyję i zdał sobie sprawę, że rozstaje się z życiem, chwycił się ostatniej deski ratunku. Nawiązał mentalny kontakt z muzykiem i złączył się z nim, całkowicie, bez reszty. Było to łatwe i natychmiastowe, jak skok z okna płonącego budynku. Muzyk od lat po cichu próbował opanować jego umysł, a proces ten przybrał na sile, gdy znaleźli się na bagnach. Nieraz w ciągu ostatnich kilku dni Szafran czuł, jak granica między nimi zaciera się, i musiał przeciwstawić się temu wyraźnym wysiłkiem woli. Teraz przestał się opierać i rzucił się ku otwartym wrotom, przekraczając próg. Muzyk zareagował natychmiast, wciągając go do środka. Łapczywie. Jakby mógł wreszcie zaspokoić dręczący go głód. W ostatnim momencie przed połączeniem Szafran poczuł jego obrzydliwe, nieludzkie zadowolenie, oblepiające go niczym wata.

Co ja zrobiłem?

To była jego ostatnia czysto ludzka myśl.

Nie był sam. Mieszkający w muzyku pies zaatakował go wściekle, ujadając, tocząc pianę z pyska, zanim Szafran zdążył odzyskać równowagę. Pies-w-muzyku nie zamierzał tolerować rywala. Chodziło o terytorium. Intruz musiał umrzeć.

Szafran próbował się jakoś obronić, ale nie wiedział jak. Zwinął się w kłębek, odwracając się plecami do kłapiącej szczęki psa-w-muzyku, starając się chronić najczulsze miejsca. Było to jednak na nic. Pies-w-muzyku dopadł go i zaczął szarpać i gryźć, warcząc i szczekając. Nagle powiększył się do gigantycznych rozmiarów i zaczął pod nim kopać. Jeszcze chwila i umrę ponownie, pomyślał Szafran.

Jednak anielski kamień w muzyku wiedział, czego chce, i nie była to już psia świadomość. W ułamku sekundy przestrzeń w muzyku, którą zajmował pies, przestała istnieć. Zasklepiła się i pies-w-muzyku zniknął niczym zdmuchnięty płomień świecy, pozostawiając po sobie jedynie ledwo wyczuwalny zapaszek psiej świadomości.

To, co kiedyś było Szafranem, leżało nieruchomo, skurczone, drżące, obolałe. Próbując się oddzielić. Próbując – zbyt późno! – wycofać się z umowy. Anielska świadomość opatuliła go ciasno, a potem wtargnęła do środka.

Szafran-w-muzyku był rozbity i przerażony. Znajdował się w zimnym czerwono-szarym świetle. Pozbawiony oczu, pozbawiony uszu, oszołomiony i przytłoczony przez anielsko-obce zmysły muzyka, nie miał pojęcia, gdzie jest. Ani kim – lub czym – jest. Lecz nawet wtedy, w momencie swego najgłębszego upadku, zaczął wyczuwać coś jeszcze. Nowy rodzaj triumfu. Zamajaczyły przed nim pierwsze przebliski ogromnej mocy. Czuł to anielski kamień, ale czuł to i on. Będzie nowym bytem we wszechświecie. Pierwszym. Najświetniejszym. Nieśmiertelnym. Szafran-w-muzyku był silny.

Tytułem eksperymentu zamachnął się ramieniem. Trafił w drzewo, które złamało się i przechyliło niebezpiecznie w jego stronę. Odtrącił je swobodnym ruchem. Sowa uszatka, wyrzucona z dziupli, trzepotała skrzydłami w powietrzu. Szafran-w-muzyku chwycił ją w locie i roztrzaskał o własną kamienną pierś. Poczul, jak ptak umiera. Ach, jak dobrze. Ach, jak

ciekawie. Miał tyle rzeczy do zrobienia. Tyle słodkiej wolności do zasmakowania.

Najpierw jednak rzecz najśłodsza: zemsta.

Szafran-w-muzyku zaczął eksplorować swą nową jaźń. Działy tu zmysły anioła i krążyły anielskie myśli i wspomnienia, o których pies-w-muzyku nie mógł nic wiedzieć. Bezmiar przestrzeni międzygwiazdnej. Istnienie poza czasem. Pamiętał. Był stamtąd. A teraz tam wracał.

Gdzieś w rdzawo-krwawych zaułkach swego nowego umysłu wyczuł połączenie z Łomem. Słabe, ale zawsze. Ruszył w tamtą stronę, ale był wciąż zbyt oszołomiony, by utrzymać trop. Nie potrafił zorientować się wystarczająco wyraźnie, gdzie znajduje się Łom. Jeszcze nie. Ale wkrótce. Z czasem wyostrzą mu się zmysły. Tymczasem doskonale wiedział, gdzie znajduje się ona. Marusia Szaumian. Zabójczyni Szafrana. Stworzycielka Szafrana-w-muzyku. Ją zabije najpierw. Skierował się ku polanie. Zapowiadał się piękny pierwszy dzień.

Wezbrany nurt parł naprzód, gęsty, brązowy, ciężki. Niósł ze sobą siba, a rzeka stopniowo stawała się coraz szersza. Łom, ściskając pistolet maszynowy Szafrana, wpatrywał się jak zahipnotyzowany w powierzchnię wody, miejscami spienioną, upstrzoną martwymi liśćmi, kępami zwiędłej trawy i połamanymi gałęziami. Czuł się wyczerpany. Bolała go głowa. Częściowo zasklepiona rana na czole otworzyła się i chociaż utworzył się strup, pulsowała nieprzyjemnie i ciekała z niej limfa. Bolało go całe ciało. Wybicie się z tunelu na powierzchnię kosztowało go wiele energii i świat wydawał mu się teraz pomniejszony, odległy, oddzielny. Był ciekaw, czy kiedykolwiek jeszcze będzie miał w sobie taką moc.

Marusia obsługiwała wiosła. Nie musiała robić wiele poza delikatnym korygowaniem kursu, unikaniem większych przeszkód i trzymaniem się z dala od wirów i cofek.

– Woda się podnosi – powiedział Łom. – W górach musiało padać.

Marusia potrząsnęła głową.

– To z braku golema – powiedziała. – Bez niego śluzy nie działają i woda wariuje. Całe bagna będą zalane. Wkrótce nie zostanie nic poza miastem i morzem.

Ciemny, pokryty mchem kawał drewna przytulił się do dziobu i płynął razem z nimi. Łom przyjrzał mu się. Był to na poły zgniły pniak z korzeniami, pełen rakowatych narośli i otworów przesłoniętych siateczką pajęczej nici. Łom poprawił broń, której lufa uciskała mu nogę. Po śmierci Ajna-Suvantamoinea i wszystkich pozostałych osób czuł się odrętwiały i ogłupiały. Łódź wiozła ich w przyszłość mroczniejszą i bardziej pustą.

Marusia pociągnęła mocniej za wiosła, skręcając, by ominąć jakąś przeszkodę. Wiosłowała w milczeniu, patrząc w przestrzeń. Łom obserwował jej ręce. Duże, silne, sprawne. Podwinęła sobie rękawy. Dłonie były zaczerwienione z wysiłku, lecz przedramiona jaśniejsze, o gładziej skórze. Widział napinające się mięśnie i ścięgna. Czarne włosy miała wilgotne od przyskającej wody; ciemne loki przyklejające się do twarzy i szyi.

– To nie twoja wina – powiedział Łom.

– Co?

– Śmierć golema. To Szafran go zabił. Nie ty.

– Próbował nam pomóc – powiedziała Marusia.

– Z jakiegoś powodu uznawał to za ważne. Tak jak Raku.

– To prawda.

– Czyli to jest ważne. Ważniejsze niż kiedykolwiek.

Marusia milczała przez długą chwilę. Wiosłowała tylko. Potem spojrzała na Łoma.

– Znajdę Pollandora i otworzę go jakoś.

– Wiem.

– Anioł niszczy świat. Pollandor, jak sądzę, jest w stanie go powstrzymać. To właśnie próbowała mi uświadomić pałuba. Jeżeli szansa istnieje, spróbuję ją wykorzystać. To coś, co

warto zrobić. Bez względu na koszt.

– Tak – zgodził się Łom po raz trzeci.

– Ale czego ty chcesz, Wissarionie Hipolitowiczu?

Łom zauważył, jak jest szczupła, chociaż jej ramiona były silne. Skóra na jej dłoniach była czerwona i szorstka. Wyglądała na zziębniętą. Obserwował grę cieni na jej szyi. Trzymała się, ale widać było, że z trudem. Miała w sobie jakieś napięcie, wewnętrzne nastroszenie. Była żywa, prawdziwa i piękna.

– Chcę pojechać z tobą. Pomóc ci.

– Ale dlaczego?

Bo chcę, pomyślał. Bo chodzi o ciebie. Ale nie powiedział tego na głos.

– Pewnego dnia w mieście – rzekł – widziałem coś dziwnego. Podobnego do tego, co fotografował Wiśnik, ale jednak innego. Gigantyczny budynek o tysiącu okien. Setki pięter, wysoki na ponad pięćset metrów. Nierealny, ale widoczny. Wiesz, jak to jest.

– Tak.

– Na szczycie tkwił ogromny posąg Józefa Kantora. Stał tam i spoglądał na Mirgorod. Na placu był tłum ludzi, ale nikt nie podniósł na niego wzroku. Bali się wszyscy: samych siebie i całej reszty. Nie byli w stanie mówić głośno, tylko szeptać. Widziałaś kiedyś coś takiego?

– Nie – odparła Marusia.

– Obawiam się, że to był przebłysk przyszłości – rzekł Łom. – Która nastąpi, jeżeli ty nie znajdziesz tego, czego szukasz.

– Ty wiesz... – powiedziała Marusia. – Wiesz, że tak naprawdę nie mam pojęcia... że nie wiem, co robię. Mam to coś... to rodzaj klucza, zapewne, ale... nie chciałam, żebyś myślał, że wiem, jak to zrobić, bo tak nie jest.

– Wiem – rzekł Łom. – To oczywiście. Wymyślmy coś.

Marusia zamilkła i zajęła się wiosłowaniem. Łom otarł czoło.

– Wissarionie Hipolitowiczu?

– Tak?

– To coś w twoim czole.

– Już tego tam nie ma.

– Ale co to było? Skąd się tam wzięło?

– Wszyli mi to w dzieciństwie. Nie wiem dokładnie, ile miałem lat. Osiem, może dziewięć. Byłem dzieckiem.

– Ale dlaczego? Kto to zrobił? I co to oznacza? Ten gwardzista, którego zabiłam...

– Szafran. Miał na nazwisko Szafran.

– On też coś takiego miał.

– Wiem. Dzieci Sawinkowa. Tak na nas mówią. Jest nas niewielu. Elitarne grono. Nie słyszałaś o Sawinkowie? Anastazym Sawinkowie?

– Nie.

– A powinnaś. Wszyscy powinni o nim usłyszeć.



– Sawinkow był dyrektorem Instytutu Prawdy w Podczornoku. Przebywałem tam w tym samym czasie co Wiśnik. Byliśmy kolegami.

– Ale on nie miał nic takiego na czole.

– Nie. Tak jak powiedziałem, było nas niewielu. Przed nominacją na dyrektora Instytutu Sawinkow był naukowcem. Badał wpływ anielskiego ciała na ludzki umysł. Co się dzieje, kiedy zetknie się bezpośrednio z mózgiem.

– Wsadzali to ludziom do głowy?

– I odwrotnie.

– Nie chcesz chyba powiedzieć...?

– Ależ tak. Muzykom rutynowo wszczepia się mózg zwierzęcy; oczywiście próbowali tego samego z ludzkim.

– To chore – powiedziała Marusia. – Obrzydliwe.

– Efekty nie były najlepsze. Na szczęście. Muzyki wariowały. Nie dało się ich kontrolować. Istnieją jednak metody mniej dramatyczne niż pełna transplantacja, które w pewnych przypadkach odnoszą skutek. Anielskie ciało nie jest do końca martwe. W pewnym sensie jest żywe. Sprawia, że zaczynasz wyczuwać świadomość muzyków i innych istot. Ludzi, którym zrobiono to samo. A także wzmacnia lojalność. Gotowość do wyrzeczeń. Do poświęceń w imię ogółu. W ten sposób wiążą cię z systemem.

– Ale... przecież powiedziałeś, że wszczepiono ci to, kiedy byłeś jeszcze dzieckiem.

– To był specjalny program badawczy Sawinkowa. Jego konik. Czy dzieci są bardziej, czy mniej podatne? Czy efekty rosną, czy maleją z czasem? Czy efekty są mierzalne i przewidywalne? Sawinkow eksperymentował: trepanował, a następnie zatykał dziurę w czaszce anielskim ciałem. Technikę sam wymyślił. Całkiem często coś szło nie tak: zakażenia, epilepsje, amnezje. Niektórzy umierali w wyniku zabiegu. Wielu cofało się w... cóż, Sawinkow używał ich do pracy. W ogrodzie. W stajniach.

– Ale... rodzice? Dlaczego nie protestowali?

– Nie mieliśmy rodziców. Nikt z nas. Sawinkow specjalnie przyjmował do instytutu sieroty i dzieci ulicy, by przeprowadzać na nich eksperymenty. Nie wiem, kim byli moi rodzice. Tak naprawdę niewiele pamiętam z czasów sprzed instytutu. Wydaje mi się, że pochodzę z lasu, ale odkryłem to dopiero kilka dni temu. – Opowiedział jej o liście, który znalazł w swojej teczce osobowej. – Patrole Właści zapuszczały się w las. Próbowali przejąć nad nim kontrolę. Czyścili. Wciąż to robią.

– Och... – Marusia spoglądała na niego wielkimi oczami. – Och, Wissarionie Hipolitowiczu...

Łom wzruszył ramionami.

– Sawinkow nie widział w tym nic złego. Leśne dzieci nie są uznawane za pełnoprawnych obywateli, a nie myli się tylko ten, kto nic nie robi. Poza tym miał pewne sukcesy. Odkrył, że gdy się je odpowiednio wykszoliło, niektóre z leśnych dzieci wykazywały duży talent do pracy z anielskim kamieniem. Stawały się świetnymi operatorami muzyków i specjalistami od Robaka. Oddanymi sługami Właści. Gwardzista, którego zabiłaś, Szafran, był jednym z nich.

– Ale nie ty.

– Nie. Ja byłem jednym z rozczarowań Sawinkowa w tym względzie. Zostałem tylko

zwyczajnym gliną.

Oparł się wygodniej o burtę. Sięgnąwszy do kieszeni, natknął się na poplamioną krwią sakiewkę, a w niej zlepioną woskiem ażurową kulkę z liści, gałązek i ususzonych jagód, którą wyjął z martwej dłoni Fejgi-Ity Szaumian. Przetrwawa wszystko, co się od tamtego czasu zdarzyło. Poczł mrowienie w palcach. Zapach lasu. Wyjął kulkę i przyjrzał jej się.

– Marusiu – wyciągnął rękę – to powinno należeć do ciebie. Przepraszam... znalazłem to przy twojej matce...

– Zatrzymaj to – odparła. – Ja mam swoje. To jest twoje.

– Ale...

– Nie. – Zamknęła palce wokół jego dłoni. – Zatrzymaj.

Brzegi stawały się coraz bardziej strome. Rzeka zwężała się. Szum skłębionej wody. Łódź skręcała i szarpała się na boki, targana prądem.

– Trzymaj się! – krzyknął Łom.

Marusia nieomal wypuściła wiosła z ręki, gdy sibi zanurkował nagle dziobem i po pokonaniu niskiego jazu wypłynął na szerokie wody. Mirgorodzki kanał rzeczny. Łódź uspokoiła się, niesiona leniwym prądem.

Po bezkresie mglistych bagien było to miejsce przytłaczające, ponure: kanał szeroki na tyle, że mogły się tu swobodnie mijać oceaniczne statki i wielkie barki, płynący prosto jak pod sznurek pomiędzy wysokimi obwałowaniami z kamiennych bloków i betonu. Szary i monotony. Nie było tu nic naturalnego, choćby mewy na niebie. Drzewa były poza zasięgiem wzroku, zastąpione przez wały i nabrzeża wzniesione przez armie golemów i niewolników. Zbudowane przez Założyciela na ich trupach. Woda była głęboka; Łom czuł, jak kłębi się pod nimi, mroczna i lodowata. Od morza, spowalniając ich prędkość, wiał przenikliwy wiatr, niosący ze sobą zapach soli i lodu i kłujące drobiny marznącego śniegu z deszczem. Gdy opuszczali miasto, była jesień; teraz zaczynała się już chyba zima.

– Stąd to już prosta droga – powiedział. – Trafiamy do morskiej śluz. Tam możemy zostawić łódź i brzegiem dojść do pętli tramwajowej. Pozwól, że na razie przejmę wiosła.

Ale Marusia nie słuchała go. Wpatrywała się w coś na nabrzeżu. Spojrzał w tamtą stronę. Na szczycie wału stał muzyk: rdzawa plama odcinająca się na tle szarego nieba. Szarego śniegu. Szarego kamienia. Obserwował ich. Marusia napała na wiosła, a muzyk ruszył w ślad za nimi, utrzymując równy dystans. Łom rozejrzał się w poszukiwaniu możliwości ucieczki. Po obu stronach wznosiły się niemal pionowe kamienne nabrzeża. Żadnych kei. Żadnych schodów. Żadnego wyjścia. Muzyk musiał tylko podążać za nimi, nic więcej.

– Może uda nam się zacumować na drugim brzegu i tam wysiąść – powiedział. – On nie przeprawi się przez kanał przed śluzą. Do tego czasu będziemy daleko.

W tym momencie poczuł dotknięcie świadomości muzyka. Było silniejsze niż wcześniej, o wiele silniejsze i inne. Była w nim inteligencja, poprzednio nieobecna, o szokującym, niemalże ludzkim odcieniu. Prawie jak głos. Nie tyle przemawiający słowami, co będący demonstracją istnienia i mocy. Głos, który rozpoznał. Głos Szafrana. Tyle że to nie był do końca Szafran, lecz coś więcej. I zarazem mniej. Łom poczuł, że dotyka go coś... odrażającego. Potężnego, lecz nieludzkiego, nikczemnego, wstrętnego... błędnego. Umysł, który cuchnął.

Łom postawił mentalną zaporę. Wysiłek sprawił, że rozboleła go głowa. Poczul nieprzyjemne pulsowanie w ranie na czole. Wydostanie się z tunelu na powierzchnię kosztowało go wiele sił. Więcej, niż sądził. Zbyt wiele. Ale nie wszystkie. To było coś.

– Musimy zniszczyć to coś – powiedział. – W ten czy inny sposób. Musimy to zlikwidować. Tutaj.

Szafran-w-muzyku przyglądał się żalostnej łupince kołyszącej się na wodzie niczym dziecięca zabawka. Dwa kruche życia, które niosła, migotały jak płomyk zapalki. Pokazał im się specjalnie, by poczuć ich strach. Ich śmierć będzie... smakowita. Zwłaszcza jej. Tej, która obcięła mu głowę, kiedy część jego świadomości mieszkała jeszcze w człowieku.

Ta część pragnęła wrócić do człowieka. Nie była szczęśliwa. Przyzwyczai się jednak albo on znajdzie sposób, by ją uciszyć. Anielski kamień budził się. Zaczynał pamiętać. Zaczynał myśleć. Teraz, gdy przekonał się, że jest w stanie wypełniać ludzkie umysły, pochłaniać je, chciał powtórzyć to doświadczenie. Pierwszy umysł, który pochłonął, sam ku niemu przyszedł. Wepchnął się wręcz na siłę. Co prawda teraz tego żałował. Wolałby umrzeć. Ale za późno! Za późno, natarczywy towarzyszu! Teraz byli na siebie skazani. Jednak chęć nie była konieczna. Mógł wybierać spośród wielu umysłów. Przejmować je. Kolekcjonować. Mając taki pokarm, czegoż nie będzie w stanie dokonać? Pamiętał międzygwiazdne podróże. Dlaczego nie miałyby znowu się tam znaleźć? Ale teraz lepszy. Silniejszy. Groźniejszy.

Najpierw tych dwoje w łódce. Czas wyrównać rachunki.

Łom napał mocniej na wiosła, rozglądając się za miejscem na przeciwległym brzegu, gdzie mogliby przybić. Niestety, w zasięgu wzroku nie było żadnego. Głowa bolała go coraz bardziej: przed oczami latały mu kolorowe płatki i chwilami czuł się, jakby miał zemdleć. Nie mógł podtrzymać mentalnej blokady w nieskończoność. Nie miał na to siły.

Marusia przejrzała rzeczy Szafrana. Był tam jego pistolet, bezużyteczny przeciwko muzykowi, lecz mimo to nie do pogardzenia.

– Proszę – powiedziała. – Weź to. I tak nie umiem się tym posługiwać.

Łom schował pistolet do kieszeni.

Mieli też ekster-wulicza, pistolet maszynowy, z którego Szafran zastrzelił gołęma, z jednym magazynkiem do połowy pełnym i dwoma zapasowymi, ale nie było to coś, czym choćby na chwilę przejąłby się czterometrowy myślący blok anielskiego ciała. Marusia odłożyła broń na bok z wyrazem niesmaku na twarzy.

– Nie moglibyśmy się po prostu zatrzymać? – zapytała.

– Co masz na myśli?

– Moglibyśmy poczekać. Wiem, że nie damy rady cofnąć się w górę rzeki, ale moglibyśmy spróbować utrzymać pozycję tutaj. Albo poszukać sposobu przycumowania do drugiego brzegu. Prędzej czy później zjawi się jakiś statek.

Łom zastanowił się.

– Być może – powiedział. – Jeżeli rzeczywiście się zjawi. Jak dotąd żadnego nie widzieliśmy. Być może opuściły port na zimę? Wydaje mi się, że już po sezonie.

– Coś musi przyplłynąć, w jedną lub drugą stronę.

Łom odwrócił łódź i zaczął wiosłować pod prąd.

Muzyk w lot pojął, co się dzieje. Przestał biec naprzód i stanął w miejscu, przebijając nogami. Potem pochylił się i zaczął walić pięściami w ziemię. Łom myślał, że to bezsilna wściekłość, ale muzyk wyprostował się i cisnął w nich potężnym skalnym odłamkiem.

Pierwszy rzut chybił. Głaz wielkości męskiej piersi wpadł do wody wzbijając gejzer piany. Niecelnie, ale na tyle blisko, że woda ich ochlapała. Rozeszły się wodne kręgi, które zakowały się sibem. Następny rzut był celniejszy. Muzyk wstrzeliwał się stopniowo.

– Cholera – powiedział Łom i ponownie obrócił łódź.

Gdy tylko ruszyli z prądem, muzyk zaprzestał bombardowania i podjął marsz wzdłuż obwałowania.

– Zagania nas – rzekł Łom. – Mógłby nas utopić w dowolnym momencie, ale chce to załatwić z bliska.

Nie pozwolę ci jej tknąć, pomyślał Łom. Chociaż był słaby, próbował przeciwstawić się mentalnemu naporowi muzyka. Pokonam cię, myślał.

Morską służę usłyszeli, zanim udało im się ją zobaczyć. Zapadał zmierzch, przynosząc znad morza kolejne fale marznącego deszczu. Mewy ciągnęły na noc w głąb łądu. Kanał omijał łukiem niewielkie wzgórze i zwał się, kierując wezbrane wody Miru wybetonowanym wąskim gardłem, a w przodzie wznosiła się masywna śluza. Po lewej widać było grodzie, szerokie na trzy statki, a po prawej spienioną kaskadę huczącej wody. Była to świeżo zainstalowana turbina, zamieniająca energię rzeki w prąd dla miasta.

Grodzie były zamknięte. Pomiedzy służą i turbiną majaczyła budka śluzowego, ale nieoświetlona. Oczywiście, że nie. Zapadał zmrok. Śluza będzie nieczynna co najmniej do rana, a zapewne aż do wiosny. Byli sami, nie licząc muzyka stojącego obok przysadzistej wieżyczki na szczycie służy, niekryjącego się, czekającego na nich.

Nurt przybierał na sile. Łom próbował hamować wiosłami. Nie było żadnej drogi ucieczki. Prąd roztrzaska ich o grodzie albo wepchnie w gardziel turbiny.

– Drabinka! – krzyknęła Marusia. – Tam!

W gęstniejącym mroku Łom dostrzegł stalową drabinkę na prawo od turbiny, z dala od muzyka, zaprojektowaną po to, by dawać dostęp do służy z poziomu wody. Musiał jedynie podплыnąć tam, nie dając się wciągnąć wzburzonej gardzieli.

Nie wiedział, co znajduje się za chmurą wodnego pyłu. Mogła tam być krata mająca za zadanie zatrzymywać śmiecie niesione przez rzekę. Być może po to była tam drabinka. By oczyścić kratę. Ale nawet jeżeli rzeczywiście tak, to łódź bez wątplenia roztrzaska się o kratę. Cały nurt rzeki przeciskał się tędy; napór wody musiał być ogromny: nikt, kto wpadnie w ryczącą czelusć, nie przeżyje.

Pozwolił, by prąd nioś ich naprzód, sterując jednocześnie wiosłami tak, by łódź płynęła ukośnie, celując w miejsce nieco powyżej drabinki. Bolały go ramiona. Serce waliło mu jak młotem. Drugiej szansy nie będzie. Muzyk atakował go mentalnie, nie cały czas, lecz nieregularnymi seriami, próbując wyprowadzić z równowagi.

Łódź przybiła do muru, obracając się i zaczepiając dziobem o wystający kamień.

Płynęła teraz tyłem, rufą do przodu, oddalając się od kamiennej ściany i zbliżając do ryczącej kipieli. Łom naparł z całej siły na lewe wiosło, zanurzając je niemal pionowo w wodzie, i ponownie obrócił łódź. Przybili do podstawy drabinki; Marusia chwyciła żelazny reling. Łódź wciąż się poruszała. Łom spał się i skoczył. Od impetu uderzenia rozboleła go ręka, ale udało mu się chwycić drabinki. Pistolet maszynowy Szafrana przytoczył sobie do pleców, a sepórę miał w kieszeni; ich połączona masa ciążyła mu. Uwolniony sib odплыwał powoli i zniknął w spienionej czelusci. Szukając podparcia dla nóg, Łom uderzył się boleśnie o ostry metalowy występ. Potem zaczęli się wspinać.

Byli w potrzasku. Znajdowali się na stalowej platformie ponad turbinami. Wąska galeryjka prowadziła ponad rozszalałą wodą i powoli obracającymi się turbinami ku budce śluzowego, a dalej była już sama śluza i muzyk. Nie było innego wyjścia.

Łom spojrział w dół, przysłała mu bowiem do głowy szalona myśl, by wskoczyć do wody i spróbować dopłynąć do plaży. Jeżeli w pobliżu była jakaś plaża. Jednak po drugiej stronie służy nie było otwartego morza, a jedynie wielki kamienny zbiornik, do którego wpływała woda z turbin. Była to głęboka, kipiąca czelusć, w każdej sekundzie przyjmująca setki tysięcy litrów wody. Człowiek nie tyle utopiłby się tam, co zostałby zamieniony w krwawą miazgę,

zanim jeszcze zabrakłoby mu powietrza w płucach.

Na drugim końcu galerijki majaczyły drzwi do budki słuzowego. Nagle rozwarły się z traskiem i stanął w nich muzyk. Twarz miał pozbawioną rysów. Bezoki, bezusty kawał czerwonego kamiennego mięsa. Ale obserwował ich.

Łom podniósł ekstera i władował muzykowi serię prosto w brzuch. Terkot strzałów odbił się echem od kamiennych ścian, ogłuszający nawet pomimo ryku wody, lecz pociski zdawały się nie wyrządzić żadnej krzywdy muzykowi. Łom nie spodziewał się, że będzie inaczej. Był to tylko gest. Wystrzeliwszy wszystkie naboje, wyrzucił broń do wody.

Przez chwilę nic się nie działo. Sytuacja patowa. Muzyk przyglądał im się z drugiego końca galerijki. Oni mierzyli go wzrokiem. Czekali. Wreszcie muzyk obrócił się i bokiem zaczął przeciskać się między barierkami galerijki. Łom chciał chwycić Marusię za rękę – był to czas na ostatnie, daremne gesty – lecz natrafił na próżnię. Marusia wyrwała się i pędziła prosto ku muzykowi. Łom poczuł jego zadowolenie, gdy muzyk wyciągnął przed siebie wielką łapę, sięgając po Marusię. Otwierając się. Przyciągając ją. Był jak wielka rozwartą paszcza.

Próbuje ją wessać, pomyślał Łom.

Myśl była jak uderzenie obuchem. A wraz z nią przyszła następna. Momentalny wgląd.

Jest zbyt pewny siebie. Nie boi się niczego.

I nagle pojął, co zamierza Marusia.

Gest muzyka był zbyt zamaszysty. Marusia zrobiła unik i łapa przeleciała w powietrzu nad jej głową. Impet zamachu sprawił, że muzyk stracił równowagę, zachwiał się i oparł o barierkę, która ugięła się pod jego ciężarem.

Łom wyciągnął rewolwer i zaczął strzelać, celując ponad głową Marusi w wielki, ślepy łeb. Od odrzutu rozbolała go głowa i ramię. Jednocześnie pchnął cały swój gniew, opór i obrzydzenie prosto w bezbronny, szeroko rozdziawiony umysł muzyka. Chociaż Łom był wciąż osłabiony i wyczerpany – siła tego uderzenia nie mogła równać się z tym, co zrobił w tunelu – poczuł, że cios dosięgnął celu. To wystarczyło. Połączona energia mentalnego ataku i potężnej mocy rażenia sepory zdezorientowały muzyka i sprawiły, że zupełnie stracił równowagę. Barierka pękła i muzyk zwałił się prosto w rozszalałą kipieli.

Marusia leżała na metalowej podłodze galeryjki. Nie ruszała się. Łom podbiegł do niej.

– Marusiu!

Ukląkł i chwycił jej dłoń. Dziewczyna poruszyła się, podniosła głowę i spojrzała na niego.

– Już po wszystkim? – zapytała.

– Tak, po wszystkim. Jak się czujesz?

– Jeżeli to... coś... już nam nie grozi, to możemy wracać. Ja muszę wracać.

– Już prawie noc – powiedział Łom. – Do pętli tramwajowej jest ponad dziesięć kilometrów, a tramwaj i tak odjeżdża dopiero rano. Będziemy musieli tu zostać...

Marusia usiadła. Wyglądała na oszołomioną i obolałą.

– Nie. Muszę... – Nie miała jednak siły na nocny marsz. Nawet na to, by zaoponować.

– Tylko na tę noc – powiedział Łom. – Schowamy się w budce śluzowego.

Drzwi drewnianej budki stały otworem. Wewnątrz panował niemal zupełny mrok i pachniało smolą, dymem tytoniowym i herbatą. Marusia znalazła lampę naftową i zapalki. Żółtawy blask wydobył z ciemności wnętrza o marynistycznym charakterze: wielkoformatowe mapy portu wisiały przypięte do ścian i leżały rozłożone na stole pod oknem z widokiem na morze, obok przyrządów, ołówków i lornetki. Przy stole stał regulowany fotel, a obok niego długa cienka luneta na statywie; gruby sztormiak wisiał na haku przy drzwiach, a pod metalowym łóżkiem stała para kaloszy. Śluzowy przygotował wszystko na swój powrót: stosik drewna w rogu, woda w zbiorniku, paczka herbaty, pudełko herbatników. Łom zasłonił okna, a Marusia rozpałała pod piecem. Znaleźli nawet dwa kubki do picia. Marusia usiadła na rogu łóżka, a Łom w fotelu, odchylając się do tyłu i kładąc nogi na stole.

– A jeżeli ktoś zobaczy światło? – zapytała.

– W promieniu kilku kilometrów nie ma żywej duszy. Zresztą... – Łom wzruszył ramionami. – Rozbitkowie. Mus to mus. – Wyjął jednak z kieszeni ciężki rewolwer Szafrana i położył go na stole w zasięgu ręki.

– Naładowany?

– Nie.

Marusia spojrzała na niego z wahaniem.

– Zanim muzyk spadł do wody... – urwała. – Coś poczułam. W środku, w głowie. – Znowu pauza. Łom milczał. – Nie wiem... to było takie uczucie, jakbym miała zemdleć. Wszystko wydało mi się nagle bardzo odległe. A potem... jakbym dostała mentalny cios pięścią. Nie był wymierzony we mnie, ale i tak prawie mnie znokautował. A potem muzyk...

– To było wariactwo z twojej strony. Biec tak na niego. Miałas szczęście. Gdyby cię wtedy złapał...

– To byłeś ty, prawda? Ten cios w mojej głowie? Takie miałam wrażenie. Ty to zrobiłeś.

Łom milczał.

– A kiedy wybiłeś się wtedy na powierzchnię z tego tunelu... Jak ty to robisz? O co w tym chodzi?

– Nie wiem. To coś, co umiałem kiedyś robić. Jako dziecko. Potem, kiedy Sawinkow mnie zaszył, skończyło się. Ale od czasu usunięcia pieczęci... A nawet wcześniej, gdy przybyłem do Mirgorodu... To wraca... Ja po prostu... po prostu to robię.

Zapadła długa cisza. Marznący deszcz bębnił o szyby. Marusia spuściła wzrok.

– Kim ty jesteś? – zapytała wreszcie. – Czym jesteś? Skąd się wziąłeś?

– Nie wiem – odparł Łom – ale zaczynam myśleć, że powinienem spróbować się dowiedzieć. – Wyjął herbatnik z pudełka. Był zawilgocony i pachniał smołą. Połknął go i popił herbatą. Letnią teraz. Gorzką. Rzucił pudełko na łóżko. – Poczęstuj się – powiedział.

– Nie.

– A zatem się prześpij. Wyruszamy wcześniej rano. Weź łóżko.

– A ty?

– Ja na podłodze.

– Możemy spać razem. Pomieścimy się.

Siedziała w cieniu. Łom w ogóle nie widział jej twarzy. Deszcz tłukł o szyby, zacinając. Drzwi skrzypiały, poruszane wiatrem.

– Tak – powiedział. – Tak będzie lepiej.



Łom leżał na plecach, ściśnięty między Marusią i ścianą. Był zmęczony, lecz sen nie nadchodził. Gdy tylko wszedł do łóżka, Marusia przykryła ich oboje kocem, odwróciła się do niego plecami i chyba od razu zasnęła. Leżała teraz koło niego, oddychając miarowo.

Deszcz i wiatr ucichły. Łom słyszał oddech Marusi i szum morza. Gdzieś majaczyła mu myśl, że słyszy bolesny krzyk Szafrana pod wodą. Gdy jednak próbował nawiązać z nim kontakt, nic się urywała.

– Wissarionie Hipolitowiczu?

– Tak?

Ale nic więcej nie powiedziała. Słyszać było tylko delikatny rytm jej oddechu. Unosząca się i opadająca pierś. Obrócił się na bok, tak że miał przed sobą jej kark. Czuł zapach jej włosów. Moment, w którym wahadło nieruchomieje między jednym wychyleniem a drugim. Będzie na to czas. Później. Jeżeli będzie.

Muzyk leżał uwięziony przez setki tysięcy litrów wody. Na plecach. Uderzał kulkami, piętami i tyłem głowy o betonowe dno poniżej śluzy. Muzyk nigdy nie spocznie. Nie umrze. Bez względu na wszystko. Uwolni się w końcu.

Głęboko we wnętrzu muzyka to, co pozostawało z Szafrana, chciało krzyczeć, lecz nie miało głosu. Chciało płakać, lecz nie miało łez. Było nieme. I ślepe.

Zaspali. Łoma obudziła krzątająca Marusia. Odsunęła zasłony, wpuszczając blade światło poranka. Łom wygramolił się z łóżka i znalazł przybory do golenia należące do służowego – obtłuczoną miseczkę na wodę, mydło, brzytwę i kwadratowy kawałek lustra – ułożone w równym rzędku i gotowe do użycia. Umył się i ogolił po raz pierwszy od... jak dawna? Stracił rachubę czasu. Lusterko pokazało mu otoczoną delikatnym strupem, prawie już zabliznioną ranę na czole. Przemył ją, czując pod palcami delikatne pulsowanie. Blizna była gładka, młoda. Puls ledwo wyczuwalny, jak trzepot skrzydeł motyla.

– Proszę.

Marusia trąciła go lekko i podała mu kubek mocnej, słodkiej herbaty. Znalazła też cukier. Gdy upijał łyk, pocałowała go przelotnie w świeżo ogolony policzek. Znowu poczuł zapach jej włosów, a pocałunek był jak przyjemne, chłodne muśnięcie.

Za pomocą brzytwy Łom odciął podłużny skrawek koszuli i zawiązał sobie na czole jak chustkę, by ukryć ranę po znamieniu, po czym sprawdził rezultat w lustrze. Efekt był dziwny, ale niezły. Wyglądał trochę jak rzezimieszek. Pirat. Rzucał się w oczy, ale nie był aż tak rozpoznawalny jak z dziurą pośrodku czoła. Po chwili wahania złożył brzytwę i wsunął ją do kieszeni, po czym odwrócił się do Marusi, która przyglądała mu się z uznaniem.

– Ujdiesz w tłumie – powiedziała. – Nie jest źle.

– A ty wyglądasz... ładnie – rzekł Łom. Marusia umyła włosy, które były teraz wilgotne i lśniące. Policzki miała zaróżowione. – Ale obawiam się, że zmarzniesz.

– Zbyt głodna jestem, by myśleć o zimnie.

– Znajdziemy jakiś bar – powiedział. – Kiedy wrócimy. Zjemy śniadanie. – Kawa. Jajka. Bułeczki. To wszystko będzie normalne. Będzie prosto i dobrze. A potem coś przyszło mu do głowy. – Masz przy sobie pieniądze? – Sam nie miał nic. Nic poza brzytwą i rewolwerem bez naboń.

Marusia przeszukała kieszenie i znalazła kilka miedziaków. Na tramwaj do miasta zapewne wystarczy. Ale to wszystko.

– Myślałam, żeby coś zostawić – powiedziała. – Dla służowego.

– Wyślemy mu coś – rzekł Łom. – Później.

Stali przez chwilę, rozglądając się po wnętrzu budki. Starali się poukładać wszystko tak, jak było, a Łom naprawił prowizorycznie zamek w drzwiach. Na razie wytrzyma.

– Chodźmy – powiedziała Marusia.

– Tak.

Wydawnictwo Akurat  
imprint MUZA SA  
ul. Marszałkowska 8  
00-590 Warszawa

tel. 22 6211775  
e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

Konwersja do formatu EPUB: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz